

CHRIS

ŁOWCA SZCZURÓW

TVEDT



CHRIS TVEDT TO NOWA GWIAZDA SKANDYNAWSKIEGO KRYMINAŁU

Chris Tvedt

Łowca szczurów

Przełożyła Katarzyna Tunkiel



Wydawnictwo Nasza Księgarnia

www.wnk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj naszą ofertę z serii MIKAEL BRENNE

<http://www.nk.com.pl/mikael-brenne/189/seria.html>

W serii

Uzasadniona wątpliwość

Na własną rękę

W mroku tajemnic

Łowca szczurów

W przygotowaniu

Krąg śmierci

Dla Ody z podziękowaniem za dobre rady.

I dla Elisabeth, która tak bardzo przyczyniła się do powstania tej książki, że właściwie zasłużyła na umieszczenie swojego nazwiska na stronie tytułowej.

Rozdział 1

Zima 1944 r.

W połowie drogi pod górę musiał unieść się na rowerze, a wtedy rozboleły go uda i oddech przeszedł w ciężkie sapanie. Jeszcze wyżej, tam, gdzie zbocze było naprawdę strome, leżał śnieg, najpierw tylko przy krawędziach rowów, jednak później przeobraził się w zbitą masę uniemożliwiającą dalszą jazdę. Zszedł z roweru, by dalej go prowadzić, pomimo zimna spocony pod wełnianą koszulką.

Wreszcie ścieżka się wyrównała. Wiedział, że jest już prawie u celu. Ciemna ściana wysokich świerków górowała po lewej, lecz po drugiej stronie otwierał się widok po horyzont. Poniżej rozpościerały się miasto i fiord, lecz tego wieczoru nic nie było widać, wszystko spowijał mrok, a on stał sam, otoczony pustką.

Pchał rower przez sypki śnieg, z trudem brnąc naprzód w śliskich butach szytych smołowaną nicią; był zlany potem i zmęczony. Wolałby znaleźć się gdzie indziej. Z całego serca pragnął zawrócić, po prostu wsiąść na rower i pojechać do domu, do żony czekającej w ciasnym, lecz przytulnym dwupokojowym mieszkaniu. Chciał wziąć ją w ramiona i zabrać do sypialni... nie, jedynie położyć na kanapie w ciepłe koksowego pieca... rozebrać ją, objąć, zatonać w niej, zapomnieć o całym świecie. Tak bardzo tego pragnął, że aż czuł jej smak na języku. Smak miłości, nadal świeży,

zakazany, odurzający. Był cztery miesiące po ślubie i kochał żonę miłością młodego mężczyzny.

Szedł dalej.

Dotarł do polany, na której leżały pnie ściętych drzew. Oparł rower o pień, rozejrzał się i stwierdził, że jest sam, więc usiadł na korzeniu. Ciężko oddychając, zdjął rękawice i rozsunął zamek błyskawiczny anoraka, by ochłonać. Ściągnął czapkę. Wsunął rękę do kieszeni, a gdy pod palcami wyczuł zimny metal, jak oparzony wyjął dłoń i zaczął chodzić tam i z powrotem. Niecierpliwie, w napięciu, bez wytchnienia.

Chociaż się tego spodziewał, aż podskoczył, kiedy postać zmaterializowała się w ciemności między pniami świerków. Nawet w słabym świetle rozpoznał ciężką sylwetkę i chód, lekki, lecz niemal arogancki, który zawsze sprawiał, że rowerzysta czuł się niezdarnie. Cień kapelusza również z bliska skrywał rysy twarzy, jednak głos był dobrze znany, trochę charczący, jakby mężczyzna stale cierpiał na bronchit.

– Witaj – rzekł przybysz. – Dawno się nie widzieliśmy. – Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, dodał: – Co się dzieje? Chyba coś ważnego.

Mężczyzna z rowerem odchrząknął. Słowa ugrzęzły mu w gardle, dusiły go, więc przez moment tylko chrząkał i kaszłał.

– Tak – powiedział w końcu. – Coś ważnego.

Przechadzali się chwilę w kółko, jeden obok drugiego. Nagie kępki trawy odcinały się czarno od bladego śniegu. „Jak nagrobki na cmentarzu” – pomyślał i nagle poczuł mdłości, przez co musiał oprzeć się o pień świerka i pochylić. Z ust pociekła mu gęsta ślina.

– Coś nie tak? – zapytał ten drugi. – Źle się czujesz?

Pokręcił głową.

– Nie, nie, to nic takiego. Przejdzie. Daj mi tylko chwilę.

Spluwał i odkrztuszał śluz, który wypełniał niemal całe gardło. Poczuł na ramieniu troskliwą, wspierającą dłoń. „Jezu – przemknęło mu przez głowę – zaraz wszystko zepsuję. Muszę wziąć się w garść. Jaki mam wybór?”

Wyprostował się, zrobił krok w tył, spojrzął na wysoką postać stojącą przed nim. Znali się od dawna.

– Papierosa? Może pomóc.

– Nie, dziękuję.

Pochylenie głowy, twarz zasłonięta dłońmi złożonymi wokół płomienia, krótki błysk rozjaśniający rysy, ciemne oczy pod ciężkim czołem, orli nos, pełne usta, które zacisnęły się na papierosie. Zaraz jednak zapałka zgasła, a oblicze na powrót spowił mrok.

– Jak czujesz się jako mąż?

– Dobrze.

Cień uśmiechu w głosie mężczyzny.

– Cztery miesiące, prawda? Jasne, że dobrze. Pewnie nadal jesteście jak króliki.

Rowerzysta zaśmiał się z przymusem.

– Zobaczysz, z czasem wszystko się zmieni. Ale nadal będzie nieźle, jeżeli znalazłeś sobie właściwą kobietę. Poczekaj tylko na dzieci! To... to fantastyczne.

– Naprawdę? Nie wiedziałem, że macie...

– Tak, od niedawna. Mamy syna.

Rowerzysta ciągle przełykał.

– Nie wiedziałem. Gratulacje.

– Dziękuję. – Krótka przerwa, po której odezwał się innym tonem: – To o co chodzi? Co się dzieje?

– Mamy problem.

– Ach tak?

– Ostatnio złapano zbyt wielu naszych.

Wzruszenie ramion w ciemności.

– Ciągłe kogoś łapią. Jesteśmy amatorami.

– Byliśmy nimi na początku. Teraz wiemy, co robimy.

Ponowne wzruszenie ramion.

– Nie zgodzę się. Nadal jesteśmy amatorami. Niemcy to zawodowcy.

– Może. – Poczul ukłucie rozdrażnienia i powitał je z ochotą. – Może masz rację. Ale to nie wyjaśnia sprawy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Zdrajca? Mamy wśród nas zdrajcę?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Jesteśmy pewni.

– Boże mój. Kto to? Wiecie kto?

– Tak.

Nastąpiła długa cisza. Na tyle długa, by zdążył wyjąć rękę z kieszeni, unieść pistolet. Walther PPK kaliber 9 mm, skradziony niemieckiemu oficerowi. Niezawodna broń, prosta w użyciu, z niezbyt mocnym odrzutem. Precyzyjna, jak mu mówiono, sam tego nie wiedział, bo nigdy z niej nie strzelał, ćwiczenia były nazbyt ryzykowne.

Księżyc wyszedł zza chmur, rzucając bladą poświatę na leżące pnie drzew, co wystarczyło, by rowerzysta ujrzał wyraz twarzy rozmówcy, gdy pociągnął za spust. Ciszę przeszył ogłuszający huk, tak potężny, że musiał być słyszalny aż w mieście. Pewnie ktoś przyjdzie sprawdzić, co się stało. Mężczyzna zasłonił rękoma twarz, zrobił niepewny krok w tył i runął na ziemię.

Księżyc znikł.

Zbliżył się o krok, spojrział na leżącą w śniegu postać. Poruszała się. Wydawała dźwięki. Ciche, nieprzyjemne, gardłowe dźwięki. Mdłości powróciły z pełną siłą, wypełniły mu usta. Wymiotował raz za razem.

Znowu ukazał się księżyc. Mężczyzna leżący na ziemi przyciskał dłonie do twarzy. W bladym świetle krew między jego palcami wydawała się czarna. Cała dolna szczęka została odstrzelona. Wystawały z niej białe odłamki kości, jak drzazgi ze złamanej gałęzi.

– Kurwa, kurwa, kurwa!

Jego dłoń drżała, kiedy znów skierował broń w stronę tamtego. Wypalił i ujrzał, jak szarpnęło leżącym, gdy kula wbiła się w ziemię centymetr od jego ucha, rozpryskując śnieg i błoto. Widział oczy mężczyzny wybałuszone w śmiertelnym lęku, czarne, przypominające przerażone oczy zwierzęcia.

Kolejna chmura zasłoniła księżyc, otuliła cieniem leżącą na ziemi postać, rozmazała jej kontury, krew, odłamki kości, zmasakrowaną twarz. Wziął głęboki wdech, chwycił oburącz rękojeść pistoletu, skupił się na tym, by lufa pozostała stabilna, by stłumić ten okropny, bulgoczący dźwięk.

– Wybacz mi – szepnął. Nie tylko do człowieka leżącego przed nim, ale do wszystkich, do nocy, do każdego. Wtedy raz jeszcze pociągnął za spust. Mężczyznę wstrząsnął spazm, aż wreszcie uspokoił się, znieruchomiał. Przestał być żywą, oddychającą, myślącą istotą. Stał się cieniem na ziemi.

Odwrócił się plecami do tego, co zrobił. Chwiejnym krokiem podszedł do roweru, zaczął toczyć go w stronę miasta. Nie mógł zebrać myśli i czuł zawroty głowy, jakby właśnie doszedł do siebie po długiej chorobie. Po chwili powróciły mdłości, musiał się

zatrzymać, by zwymiotować. Raz po raz zwracał, na brzegu rowu opróżniał żołądek, aż nic w nim nie zostało i już jedynie gorzki smak żółci wypełniał mu usta i nos. Później poczuł się trochę lepiej. Wyjął magazynek z pistoletu i wyrzucił go w lesie, sam pistolet cisnął zaś w osypisko skalne, a dźwięk metalu obijającego się o kamień wzbudził w nim niewyjaśnioną ulgę.

Wsiadł na rower, dopiero gdy całkiem skończył się śnieg, gdyż nie chciał ryzykować, że spadnie i się zrani. Trzymał się z dala od głównych dróg, jechał przez puste, ciemne zaułki. Znał na pamięć tę dzielnicę, to tutaj dorastał, a pedałowanie przez stare, znajome ulice dawało mu dziwne poczucie bezpieczeństwa, niczym lina ratunkowa wiążąca go z tym, kim był kiedyś.

„Od tej nocy świat już nigdy nie będzie taki sam. Ja też nie będę”. Myśl ta napełniła go przerażeniem, jakby stał na progu całkiem nieznanego, nieprzewidywalnego przyszłości.

Odstawił rower na stojak i wspiął się po znajomych wytartych stopniach, odruchowo unikając skrzypiących miejsc. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc wszedł bez pukania. Poczul woń kalarepy, śledzi, mokrej wełny – cały zestaw swojskich zapachów. Był w domu.

Jego żona wstała z kanapy, na której czekała w półśnie, zmartwiona, gdyż wiedziała, że ma do wykonania zlecenie. Nie musiała pytać, by mieć świadomość, że chodzi o coś nielegalnego. Na jej zaspanej twarzy malowała się ulga. Rozłożyła ramiona, przytuliła go. A on przyjął jej uścisk, kurczowo przywarł do wszystkiego, co normalne i bezpieczne. Poczul przy sobie jej ciało.

– Jak ja czekałam – powiedziała bez tchu z ustami przytkniętymi do jego szyi. – Tak się bałam. Cudownie jest mieć cię przy sobie.

– Tak – odparł. Próbował zatonać w jej ramionach, w zapachu

włosów, w oczekiwaniu białego, miękkiego ciała, lecz na próżno. W nozdrzach unosiła się cierpka woń jego własnych wymiotów. Przypomniawszy sobie czarną krew połyskującą w blasku księżyca, a zamiast ciepłego ciała żony pod dłonią czuł odrzut walthera. Pamiętał też wyraz oczu mężczyzny sekundę przed tym, jak trafiła go kula. Wyraz zaskoczenia. Nie strachu. Nie wściekłości. Tylko czystego, nieklamane go zaskoczenia.

– Nie potrafił go zapomnieć.

Następnego dnia było zimno i pochmurno. Pomyślał, że może niedługo spadnie śnieg, jednak na razie biel okrywała wyłącznie otaczające miasto góry, natomiast ulice pozostawały brudnoszare, a ogrody pozółkłe od obumarłej, zimowej trawy. Źle spał tej nocy, czuł się kiepsko. Nudności nadal stały mu w gardle, jakby zamieszkały tam na stałe.

Pojechał rowerem na ulicę pełną dużych, białych domów i ogrodów skrytych za wysokimi bukowymi żywopłotami. Jeden z budynków się wyróżniał, był pomalowany ciemną bejcą, ciężki i solidny. Tam mężczyzna zsiadł z roweru, oparł go o żywopłot i wszedł przez furtkę z kutego żelaza. Zadzwoił do drzwi; nasłuchiwał, ale nie usłyszał dzwonka wewnątrz. Nie dochodził do niego żaden dźwięk, nic, co wskazywałoby, że ktoś jest w domu. Na chwilę się zawahał, uniósł dłoń, by zadzwonić raz jeszcze, lecz zanim zdążył to zrobić, drzwi się otworzyły. Stał przed nim wysoki mężczyzna o szerokich barkach, starszy od niego, ale nieduży. Twarz miał ostrą, o dużym nosie i wąskich ustach.

– Niech pan wejdzie.

Przekroczył próg i znalazł się pośrodku spowitego półmrokiem przedpokoju. Zdjął czapkę i zmiażdżył ją w dłoniach, nagle niepewny.

– No?

Brakło mu słów, nie wiedział, jak sformułować myśli. Skinął tylko głową.

– Wykonał pan zlecenie?

Znowu skinął głową i wreszcie odzyskał głos.

– Tak.

– To... nie żyje?

– Tak.

– Dobrze. – Ten drugi zawahał się, po czym dodał: – Bardzo się pan nam przysłużył. – Nie usłyszawszy odpowiedzi, ciągnął: – Wielu dobrych Norwegów straciłoby życie, gdyby on dalej działał.

Były to zbyt poważne, zbyt uroczyste słowa, które jak gdyby zapadały się pod własnym ciężarem i rozbijały głucho o parkiet. Dwóch mężczyzn przez moment stało naprzeciwko siebie w milczeniu.

– Cóż... najlepiej będzie, jak pan już pójdzie. Im mniej będziemy mieć z sobą do czynienia...

Nie ruszył się z miejsca.

– Coś... coś jeszcze?

– Ja... zastanawiałem się... Jest pan pewien?

– Pewien?

– Że to był on. Że to on był zdrajcą.

– Tak. Mam pewność.

– To dobrze.

– Mam... mamy źródło... nie powinienem panu tego mówić... to źródło w gestapo. Całkowicie wiarygodne. Już wielokrotnie uzyskiwaliśmy od niego cenne informacje.

– Ale on... wydawał się taki zdziwiony.

Starszy mężczyzna spojrzał na niego pytająco.

– Zdziwiony?

– Tak. Dokładnie w momencie, kiedy zrozumiał, że go zastrzele. Nie wyglądał, jakby się bał czy panikował, był jedynie zdziwiony. Jakby w ogóle... się tego nie spodziewał.

– Bo tak pewnie było. Pewnie nie sądził, że zostanie zdemaskowany. Proszę o tym nie myśleć – poradził mężczyzna. Po chwili dodał bardziej zdecydowanym tonem: – Proszę o tym nie myśleć. To było konieczne.

– Miał małe dziecko. Syna.

Wyraz twarzy i głos tamtego stały się bardziej zniecierpliwione.

– Jest wojna. Taki wybrał sobie los. Do widzenia.

– Tak, oczywiście, ma pan rację. Do widzenia.

„Taki wybrał sobie los”. W drodze do domu myślał o tych słowach, stanowczych, stwierdzających oczywistość. Może dla niektórych świat tak właśnie wyglądał, dla tych, którym zawsze było łatwo, dla wybrańców losu znajdujących się na szczycie piramidy. Może musieli w to wierzyć, aby czuć, że zasłużyli na swoją pozycję, status, przywileje. Jednak rowerzysta wiedział lepiej.

Rozdział 2

Luty 2008 r.

Gdybym tylko posłuchał prognozy pogody, wszystko ułożyłoby się inaczej. Byłem na wschodzie kraju z klientem oskarżonym o przemycenie trzech kilogramów amfetaminy. Sprawa była beznadziejna, człowieka złapali na gorącym uczynku, więc nie mogłem zrobić nic poza użyciem argumentu, że został zmuszony do szmuglerki, że nieznajomi ludzie grozili mu śmiercią, więc działał w obronie koniecznej. Słyszałem tę historię już wiele razy, sąd również. Sędziowie bez zmrżenia oka wysłuchali mojego względnie zaangażowanego wystąpienia, po czym powiedzieli: „Dziękujemy bardzo, mecenasie Brenne” i wycofali się, aby wydać na mojego klienta miażdżący wyrok.

Gdy wyrok zapadł, a klienta odprowadzono, spojrzałem na zegarek i postanowiłem wrócić samochodem do domu, chociaż zrobiło się już późno. W dolinie drogi były czarne i warunki dobre, lecz bliżej płaskowyzu ujrzałem na zachodzie ciężkie, ciemne kłęby chmur, a pierwsze ostrożne podmuchy wiatru wzbiły śnieg z zasp. Jechałem dalej, ale nie dotarłem daleko. Migające żółte światła i wielkie znaki potwierdziły moje obawy. Droga została zamknięta. Rozwahałem, czy nie znaleźć gdzieś pokoju, lecz miałem już dość życia na walizkach, bezosobowych hoteli i restauracji bez wyrazu, więc zawróciłem i ruszyłem w stronę jedyne go przejazdu na zachód,

który według wiadomości drogowych nadal pozostawał otwarty.

Było późno, prawie dwie godziny po północy, kiedy wreszcie pokonałem góry i znalazłem się znowu na nizinach, lecz tam też śnieżyło i wiało, drogi były śliskie jak mydło, a ja głodny, zmęczony i zły od powolnego toczenia się do domu. Poza tym coś mnie martwiło. Temperatura silnika przez ostatnie godziny stopniowo wzrastała, a teraz wskazówka wibrowała tuż poniżej czerwonego pola.

Minąłem znak mówiący, że do centrum zostało dwanaście kilometrów. Wskazówka jeszcze odrobinę się uniosła. Próbowałem jechać na trójce, aby nie forsować silnika, ale prędkość spadła tak bardzo, że motor natychmiast zaczął się krztusić. Nie miałem odwagi przyspieszyć, więc znowu zredukowałem bieg.

Rondo zjawilo się w zamieci śnieżnej niczym biała bezludna wyspa. Na ulicy nie było ruchu, nie widziałem żadnych świateł. Znow zerknąłem na wskaźnik. Jego igła przesunęła się na czerwone pole. Pociągnąłem nosem i wydało mi się, że czuję woń spalenizny, zrozumiałem więc, że nie mogę wjechać na autostradę. Nie mogłem jednak również stać na szosie przy tej widoczności. Ryzyko, że ktoś we mnie uderzy, było o wiele za duże. Wjechałem na rondo, ale zamiast skręcić ku autostradzie, wybrałem kolejny zjazd w mniejszą uliczkę i zatrzymałem się w najbliższej zatoce. O tej porze nie jeździły żadne autobusy. Wyłączyłem silnik, nastala cisza. Słyszałem jedynie wiatr i szybkie tykanie przegrzanego silnika, który powoli się studził.

Czekałem. W samochodzie zrobiło się zimno, więc po omacku odszukałem na tylnym siedzeniu czapkę i rękawiczki. Nieco pomogły, ale po chwili zacząłem porządnie marznąć. Spróbowałem włączyć zapłon – lekko przekręciłem kluczyk, spojrzałem na

wskaźniki. Igła nie zmieniła pozycji. Zastanawiałem się, czy się zacięła. Postukałem w szybkę kłykciami, ale bez rezultatu. Od oddechu zaparowały okna. Po lewej stały niskie bloki. Po prawej, nieco dalej, widziałem zarys kilku domów jednorodzinnych. Przycisnąłem twarz do przedniej szyby i wydało mi się, że dostrzegam światło w oknie. Może ktoś tam nie spał i mógłbym dostać wody. Wszystko było lepsze niż bezczynne siedzenie.

Wiatr na zewnątrz powoli ustawał, ale nadal wiało całkiem rześko i mocno śnieżyło. Wirujące w powietrzu płatki kłuły w twarz. Mocno naciągnąłem czapkę, postawiłem kołnierz skórzanej kurtki, pochyliłem głowę i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Przeskoczyłem rów, potknąłem się na wyboistej, pokrytej śniegiem powierzchni. Nie widziałem już światła. Wyteżyłem wzrok, z początku bez skutku, jednak po chwili znów się pojawiło, niczym płonąca pochodnia wskazująca drogę w mroku i zamieci.

Od światła oddzielała mnie zwarta kępa drzew, mały zagajnik. Kiedy wszedłem między pnie, jasność na powrót zniknęła, lecz wtem znów się rozżarzyła, tym razem dużo silniej, emanując czerwonym blaskiem, a mnie ogarnęło poczucie zagrożenia, nadciągającej katastrofy. Próbowałem przyspieszyć kroku, ale poślizgnąłem się i potknąłem, a wtedy odezwał się ostry ból w prawym kolanie, stara kontuzja, która czasami dawała o sobie znać. Przeciskałem się między gałęziami, odpychałem na bok młode drzewka i krzewy, aż osypywał się na mnie śnieg, który padał mi na twarz i za kołnierz, lecz nie zważałem na to. Między pniami drzew a zaśnieżonymi gałęziami jaśniało coraz mocniej i coraz bardziej czerwono. Wreszcie wyostałem się z zagajnika i ujrzałem zarys pochyłego dachu na tle nocnego nieba, komin, ścianę oraz okno. W oknie zarzyły się czerwone, głodne płomienie, które

zdażyły już wymknąć się spod kontroli.

Zacząłem biec. Po omacku szukałem w kieszeniach spodni telefonu, chciałem zadzwonić pod numer alarmowy, lecz czynność ta odwróciła moją uwagę od terenu, przez co nadepnałem na obluzowany kamień i znowu upadłem. Komórka wyleciała mi z ręki i zniknęła w śniegu. Przez chwilę czołgałem się na czworakach, szukając jej, zimnymi dłońmi macałem ziemię wokół, lecz nagle usłyszałem huk płomieni i pojąłem, że czas mi się kończy, tak samo jak ludziom, którzy mogli znajdować się w domu.

Dźwięk był głęboki, przypominał warczenie zwierzęcia i sprawił, że puściłem się naprzód biegiem.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, minąwszy róg domu, były uchylone drzwi. Sączył się z nich dym, ale w środku nie widziałem ognia. Coś poruszyło się po prawej w cieniach za garażem, a gdy odwróciłem głowę, moim oczom ukazała się młoda dziewczyna. Najpierw pomyślałem, że uciekła z domu, ale miała na sobie kurtkę i tylko wpatrywała się w płonący budynek.

– Jest ktoś jeszcze w środku?! – zawołałem. Nie odpowiedziała, więc podszedłem do niej, chwyciłem ją za ramiona i wrzasnąłem prosto w twarz: – Czy są tam w środku ludzie?! Odpowiedz! Czy ktoś tam jest?!

Patrzyła na mnie z osobliwą miną. Widziałem jej suche, spękane usta, przypominający uśmiech grymas. Oczy były puste, nieobecne jak odległe galaktyki, niewyraźne jak gęsta mgła.

– Płonie czerwonym ogniem – powiedziała dziwnym, śpiewnym tonem, jakby recytowała fragment książki. – W snopie czerwieni zstąpi tam, skąd przyszedł.

– Kto płonie?! – krzyknąłem. – O czym ty mówisz?! – Wtedy zauważyłem u jej stóp kanister, czerwony, pięciolitrowy kanister

z plastiku, jaki można kupić na każdej stacji benzynowej, i z przerażeniem zrozumiałem powiązanie. – Co ty zrobiłaś?! – ryknąłem, gdy zaś nie odpowiedziała, odwróciłem się, mocno związałem szalik, zasłaniając usta i nos, po czym przebiegłem przez podwórko wprost w otwarte drzwi. Nie zastanowiłem się nawet przez sekundę.

Prawie od razu tego pożałowałem. Choć nie widziałem płomieni, huk był ogłuszający i przeraźliwy, a gdy tylko wszedłem do środka, instynktownie skuliłem się w sobie, jakbym przedzierał się przez nawałnicę. Widoczność była fatalna. Ostry, gorzki dym gryzł w gardło i płuca, więc zacząłem kaszleć. Bez namysłu opadłem na kolana. Parę metrów przed sobą dostrzegłem drzwi. Na chwilę całkiem przywarłem do podłogi. Odwróciwszy głowę w bok, znalazłem strumień świeższego powietrza, które kilkakrotnie wciągnąłem, a następnie na czworakach ruszyłem naprzód. Ukląknąłem, wyciągnąłem rękę, po omacku odszukałem klamkę. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do salonu.

Płomienie lizały ściany i podłogę, płonął nawet sufit. Drogę zagradzała mi żywa zasłona skłębionych, czerwonych węży. Zatrzasnąłem drzwi. Wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo, że gorąco, dym i opary zabiją mnie, jeśli wkrótce stamtąd nie wyjdę. Omal nie wpadłem w panikę, instynkt podpowiadał, żeby wstać i uciekać, lecz nie zrobiłem tego, bo w górze powietrze było dużo gorsze. Nie miałem już zresztą pewności, która droga prowadzi do wyjścia, toteż zmusiłem się do myślenia.

„Na prawo. Trzymając się prawej ściany, prędzej czy później dotrę do drzwi wyjściowych” – stwierdziłem. Zacząłem się czołgać, nie odrywając dłoni od listwy podłogowej, bo byłem już całkiem oślepiiony. Wreszcie wymacałem próg oraz drzwi. Zawahałem się.

Otwarcie poprzednich prawie przypłaciłem życiem. Znalazłem klamkę i uchyliłem je. Tym razem nie przywitały mnie płomienie, jedynie dym i ciemność. Wpełzłem do środka, lecz nic nie widziałem. Dłonią natrafiłem na jakieś koło. Wyczułem metal i gumę. Pomyślałem, że to rower, że znalazłem się w pomieszczeniu gospodarczym, więc już chciałem zawrócić, gdy dobiegł mnie słaby kaszel, przykry, rzeźący dźwięk, który sprawił, że zacząłem gorączkowo macać przestrzeń wokół, aż napotkałem łóżko, a w nim leżącą postać. Wziąłem głęboki wdech, uklęknałem przy krawędzi posłania, chwyciłem postać i ściągnąłem ją na podłogę. Był to dorosły człowiek, wysoki i chudy, wręcz kościsty, lecz mnie wydał się ciężki jak ołów. Zbliżyłem się i krzyknąłem mu do ucha:

– Musisz mi pomóc! Musimy się stąd wyczołgać!

Nie otrzymałem odpowiedzi. Leżąca postać nie była w stanie pełznąć o własnych siłach, jedynie bezradnie ruszała rękoma, a ja nagle pojałem z desperacką jasnością, że koło, które wyczułem pod dłonią, nie należało do roweru, tylko do wózka inwalidzkiego. Położyłem się obok mężczyzny, chwyciłem go pod ramiona, odbiłem się nogami i pociągnąłem. Przemieściliśmy się dwadzieścia pięć centymetrów.

Ponownie wykonałem całą operację, i jeszcze raz. Powtarzałem ją bez końca, przesuwając się w ślimaczym tempie. Cały czas kaszlałem, jakby w ogóle przestało dochodzić do mnie powietrze. Płuca bolały, a mięśnie protestowały, wdychałem sadzę i dym zamiast tlenu, ale wlekliśmy się dalej. Ciemność nie była już nieprzenikniona, cień zaczęły rozpraszać drobne, czerwone błyski płomieni, które pojawiały się i znikały, by za chwilę znów wystawić języki, za każdym razem wyżej. Ten widok dodał mi sił zrodzonych z paniki, wskazał też wyraźny kierunek ruchu – z dala od ognia.

Czołgałem się w prawo, aż owionął mnie podmuch zimnego, świeżego powietrza, i zdobyłem się na ostatni wysiłek, gdyż wiedziałem, że to już ostatni moment, by wydostać się na zewnątrz. Wspiąłem się na schody, na pół wstałem i wtedy zobaczyłem, że dźwigam starca. Przeciągnąłem go po stopniach, aż pięty mu się o nie obily, i wreszcie wywlokłem na zaśnieżone podwórko, gdzie runąłem obok niego na ziemię.

Świeże powietrze.

Wdychałem je zachłannie jak tonący, łapałem, spazmatycznie wciągałem do płuc. Mężczyzna, którego uratowałem, miał twarz szarą jak papier, a przy tym pokrytą sadzą. Ciągłe kaszlał, na jego wargach widziałem krew. Jednak żył, był świadomy. W jego oczach tliło się życie.

– Czy ktoś jeszcze... – zacząłem, lecz nie zdołałem dokończyć zdania, bo znów zaniosłem się kaszlem. – Czy są tam... inni?

Otworzył usta, ale także zaczął kaszleć, więc tylko zdecydowanie pokręcił głową. Nikogo więcej. Dobrze.

Chciałem jedynie tak leżeć, wdychając zimne powietrze, zadziwiająco cudowny tlen. Brakowało mi sił i woli, więc zamknąłem oczy i zapadłem się w chłodny śnieg, ale wtedy usłyszałem kaszel starszego mężczyzny tuż przy swoim uchu, poczułem dotyk palców, które słabo chwyciły mój rękaw. Rozchyliłem powieki i spojrzałem na niego.

– O co chodzi? – zapytałem. – Czego chcesz?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zanim zdążył się odezwać, odczytałem zdumienie z jego oczu i zrozumiałem, że wpatruje się w coś za moimi plecami, więc się odwróciłem. Dziewczyna, ta sama, która patrzyła na pożar z kanistrem u stóp, stała pod drzwiami

płonącego domu. Zapomniałem o niej, nie miałem czasu o niej myśleć.

Zrobiła krok w przód i przekroczyła próg. W środku płonął żywy ogień, jakby pożar oblizywał sobie usta wygłodniałą czerwienią. Niepewnie wstałem. Posłyszałem krzyk ludzi, pewnie nadbiegających sąsiadów, oraz odległe wycie syren. Dziewczyna zrobiła kolejny krok, po czym zniknęła w czarnym dymie i czerwonej łunie. Za późno. Pomoc nadejdzie za późno.

Znów wbiegłem do środka.

Stała z wyciągniętymi na boki rękoma, jakby ukrzyżowana, głowę odrzuciła w tył. Jej ubrania już zajęły się ogniem. Chwyciłem ją w pasie, uniosłem, poczułem płomienie na dłoniach, intensywny ból, nieznośny, a jednak odległy, jakby to nie mnie bolało, jakby nie mnie dotyczyło to odczucie.

Wyniosłem ją, chociaż walczyła i wrywała mi się z rąk. Była drobna, lekka jak piórko. Na zewnątrz rzuciłem się w śnieg, nadal ją trzymając, i przeturlaliśmy się parę razy, aż wreszcie ogień zgasł, ale wciąż jej nie puszczałem. Popatrzyłem dziewczynie prosto w twarz. Nie dostrzegłem w niej nawet śladu bólu, rozpacz, złości. Ta twarz nie wyrażała niczego.

Trzymałem ją, aż ktoś przyszedł i uwolnił ją z moich objęć. Wtedy odwróciłem się na plecy i spojrzałem w niebo. Nadal śnieżyło i wiało. Wirujące białe płatki mieszały się z popiołem i czerwonym deszczem iskier, tworząc dziki, fantastyczny spektakl na czarnym, nocnym niebie, zarazem piękny i przerażający. Leżałem tak, w ogóle nie myśląc, aż położono mnie na noszach.

Rozdział 3

Pierwszą rzeczą, którą zarejestrowałem po przebudzeniu, był ból. Najmocniej odczuwałem spody dłoni, ale choć się nie poruszałem, z czasem zidentyfikowałem wiele bolesnych miejsc – łokieć, kolana, tył głowy, udo – wszędzie mnie łupało, kłuło i piekło, lecz intensywne szczypanie dłoni przyćmiewało wszystko. Pożar. Przypomniałem sobie pożar. Płomienie. Ich huk. Gorąco. Próbowałem skupić się na czym innym. Na łóżku. Leżałem w łóżku, które nie należało do mnie. Coś było nie tak z materacem, z wielkością poduszki. Było inaczej niż w domu. Czułem też dziwny zapach. Wiedziałem, że skądś znam tę woń. Szpital.

I coś jeszcze. Słaby zapach perfum.

Synne.

Otworzyłem oczy i ujrzałem w ciemności jej zarys, sylwetkę na tle słabego światła zza uchylonych drzwi. Siedziała całkiem nieruchomo, może spała. Byłem ciekaw, jak długo już przy mnie czuwa i czy czuje się zobowiązana, by tutaj siedzieć. Rok wcześniej to ja spędzałem całe dni przy jej szpitalnym łóżku. Była moją aplikantką. Pewien niezrównoważony klient najpierw się w niej zakochał, później ją śledził, a wreszcie próbował zabić. Trwałem przy niej w szpitalu, ponieważ się o nią martwiłem, ale również z powodu wyrzutów sumienia w związku z tym, co się stało. Teraz zamieniliśmy się rolami, tyle że ja nie byłem umierający. Jedynie

tak się czułem.

Spróbowałem podnieść się na łóżku, ale ból przeszył mi prawą dłoń niczym włócznia, więc jęknąłem. Synne drgnęła.

– Mikael – odezwała się. – Nie śpisz?

– Wody – powiedziałem i zacząłem kaszleć, mocno, chrapliwie, kaszel niemal rozrywał mi gardło i płuca na strzępy. Kiedy skończyłem, przytrzymała szklankę, bym mógł się napić, i wytarła podbródek, gdy rozlałem wodę, jakby pomagała zniedołężniałemu starcowi. Opadłem z powrotem na łóżko, nagle wykończony. Pochyliła się nade mną, poprawiła poduszkę i kołdrę, a ja poczułem jej włosy muskające mnie jak ptasie skrzydło, jej oddech przy twarzy, ciepły i wilgotny. Wciągnąłem jej zapach i zamknąłem oczy.

– Boli cię, Mikael? Nie mów, bo znów zaczniesz kaszleć. Powiedzieli, że będzie cię boleć. Jesteś trochę poparzony, zwłaszcza na spodzie prawej dłoni. Kiwnij głową, jeśli chcesz dostać więcej środków przeciwbólowych, to zawołam pielęgniarkę.

Tak uczyniłem.

Na chwilę zanim znów pogrążyłem się we śnie, przypomniałem sobie mężczyznę, którego wyciągnąłem z płonącego domu.

– Jak się ma ten starzec? – szepnąłem.

– Co? Co mówisz, Mikael? – Pochyliła się nade mną, a ja powtórzyłem pytanie. – Ten, którego uratowałeś? Słyszałam, że czuje się dobrze. Leży w pokoju na końcu korytarza. Przeżyje.

– Dobrze – szepnąłem. – To dobrze.

Zamknąłem oczy i poczułem jej dłoń na czole, ciepłą i suchą, jakby Synne była moją matką, a ja małym dzieckiem.

Następnym razem, gdy się obudziłem, na brzegu łóżka siedział policjant, smutno wyglądający mężczyzna o mocno podpuchniętych

oczach i obwisłych policzkach.

– Dzień dobry, panie Brenne – odezwał się. – Nazywam się Jørgen Vannebo. Jestem śledczym z wydziału do spraw kradzieży i pożarów. Może pan mówić?

Wskazałem swoje gardło, zrobiłem ruch dłonią i grymas, który miał oznaczać, że mówienie nie należy do rzeczy, na które miałbym ochotę. Westchnął.

– Okej, ale może... Czy mógłby pan kiwać albo kręcić głową? Chcielibyśmy wyjaśnić pewne okoliczności związane z pożarem.

Skinąłem głową.

– Świetnie. Kiedy przybył pan na miejsce zdarzenia, dom już się palił?

Potwierdziłem.

– Okej. Widział tam pan kogoś lub coś? Cokolwiek istotnego.

Kiwnąłem głową.

– Dobrze. – Zastanowił się chwilę. – Była to osoba czy...

Przerwałem mu gestem mówiącym, żeby się zbliżył.

– Dziewczyna – szepnąłem. – Młoda dziewczyna. Czarna skórzana kurtka. Dżinsy. – Zacząłem kaszleć, lecz on cierpliwie czekał. – Weszła do płonącego domu. Mu... musiałem ją stamtąd wyciągnąć. Na pewno się poparzyła.

Teraz to on skinął głową.

– Zgadza się. Ona też tu leży. Co z... Gdzie była, kiedy znalazł się pan na miejscu?

– To ona podpaliła dom.

Jego spojrzenie się wyostrzyło, przestał wyglądać na smutnego lub sennego.

– Skąd ta pewność? Był pan tego świadkiem?

Pokręciłem głową.

– Nie. Ale tam była. A obok niej stał kanister.

Gorliwie zapisał to w notesie.

– Ach tak. Ale nie mówiła nic, co wskazywałoby na to, co zrobiła?

– Nie, nic nie powiedziała. Ale to ona. Jest... zupełnie szalona. Weszła prosto w płomienie. Musicie jej pilnować. Stanowi zagrożenie dla siebie i otoczenia.

– Tak. – Westchnął. – Wiemy. Ktoś siedzi na straży. To, co pan mówi, pasuje do informacji, które posiadamy, oraz do naszych przypuszczeń dotyczących pożaru. Na razie wystarczy. Gdy się pan poczuje lepiej, bylibyśmy wdzięczni, gdyby przyszedł pan na prawdziwe przesłuchanie. – Wstał. – Powinienem też chyba panu pogratulować.

Uniosłem brwi.

– Jest pan bohaterem tygodnia. Uratować dwie osoby z płonącego domu... Prasa pana kocha. Dobrze pan zrobił, ale już mi się sprzykrzyło czytanie o panu, Brenne. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

Rozdział 4

Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, a jednak dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami wiedział, jak wygląda jego otoczenie. Czuł rozmiary pomieszczenia, zdawał sobie sprawę, ile kroków dzieli drzwi od okna, gdzie linoleum szpecą plamy i w którym miejscu na suficie łuszczy się farba. Wyczuwał to podświadomie, tak jak się czuje własne dłonie.

Otworzył oczy, spojrział, a to, że wszystko się zgadzało, sprawiło mu swego rodzaju satysfakcję. Te same złuszczone plamy, niezmiennie, wieczne. Nie, nieprawda. Nie są niezmiennie. Kiedyś sufit był świeżo pomalowany, o żywej barwie, lśniący, równy i bez skazy. Musiał zmienić się niezauważenie, powoli. Równie wolno jak jego ciało, stopniowo, tak że nie dało się dostrzec tego procesu, a jedynie rezultat. Sufit był odrapany, wymagał nowej warstwy farby.

Niedługo trzeba będzie wstać i pójść do łazienki. Z czasem nauczył się polegać na swoim wewnętrznym zegarze. Zawsze wiedział, która jest godzina, nie musiał tego sprawdzać. W ten sposób utrzymywał kontrolę. Nie patrząc na zegar. Nie licząc godzin, minut, sekund. Nie licząc tych, którzy odeszli, i tych, co zostali. Nigdy. Pozwalał po prostu, aby czas płynął, tkwił w nim, dawał się wypełnić i poznać. Poznaj swojego wroga, jak mówią. Czas był wrogiem, ale on zmienił go w sprzymierzeńca.

Cierpliwość. Równowaga. Być, nie myśleć. Pozwalać, by czas obmywał go jak rzeka, oczyszczająca kąpiel. Sekunda trwa tu tak długo jak godzina. Nie liczyć, nie pragnąć, nie tęsknić.

Nie pożądać.

Nowy poranek. Nowy dzień, identyczny jak poprzednie. Była siódma, a on usiadł na krawędzi pryczy, poczuł pod stopami chłodną podłogę. Na zewnątrz trwała zima, ziąb przenikał beton. Wstał i poszedł do łazienki. Przelotnie ujrzał swoje odbicie w lustrze. Był starszy, cięższy, grubszy w pasie, lekko zgarbiony. Zmienił się, całkiem niezauważenie i podstępnie. Nadal miał mięśnie, bo codziennie ćwiczył, ale dostrzegał już drobne oznaki starzenia. Jakby skóra nie do końca dobrze na nim leżała, jakby nieco z niego zwisała. Gdzieniegdzie brązowe plamy wątrobowe. Włosy na klatce piersiowej z czarnych stały się siwe.

Pod prysznicem myślał o Rosjaninie. Był młody, dużo młodszy, i się na niego uwziął. Korzystał z każdej okazji, żeby go prowokować. Zabierał mu krzesło ze świetlicy, gdy tylko na chwilę wstał. Mówił, jakie ma karty, kiedy grali w pokera. Szturczał go, gdy mijali się na korytarzu. Młody, agresywny mężczyzna, ciemny, o połyskliwych, zaczesanych do tyłu włosach, z więziennymi tatuażami na szyi. Uwziął się na niego tylko dlatego, że Freddy zaczął się starzeć.

„Jak zwierzę – pomyślał pod strumieniem ciepłej wody. – Jak młody lew, który chce wyznaczyć swoje terytorium i strącić z tronu starego króla. Takie jest życie. Nic nowego”.

Pozostawało pytanie, co powinien z tym zrobić. Czy w ogóle powinien robić cokolwiek? Zaczęło to już być męczące, a może nawet niebezpieczne. Rosjanin nie skończy z własnej woli, z kolei

wycofanie się, abdykacja bez walki mogą też okazać się niemożliwe. Gdyby mógł, to właśnie by uczynił. Pozycja nie miała już dla niego znaczenia, zresztą czy kiedykolwiek tak było? Władza nie miała znaczenia. Nic się nie liczyło, poza... poza jednym. Czymś, co musiał zrobić, nim na dobre pochłonie go czas.

Uśmiechnął się lekko. Tak naprawdę pod wieloma względami nadal był tym samym człowiekiem. Mógł nie liczyć dni, godzinami siedzieć z założonymi rękoma, oczyszczać głowę z myśli, a duszę z pożądania, lecz jednocześnie istniała inna jego część, która dokładnie wiedziała, ile lat, miesięcy i dni minęło, a ile zostało. Ta część wiedziała też, że nadchodzi już czas.

Nie chciał, by go skrzywdzono. Pragnął wyjść przez bramę wyprostowany. Nie chciał też być dręczony. Nie potrzebował władzy, tylko spokoju. Lata zajęło mu osiągnięcie równowagi. Pozbycie się tego całego szlamu, żądy, nienawiści, pragnienia i chciwości. Westchnął, zaczął się wycierać. Czuł twarde, trochę przetarte materiały ręcznika drapiący skórę, krew pulsującą w żyłach. Wiedział, że niedługo będzie musiał podjąć decyzję w sprawie Rosjanina. Każdy wybór wiązał się z ryzykiem. Musiał ocenić ryzyko wynikające z różnych możliwości, biorąc też pod uwagę krótki czas, jaki mu został.

Nadeszła pora, by stąd wyjść. Pojechać do domu. Skończyć. A Rosjanin nie może pokrzyżować mu tych planów. To proste. Tylko tyle się w tym kryło, oto cała analiza koniecznych działań. A jednak zauważył, że jego serce przyspieszyło, dłonie zaczęły go świerzbić, a w ustach mu zaschło. Wiedział, że to przez pewnego rodzaju oczekiwanie, i ogarnął go wstyd.

Ubrał się. Przeczesał włosy. Słuchał trzaskania drzwiami, głośnych zawołań, przeklinających mężczyzn. Dźwięków więzienia.

Nowy dzień, identyczny jak poprzednie. Jak kolejne dni. Hałasy coraz bardziej się zbliżały. Przesunął dłońmi po twarzy, kilka razy głęboko wciągnął powietrze.

Gdy otworzyły się drzwi, a młody funkcjonariusz wetknął głowę do środka, by krzyknąć: „Dzień dobry, Freddy!”, siedział na krawędzi pryczy z dłońmi na kolanach i czekał – ciężki, zgarbiony mężczyzna, który nauczył się cierpliwości.

Rozdział 5

Zmieniano mi opatrunki dwa razy dziennie, ale bolało tak samo, bez względu na to, ile dostałem środków przeciwbólowych. Kiedyś czytałem, że poparzenia dokuczają najbardziej ze wszystkich typów ran, i kilka dni na oddziale oparzeń sprawiło, że uwierzyłem w to twierdzenie. Oparzyłem dłoń, tył głowy oraz, nie pamiętając w ogóle, jak i kiedy do tego doszło, prawe udo, jednak obrażenia nie były poważne, wielu pacjentów znajdowało się w gorszym stanie. Najbardziej ucierpiały płuca, gdyż nałykałem się dymu, więc teraz gnębiły mnie ciągłe ataki kaszlu.

Dzieliłem pokój z trzema osobami poparzonymi poważniej ode mnie. Leżeliśmy oddzieleni od siebie parawanami, które stwarzały namiastkę prywatności, jednak słyszałem każdy dźwięk rozlegający się w pomieszczeniu. Słyszałem, gdy się poruszali, wiercili w łózkach, mieli gazy, bekali czy kaszleli, a co nie mniej ważne, dobiegał mnie każdy, najmniejszy nawet jęk bólu, jaki wydawali. Otaczało mnie cierpienie, więc przez większość czasu siedziałem na krześle w korytarzu, gdzie czytałem gazety lub czasopisma albo po prostu obserwowałem przychodzących i wychodzących ludzi.

Skinięciem głowy pozdrawiałem przemykające spieszenie pielęgniarki. Zapoznałem się z rytmem dnia, z godzinami obchodów lekarskich i wizyt, kiedy rodziny i przyjaciele napływali, dzierząc

kwiaty i bombonierki. Dowiedziałem się też, kto przebywa w szpitalu cały czas, przy łóżku ukochanej osoby. Było ich dwoje, kobieta i mężczyzna. Siedzieli na przeciwnych końcach korytarza, a ja raz po raz widziałem, jak wychodzą po kawę, do toalety czy coś zjeść.

Wiedziałem, kim jest kobieta. Przed pokojem, w którym przebywała, całą dobę siedział policyjny strażnik. Nie trzeba było dużo myśleć, aby zrozumieć, że pilnuje dziewczyny, którą uratowałem z płonącego domu i która najprawdopodobniej go podpaliła. Byłem pewien, że kobieta jest jej matką.

Za pierwszym razem, gdy ją zobaczyłem, myślałem, że widzę młodego chłopaka. Była niska i szczupła, a jej kruczoczarne włosy miały może z milimetr długości. Przyglądałem jej się ukradkiem, kiedy mijała mnie na korytarzu. Chociaż wydawała się zmęczona i smutna, stawiała długie, sprężyste kroki i trzymała się prosto, jakby nie chciała dać się złamać temu, co się wydarzyło. Nie patrzyła mi w oczy, nigdy nawet na mnie nie spojrzała, a jednak czułem się trochę niezręcznie z powodu swojego stroju i wyglądu, gdy siedziałem tak zaniedbany i zarośnięty, z bladymi łydkami wystającymi spod rozciągniętego szlafroka.

Poszedłem na koniec korytarza i przywitałem się z policjantem – krępy, młodym mężczyzną, który najwyraźniej śmiertelnie się nudził.

– Jak ona się czuje? – zapytałem, wskazując głową drzwi.

Spojrzał na mnie w milczeniu, więc dodałem:

– To ja ją uratowałem. Zastanawiałem się tylko...

– Ach, tak. – Wstał z krzesła, zadowolony, że może z kimś pogadać. Rola wybawcy dziewczyny najwyraźniej czyniła mnie mile widzianym rozmówcą. – Jest poparzona, ale powinna z tego wyjść.

Tyle że nie wydaje się... – Przerwał, nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Weszła prosto w ogień – powiedziałem. – Chyba nie jest z nią za dobrze.

– Tak. Wydaje się nie do końca obecna. W ogóle nie mówi. Siedzi tam jej matka, pewnie pan ją widział?

Przytaknąłem.

– No właśnie. Cały czas tkwi przy jej łóżku, rozmawia z nią, przynosi jedzenie i owoce, czyta na głos gazety albo książki, jednak córka tylko leży. Ma otwarte oczy, ale poza tym jakby w ogóle jej tam nie było. W sumie to dość nieprzyjemne. Żal mi matki.

– Tak, to musi być dla niej okropne.

– Potworne. – Pokręcił głową. – A kiedy zmieniają opatrunki... Oparzenia są ponoć bardzo bolesne.

– Są. Proszę mi wierzyć.

– Właśnie. Ale June chyba w ogóle nie czuje bólu. Przez cały ten czas, kiedy tu jestem, nie słyszałem, żeby chociaż pisnęła.

– Nazywa się June?

– Tak, June Berge. Ma siedemnaście lat.

– Biedna dziewczyna.

– Tak, ale...

– Co?

– Miała szczęście, że nie została morderczynią.

– Wiem – przyznałem. W snach, każdej nocy na nowo, przeżywałem pożar. – Wiem.

Na drugim końcu korytarza regularnie widywałem młodego mężczyznę. Spędzał całe doby w jednym pokoju, z którego wychodził tylko po to, żeby przynieść sobie kanapkę czy coś do picia. Przypadkowo dowiedziałem się, kim jest. Znajoma

pielęgniarka pewnego wieczoru zobaczyła, jak znika w drzwiach, i westchnęła.

– Ten człowiek powinien zjeść coś porządnego, bo inaczej będziemy musieli się zająć również nim.

– U kogo siedzi?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie wie pan? U swojego dziadka, tego mężczyzny, którego pan uratował. Muszą być z sobą bardzo blisko.

– Jak się nazywa?

– Didrik Stephansen. To znaczy starszy pan, nie znam nazwiska tego młodego.

– Jak się miewa? Ten starszy?

– Dostał zapalenia płuc. Nic niezwykłego, ale w jego wieku... – Pokręciła głową, aby uświadomić mi, że prognozy nie są dobre.

Później tego samego wieczoru krążyłem bez celu po opustoszałych szpitalnych korytarzach, zmęczony bezczynnością i samotnymi, pozbawionymi treści godzinami. Gdy wróciłem na oddział, drzwi do pokoju Stephansena były otwarte, więc zajrzałem do środka. Pojedyncza lampka przy wezglowiu łóżka rzucała łagodne światło na starszego mężczyznę. Leżał z rękoma złożonymi na piersi, twarz miał szarą i wilgotną jak glina, toteż przez chwilę myślałem, że nie żyje, ale wtedy ujrzałem ruchy klatki piersiowej. Na krześle przy łóżku siedział jego wnuk. Nie widział mnie, spojrzenie utkwiał w dziadku. Bezgłośnie poruszał ustami, a wyraz bezradnego lęku na jego twarzy sprawił, że poczułem się nieswojo i musiałem odwrócić wzrok.

Kiedy się położyłem i zgasilem światło, wciąż miałem przed oczami tę twarz. I nagle zrozumiałem, co mi przypominała. Był dorosłym mężczyzną, lecz wyglądał jak dziecko, które boi się zostać

samo, opuszczone, pozostawione sobie.

Rozdział 6

Odwiedził mnie Peter. To mój partner w firmie, lecz także przyjaciel – niezgrabny mężczyzna o przerzedzonych włosach, noszący za duże garnitury i krzykliwe krawaty, zawsze gotów, by odpowiedzieć ciętą, celną ripostą. Zazwyczaj jest pełen życia i energii, lecz tym razem wydawał się zmęczony i równie szary, jak znikające za oknami światło dnia. Opadł ciężko na krzesło obok łóżka, po czym potarł czoło.

– Nie przyniosłeś kwiatów ani bombonierki?

– Nie. Jak się masz, Mikael?

– Dobrze. Jeszcze parę dni i stąd wyjdę.

– Świetnie. Na śmierć przeraził mnie telefon z wiadomością o tym, co się stało. Zawsze w coś się wplączesz.

– Czuję się znakomicie, Peter. Za to ty wyglądasz na zmęczonego.

– Bo jestem zmęczony. Cały dzień spędziłem w sądzie.

– Ciężka sprawa?

– Tak. A raczej męczący klient. Znasz ten typ: wiecznie twierdzą, że sprawa dotyczy czego innego, niż naprawdę dotyczy.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, też mi się tacy trafiają. Na przykład oskarżeni o uszkodzenie ciała, którzy sądzą, że tak naprawdę powinno się rozpatrywać kwestię ich dyskryminacji ze względu na dialekt lub kolor skóry albo kwestię prześladowania przez firmę zarządzającą

parkingiem?

– Właśnie. Uważam się za osobę tolerancyjną. Jak długo się przyjaźnimy, Mikael? – Wskazał mnie kościstym palcem i sam sobie opowiedział: – Dwadzieścia lat? Dwadzieścia dwa? Jakoś tak. I czy przez wszystkie te lata nie byłem człowiekiem, który dzielnie znosił głupotę, małostkowość, chciwość i ogólną amoralność swoich bliźnich? Nie byłem?

– Nie do końca – powiedziałem.

– Owszem, byłem, Mikael. Ale już nie jestem. Mam tak bardzo dość klientów, że chce mi się rzygać. Wśród wszystkich ludzkich typów świata klienci stanowią najniższy gatunek. A my, adwokaci, którzy dobrowolnie otaczamy się nimi na co dzień, musimy w związku z tym być najgłupszym gatunkiem ludzi.

– Brzmi jak zwyczajny dzień w pracy.

Zaśmiał się krótko.

– Jest... Muszę z tobą porozmawiać. Jeśli czujesz się wystarczająco dobrze.

– O czym?

– O firmie.

– Idzie nam całkiem nieźle, prawda?

– Wspaniale, o czym wiedziałbyś, gdybyś przejął swoją część odpowiedzialności za działalność.

– Gdybym to zrobił, nie byłoby tak wspaniale, wiesz o tym. Jest dobrze, bo możesz jak zawsze kierować firmą z Finnem.

Popatrzył na mnie z lekką rezygnacją, otworzył usta, by rzucić coś w odpowiedzi, ale zmienił zdanie. Nie chciał po raz kolejny podejmować starej, bezcelowej dyskusji.

– Finn chce się wycofać. Uważa, że nadszedł już czas.

Byłem zdumiony. Finn był trzecim partnerem w firmie. Dawno

przekroczył wiek emerytalny, lecz pozostawał zdrowy na umyśle i pełen sił witalnych. Codziennie, punkt dziewiąta, przychodził do kancelarii i wychodził o czwartej.

– Chyba może popracować jeszcze kilka lat?

– Chce zachować gabinet i będzie się zjawiał prawie codziennie, ale czuje, że nadeszła pora, aby wycofać się jako partner, zrzec się odpowiedzialności i obowiązków. A ja się z nim zgadzam.

– Naprawdę?

– Tak. Jest sprawny umysłowo, ale ma ponad siedemdziesiąt lat.

Przyda nam się powiew świeżości.

– Nie wydaje mi się. Tak jest dobrze.

Peter popatrzył na mnie, wykrzywił usta.

– Boisz się zaangażowania, Mikael, odpowiedzialności. Prawda wygląda tak, że Finn się wycofa, czy tego chcesz, czy nie, a my potrzebujemy świeżej krwi. – Uniósł brew. – Chyba że chcesz się aktywnie zająć zarządzaniem firmą?

– To co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Poszukać nowych adwokatów, spróbować fuzji z kimś innym czy co? Wiem, że istnieje trend tworzenia coraz większych kancelarii, ale za bardzo nie mam na to ochoty.

Peter pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Myślałem, żeby niektórzy z zatrudnionych przez nas adwokatów, ci, którzy są z nami najdłużej i którym ufamy, otrzymali ofertę partnerstwa.

– Tak? A kto?

– Hans Olav.

– Hm. No, może.

– I Synne.

– Synne! Jest wciąż młoda i niedoświadczona.

Peter westchnął.

– Nie do końca, Mikael. To ty tak o niej myślisz, a częściowo też tak ją traktujesz. Jakby była twoją prywatną aplikantką, którą możesz rozporządzać wedle własnego widzimisię. Kiedy ci pasuje, zabierasz ją do sądu na swoje sprawy, wysyłasz do więzienia na wszystkie te nudne spotkania, gdzie trzeba pocieszać oskarżonych, krótko mówiąc: zlecasz jej najgorszą robotę. A tak naprawdę ta dziewczyna wypracowała sobie solidne portfolio i ma dobrą opinię jako adwokat w sprawach karnych. Przynosi firmie niezłe pieniądze, i to bez względu, a nie ze względu, na ciebie.

Nie spodobało mi się to.

– Beze mnie byłaby nikim.

– Tak mówią wszyscy rodzice, ale to nie oznacza, że nie należy wypuszczać dzieci spod swoich skrzydeł, kiedy nadejdzie czas.

– Jest za młoda.

– W takim razie obawiam się, że możemy ją stracić, Mikael.

– Bzdura!

Peter popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Zastanów się parę dni, jeszcze o tym pogadamy. Popełnisz błąd, jeśli będziesz obstawać przy swoim. Synne może poczuć się pokrzywdzona, jeśli Hans Olav zostanie partnerem, a ona nie. – Wstał i ziewnął. – Idę do domu. Przemyśl to, Mikael. I zdrowiej.

– Brenne? Mecenas Brenne? Nazywam się Wilhelm Stephansen. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem tylko...

Podniosłem wzrok.

– Nie przeszkadza pan. Już czytałem tę książkę.

– Hm. Jestem... To mojego dziadka uratował pan tamtej nocy.

Wilhelm Stephansen był wysokim mężczyzną. Kiedy wstałem, nadal nade mną górował, przewyższając mnie prawie o głowę.

Uniosłem prawą dłoń, by pokazać mu opatrunki.

– Przepraszam, że nie mogę podać panu ręki.

– Chciałem tylko podziękować za to, co pan zrobił.

– To nic takiego.

Niemal się rozzłościł.

– Nie wolno tak mówić. To, co pan zrobił, było fantastyczne. Nie wiem, jak panu dziękować. Musi pan wiedzieć, że jestem niezmiernie wdzięczny.

Miał w sobie coś niezdarnego i bezradnego, jakby wypowiedane słowa były zbyt wielkie i uroczyste dla jego ust.

– Jak czuje się pański dziadek? – zapytałem, aby mu pomóc. – Słyszałem, że jest w kiepskim stanie. Zapalenie płuc, prawda?

– Zgadza się. Było fatalnie. Myślałem, że go stracę. – Słowom towarzyszyło drgnięcie ust. – Ale pokonał już kryzys. Chyba jest... Mówią, że najgorsze już minęło.

– Dobrze to słyszeć, w sumie nawet znakomicie. W końcu nie jest już młody. Ile ma lat? Dziewięćdziesiąt?

– Dziewięćdziesiąt trzy.

– Właśnie. Zapalenie płuc w jego wieku...

Spojrzenie Wilhelma Stephansena wydawało się niemal oskarżycielskie.

– To silny człowiek. Ma przed sobą jeszcze wiele lat.

– Na pewno – odparłem. – W każdym razie dobrze słyszeć, że ma się lepiej.

– Może chciałby go pan poznać?

– Czy to wskazane?

– Sam to zaproponował. Powiedziałem mu, że jest pan na oddziale, a on chciałby panu podziękować.

– Oczywiście, z chęcią go poznam.

Twarz starszego pana była równie blada jak poduszka, na której leżał. Miał zamknięte oczy. Zapadnięte policzki i niemal przezroczyste powieki sprawiały, że zdawał się bliski śmierci, lecz kiedy Wilhelm Stephansen pochylił się i położył mu rękę na ramieniu, uniósł powieki i posłał mi zaskakująco intensywne, bezpośrednie spojrzenie.

– Dziadku, to pan Mikael Brenne – rzekł Wilhelm. – To on uratował cię tamtej nocy z pożaru. Mówiłeś, że chcesz go poznać.

Poruszył ustami. Nachyliłem się.

– Didrik Stephansen – przedstawił się głosem słabym jak zamierający podmuch. – Chciałem tylko podziękować.

Uniósł prawą rękę, którą po chwili wahania ująłem w swoją; poczułem lekki uścisk.

– Nie ma za co – powiedziałem, chociaż od razu pomyślałem, że to idiotyczna odpowiedź. Didrik Stephansen chyba jednak nie zwrócił na to uwagi. Skinął głową, wypuścił moją dłoń i na powrót zamknął oczy. Wilhelm opatulił go kołdrą, wygładził ją i na moment zacisnął na jego dłoni swoją silną, brązową pięść robotnika, niemal szokująco kontrastującą z bladą, kościstą dłonią dziadka.

– Możesz spać – odezwał się. – Jestem przy tobie.

Cicho zamknęliśmy za sobą drzwi.

– Dziękuję bardzo – powiedział Wilhelm.

– Nie ma sprawy. – Wzruszyłem ramionami. – Dużo dla pana znaczy, czyż nie?

Przez chwilę milczał, jakbym zadał mu trudne pytanie.

– Owszem – rzekł wreszcie. – Dorastałem u niego. Jest jedynym... Mamy tylko siebie.

Staliśmy obok siebie w korytarzu, zakłopotani.

- To dobranoc – pożegnałem się w końcu.
- Dobranoc. I raz jeszcze dziękuję.

Zrobiło się późno, oddział prawie opustoszał i choć raz całkiem ucichł. Dostrzegłem jedynie znajomą postać matki June. Stała zwrócona do mnie plecami na końcu korytarza, jakby wypatrywała czegoś przez okno, chociaż na zewnątrz panowała ciemność, więc mogła widzieć jedynie własne odbicie w szybie. Stałem chwilę niepewny, zastanawiając się, czy powinienem do niej podejść, ale nie wiedziałbym, co powiedzieć. Po chwili odwróciła się i wróciła do pokoju córki.

Położyłem się, ale jeszcze długo myślałem. O Didriku Stephansenie, jego słabym, niemal niezauważalnym uścisku dłoni, o wszystkim, co stracił. Był starym człowiekiem, a starzy ludzie często otaczają się pamiątkami, mnóstwem przedmiotów wiążących ich ze światem, do którego opuszczenia wolno, lecz nieuchronnie się przygotowują. Stephansen ocalił jedynie swoje życie.

Na drugim końcu korytarza leżała osoba, która pozbawiła go całej reszty – June Berge. Pomyślałem, że jest jeszcze uboższa, że psychoza przypomina złodzieja, który kradnie dotkniętym nią ludziom poczucie rzeczywistości, odbiera ich światu i wszystkim, których znają, prowadzi na manowce własnego umysłu, aż pozostają im jedynie ból i zagubienie. Przypomniałem sobie twarz dziewczyny z tamtej nocy, wyraz jej oczu, i zdałem sobie sprawę, że jedyną różnicą dzielącą June Berge od pozostałych ludzi jest to, iż jej koszmar nie przemija wraz z nadejściem świtu.

Rozdział 7

Tego dnia, gdy mnie wypisano, na dworze rozpętała się straszliwa burza. Wsadziłem ręce w kieszenie i pomknąłem do rzędu czekających taksówek. Dom wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiłem. Parę naczyń w zlewie zasnuło się jedynie cienką warstewką pleśni, w lodówce zaś pachniało starymi warzywami i przeterminowanymi dodatkami do kanapek.

Wieczorem siedziałem w wykuszu w salonie, słuchając muzyki, popijając koniak, oglądając zamieć wirującą za oknami i ciesząc się z powrotu do domu. O dziesiątej wziąłem dwie tabletki przeciwbólowe i poszedłem spać.

Gdy się obudziłem, dzień jaśniał szarością, ale wiatr ustał, więc na zewnątrz było spokojnie, tak bardzo, jak to bywa jedynie po dużych opadach śniegu, kiedy puch przykrywa świat białą kołdrą. Wyjrzałem przez okno, zobaczyłem ciężące ku ziemi gałęzie, zaspę, stosy i zwały głębokiego, świeżego śniegu. Był to dzień, w jaki normalnie drżałbym z radości jak dziecko, dzień zachęcający do wyprawy narciarskiej między ciężkimi świerkami, kopania jam w śniegu czy śmigania na sankach w górach. Teraz jednak dokuczały mi rany, a dotyk szyby wywołał zimny dreszcz na nagiej skórze. Wzdrygnąłem się i poszedłem do łazienki.

W kancelarii panował niezwykły spokój. Nie dzwoniły telefony,

nie czekali żadni klienci. Na ogół oznaczało to, że większość adwokatów pracujących w firmie jest właśnie w sądzie lub wyjechała. Pozdrowiłem recepcjonistkę skinieniem głowy.

– Cześć, Evo, co się dzieje?

– Witamy po przerwie, Mikael. Nie dzieje się zupełnie nic, ale Peter prosił, żebyś zamienił z nim słówko pod koniec dnia.

– Dlaczego nie teraz?

– Jest w sądzie. Tak jak wszyscy z wyjątkiem ciebie.

– Jak to, żadnego komitetu powitalnego?!

Uśmiechnęła się.

– Jak się masz? Byliśmy z ciebie strasznie dumni, Mikael. Świetnie się spisałeś.

Zawstydziłem się.

– Każda kancelaria adwokacka potrzebuje bohatera – mruknąłem. – To dobra reklama.

Poszedłem do swojego gabinetu, do stert listów, na które trzeba było odpowiedzieć, długiej kolejki nieprzeczytanych e-maili od klientów i stron przeciwnych, czekających cierpliwie, aż do nich zadzwonię lub napiszę. Westchnąłem, gdy poczułem nagłą, lecz znajomą niechęć wobec rutynowych zajęć, wziąłem się jednak w garść i chwyciłem telefon. Zacząłem dzień. Wróciłem.

– Mikael – powiedział Peter. – Dobrze cię widzieć! Jak się czujesz?

– Dobrze – odparłem.

– Świetnie. Zastanowiłeś się nad tym, o czym rozmawialiśmy? Spojrzałem na niego, nic nie rozumiejąc.

– Nad kwestią nowych partnerów – wyjaśnił cierpliwie. – Nad tym, kto ma nimi być. Czy Synne powinna otrzymać propozycję.

– A, to!

– Tak.

– Nie, nie miałem czasu. A tak bardzo się spieszy?

Wzruszył ramionami.

– Chciałbym to ustalić. Coś na pewno myślałeś.

– Nie wiem.

– Przestań, Mikael – nalegał Peter. – W czym problem? Zostawiasz mi większość, nie, całość obowiązków związanych z codziennym prowadzeniem działalności i w porządku, ale daj chociaż jednoznaczną odpowiedź, skoro już proszę cię o opinię. Nie musimy zajmować się tą sprawą tygodniami ani dokładniej jej analizować. Zgadzasz się, że potrzebujemy nowych partnerów?

– Może.

– Może? – Zaczął się irytować. – Kiedy Finn odejdzie, zostaniemy we dwóch. A ty, Mikael, nie kiwniesz nawet palcem! Chcesz zająć się firmą? Nie, wiem, że nie, nie musisz odpowiadać. Poza tym obowiązują tutaj prawa natury. Jeżeli nie przyjmujemy młodych do stada, przeniosą się na inne tereny łowieckie. Tak już jest, a nie chcę, żeby nas to spotkało. Przynajmniej nie wszystkich.

– Okej. Więc... proponujesz Hansa Olava i Synne?

– Tak.

– I Finn... Finn się zgadza?

– Jeżeli to coś znaczy, to owszem. Ale to my, nie on, będziemy żyć z konsekwencjami tej decyzji. Dlatego wszystko zależy od nas. – Odczekał chwilę, a gdy się nie odezwał, dodał: – To jak będzie, Mikael?

– Okej. Hans Olav może otrzymać ofertę.

– A Synne nie?

– Jeszcze nie. Nie jest na to gotowa.

Peter pokręcił głową.

- To nie skończy się dobrze, Mikael.
- Zrozumie – zapewniłem. – Hans Olav pracuje o wiele dłużej od niej.
- Dziewięć miesięcy. Tyle co nic.
- Zrozumie. Jeszcze dostanie swoją szansę.
- *Dream on*, Mikael – rzucił Peter.

Oczywiście miał rację. Powinienem był się z nim zgodzić. Pojąłem to, kiedy następnego dnia zobaczyłem twarz Synne.

– Wejdz – odezwałem się, chociaż była już w środku. Nie chciała usiąść. Widziałem, że jest wzburzona.

– Hans Olav ma zostać partnerem – zaczęła.

Skinąłem głową, czekając na ciąg dalszy.

– Sam mi to powiedział, oczywiście strasznie się cieszył. – Kolejna pauza, tym razem dłuższa. – Ja się tak nie ucieszyłam, Mikael. Właściwie to byłam zszokowana. I rozczarowana.

– Synne...

– Zamknij się, Mikael, daj mi mówić. – Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo jest zła. Aż drżały jej dłonie. – Po pierwsze rozczarowało mnie to, że nie otrzymałam oferty. Jestem tu prawie tak długo jak Hans Olav, zarabiam dla firmy co najmniej tyle samo pieniędzy, ile on, jestem równie dobrym prawnikiem i dużo, dużo lepiej radzę sobie w sądzie. Dobrze dogaduję się z klientami i mam, o ile mi wiadomo, całkiem normalną osobowość.

– Posłuchaj, Synne...

Puściła moje wtrącenie mimo uszu.

– Po drugie rozczarował mnie sposób, w jaki się o tym dowiedziałam. Spodziewałabym się raczej zaproszenia na rozmowę, konkretnych informacji i porządnego uzasadnienia decyzji. Nawet takie... samolubne półgłówki jak wy chyba rozumieją, że tak

wypada.

– Na pewno nie...

– Po trzecie, Mikael – uniosła w moją stronę palec wskazujący – po trzecie to ty przede wszystkim mnie rozczarowałaś.

– Ja?

– Tak. Najpierw rozmawiałam z Peterem, poprosiłam o wyjaśnienie, dlaczego jego zdaniem nie powinnam otrzymać oferty partnerstwa. Odpowiadał dość mgliście i wymijająco, że tak powiem. A kiedy ja, w swojej naiwności, stwierdziłam, że nie wierzę, by postąpił zgodnie z twoim życzeniem, stał się jeszcze bardziej oględny. Nie jestem idiotką, Mikael. Potrafię czytać między wierszami. Doszłam więc do wniosku, że to ty się sprzeciwiłaś. Nie było tak?

Nie zdołałam spojrzeć jej w oczy.

– Nie chce mi się wierzyć, Mikael. Blisko współpracujemy od trzech lat. Poświęcałam dla ciebie wieczory, weekendy, chłopaków, wyjazdy zagraniczne i Bóg wie, co jeszcze. Zawsze byłam gotowa, brałam brudną robotę, pocieszałam cię, gdy miałeś doła. Dla tej firmy dosłownie naraziłam swoje życie. Myślałam, że jesteśmy... przyjaciółmi. A teraz tak mi się odwdzięczasz?!

– Posłuchaj, Synne, to nie tak. Wiesz, że jesteśmy przyjaciółmi i że bardzo cię cenię. Jeśli tylko będziesz cierpliwa i trochę poczekaś, to...

– Jak długo?

– Nie wiem. Aż będziesz gotowa. Może parę lat, nie więcej.

Jej usta zaczęły nagle drżeć.

– Jestem na każde twoje skinienie, możesz mną dyrygować, zlecać mi prace porządkowe i gadanie godzinami z przybitymi klientami zatrzymanymi w areszcie, czyli wszystko to, czego ty,

wielki obrońca, nie raczysz sam robić. To dlatego nie chcesz, żebym była partnerem w firmie. Wtedy nie mógłbyś już traktować mnie jak niewolnicy.

– Synne...

– Pierdol się, Mikaelu Brenne – zaklęła ze łzami w oczach. Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z mojego biura.

Najgorsze było to, że właściwie miała rację, chociaż nie potrzebowiałem jej aż tak bardzo. Czarną robotę mogłem zlecić komukolwiek, ale to ona była moją aplikantką od kilku lat, więc kiedy szukałem kogoś, kto mógłby pójść ze mną do sądu, zająć się trudnymi kwestiami prawnymi, zaplanować taktykę i strategię, zwracałem się do Synne. Ufałem jej i ją lubiłem, a z czasem poznaliśmy się tak dobrze, że pracowaliśmy razem w całkowitej zgodzie, bez zbędnych słów i wyjaśnień. Gdyby została partnerem, musiałyby położyć temu kres. Miałyby na głowie jedynie swoje własne sprawy. Nie mogłem znieść myśli o szkoleniu nowego aplikanta, kolejnego niedoświadczzonego dzieciaka, który może okazać się przydatny, a może nie. Dlatego miała rację, nie chciałem, by została partnerem, z czysto egoistycznych pobudek. Wiedziałem, że powinienem być ustąpić, ale sprawy zaszły już za daleko, a jej wściekłość sprawiła jedynie, że się zaciąłem, i zamiast pobiec za nią i prosić o wybaczenie, zaoferować jej to, na co zasłużyła, siedziałem w biurze, nadąsany jak obrażony chłopiec.

– Masz gościa, Mikael.

– Ach tak? Chyba z nikim się nie umawiałem?

Recepcjonistka odwróciła się od słuchawki, aby zapytać.

– Nie, pani nie była umówiona. Mówi, że może przyjść kiedy indziej, jeśli ci nie pasuje.

– Kto to? I o co chodzi?

Znowu przerwa.

– Helena Berge. Mówi, że jej nie znasz, ale...

– Zaraz po nią wyjdę.

– Kawy? – zaproponowałem.

Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję, chcę tylko...

– I tak zamierzałem się napić, więc mogę równie dobrze przynieść kubek dla pani. Z cukrem czy śmietanką?

– Nie, dziękuję. To znaczy tak, poproszę kawę. Czarną, bez niczego. Dziękuję.

Była zestresowana i w kiepskim nastroju. Nie patrzyła mi w oczy, dłubała przy szwie kurtki. Przyniosłem dwa kubki.

– Proszę. Jest gorąca, niech pani uważa.

– Dziękuję. Przepraszam, że przeszkadzam, że wpadam tak zniecierpliwiona, ale chciałam panu podziękować.

– Wiem, kim pani jest – powiedziałem. – Matką June.

– Skąd...?

– Widziałem panią w szpitalu.

Skinęła głową.

– Tak, ja też pana widziałam, ale nie wiedziałam, kim pan jest, nie rozpoznałam pana ze zdjęć. Powinnam się zorientować, ale wtedy o tym nie myślałam. A później zdałam sobie sprawę i zrobiło mi się głupio, pomyślałam, że mogłam z panem porozmawiać. Że trzeba było...

Paplała, mówiła zbyt szybko, jej słowa zlewały się z sobą, akompaniamentem dla głosu były zaś szybkie ruchy rękoma. Miała zadziwiająco silne dłonie o krótko ściętych paznokciach. „Dłonie kobiety pracującej” – pomyślałem i przyjrzałem jej się dokładniej. Dziwne włosy milimetrowej długości, porastające kształtną głowę

niczym czarne futro i dramatycznie kontrastujące z błękitem oczu. Wydatne kości policzkowe. Szerokie usta o pełnej dolnej wardze. Nie wiedziałem, czy jest piękna, ale na pewno była zdumiewająca. Wokół oczu i ust dostrzegłem drobne linie zdradzające wiek, choć wydawała się szczupła i w dobrej formie.

– ...i dlatego chciałam podziękować. Za to, że ją pan uratował, to znaczy June. Że... Czytałam, że pan po nią wrócił, nie wiem, co prawda, czy dokładnie tak było, ale...

Wzruszyłem ramionami.

– Nie do końca. Ale powstrzymałem ją przed wejściem w płomień. To był odruch.

– W każdym razie uratował pan jej życie, więc czujemy, że powinniśmy podziękować.

– My?

– Mąż i ja.

– Dziękuję – odparłem. – Miło, że państwo o tym pomyśleli. To znaczy, pewnie mają państwo teraz dużo innych spraw na głowie. A poza tym...

– Tak?

– Pomyślałem tylko, że... co prawda ją uratowałem, ale też w pewien sposób złapałem ją na gorącym uczynku, jeśli pani rozumie, a moje zeznanie jako świadka może doprowadzić do tego, że zostanie skazana za wywołanie pożaru.

– Tak, za podpalenie, wiem.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu.

– Jak ona się czuje?

– June? – Pokręciła wolno głową. – Niezbyt dobrze. W gruncie rzeczy całkiem źle. Nie mam z nią kontaktu. Jest ciężko chora. Dużo bardziej niż wcześniej. Dlatego z czasem pogodziłam się

z tym, że zrobiła to, co ponoć zrobiła. O nic pana nie obwiniam, mecenasie. W obecnej sytuacji stanowi zagrożenie dla siebie i dla otoczenia.

– Rozumiem zatem, że wyszła ze szpitala?

– Tak, już dawno. Na szczęście przenieśli ją do zakładu psychiatrycznego.

– Tak – westchnąłem. – Może wydobrzeje. Dużo się dzieje na tym polu, nowe pomysły, nowe leki.

– Możliwe. Ale musi żyć z tym, co zrobiła. Nie będzie lekko.

Zauważyłem, że zwilgotniały jej oczy, lecz zanim wydobyłem z siebie choćby słowo pocieszenia, wstała, przełknęła ślinę i wzięła się w garść. Podała mi rękę.

– Cóż, w każdym razie raz jeszcze dziękuję za to, co pan zrobił.

Miała suchą i ciepłą dłoń, a spojrzenie dużych oczu bezpośrednio i głębokie.

– W porządku – odparłem z zakłopotaniem. – Dziękuję, że pani przyszła. Jeśli mogę coś dla pani zrobić... – Podałem jej wizytówkę.

– Nie, nie. – Pomachała ręką, a ja poczułem niewyjaśniony zawód. – Zrobił pan już dla nas bardzo dużo.

– Proszę wziąć wizytówkę – nalegałem. – Na wszelki wypadek. Może się przyda.

Rozdział 8

– *You have killed somebody, yes?* – zapytał Rosjanin. – *They tell me you are a killer.*

Nie odpowiedział, nie podniósł wzroku. Ignorował słowa, koncentrując się na gazecie, literach, wiadomościach piłkarskich z Anglii. Tak naprawdę się nimi nie przejmował. Nigdy nie należał do osób kibicujących ulubionej drużynie, trochę śledził wyniki jedenastki ze swojego rodzinnego miasta, był zadowolony, kiedy wygrywali, ale nie interesował się na tyle, by chodzić na mecze. Uśmiechnął się na tę myśl. Jak gdyby w ciągu ostatnich piętnastu lat miał okazję wybrać się na stadion!

– *Why you smile? What is funny?* – Rosjanin się nie poddawał. – *Why you smile?*

Znowu go zignorował.

– *You killer? Who you kill? You kill woman, hey? Maybe small children? You kill no man!*

Rosjanin mówił mu teraz prosto w twarz, naruszył jego prywatną przestrzeń. Podszedł tak blisko, że Freddy czuł zapach jego potu i nieświeży oddech. Tego nie dało się już ignorować. Ani pozbyć.

– *I kill you, big man. I beat you. You pussy. You chicken.*

Freddy rozejrzał się po świetlicy. Wiedział, że ludzie czekają na rozwój wypadków, niepewni, spięci. Równowaga na oddziale została naruszona. To on panował tutaj przez lata, kontrolował

swoje małe królestwo. Teraz pozostali przeczuwali krwawy przewrót, co wywoływało niepokój i podenerwowanie, ale też fascynację. Na ich oczach rozgrywał się spektakl, dramat, w który nie chcieli się mieszać, lecz jednocześnie nie mogli przestać go oglądać. I bali się. Freddy wyczytał to z ich postawy, z ostrożności, z jaką poruszali się w pobliżu Rosjanina, z uśmiechów, kiedy coś mówił, oraz ich neutralnych komentarzy. Obawiali się agresji Rosjanina, jego głupoty i drażliwości, tego, w jaki sposób najmniejszy drobiazg, gdzie kto siedzi czy jak głośno nastawi się telewizor, mógł zdecydować o życiu i śmierci. Byli przyzwyczajeni do konfliktów, które z błahych łatwo przeradzały się w poważne, do codziennych tarć między mężczyznami, małych punktów zapalnych. Dlatego nauczyli się dostosowywać, gdyż tylko w ten sposób można funkcjonować w niewielkich, zamkniętych społecznościach, nie popadając w obłęd.

Rosjanin jednak wywodził się najwidoczniej z innej szkoły, gdzie uczył się o hierarchii, dominacji i podporządkowywaniu sobie słabszych oraz o tym, że wszelką słabość należy bezwzględnie wykorzystać. Inni więźniowie zjawiali się i odchodzili, odnajdywali swoje miejsce w systemie, czasami po drobnych przepychankach, lecz zasadniczo unikając większych dramatów. Ale nie Rosjanin. Był jak kij wsadzony w szprychy, jak tykająca bomba. Stanowił stałe zagrożenie.

– *Hey, big man! You old man.* Nie odpowiadać. Ty boisz. *You chicken.*

Freddy zamknął oczy, odciął się od natarczywego głosu, nieprzyjemnych zapachów ciała. Wszedł w głąb siebie, odnalazł... równowagę. Tak było dobrze. Wiele lat do tego dążył. Wiele lat poświęcił, by przestać reagować spontanicznie, by najpierw się

zastanawiać, oceniać wszystkie za i przeciw, podsumowywać plusy i minusy. Wcześniej taki nie był. Kiedyś był... jak Rosjanin. Nie, nieprawda, nigdy nie był taki jak on, tak nieracjonalny i histeryczny, jednak miał w sobie coś z tego ślepego pociągu do konfliktów, tej napędzanej testosteronem, desperackiej potrzeby, by coś, cokolwiek, udowodnić. Ale Rosjanin był głupszy. Głupszy i prymitywniejszy.

I nie dało się go pozbyć.

– *Chicken! Pussy! Woman killer!*

Może był też niebezpieczny. Nie dawał za wygraną, chociaż nie dostawał odpowiedzi. Jak gdyby słabość i uległość tylko wzmacniały jego agresję.

– *I kill you! I break your legs. Pull out your eyes. I make you blind. I cut off your hands.*

Histeryczna litania okaleczeń i przemocy. Czuł na twarzy kropelki śliny Rosjanina, ciepło jego oddechu, widział jego oczy, czarne i połyskliwe jak oczy zwierzęcia. Ostrożnie odsunął krzesło i wstał. Ze spuszczonego wzrokiem zaczął się oddalać od Rosjanina, który wciąż obrzucał go wyzwiskami, płynącymi z jego ust równym, nieskładnym, trójjęzycznym strumieniem. Obrócił się w pół drogi i otworzył drzwi za sobą, wycofał się. Przelotnie zobaczył spojrzenia pozostałych. Pełne pogardy zmieszanej z odrobiną współczucia. I Rosjanina, stojącego na szeroko rozstawionych nogach pośrodku pomieszczenia, warczącego, wyszczerzonego w uśmiechu, z ustami przypominającymi ranę pośrodku twarzy.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi i zorientował się, że plecy między łopatkami ma mokre od potu. A wewnątrz, w głębi siebie, zarejestrował znajome, odległe, niemal niezauważalne odczucie. Niczym bębnienie słyszane w oddali w afrykańską noc. Nawet nie

dźwięk, a jedynie rytm, puls. Jak stary przyjaciel.

Spojrzał na zegar. Półtorej godziny do zamknięcia cel. Poszedł w głąb korytarza. Skinął głową strażnikowi, neutralnie, uprzejmie. Znowu spojrzał na zegar i podjął decyzję.

Zastukał do drzwi celi, po czym wszedł bez czekania na odpowiedź. Na pryczy leżał i czytał młody mężczyzna w okularach i z czarną grzywką. Zdziwiony podniósł wzrok.

– Tak?

– Mogę usiąść, Hansie Eriku?

– Oczywiście. – Grzeczny, młody człowiek. Szczupły, o nieco tłustej cerze i jednym oku uciekającym w bok, co dawało mu mało wiarygodny wygląd. Gwałcił młode kobiety, a na końcu jedną z nich zabił, przez przypadek, jak twierdził. Odsiadywał długi wyrok, był groźny i niepoczytalny, bezużyteczny dla społeczeństwa obywatelskiego, lecz zarazem doświadczony i bogaty w wiedzę o życiu za kratkami.

– Chodzi o ruskiego.

– Tak? – Młody mężczyzna usiadł na pryczy, odłożył książkę. – Co z nim?

– Działa mi na nerwy. Mam go dość.

– No i...?

– Chcę, żeby ktoś się nim zajął.

– Ktoś inny? Sam tego nie zrobisz, Freddy? – Hans Erik wyraźnie się zdziwił, chociaż szybko się zreflektował.

Nie odpowiedział na to wprost.

– Dobrze zapłacę.

– Powinieneś. To nie będzie łatwe zadanie. Ile chcesz dać?

– Dwadzieścia pięć kawałków.

– Masz tyle? – Spojrzenie. – Sorry. Jakies pomysły?

Wzruszył ramionami.

– Parę tygodni w szpitalu wystarczy. Myślisz...

Teraz to młody wzruszył ramionami.

– Rusek nie jest dobry. A tutaj zawsze znajdzie się ktoś, kto potrzebuje forsy.

– Tak. Tylko że mi się spieszy. Trzeba zadziałać prędko. Mogę dać pięć patyków zaliczki. Jeśli ktoś chwyci, to jestem... – zawahał się chwilę – ...jestem pod pralnią jutro o piątej. Wtedy możemy dobić targu.

– Okej. Zobaczą, co da się zrobić.

Rozdział 9

Był piątkowy wieczór, więc w stałej knajpie zebrała się spora grupka prawników, by wymieniać się samochwalczymi uwagami, narzekać na sędziów i przeciwników procesowych oraz w szybkim tempie wlewać w siebie kufle piwa i drinki. Przedzierałem się przez tłum, pozdrawiałem ludzi skinieniem głowy, aż wreszcie znalazłem wolny stół przy barze. Dwa piwa później pojawił się Peter z Synne. Pomachałem do nich, ale ona posłała mi tylko zimne spojrzenie i dołączyła do koleżanek po drugiej stronie lokalu. Poczulem ukłucie irytacji w piersi. Podszedł do mnie Peter.

– Cześć, Mikael. Piwo proszę. – Ostatnie słowa skierował do barmana.

– Cześć. Spóźniłeś się. Wyprzedzam cię o dwa.

– No i co z tego? Będziemy się teraz licytować jak dzieci, ścigać się, kto wypije więcej?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale i tak prowadzę.

Zaśmiał się, dostał swoje piwo i wypił połowę jednym haustem.

– Synne nie jest z ciebie zbyt zadowolona.

– Wiem, ale niedługo jej przejdzie. Powiedziałem, że jeśli trochę poczeka... rok czy dwa... to zostanie partnerem.

Peter wypił kolejny łyk i pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Za lekko do tego podchodzisz, Mikael.

– Boże, Peter! Chyba może chwilę poczekać? Bycie partnerem

w kancelarii adwokackiej to żadna oczywistość ani prawo człowieka. Młodzi prawnicy zabijają się o szansę pracy u nas. Poza tym znam Synne. To błahostka. Już wcześniej się kłóciliśmy. I w końcu to nie ona podejmuje decyzje w tej firmie, prawda?

– Nie wiem, dlaczego w ogóle próbuję cokolwiek ci wyjaśniać... Czasami naprawdę ciężko kapujesz, Mikael.

– Napijmy się.

Tuż przed północą Peter chciał już wracać do domu. Wstał trochę chwiejnie, wysoki i patykowaty.

– Wystarczy mi, Mikael.

– Noc jeszcze młoda.

– Możliwe, ale moje dzieci jeszcze młodsze i jutro o siódmej rano wpełzną na mnie jak rój żmij.

– Piękny obrazek – stwierdziłem.

– Piękniejszy niż rzeczywistość. Dobranoc, Mikael.

Kiedy poszedł, rozejrzałem się wokół. W rogu siedziało paru podchmielonych adwokatów. Kilku dziennikarzy, z którymi czasem piłem, kilka kobiet, z którymi flirtowałem, zbiorowisko przedstawicieli klasy średniej w średnim wieku, moich rówieśników o podobnym do mnie pochodzeniu i wykształceniu. Wielu z nich znałem z widzenia lub bliżej. Nagle uderzyło mnie, że wyglądają na zdesperowanych. Ich śmiech brzmiał zbyt głośno i przeszywająco, spojrzenia mieli wyglodniałe, a alkohol pochłaniali w zbyt szybkim tempie. Synne nadal była zwrócona do mnie plecami, a kiedy przez krótką sekundę nasze spojrzenia skrzyżowały się w lustrze nad barem, demonstracyjnie odwróciła wzrok.

Wyszedłem. Znowu zaczęło śnieżyć, w świetle latarni i neonów widziałem, jak pojedyncze płatki padają wolno na pijaną młodzież

i rozbawionych dorosłych. Chciałem iść do domu, ale wypełniał mnie niepokój, więc zboczyłem w stronę portu i rynku. Było tam wielu młodych ludzi innego rodzaju, głośniejszych i dzikszych. Chodzili stadami, zajmując całą szerokość chodnika.

Dudniąca muzyka płynąca zza drzwi klubu, na zewnątrz tłum palaczy, dziewczyny w kusych podkoszulkach, niektóre w krótkich spódniczkach i szpilkach, pomimo pory roku i pogody odstawione i mocno umalowane. Młodzi mężczyźni w samych koszulach, z żelem we włosach i zwojami mięśni. Wiedziony impulsem wszedłem do środka, minąłem potężnego bramkarza i zagłębiłem się w półmrok, w chybotające się, kołyszące, przeklinające i tańczące morze ludzi.

Pachniało potem i testosteronem, perfumami i piwem. Przedarłem się do baru, pomachałem stową i dostałem do ręki szklanekę piwa. Manewrowałem po pomieszczeniu, aż znalazłem ścianę, pod którą mogłem stanąć. Piłem, otoczony zewsząd muzyką. Dudniący bas bił mnie w przepoń niczym pięść, w monotonnym, ogłuszającym, hipnotyzującym rytmie. Wypiłem kolejny łyk, ludzie przesuwali się wokół mnie w pozbawionej twarzy masie. W takim staniu było coś wyzwalającego, niemal relaksującego. Byłem całkowicie anonimowy i samotny, nikt mnie tam nie znał, nikt się mną nie przejmował i pomyślałem, że mogę stać tak całą noc, pijąc piwo, dopóki nie zamkną lokalu.

Gdy ją zobaczyłem, najpierw uznałem, że to pomyłka, że mózg podsuwa mi obrazy, które chcę zobaczyć, jednak charakterystycznej głowy Heleny Berge, jej włosów, długiej, eleganckiej szyi i dużych ust nie dało się pomylić z niczym innym. Stała pośrodku grupy dużo młodszych od siebie ludzi. Tworzyli imprezową ekipę. Krzyczeli coś i śmiali się głośno, a Helena z nimi, z uniesioną

szklanką i otwartymi ustami, na zmianę popijała drinka i śpiewała refren. Skórę miała błyszczącą od potu, policzki zarumienione, oczy lśniące.

Była ubrana jak na imprezę, w buty na wysokim obcasie, designerskie dzinsy i mały, czarny T-shirt ozdobiony perełkami. Powieki miała niebieskie i ciężkie, a wargi czerwone. Zawahałem się, po czym do niej podszedłem, dotknąłem jej nagiego ramienia, poczułem pod palcami ciepłą, wilgotną skórę.

– Helena – odezwałem się, a ona przez chwilę patrzyła na mnie bez zrozumienia, by zaraz się uśmiechnąć.

– Mikael Brenne! Bohater! – zawołała i rzuciła mi się na szyję. Pachniała dymem papierosowym i perfumami. Przez moment poczułem jej wagę, kiedy lekko się zatoczyła. Ostrożnie się oswobodziłem, ale chwyciła moje ramię i wykrzyczała moje nazwisko do innych. Kiwali głowami z uśmiechem, unieśli szklanki w geście pozdrowienia, ale chyba nikt z nich nie dosłyszał, jak się nazywam, ani się tym nie przejął. Helena wzniosła toast, ja również uniosłem szklankę i wypilem. Zobaczyłem, że jej drink się skończył, więc chwyciłem kieliszek i spojrzałem pytająco, a ona odpowiedziała skinieniem głowy.

– Co pijesz?! – krzyknąłem jej do ucha.

– Dżin! – odkrzyknęła. – Dżin z tonikiem!

Nieco później zachciało jej się tańczyć. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła na mały parkiet, ale nie miałem na to ochoty, wywinąłem jej się. Wzruszyła ramionami i zaczęła tańczyć sama. Ja stanąłem w swoim starym miejscu pod ścianą. Helena umiała tańczyć. Wokół niej zwarta masa dreptała, kiwała się i kręciła gdzieś obok muzyki i innych tańczących, lecz pośrodku tej masy znajdowała się Helena, poruszająca się w innym wymiarze, z gracją

i wycuciem rytmu, elegancko, jakby nie była jedną z nich.

Może też i nie była. Patrzyłem na jej ciało, lecz gdy uniosłem wzrok, ujrzałem, że policzki ma mokre od łez. Płakała, tańcząc. Wkroczyłem między spocone ciała, utorowałem sobie drogę do niej.

– Chodź, Heleno. Chodź, zabiorę cię stąd – powiedziałem, ale pokręciła głową i mi się wyrwała.

– Nie, nie chcę, chcę tańczyć. Przynieś mi drinka.

Posłuchałem, chociaż pewnie nie powinienem. Byłem zmęczony, gotowy wrócić do domu, lecz tego nie zrobiłem. Trochę później dała mi znak, a ja przyniosłem jej kolejnego drinka.

Nie widziałem, że się potknęła. Zauważyłem jedynie ruch w ludzkiej masie, zamieszanie, kręgi na niespokojnej wodzie. Zniknęła mi z oczu. Gdy do niej dotarłem, leżała na podłodze.

– Uderzyłam się – mruknęła. – Poślizgnęłam się.

– Chodź, Heleno. – Chwyciłem ją za nadgarstek. – Wyjdźmy stąd...

– Puść mnie. Chcę tańczyć.

Wyrwała się, ale znów straciła równowagę, upadła na plecy, prosto na młodego mężczyznę o wygolonych skroniach i marchewkowego koloru grzywce spadającej na czoło.

– Uważaj, babo! – rzucił i ją odepchnął. Helena wrzasnęła, zawyła mu prosto w twarz, a on cofnął się przerażony o krok, potem zaś spochmurniał i pochylił się w jej stronę z wściekłością w oczach. Objąłem Helenę w talii – oparzone miejsce zakłuło – i odwróciłem ją, szturchnąłem mężczyznę ramieniem w pierś, posyłając mu spojrzenie, które sprawiło, że się zawahał, po czym dosłownie zniosłem ją z parkietu.

Syczała, była wściekła, wyzywała mnie, ale trzymałem mocno, aż nagle przestała się miotać, jej ciało zmiękło w moich ramionach.

Czułem, jak spocona jest od tańca.

– Okej, dobrze – powiedziała. – W porządku, nie będę już tańczyć, postoję tu z tobą. Kupisz mi drinka?

Miała rozmyte spojrzenie, a usta niewyraźne.

– Nie, Heleno, wypiałś już dość. Czas iść do domu.

Sekunda buntu, złości w oczach, aż nagle przygasła, jakby nie miała już siły.

– Okej, okej. Puść mnie. Pójdę tylko do łazienki i idziemy. Gdzie moja kurtka? I torebka?

Trwało to wieczność. Tak długo, że myślałem już, że sobie poszła. Włożyłem płaszcz i zmierzałem właśnie do drzwi, kiedy dobiegł mnie hałas przy barze. Usłyszałem jej wrzaski, zanim ją zobaczyłem. Ludzie skupili się wokół, nieodparcie zwabieni możliwością awantury. Wyciągali szyje, zagradzali mi drogę i zasłaniali widok. Kiedy wreszcie ją dostrzegłem, wisiała między dwoma potężnymi ochroniarzami, którzy wywlekali ją z lokalu. Wyszedłem za nimi w noc, gdzie ostre, zimne powietrze uderzyło mnie w twarz.

– Ty małpo, ty neandertalczyku! – wykrzykiwała Helena, kopiąc ochroniarza w łydkę ostrym czubkiem kozaczka.

– Hej! – zaprotestował. – Przestań już! Mam wezwać policję?

– Tylko to zrób – odkrzyknęła – zrób to, a zadbam, żebyś wylądował w celi! Wiesz, kim jestem? Jestem...

Nadszedł czas, by interweniować.

– Ona jest ze mną – powiedziałem do ochroniarza. – Przepraszam, miała kiepski wieczór.

Zerknął na mnie podejrzliwie, ale zaraz mnie rozpoznał.

– Mecenas Brenne, prawda? Ona jest z panem? – W jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie.

Skinąłem głową.

– Tak.

– Cholernie pyskata baba.

– Wiem – odparłem. – Zabiorę ją do domu.

Ochroniarz ją puścił, a Helena natychmiast odwróciła się do mnie plecami i ruszyła przed siebie chodnikiem.

– Idź sobie. Zostaw mnie w spokoju.

Zacząłem mieć dość ciągłego odtrącania i wyzywania. Zataczała się ciemnymi ulicami, chwiała na wysokich obcasach, a ilekroć podchodziłem, kazała mi zniknąć jej z oczu.

– Okej, nie jestem twoją niańką, jesteś dorosłą kobietą. Radź sobie sama.

Odwróciłem się i podreptałem w przeciwnym kierunku, dość poirytowany, jednak minąwszy parę przecznic, zacząłem żałować, a ulicę dalej zawróciłem, by skierować się tam, skąd przyszedłem. Minąłem miejsce, w którym ją zostawiłem, podążyłem dalej tą samą ulicą, ale nigdzie jej nie widziałem. Zaniepokoiło mnie to. Nie sądziłem, żeby w swoim stanie mogła zejść szczególnie daleko. Po paru minutach ponownie zawróciłem, żeby pozaglądać w małe, boczne uliczki.

Znalazłem ją dwadzieścia metrów od miejsca, w którym ostatnio ją widziałem, schowaną w ciasnym zaułku. Nie dostrzegłem jej od razu, bo kryła się za kontenerem pełnym śmieci i starych mebli, lecz kiedy zboczyłem nieco z głównej drogi w półmrok, dobiegł mnie kaszel, a później charakterystyczny dźwięk wymiotowania.

– Heleno – odezwałem się, żeby jej nie wystraszyć, ale nawet nie podniosła wzroku, podpierała się jedynie ręką o ścianę, co chwila wymiotując na śliski, mokry bruk. Gdy wreszcie skończyła, popatrzyła na mnie. Czarne smugi makijażu spływały jej po

policzkach, była mokra, blada i nie potrafiła opanować drżenia.

– Chcę do domu – powiedziała.

Fuksem udało mi się zatrzymać taksówkę. Helena siedziała na tylnym siedzeniu obok mnie z zamkniętymi oczami, obejmując się rękoma. Podała adres, a później nie odezwała się ani słowem. Światła neonów, ulicy, latarni i nadjeżdżających samochodów migotały na jej twarzy, tworząc kalejdoskop przesuwających się kolorów, światel i cieni, które czasem zdradzały zmarszczki i zmęczenie widoczne w okolicy ust. Bez zastanowienia dotknąłem jej policzka opuszkami palców.

Otworzyła oczy, ale nadal się nie poruszała, popatrzyła na mnie tylko poważnie, a ja opuściłem dłoń.

– Wszystko dobrze?

Skinęła głową.

– Tak. Teraz już dobrze.

Jechaliśmy na północ. Gdy mijaliśmy szpital psychiatryczny, odruchowo spojrzałem w jego stronę. To tam przebywała jej córka. Helena również odwróciła głowę, by zerknąć na ciemne budynki. Mięśnie jej twarzy drgnęły.

– June – powiedziałem. – Jak się czuje?

Wjechaliśmy w mroczny tunel. Jej twarz zniknęła w cieniu, a głos był tak cichy, że niemal nie dosłyszałem odpowiedzi.

– Chyba już nie wyzdrowieje. Nigdy.

Gdy wyjechaliśmy z tunelu, oczy miała znowu zamknięte.

Taksówka zjechała z autostrady, skręciła i przejechała pod nią. Toczyła się przez uliczki między murami i wysokimi żywopłotami, odbiła w lewo między sękatę buki, aż wreszcie wjechała w otwartą bramę z kutego żelaza. Pod oponami zachrząścił żwir. Reflektory

samochoodu wycięły z nocy żółte kawałki ciasta, odkrywając zadbaną ścieżkę ogrodową, wyschniętą fontannę, pożółkłe zimną trawniki z plamami śniegu i wreszcie ciemny zarys domu oświetlonego pojedynczą lampą nad drzwiami.

– Tutaj mieszkasz?

Murowany dom w surowym, klasycystycznym stylu w mroku wydawał się gigantyczny. Wokół okien rósł bluszcz. Główne wejście z obu stron zdobiły kolumny. Skinęła głową i otworzyła drzwi. Wsiadłem z samochodu ze swojej strony. Zdawało mi się, że słyszę słaby dźwięk fal i czuję zapach morza. Obszedłem auto.

– Niezłe miejsce.

Nie odpowiedziała.

– Ktoś jest w domu? Jest ciemno.

– To nie problem.

– Na pewno?

– Tak.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Patrzyłem, jak idzie. Po paru metrach zawróciła i podeszła do mnie. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz zmieniła zdanie i podniosła tylko ręce, które położyła płasko na mojej piersi, pod rozpiętym płaszczem, jakby chciała mnie odepchnąć. Nie zrobiła tego jednak, a ja poczułem ciepło jej dłoni. Próbowałem wyczytać coś z jej oczu, lecz były błyszczące i ciemne niczym tafla leśnego stawu – nic mi nie mówiły. Wreszcie znowu się odwróciła i odeszła. Tylko raz się zatoczyła i prawie upadła. Stałem w miejscu, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi.

Rozdział 10

Nazajutrz bolała mnie głowa, a oparzenia, których nie czułem zbyt mocno od wielu dni, piekły i swędziały. Łykałem tabletki przeciwbólowe i kręciłem się po domu w szlafroku do późnego popołudnia. Zimowe światło za oknem było ołowianoszare i przytłumione, zaspasy zmieniły się w brudne plamy śniegu rozrzucone po ogrodzie, a powietrze omiotło moje łydki surowym chłodem, kiedy poszedłem do skrzynki pocztowej po gazetę.

Przeczytałem ją. Obejrzałem wiadomości sportowe w telewizji. Zrobiłem obiad. Obejrzałem film na DVD. A przez cały dzień, raz po raz, pojawiały się w myślach obrazy Heleny Berge, niczym niechciane przerwy reklamowe na moim prywatnym kanale. Widziałem ją, jak z gracją kołysze się na parkiecie. W pamięci nadal żywe było wspomnienie jej zbyt głośnego, ostrego śmiechu i łez na policzku. Mogłem też przywołać dotyk jej dłoni na mojej piersi i nieprzeniknione spojrzenie kobiety, której nie znałem, lecz nie potrafiłem wyrzucić z pamięci. Zastanawiałem się, czy do mnie zadzwoni, ale tego nie zrobiła. Ani tego, ani następnego dnia.

– Mikael – przez telefon usłyszałem głos Petera. – Wpadniesz do mnie na chwilę?

Był poniedziałek, w jego biurze panował ten sam chaos, co zwykle. Książki i teczki spraw piętrzyły się wokół w chybotliwych stosach, blat biurka pokrywały dokumenty. Peter twierdził, że wie,

gdzie wszystko jest. Może tak było, ale ja nie mógłbym żyć z takim systemem. W gabinecie siedział już Finn.

– Cześć – odezwałem się. – Jak się masz? Gotowy, żeby się wycofać, a może zmieniłeś zdanie?

Uśmiechnął się. Był niewysokim, niepozornym mężczyzną, ale to właśnie on rozwinął firmę z jednoosobowego przedsiębiorstwa w wiodącą kancelarię adwokacką w mieście.

– Nie zmieniłem zdania. Na świecie pełno jest adwokatów, którzy nie pomyśleli o tym, by zrezygnować w odpowiednim momencie. Na pewno kilku z nich spotkałeś.

Skinałem głową, bo wiedziałem, że ma rację.

– To o co chodzi?

Peter zaczął grzebać w stosie papierów, pozornie na chybił trafił. Po kilku sekundach znalazł jednak to, czego szukał, i podał mi kartkę.

– Przeczytaj.

Cztery linijki tekstu – wypowiedzenie złożone przez Synne. Przeczytałem je dwukrotnie, po czym oddałem kartkę Peterowi.

– No i co, Mikael? Czy nie ty twierdziłeś, że wszystko się ułoży?

– Ja... Ona blefuje. Chce tylko wszcząć negocjacje.

Peter uniósł brwi.

– Synne składa pisemne wypowiedzenie, a ty myślisz, że chce w ten sposób rozpocząć negocjacje? Dobrze, że nie zajmujesz się prawem cywilnym, Mikael.

– Okej, może i nie – przyznałem. – Ale rozmawiałeś z nią o tym?

– Tak.

– I...?

– I nic. Jest rozczarowana, smutna i zdecydowana, by odejść.

– Żeby co robić?

Peter wzruszył ramionami.

– Kto wie? Nie zwierzała mi się.

– Okej. Porozmawiam z nią.

– Żeby przedstawić jej ofertę partnerstwa? – Pytanie padło z ust Finna.

– Nie. Nie widzę powodów, żebyśmy ulegli groźbie rezygnacji.

– To co jej powiesz? – Finn zachowywał neutralny wyraz twarzy i ton głosu, ale wyczułem jego intencje.

– Myślisz, że źle to rozegrałem, prawda, Finn?

Wzruszył ramionami.

– Tak. Uważam, że niezaoferowanie jej partnerstwa było błędem. Synne jest pracowita, utalentowana i zarabia pieniądze. Czego więcej oczekiwać?

Wstałem.

– To ja z nią współpracowałem, ja znam ją najlepiej. Uznałem, że równie dobrze może poczekać rok czy dwa, i cały czas tak myślę.

– Okej. – Finn rozłożył ręce. – Ja odchodzę. To wasza decyzja.

– Błędna decyzja – dodał Peter. – Twoim problemem, Mikael, jest to, że czasami dajesz się ponieść emocjom, zamiast dokonać trzeźwej analizy.

– Jakim emocjom?!

– Bóg jeden raczy wiedzieć.

Wychodząc, zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Synne rozmawiała przez telefon. Stałem i patrzyłem na nią. Siedziała oparta na krześle, z długimi nogami wyprostowanymi przed sobą. Niecierpliwie bębniła palcami w blat stołu, ale mówiła neutralnym, przyjaznym głosem. Była ubrana w czarny żakiet i spodnie, w których wyglądała jeszcze szczuplej niż zwykle. Pod żakiem kryła się biała, niemal męska koszula zapięta pod samą

szyję. Poczła moje spojrzenie, okręciła się na krześle i na pół się odwróciła, kończąc rozmowę.

– Okej, w porządku – powiedziała do słuchawki. – Wyślę maila i zobaczymy, co odpiszą. Nie wydaje mi się, żeby się zgodzili, ale na pewno warto spróbować. – Przeczesła dłonią włosy. – Tak. Tak, zrobię to. Oczywiście prześlę kopię. Okej. Do widzenia.

Usiadła wyprostowana na krześle i znów się do mnie odwróciła.

– Mikael. – Jej twarz pozbawiona była wyrazu.

– Co ty, cholera, wyprawiasz?

– Przepraszam?

– Nie uważasz, że wypowiedzenie to trochę przesadna reakcja?

– Na to, że się mnie nie docenia? Nie, Mikaelu, nie uważam.

Próbowałem wziąć się w garść, opanować irytację, którą odczuwałem.

– Doceniamy cię. Powinnaś wiedzieć, że...

– Ja tak tego nie interpretuję.

– To co chcesz robić? Znalazłaś nową pracę?

Posłała mi zimne, obojętne spojrzenie, ale na jej policzkach wykwitły intensywnie czerwone plamy.

– To właściwie nie twoja sprawa.

Znałem to uczucie, te mechanizmy. Już straciłem w ten sposób przyjaciół. Gdzieś po drodze cała ta historia stała się kwestią prestiżu. Byliśmy jak dwa rozpędzone pociągi, z maksymalną prędkością zmierzające ku kolizji, a ja w pełni zdawałem sobie z tego sprawę, lecz zamiast pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa, tylko dodałem gazu i odpowiedziałem jej równie zimnym spojrzeniem.

– W porządku, Synne. Skoro tego właśnie chcesz, nie mam nic przeciwko.

– Nie, wcale tego nie chcę, ale najwyraźniej to ty tego chcesz – odrzekła. – To twój wybór, nie mój.

Wieczorem znalazłem numer telefonu Heleny Berge i bez zastanowienia go wybrałem. Długo nikt nie odbierał, tak długo, że już miałem się poddać, lecz wtedy usłyszałem:

– Halo, mówi Helena. – A kiedy nie usłyszała odpowiedzi: – Halo, jest tam ktoś? Halo?

Głos miała lekko zachrypły, brakło jej też tchu, jakby spieszyła się do telefonu. Bez słowa odłożyłem słuchawkę.

Rozdział 11

W ciągu dnia więźniowie pracowali w pralni. Betonowe ściany piwnicy odbijały ich krzyki, śmiech i przekleństwa, lecz Freddy wiedział, że po czwartej się tam uspokoi. Samą pralnię zamykano na klucz pod koniec dnia pracy, ale przyległe do niej pomieszczenie zawsze pozostawało otwarte. Nie używano go do niczego i było puste z wyjątkiem dwóch wielkich bojlerów oraz paru przypadkowych gratów. Freddy czekał w kącie za stojącym w głębi kotłem, niemal niewidoczny w cieniu.

Po obu stronach pomieszczenia znajdowały się metalowe drzwi z zasuwami. Myślał, że to drzwi przeciwpożarowe, albo że piwnica kiedyś pełniła funkcję schronu na wypadek wojny. W każdym razie jakieś prawo nakazywało, aby zawsze można było wejść do tego pokoju. Drzwi w głębi zdążył już zamknąć na zasuwę. Chociaż o tej porze prawie nigdy nie przychodzili tu ludzie, tak było najbezpieczniej. Nie chciał, by mu przeszkodzono.

W miejscu, gdzie stał, czuł na skórze ciepło bijące z bojlera. W pomieszczeniu panowała całkowita cisza, on jednak słyszał bicie bębnów, rytm, puls.

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi. Echo rozległo się między ścianami, by po chwili ucichnąć. Czekał. Ujrzał cień na korytarzu za otwartymi stalowymi drzwiami. Ledwie słyszał dźwięk miękkich kroków. A wtedy, jakby Freddy przez mrugnięcie stracił parę

sekund, nagle pośrodku pokoju wyrósł Rosjanin, rozglądając się wokół. Freddy jeszcze bardziej cofnął się w cień, próbował zniknąć w ciemności za potężnym stalowym kotłem, ale Rosjanin kątem oka musiał dostrzec ruch, bo prędko się odwrócił i przez chwilę stał na ugiętych nogach, z uniesionymi dłońmi. Uśmiechnął się.

– *Hey, old man* – odezwał się. – *Big surprise. It's me.*

Freddy stał całkiem nieruchomo. Wydawało mu się, że Rosjanin go nie widzi, więc nic nie powiedział.

– *I know you are in there, old man* – rzekł Rosjanin. – *I feel you. I smell your fear.*

Freddy zamknął na moment oczy. Nadal nie odpowiadał, lecz zrobił mały krok w tył i usłyszał szurnięcie butów na betonie. Wewnątrz siebie czuł rytm, coraz szybszy, ostrzejszy, bardziej natarczywy. W uszach rozległ się szum podobny do wiatru hulającego w koronach drzew. Znał ten wiatr, wiedział, skąd wieje, miał we krwi dźwięki i zapachy, które przynosił. Odległe dźwięki, niewyraźne, hałas bitwy niosący się z daleka, z innego miejsca i czasu. Zapach starych liści, obumarcia, ziemi i zgnilizny.

I smak miedzi na języku.

Wiedział, co się wydarzy. Minęło dużo czasu, ale wiedział.

Gdy otworzył oczy, Rosjanin stał dwa metry od niego, w wąskiej przerwie między kotłem a betonową ścianą. Uśmiechał się. Freddy nie patrzył wprost na niego. Spuścił wzrok i nieco niespokojnie się poruszył. Rosjanin wybuchnął głośnym śmiechem, zrobił dwa szybkie kroki w przód, w ciasną szczelinę, i bez słowa przeszedł do ataku. Najpierw zwód lewą ręką, później prawdziwy cios. Prawy prosty, który miał trafić w bok podbródka, ale nie zdołał. Rosjanin był szybki, lecz zarazem łatwy do rozgryzienia – Freddy wiedział, co nadchodzi, więc tylko częściowo się odwrócił, by przyjąć cios

w ramię. Następnie Rosjanin usiłował kopnąć go w zewnętrzną część kolana. Freddy szybko zrobił krok naprzód i lekko w bok, wyszedł na spotkanie kopniaka, przejął jego siłę, jeszcze zanim został trafiony, i kontynuował ruch. Prędko i w pełnej równowadze przemieścił się tak, że znalazł się między przeciwnikiem a szparą. Rosjanin nagle został zapędzony w róg, nie mógł się poruszać.

– Nie – powiedział Freddy cicho. – *No surprise*. Nie było niespodzianki. *I knew you would come*.

Po raz pierwszy spojrzał Rosjaninowi w oczy i zobaczył, że mężczyzna zaczął pojmować swój błąd, rozumieć, jak bardzo nie docenił Freddy'ego. Gdzieś w głębi wyczytał rodzącą się panikę. Dlatego nie zaskoczyła go próba uderzenia z byka ani prawa ręką Rosjanina, która sztywnymi palcami sięgnęła do jego oczu. Freddy znał te manewry, był bardzo doświadczony, robił to już wielokrotnie. Mocno się zbliżył, wysunął przed siebie przedramiona, twarz zasłonił mocnymi pięściami niczym bokser. Był większy, cięższy i wiedział, co go czeka, więc bez trudu niweczył wszystkie próby Rosjanina.

Pierwszy cios z głośnym dźwiękiem trafił Rosjanina w górną część ciała. Był to dźwięk drewnianego kija uderzającego w zwierzęce truchło. Z mężczyzny uszło powietrze. Następny cios trafił go z drugiej strony, wywołując jęk. Rosjanin usiłował się poruszyć, wykręcić, ale było mu za ciasno, a Freddy wykorzystywał swoją wagę. Rosjanin nie miał dokąd uciec, cały czas przyjmował więc na ciało ciężkie jak ołów, bezlitosne uderzenia, które wysysały z niego siły. Po chwili nawet nie próbował już ich unikać, zwiślał tylko u szyi Freddy'ego, aby ustać prosto, jak kochanek, który wreszcie wrócił do swojej łubej.

Freddy się zgarbił. Stał na szeroko rozstawionych nogach,

wkładał w ciosy cały swój ciężar, wszystkie lata i całe doświadczenie, bił w powolnym, nieuchronnym rytmie, aż ramiona Rosjanina opadły wzdłuż ciała, później ugięły się nogi i w zwolnionym tempie runął na ziemię. W końcu usiadł w kącie, z jedną nogą podciągniętą pod siebie, a drugą wyprostowaną.

Freddy popatrzył na niego. Rosjanin nie miał na twarzy choćby jednego siniaka, ale siedział ze zwieszoną głową, obejmując się rękoma, a z ust ciekła mu wąska strużka krwi. Wyprostowana noga drgała, wydawał z siebie krótkie, niezrozumiałe dźwięki.

– Mylisz się – odezwał się Freddy. – Nie zabijałem kobiet ani dzieci. Ale paru mężczyzn zabiłem.

Kilka minut później szedł pustymi korytarzami do więziennej piwnicy. Oddychał trochę ciężiej niż zwykle, a jednak kroczył zadziwiająco lekko. Nikogo nie spotkał po drodze na swój oddział. Gdy dotarł na miejsce, wetknął głowę do świetlicy. Mała grupka oglądała film. Skinął na Hansa Erika, zakrzywionym palcem pokazał, żeby ten wyszedł na korytarz.

– Co jest? – zapytał Hans Erik, a Freddy dostrzegł w jego oczach dezorientację i niepewność. – Jest po piątej. Nie miałeś...?

– Się z kimś spotkać? Wiesz, że miałem.

Dezorientacja ustąpiła miejsca lękowi.

– Nie jesteś zbyt bystry, Hansie Eriku.

Brak odpowiedzi.

– Najmądrzejsze, co możesz teraz zrobić, to zapomnieć wszystko, o czym rozmawialiśmy w ciągu ostatnich dni. Wtedy może ja również zapomnę. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak. Tak, rozumiem.

Freddy popatrzył na jego bladą twarz, po czym kiwnął głową, odwrócił się i poszedł do swojej celi.

Wziął prysznic i włożył czyste ubranie, po czym z zamkniętymi oczami położył się na pryczy. Słuchał z wolna ginącego w nocy rytmu bębnów. Zapadającej ciszy. Odnalazł punkt równowagi. Spokojne miejsce w głębi siebie. Żadnych pragnień, żadnej żądy. Nic. W ogóle nie myślał o Rosjaninie.

Rozdział 12

– Voltersvik? Herman Voltersvik?

– Tak – odparła Eva. – Herman Voltersvik należy do najbogatszych i najbardziej...

– Wiem, kim jest – przerwałem jej. – Nie wiem tylko, czego chce ode mnie. Przypuszczałbym raczej, że potrzebuje specjalisty od prawa spółek. Nie mówił, o co chodzi?

Eva pokręciła głową.

– Nie. Ale poprosił o ciebie, więc...

– O dziesiątej, tak?

– Tak.

Kiedy przyszedł, nie wyglądał na jednego z najbardziej obrotnych i najzamożniejszych przedsiębiorców w mieście. Wyglądał jak chłopaczek. Przez lata napatrzyłem się na jego zdjęcia, więc od razu go rozpoznałem, jednak żadna z fotografii nie zdołała w pełni oddać młodości czy wręcz niedojrzałości tej twarzy. Mimo to znany był jako nieustępliwy biznesmen, zawzięty podczas negocjacji i chętnie chodzący na skróty. Mocno uściśnął mi rękę suchą dłonią.

– Herman Voltersvik – przedstawił się. – Cieszę się, że mógł pan tak szybko się spotkać.

Skinąłem tylko głową i wskazałem mu krzesło.

– Nie... nie wiem, czy mnie pan zna. Działam w branży naftowej.

No, niebezpośrednio, nie zajmuję się poszukiwaniami, odwiertami i tak dalej, ale produkuję sprzęt dla przemysłu naftowego. Specjalizujemy się zwłaszcza w technologii podwodnej.

Przytaknąłem.

– Oczywiście, że pana znam. Prawie całe życie mieszkam i pracuję w tym mieście. Byłoby dziwne, gdybym pana nie kojarzył. Ale... nie znam szczegółów... Zdaje pan sobie sprawę, że nie zajmuję się prawem spółek, chociaż trochę pracowałem przy...

– Mam tego całkowitą świadomość. W firmie... mam wielu adwokatów. – Cień uśmiechu. – Pewnie więcej, niż potrzebuję, prawdę mówiąc.

– Więc...? – Zrobiłem nieznaczny gest dłonią. – Mam nadzieję, że nikogo pan nie zabił.

Nie uśmiechnął się.

– Nie, nie zabiłem. Ja nie.

Czekałem. Herman Voltersvik wstał z krzesła, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Jestem ojcem June – powiedział.

– June Berge?

– Tak.

– Nie miałem pojęcia... W gazetach nie napisali ani słowa...

– Tak. – Znowu lekki uśmiech. – Jak mówiłem, mam do dyspozycji wielu adwokatów. Czasami się przydają. Zidentyfikowanie June jako mojej córki było na pewno dużą pokusą dla mediów, ale chyba rozumiano tam też, że taka historia może ich drogo kosztować. – Odchrząknął. – W każdym razie jestem jej ojcem. Ja... bardzo dziękuję za to, co zrobił pan dla niej tamtej nocy.

Wzruszyłem ramionami.

– Jej matka zdążyła już...

– Tak, Helena. Moja żona. Wiem, że przyszła tutaj podziękować. W imieniu nas obojga. Teraz ja mam nadzieję, że będzie pan mógł nam jeszcze trochę pomóc.

– W czym?

– Chodzi o June. Potrzebuje adwokata.

Pokręciłem wolno głową.

– Niech pan posłucha, panie Voltersvik... Nie wiem, na ile orientuje się pan w prawie karnym, ale June... To, co zrobiła tamtej nocy... Bez wątpienia jest winna. Jednocześnie jest też chora i, jeśli miałbym oceniać, niepoczytalna w sensie prawnym. Może zostać skazana na przymusowy pobyt w placówce psychiatrycznej, ale moim zdaniem raczej nie wiedziała, co robi, dlatego nie wydaje mi się, żeby został wystosowany przeciwko niej zwyczajny akt oskarżenia z żądaniem kary pozbawienia wolności. Nie zaistniały po prostu subiektywne warunki karalności. – Po plecach przebiegł mi lekki dreszcz. – Widziałem... ją tamtej nocy. Nie była... W każdym razie jestem świadkiem, więc nie mogę jej reprezentować. Nie gra też roli, kto będzie jej obrońcą, o ile w ogóle dojdzie do procesu.

– Wiem – powiedział Herman Voltersvik znużonym głosem. – Przebywa w szpitalu, a lekarze zgadzają się co do diagnozy. Ma zaburzenia psychotycznei, jak mówią, ponad wszelką wątpliwość miała je także wtedy... gdy podpaliła dom.

– Więc co...

Przerwał mi, a ja po raz pierwszy poczułem naturalny autorytet, którego należałoby się spodziewać po mężczyźnie o jego pozycji.

– June musi żyć z tym, co zrobiła. Na razie jest zbyt chora, żeby to zrozumieć... ale myślę, a nawet, jestem pewien, że jej się polepszy, a wtedy... będzie musiała się z tym pogodzić. Dokładnie

tak samo jak ja czy jej matka. Teraz jednak okazuje się, że ponoć zabiła kogoś jeszcze.

– Co? Kogo?

– Mówią, że zabiła swojego dziadka. Ojca Heleny. Ale to... absurdalne. Kochała dziadka. Nigdy nic by mu nie zrobiła. Helena... Jak mielibyśmy z czymś takim żyć? Nie wiem, czy przetrwamy jako rodzina. – Odchrząknął, wyprostował plecy. – Ani na sekundę nie uwierzę, że June zrobiła to, co oni mówią. Ani na sekundę. I nie pozwolę, aby policji uszły na sucho takie rewelacje. Po prostu się na to nie zgadzam.

– Ale dziadek nie żyje?

Popatrzył na mnie jak na idiotę.

– Oczywiście.

– To znaczy został zabity czy nie ma takiej pewności?

– Tak, został zabity. Jakiś rok temu.

– Więc dlaczego policja twierdzi, że to sprawka June?

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie znaleziono sprawcy. A teraz, po pożarze, oczywiście dużo łatwiej jest zrzucić winę na June, skoro... zrobiła, co zrobiła.

– Musi być coś więcej – dążyłem. – Coś, co wiąże ją z zabójstwem.

Znowu wzruszenie ramion.

– Była tam.

– Gdzie?

– W domu dziadka. Gdy go zabito. Znalazła go.

Ja również wstałem.

– Proszę posłuchać, panie Voltersvik, to nie do końca moja działka. Jestem obrońcą specjalizującym się w prawie karnym.

– To jest prawo karne, czyż nie?

– Tak, ale nie ma pewności, czy w ogóle zostanie oskarżona o to zabójstwo.

– Nieważne. Ona nie może z tym żyć. Helena też nie.

– Potrzebuje pan prywatnego detektywa, a nie adwokata.

– Poza światem ksiązek nie istnieją tacy, którzy byliby cokolwiek warci.

Rozłożyłem rękę.

– W każdym razie ja...

– Już wcześniej odkrywał pan różne rzeczy.

– Fuksem. Przez przypadek.

– Dobrze zapłacę.

– Nie potrzebuję pieniędzy.

Wymienił kwotę, a ja zamilkłem. Po chwili odezwałem się:

– Nie mogę zagwarantować rezultatów.

– Dostanie pan tyle bez względu na wynik, o ile obieca pan, że dołoży wszelkich starań.

– Okej.

Gdy uścisknąwszy mi dłoń, szedł już do wyjścia, zapytałem:

– Pana żona się zgadza? To znaczy, żebym się tym zajął?

– Tak. – Skinął głową. – To był jej pomysł.

– Okej – powtórzyłem. – Niech tylko dostanę dokumenty, to zobaczymy.

Rozdział 13

– Nie rozumiem pana roli w tej sprawie, Brenne. – Sierżant Hamre popatrzył na mnie podejrzliwie zza szkieł okularów.

– Czego pan nie rozumie? Córka Torleifa Bergego zaangażowała mnie do zbadania zabójstwa jej ojca. Wie pan to, jeśli przeczytał pan mój wniosek o wypożyczenie akt.

– I myśli pan, że znajdzie tam coś, czego my nie zauważyliśmy?
Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie nic nie znajdę, ale spojrzenie na sprawę świeżym wzrokiem nikomu nie zaszkodzi.

– Dlaczego teraz?

– Bo nic nie wskóraliście.

– To jedyny powód?

Westchnąłem.

– Nie i pan o tym wie, sierżancie Hamre. Głównym powodem jest to, że nagle wskazaliście June Berge jako główną podejrzaną o zabójstwo dziadka. Jak może pan rozumie, rodzice nie są z tego zadowoleni.

Teraz to on wzruszył ramionami.

– Jasne, że nie są. Ale nie możemy ignorować oczywistości tylko dlatego, że nie pasuje to rodzicom, prawda? Jak się okazuje, June Berge jest w stanie zabić. To automatycznie czyni ją bardziej interesującą w kontekście sprawy Torleifa Bergego.

– Nikogo nie zabiła.

Zbył mój argument machnięciem ręki.

– Miała szczęście.

– To pewne, że to ona podpaliła dom?

– Co, do cholery? W tę sprawę też jest pan zaangażowany, Brenne?

– Nie, ale pytanie wydaje mi się naturalne.

– Może panu tak – rzucił rozdrażniony. – Przywykł pan czarne zmieniać w białe, to część pańskiej pracy. Ale jest winna, nawet pan nic tu nie zdiagnozował. Pożar bez wątpienia wywołano za pomocą łatwopalnego płynu, na miejscu zdarzenia znaleźliśmy pusty kanister po benzynie z jej odciskami palców, sam widział ją pan tam tuż po tym, jak zaczęło się palić, a do tego wszystkiego dziewczyna jest zupełnie szalona.

Uniosłem ręce w pojednawczym geście.

– Okej, okej, poddaję się. Ale...

– Co?

– Zastanawiałem się tylko, dlaczego to zrobiła, co dzieje się w jej głowie. Jest piromanką czy jak?

Westchnął ciężko.

– A kimże jest piroman? Jeżeli to osoba, która podpala, ponieważ sam pożar daje jej pewną satysfakcję, to nie wiem, czy można tak określić June Berge. Jeśli jednak zredefiniujemy pojęcie, przyjmując, że to ktoś podkładający ogień z całkiem irracjonalnych i niezrozumiałych, niejasnych dla innych przyczyn, to June chyba nieźle pasuje do tego opisu.

– Ale...

– Tak, tak, Brenne, wiem, co pan chce powiedzieć, jednak odrobiliśmy lekcje. Dziewczyna od dłuższego czasu fantazjowała

o ogniu i oczyszczeniu, czy co to tam, kurna, było. Leczyła się psychiatrycznie. Tego wieczoru odwiedziła koleżankę, którą poznała na terapii grupowej. Koleżance wydawała się niespokojna i zestresowana. Wiemy, że June wsiadła do autobusu i wysiadła, zanim dotarła do domu. Przypuszczamy, że zauważyła stację benzynową, co w jakiś sposób ją sprowokowało. W każdym razie poszła na stację, wzięła mały, czerwony kanister, który napełniła benzyną, i odeszła stamtąd bez płacenia.

– A personel nie zareagował?

– Pracowała tam jedna osoba, student. Był zajęty. Nawet jej nie zauważył, zareagował dopiero, kiedy zobaczył na dystrybutorze nieuregulowaną kwotę. Ale mamy ją na nagraniu wideo, Brenne, nie ma wątpliwości, że to June Berge.

– Jak daleko jest ze stacji do...

– Niezbyt daleko, tylko parę kilometrów. Zauważyło ją kilka osób, zdaje się, że przez chwilę kręciła się po okolicy. Widzieli ją jacyś całujący się nastolatki i mężczyzna wyprowadzający psa. Zwrócił uwagę na jej zachowanie, bo szła, mamrocząc coś pod nosem, ale nic z tym nie zrobił.

– Typowe. Szalona dziewczyna z kanistrem benzyny krąży po osiedlu w środku nocy, a nikt nie reaguje.

– Tak. Cóż, sądzimy, że sprawdziła kilka domów, a podpaliła właśnie ten, ponieważ drzwi od ulicy były otwarte, tak że mogła wejść do środka, wylać benzynę w salonie i ją podpalić.

– Drzwi były otwarte?

– Tak, musiały być. Nie były przecież zamknięte, kiedy pan tam przyszedł?

– Zgadza się.

– Właśnie, a nie nosiły śladów włamania. Didrik Stephansen to

stary człowiek. Pewnie nie pierwszy raz zapomniał zamknąć drzwi na klucz. – Hamre przeciągnął się na krześle. – Nie, Brenne, naprawdę popracowaliśmy trochę przy tej sprawie. Wiemy, co się wydarzyło, wiemy jak i dlaczego, przynajmniej na tyle, na ile jesteśmy to w stanie zrozumieć. June Berge wzniciła ten pożar.

Nadal wyraźnie pamiętałem tamtą noc. Prawie codziennie mi się śniła, wciąż przed oczami stał mi obraz June Berge, jej twarzy, nieobecnych, pustych oczu, jakby znajdowała się zupełnie w innym miejscu, i w głębi duszy wiedziałem, że Hamre się nie myli.

– Chyba ma pan rację – powiedziałem. – Ale to nie oznacza, że zabiła dziadka.

– Owszem, Brenne. Jednak ten incydent czyni to dużo bardziej prawdopodobnym.

– Może – odparłem. – To dostanę dokumentację sprawy Torleifa Bergego czy nie?

Przesunął w moją stronę gruby stos papierów spiętych zieloną okładką.

– Proszę. Nic pan nie znajdzie.

Bezwiednie przerzuciłem parę stron.

– Zobaczymy, sierżancie Hamre. – Zatrzymałem wzrok na przypadkowym raporcie. – Sissel Skauge? To ona pierwsza znalazła się na miejscu zbrodni? Znam ją. Może z nią pogadam, jeśli nie ma pan nic przeciwko, zbiorę trochę informacji z pierwszej ręki?

– Niech pan robi, co chce, Brenne. A teraz muszę już wrócić do pracy.

Rozdział 14

Sissel Skauge była młodą, bystrą i piękną blondynką. Znałem ją, ponieważ pierwszą rzeczą, którą zrobiła jako świeża absolwentka szkoły policyjnej, było zgłoszenie molestowania seksualnego przez jednego z przełożonych. Zgłoszenie w ekspresowym tempie odrzucono, a ją w podzięcie skierowano do pracy w biurze. Zająłem się tą sprawą. Jedno spotkanie z kierownictwem policji i niejasna groźba przekazania informacji mediom wystarczyła, aby rozwiązać problem. Sissel wróciła do zwykłej służby.

Uściskała mnie, kiedy przyszła. Nadal wyglądała jak fotomodelka, lecz jej usta miały wyraz, którego nie pamiętałem – nosiły leciutki ślad cynizmu, będącego nieodzowną konsekwencją pracy, w której dzień w dzień ogląda się najgorszych możliwych ludzi.

– Torleif Berge? – zaczęła. – Tak, pamiętam Torleifa Bergego. Stary, prawda? Były policjant?

– Zgadza się.

– Byłam wtedy jeszcze dość niedoświadczona, pewnie stąd to wrażenie. Chyba... tak, centrala otrzymała tak nieskładne i histeryczne zgłoszenie, że dyspozytorka nie wiedziała, co z nim zrobić, ale w końcu zdecydowała się wysłać patrol. To był chyba dość rozsądny krok.

– To było szóstego marca, prawda? W zeszłym roku?

– Możliwe. Był ładny ranek, jeden z pierwszych wiosennych dni, może nawet pierwszy – powiedziała na pół do siebie, a jej spojrzenie stało się nieobecne, gdy we wspomnieniach pojawiały się nowe obrazy. – Znaleźliśmy dom, całkiem zwyczajny, dość skromny, nie pamiętam adresu, ale chyba wiesz gdzie to?

– Tak, mniej więcej – odparłem.

– W radiowozie jechaliśmy we dwójkę, jak zwykle, i chociaż nie powinniśmy być tak dobrani, oboje pracowaliśmy od niedawna. Na schodach przed domem siedziała dość młoda dziewczyna. W piżamie i boso. Pamiętam, że miała sine stopy, dotknęłam ich, były lodowate, więc pewnie siedziała tak dobrą chwilę.

– June Berge?

– Tak się nazywała. Siedziała tylko, ciągle pocierając dłonie, jakby je myła. Drżała na całym ciele i mówiła bez ładu i składu.

– Pamiętasz co?

– Nie, gadała zupełnie chaotycznie. Paplała od rzeczy, więc szybko pojęliśmy... zrozumieliśmy, że jest z nią coś nie tak.

– I co wtedy?

– No, weszliśmy do środka. To znaczy, ja weszłam.

– Sama?

Skinęła głową, uśmiechnęła się trochę krzywo.

– Tak. Nie podobało mi się tam. Wiedzieliśmy, to znaczy nie, przeczuwaliśmy, że w środku doszło do czegoś poważnego. Ta... jak ją nazwałeś... June... miała na rękach krew. A mój kolega, który na ogół zgrywa twardziela i pyskuje, stwierdził, że musi zająć się tą dziewczyną, że nie może zostać sama. Więc weszłam tam w pojedynkę. I znalazłam go, tego starca...

– Torleifa Bergego.

– Leżał na podłodze w sypialni. Spał tam, w kącie pokoju stało

łóżko, na pewno miał słabe nogi i nie mógł już wchodzić na piętro, ale nie leżał w łóżku, tylko na ziemi. Ktoś go zabił. Był... Nigdy nie... Wiesz, że wtedy po raz pierwszy widziałam martwego człowieka? Nigdy wcześniej nie widziałam trupa, a już na pewno nie ofiarę morderstwa. Kiedy podeszłam bliżej, ujrzałam krew i urazy głowy. Zmu... zmusiłam się, żeby go dotknąć... Palcami dotknęłam szyi, by sprawdzić puls, ale nie żył. Był zimny i... i inny w dotyku niż żywi ludzie. Jakby gumowaty. Właściwie od razu wiedziałam, że nie żyje, to pewnie przez sposób, w jaki leżał, całkowitą nieruchomość... i jeszcze przez coś... coś nieokreślonego... – Lekko się wzdrygnęła. – W każdym razie był martwy.

– A June... ta dziewczyna? Myślałaś, że ona to zrobiła czy jak? Jakie odniosłaś wrażenie?

– Nie wiem. Zastanawiałam się nad tym, dziewczyna była ewidentnie nie zrównoważona, ale nie miałam pewności. Teraz też nie mam.

– Ale gdybyś miała zgadywać?

Wywróciła oczy.

– Nie mogę. Naprawdę nie mam pojęcia, Mikael. Wiem jedynie, że ta dziewczyna była bardzo chora.

– Okej – odparłem. Nie było sensu naciskać. – Bardzo dziękuję. Naprawdę mi pomogłaś.

– Zawsze do usług. Wystarczy zadzwonić.

Wieczorem czytałem w domu akta, próbując stworzyć sobie obraz tego, co wydarzyło się półtora roku temu.

June także wtedy leczyła się w szpitalu psychiatrycznym, tyle że innym, oddalonym o parę godzin jazdy od miasta. Wielokrotnie odwiedzałem przebywających tam klientów, gdy byłem młodszy. Placówka znajdowała się w pięknej okolicy, w miejscu z uroczym

widokiem na fiord, jednak jak w każdym szpitalu psychiatrycznym panowała tam atmosfera smutku i cierpienia, tłumiąca nawet największy optymizm. June oczywiście chorowała, jednak, na ile mogłem wywnioskować z kartotek i raportów, nie tak bardzo jak później. Przyjmowała leki, a jej psychoza była pod kontrolą. Weekend miała spędzić u dziadka i zdaniem personelu cieszyła się z tego powodu. Uważano także, że wyjazd dobrze jej zrobi. O dziadku twierdzono, że jest troskliwy i kocha June. Nic nie zapowiadało problemów. Przeczytałem zeznanie Heleny. Zadzwoiła do nich w sobotę, planowała przyjechać w odwiedziny, ale przeziębila się, więc odwołała wizytę. June przez telefon wydawała się radosna i zadowolona, zrobiła dziadkowi obiad, później chcieli wyjść na spacer, a wieczorem wypożyczyć film. Helena nie rozmawiała z ojcem, ale słyszała, jak krzyczał, żeby przekazać pozdrowienia.

Po północy zacząłem ziewać, złapałem się też na czytaniu dokumentów bez rejestrowania treści. Łóżko stało zimne i puste. Byłem zmęczony, ale nie mogłem zasnąć. Myślałem o Helenie, o June i o Torleifie Bergem, mężczyźnie, którego nigdy nie spotkałem i nigdy nie spotkam. Nic o nim nie wiedziałem, poza tym, że ewidentnie kochał wnuczkę. Papiery nie obfitowały w osobiste szczegóły na temat jego osoby, jak to często bywa z dokumentacją spraw karnych. Ofiara nie znajduje się w centrum uwagi.

Następnego ranka wziąłem wolne. Dręczyło mnie zabójstwo Torleifa Bergego, chciałem skończyć tę sprawę, zostawić ją za sobą. Czytałem aż do lunchu, zjadłem jajecznicę, wypilem herbatę i wróciłem do lektury. Gdy wreszcie przebrnąłem przez stos

papierów, poszedłem na spacer. Próbowałem przeanalizować fakty, podsumować wszystko na własne potrzeby. Bez wątpienia to June zostawiła policji pierwszą, chaotyczną wiadomość, potwierdziły to badania głosu. Była wówczas ósma rano. Czas zgonu Torleifa Bergego określono na okres między północą a drugą poprzedniej nocy. Bergego uderzono metalową statuetką konia, pamiątką z wakacji w Hiszpani. Na figurce znaleziono ślady krwi, włosów i masy mózgowej, a lekarze sądowi stwierdzili, że urazy wskazują na użycie dużej siły. Na narzędziu zbrodni nie znaleziono odcisków palców.

Wszystko wskazywało też na to, że ktoś przeszukał szuflady i szafki, gdyż większość otwarto, a papiery i przedmioty rozrzucono na podłodze, toteż policja przypuszczała nieudane włamanie. Torleif Berge nie miał już siły w nogach, więc przeniósł swoje łóżko na parter, do niewielkiej otwartej alkowy przy salonie. Tam spał. Zdaniem policji, złodziej lub złodzieje zostali prawdopodobnie zaskoczeni podczas włamania, w panice chwycili pierwszy lepszy przedmiot i uderzyli Bergego.

Była to wiarygodna teoria, która jednak pozostawiała kilka nierozwiązanych kwestii. Po pierwsze dom nie nosił śladów włamania. Nie wyważono drzwi ani okien. Po drugie dość szeroko zakrojone śledztwo nie przyniosło żadnych pomocnych obserwacji ani tropów. Żaden świadek nie widział nic tamtej nocy, a na miejscu zbrodni nie znaleziono innych śladów biologicznych niż te należące do na co dzień przebywających tam osób.

A jednak nikt na poważnie nie podejrzewał June o zabójstwo. Przemawiało za tym kilka powodów. Nie uciekała się wcześniej do przemocy ani nie przejawiała agresji. Pozostawała w dobrych, bezproblemowych relacjach z dziadkiem. Lekarze, którzy znali

June i zajmowali się nią, jednogłośnie zaprzeczyli, aby była w stanie coś takiego zrobić.

Jednak wszystko zmieniło się po tym, jak podpaliła dom. Nagle wszystko zaczęło wyglądać inaczej, okoliczności, które wcześniej jedynie wydawały się dziwne, teraz stały się wysoce podejrzone. Z dnia na dzień June zmieniła się z ofiary w podejrzaną, a sądząc po raportach oficerów śledczych, nie mieli oni żadnych innych teorii. Wszystko wskazywało na to, że uznali sprawę za wyjaśnioną. Herman Voltersvik miał rację. Zdaniem policji June zabiła swojego dziadka. Nikt nie pytał o motywy, zadowolono się jedynie stwierdzeniem, że dziewczyna ma zaburzenia psychiczne.

Nie podobało mi się to. Oczywiście istniała możliwość, że jest winna, że zabiła dziadka podczas ostrego psychotycznego napadu, jednak stygmat morderczyni groził jej nie z powodu namacalnych dowodów, lecz ponieważ dopuściła się innego przestępstwa, a policja nie miała innych podejrzanych. To ciężkie brzemię dla młodej dziewczyny, która i tak zmagала się z licznymi problemami, a ja chciałem coś zrobić, aby jej pomóc. Nie wiedziałem tylko co.

Rozdział 15

Brzęk – rozległo się za nim. Dźwięk metalu uderzającego o metal, a zaraz potem cicho – klik. Najpierw zatraskująca się brama, następnie odgłos sprężynek i zasuwek mechanizmu zamka, precyzyjny i zdecydowany, dźwięk kończący piętnastoletnią odsiadkę, stawiający wyraźniejszą i odpowiedniejszą kropkę niż wszystko inne, co wydarzyło się tego dnia. Właściwszą niż z wysiłkiem składane przez współwięźniów gratulacje i propozycje, co powinien zrobić, kiedy wyjdzie, bez wyjątku dotyczące kobiet i alkoholu. Kropką mówiącą więcej niż krótką, wyuczona i rutynowa przestroga sierżanta, kazanie, które wygłaszał już tysiąc razy, będące bezsensownym marnotrawstwem czasu dla takiego weterana jak on. Dźwięk zatraskiwanego zamka podsumowywał istotę długiego pobytu w więzieniu dużo precyzyjniej niż upominek pożegnalny pracownika socjalnego, składający się z broszur, numeru telefonu do referenta ze Służby Więziennej i pakietu dobrych rad. Zablockowane drzwi i zamknięte bramy były duszą tego miejsca.

Klik.

I tyle. Brama przez wszystkie te lata trzymała go w środku, teraz zaś znalazł się na zewnątrz, a drzwi pozostawały zamknięte na klucz, nadal odbierając mu możliwość wyboru. Mógł zapukać, ale nikt go nie wpuści. Był wolny, co wywołało w nim falę paniki.

Nawet wicedyrektor wpadł do niego tego ranka. Zażartował, powiedział, że już starczy, że już go tutaj nie chcą.

– Byłeś tu wystarczająco długo, Freddy – stwierdził. – Wystarczy. Jesteś już stary. Nie wracaj.

Klik.

Nie wracaj.

Sam wiedział, że ma już dość. Zestarzał się. Poznawał to po stale mrowiącym bólu w kościach, po sztywności stawów wczesnym rankiem, a zwłaszcza po wszystkim, co go męczyło. Bezsensowne kłótnie na oddziale. Bezcelowe gadanie. Idiotyczne programy w telewizji. Czuł, jakby już zaczął odrzucać to, co nie było istotne, zdejmować kolejne warstwy nieważnych, powierzchownych, pozbawionych znaczenia spraw, dopóki nie zostanie mu coś niebagatelnego. Coś znaczącego. Nadającego życiu sens.

Wiatr był zimny, hulał nad ośnieżonymi, otwartymi polami, kłuł go w policzki, wsuwał swe lodowate palce pod kołnierz i między guziki znoszonej czarnej, skórzanej kurtki. Wzdrygnął się lekko, zarzucił na ramię sportową torbę, zawierającą cały jego doczesny dobytek, i ruszył przed siebie. Dotarłszy do przystanku autobusowego, odstawił torbę i wetknął dłonie w kieszenie, aby je ogrzać. Stał na szeroko rozstawionych nogach, całkiem spokojnie. Niebo rozciągało się przed nim, szerokie i otwarte, pokryte przesuwającymi się chmurami. Zimne niebo, szare, w odcieniu stali. Nagle zatęsknił za ograniczonym horyzontem, wąskimi uliczkami i stromymi zboczami, za deszczem i dodatnią temperaturą.

Gdy nadszedł autobus, musiał odchrząknąć, zanim poprosił o bilet do Oslo. Gardło miał suche i oporne, jakby przez wszystkie te lata w ogóle nie mówił. Długo szukał monet, czuł się niezdarnie,

niepewnie. Idąc przejściem, widział spojrzenia, był pewien, że wszyscy wiedzą, skąd wyszedł. Zirytował się na siebie, bo spuścił wzrok. Znalazł wolne miejsce, odwrócił się i przez okno autobusu zobaczył szare mury. Pojedynczy promień światła, który przedostał się przez chmury, złoty palec wskazujący sprawił, że ciężkie budynki zajaśniały jak zamek z baśni, ozłocony miraż, ostatnie poważne kłamstwo, aż autobus okrążył zalesiony pagórek i widok zniknął.

– Tak. Już wystarczy – powiedział cicho do siebie, po czym złożył szalik w poduszeczkę, wcisnął ją w szczelinę między oknem a oparciem fotela, przechylił głowę i zamknął oczy. Parę minut później już spał.

Rozdział 16

Zadzwoiłem do Hermana Voltersvika i powiedziałem, że muszę porozmawiać z jego żoną.

– Dlaczego?

– Żeby dowiedzieć się więcej o Torleifie Bergem. Muszę uzyskać jego obraz jako osoby, człowieka. Pana żona jest najbliższą...

– Niech pan zadzwoni na jej komórkę – odparł, a następnie podał mi numer. – Ale nie wiem, czy będzie chciała o tym mówić. – Rozłączył się, zanim zdążyłem zapytać dlaczego.

W świetle dziennym dom nie wydawał się już tak gigantyczny jak nocą, ale nadal pozostawał jednym z największych prywatnych budynków mieszkalnych, jakie widziałem. Masywna, kwadratowa, szara konstrukcja tworzyła twierdzę o odpychającej, wrogiej fasadzie. Okna były ciemne, nikt też nie otworzył, kiedy wcisnąłem dzwonek. Zerknąłem na zegarek. Była czwarta po południu, dokładnie ta godzina, na którą zostałem zaproszony. Okrążyłem dom. Z tyłu na całej jego długości ciągnął się taras. Przytknąłem twarz do podwójnych drzwi, próbując dojrzeć coś za czarną szybą, ale ujrzałem jedynie własne odbicie.

Szerokie schody prowadziły z tarasu do ogrodu wielkości parku. Chodziłem białymi żwirowymi alejkami, w cieniu rozłożystego buka purpurowego i między kołyszącymi się czarnymi sosnami. Znowu poczułem mieszanek zgniłych wodorostów i słonej wody. Chwilę

później dostrzegłem stalowoszare morze, pokryte drobnymi, białymi falami, oraz budynek w kształcie litery A między drzewami. Niemal całą powierzchnię dachu zajmowały wielkie okna. Niemalowane ściany wyblakły od słońca, wody i wiatru, stały się srebrzystoszare. Z komina unosił się dym, siwe smugi natychmiast porywał wiatr. Stałem tak chwilę, patrząc na fiord rozciągający się przede mną pod niskim, zimowym niebem, czując na twarzy chłodne, czyste powietrze, aż wreszcie podszedłem do budynku. Drzwi były otwarte, więc wszedłem do zagraconego korytarza. Na ścianie wisiały kombinezon ochronny, stary anorak i pomarańczowy zestaw przeciwdeszczowy, podobny do tych używanych przez robotników drogowych. Na podłodze wały się puste butelki, kamizelka ratunkowa, gumki i para dziurawych adidasów. W kącie stała wędka. Otworzyłem następne drzwi, zza których uderzył mnie intensywny zapach parafiny. Wszedłem do wielkiego, pełnego światła pomieszczenia. Cała fasada budynku od strony morza zrobiona była ze szkła. Pozbawiony granic pokój wychodził na niebo i fiord, otwarty, a jednak ciepły i suchy. Wszędzie, na sztalugach, ścianach i filarach stały lub wisiały duże płótna. Na wielkie białe powierzchnie tak oszczędnie nałożono barwy, że obrazy wydawały się blade i odległe, jakby patrzyło się na nie z bardzo daleka lub przez przezroczystą jak szkło wodę.

– Halo! – zawołałem cicho, a po chwili znowu, nieco głośniejszym głosem. – Halo! Jest tu kto?

Zjawiła się między płótnami. Nagle wyrosła spod ziemi, zdezorientowana i skoncentrowana zarazem.

– Już czwarta?

– Już sporo po.

– Przepraszam. Zapominam o czasie, kiedy... – Niewyraźnie

wskazała dłonią swoje otoczenie.

– To twoje obrazy?

– Tak.

– Nie miałem pojęcia...

Uśmiechnęła się nieco krzywo.

– Oczywiście. Pewnie nie orientujesz się za bardzo w świecie sztuki?

– Chyba nie. Jesteś znana czy to tylko hobby? Powinienem być o tobie słyszeć?

– Skończyłam szkołę artystyczną w Berlinie. I tak, chyba jestem dość znana. Miewam wystawy w różnych miejscach, a nie każdemu się to udaje.

Obszedłem pomieszczenie, uważnie przyglądając się płótnom.

– Podobają ci się?

– Tak. Ale ja nie znam się na sztuce.

– Nie trzeba się znać, żeby lubić jakiś obraz.

– Nie. Pewnie nie.

W pokoju było ciepło. Rozpiąłem płaszcz.

– Daj mi swój płaszcz – powiedziała. – Napijesz się kawy?

Dwa małe fotele i stolik stały nieco schowane w rogu pod szklaną ścianą. Patrzyłem na Helenę, gdy gotowała wodę, odmierzała kawę, wyjmowała ciasteczka z szafki. Miała na sobie luźne, wytarte dżinsy, pokryte farbą we wszystkich odcieniach tęczy, oraz coś wyglądającego na stary podkoszulek, podobny do tego, jaki nosił mój ojciec. Był niemal tak samo poplamiony jak spodnie. Obserwowałem jej szczupłe ciało, długą, elegancką linię od ramienia, przez bark, aż do szyi. Miała lekkie zagłębienie na karku, u nasady włosów, w którym było coś bezbronnego, niemal dziecięcego. Przykucnęła, koszulka podciągnęła się na plecach,

a moim oczom ukazała się blada skóra, jej miękkie krągłości. Musiałem przełknąć ślinę i odwrócić wzrok, gdy Helena wstała i odwróciła się w moją stronę.

– Mam tylko rozpuszczalną – powiedziała. – Mam nadzieję, że to nie problem.

Przyjąłem gorący kubek, musnąłem jej palce i ona także musiała coś poczuć lub wyczytać z mojego spojrzenia, bo na chwilę wszystko stanęło w miejscu, aż zaczęliśmy mówić jedno przez drugie.

– Rozpuszczalna jest w porządku – odezwałem się, a ona na to:

– Uważaj, gorące.

Ale już uniosłem kubek do ust, sparzyłem się i zakląłem. Zaśmiała się perliście – po raz pierwszy słyszałem jej śmiech – i chwila minęła.

Gdy usiedliśmy w fotelach, znów spoważniała.

– Dziękuję, że nie wspomniałeś mojemu mężowi o tamtym wieczorze.

– Co miałem powiedzieć? Trochę za dużo wypijaś. Każdemu się czasem zdarza.

– Nie Hermanowi.

– Okej, więc prawie każdemu.

– Ja... – Kilka sekund milczenia, aż wyrzuciła z siebie: – Na pewno uważasz, że jestem okropna, bo... chodzę na miasto, piję, bawię się i tańczę, podczas gdy moja córka leży... Jest w szpitalu, trwa śledztwo w jej sprawie i...

Pokręciłem głową.

– Nie, wcale tak nie myślę. Wiem, ile czasu spędziłaś przy niej na oddziale oparzeń, a tamtego wieczoru też wcale nie wyglądało, żebyś tak świetnie się bawiła. Prawdę mówiąc, wydawałaś się raczej zdesperowana i zrozpaczona.

– Musiałam wyjść, zanim mi odbije. Zająć się czymś innym, pomyśleć o czymś innym niż June, niż to, co się z nią stanie, dlaczego to wszystko się wydarzyło, co mogłam zrobić inaczej...

– Na pewno nic nie mogłaś...

– Od wielu miesięcy mówiła o pożarze, o płomieniach, ogniu i oczyszczeniu. Tylko przytakiwałam, nie brałam tego na poważnie, nic nie powiedziałam lekarzom, nikomu. Może gdybym się tym przejęła...

– Na pewno nic by to nie zmieniło. Nie możesz się obwiniać.

Słyszałem, jak nieprzekonujące i bezsensowne są moje słowa w zetknięciu z jej rozpaczą i poczuciem winy. Helena chyba też to czuła. Musiała zauważyć przepaść między dobrymi intencjami osoby z zewnątrz a swoją własną mroczną desperacją, gdyż nagle wyprostowała się w fotelu, a jej spojrzenie stało się puste, obojętne, nieprzeniknione.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Matka strasznie się poświęcała – zaczęła Helena. – Była w domu przez całe moje dzieciństwo, zawsze obok. Gotowała, dbała, żebym miała czyste ubrania, odrabiała lekcje i właściwie się zachowywała. Przede wszystkim interesowało ją moje zachowanie. Pilnowała, czy dygam, kiedy kogoś spotykamy i skądś wychodzimy. Czy jestem uprzejma, dobrze wychowana, niewidzialna. Tak samo niewidzialna jak ona. I chociaż zawsze była w domu, to nie było jej przy mnie. Gdy coś mnie trapiło, gdy z czymś się zмагаłam, gdy miałam trudności, nie potrafiła mi pomóc, mówiła jedynie, że muszę wytrzymać. Jakby nic nie dało się poradzić, jakby jedynym wyjściem było pochylić głowę, pogodzić się z sytuacją i mieć nadzieję, że problemy same się rozwiążą.

W głosie Heleny brzmiała surowa, nieprzefiltrowana gorycz,

jakby nigdy wcześniej o tym nie mówiła.

– Wiem, dlaczego taka się stała, ale to nic nie zmienia. Rozumiem ją, lecz nie potrafię jej przebaczyć. Wytrzymywać, znosić wszystko, dostosowywać się do każdej sytuacji – co to za rady dla córki?

– Dlaczego taka się stała? Powiedziałaś, że wiesz.

– Tak. Przez mojego ojca. – Zamilkła na chwilę. – Był... Jeśli matka była skłonna do poświęceń i uległa, to on zachowywał się wręcz odwrotnie. Był dominujący. Głośny. Trudny, stale walczący z życiem, z otoczeniem, sąsiadami i kolegami z pracy, z wszystkim i wszystkimi.

– Nie brzmi to jak osobowość idealnego policjanta.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie, z pewnością. Ale, o dziwo, ludzie go szanowali, w każdym razie bardziej niż koledzy. Spotkałam wielu starych pijaków i więźniów, którzy pięknie się o nim wypowiadali. Był człowiekiem starej daty. Srogim, ale sprawiedliwym! I pił. Nie cały czas, okresowo. Najczęściej bywał zamknięty w sobie, milczący. Surowy mężczyzna. Ale nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, się zmieniał. Stawał się niespokojny, nerwowy, nie potrafił się skupić na codziennych sprawach. Wtedy było najgorzej.

– Jak to?

– Wiedzieliśmy wówczas, że niedługo zacznie pić. A kiedy już zaczynał, to na poważnie. Czekały nas całe tygodnie piekła.

– Bił was?

– Nie. Tylko chodził straszliwie pijany. Wrzeszczał. Tłukł rzeczy. Koszmar. Ale wszyscy... matka, koledzy, sąsiedzi... zachowywali się później, jak gdyby nic się nie stało. Jakby wszystko było w normie. Bo tak też było, tak wyglądała norma w mojej rodzinie. Matka...

tuż przed śmiercią powiedziała... tylko ten jeden raz o tym wspomniała... powiedziała, że podczas wojny wydarzyło się coś, co go zmieniło. Że nie zawsze był taki. Nie wiem. Ja nie znałam go innego.

– Ale June знаła. Mieli z sobą dobry kontakt, prawda?

– Owszem. Ojciec... przestał pić, nie całkiem, ale w ostatnich latach pił mniej i rzadziej. A June... Co dziwne, wobec niej zachowywał się zupełnie inaczej, jak ciepły, miły, kochający dziadek. Dostała od niego wszystko to, na co ja próżno czekałam. To prawda, że mieli z sobą dobry kontakt. Czasem u niego nocowała, zostawała na weekend. Wydawało się, jakby jej to służyło. Aż... aż pewnego ranka wstała i go znalazła.

Podczas naszej rozmowy nastał wieczór. Niebo i morze rozplynęły się w ciemności, za oknem jaśniały jedynie sporadyczne białe grzbiety fal. Zapytałem, czy odprowadzić ją do domu, czy będzie dalej malować.

– Wolę pracować w świetle dziennym – odparła. – Włożę tylko płaszcz.

Wiatr na zewnątrz stał się bardziej rześki. Czarne gałęzie kołysały się w blasku stojących wzdłuż ścieżki latarni, które włączyły się automatycznie. Helena ściągnęła dłonią płaszcz pod szyję i się wzdrygnęła. Podałem jej rękę, którą po chwili wahania chwyciła. Szliśmy wolno przez mrok, dobrze czując się w milczeniu i we własnym towarzystwie, choć nie wiedziałem dlaczego. Gdy dotarliśmy do domu, odwróciła się w moją stronę. Na jej twarzy igrały cienie. Staliśmy tak przez chwilę, aż wyciągnęła rękę. Uścisnąłem ją, poczułem ciepło jej dłoni.

– Myślisz, że możesz nam pomóc? June... Bez względu na to, co mówią, June nigdy by nie zrobiła krzywdy dziadkowi, tego jestem

całkowicie pewna.

– Mam nadzieję, Heleno. Dam z siebie wszystko.

– Do widzenia – powiedziała. Zabrzmiało to dziwnie sztywno i formalnie, lecz jej dłoń nadal była ciepła i żywa w mojej dłoni.

Rozdział 17

– Jak to wygląda? Do czegoś pan doszedł? – Głos Hermana Voltersvika brzmiał w moim uchu zdecydowanie i nieco niecierpliwie. Był to głos męczyzny przywykłego do wydawania poleceń, dostawania tego, co chce.

– Zaczynam już orientować się w sprawie.

– Rozmowa z Heleną jakoś panu pomogła?

– Tak, w pewnym stopniu. Torleif Berge nie wydaje mi się przyjemnym człowiekiem.

W słuchawce na moment zrobiło się cicho.

– Nie, nie był przyjemny. Prawdę mówiąc, był świnią. Prawie zniszczył życie Heleny. Gdy ją poznałem, była...

Czekałem, ale ciąg dalszy nie nastąpił.

– Co pan myśli o tej sprawie? – zapytał zamiast tego.

– Jeszcze nie do końca wiem. Waham się.

– Co do czego?

– Wszystkiego. Tego, co się stało i co powinienem jeszcze zrobić.

Nie mam pewności, czy wynajęcie mnie było dobrym pomysłem.

– Proszę pojechać ze mną do June.

– Co?

– Proszę odwiedzić ze mną June.

– Dlaczego? Nie widzę zupełnie...

– Do zobaczenia dzisiaj o siódmej przed szpitalem.

Nie zdołałem zaprotestować.

Herman Voltersvik nie mówił zbyt wiele, gdy się spotkaliśmy. Uścisnął mi tylko dłoń i zaprowadził mnie do głównego wejścia, po czym szybkim krokiem wspiął się po schodach i przeszedł przez drzwi.

– Często tu pan bywa? – zapytałem, lekko zziębnięty.

– Tak często, jak mogę. Co najmniej cztery razy w tygodniu, jeżeli nigdzie nie wyjeżdżam.

– A Helena? Pańska żona?

– Codziennie.

– Jest tutaj dzień w dzień?

– Tak.

Odwiedzałem to miejsce bynajmniej nie po raz pierwszy. Na początku kariery miałem wielu klientów leczonych psychiatrycznie. Od tamtej pory minęło parę lat, ale w szpitalu niedużo się zmieniło. Ujrzałem te same przysadziste, murowane budynki, te same ponure korytarze z otępiałymi, biernymi pacjentami podpierającymi ściany na krzesłach i tę samą ponurą, żółtą farbę, jedyny w swoim rodzaju odcień, spotykany tylko w urzędach i szpitalach psychiatrycznych.

June była ubrana, ale siedziała na łóżku z kołdrą zrolowaną pod plecami. Prześcieradło leżało zmierzwione, podwinięte przy stopach. Grzywka opadała jej na oczy, a wyraz oczu widziałem już wcześniej u nafaszerowanych lekami pacjentów lub narkomanów – wzrok miała pusty, szklisty, lekko rozkojarzony, jakby świat stracił ostrość. Pojaśniała jednak na widok ojca.

– Tata – powiedziała, a on objął ją i długo ścisnął.

To było nowe oblicze Hermana Voltersvika. Mówił o zwyczajnych rzeczach, cicho i spokojnie, jednostajnym głosem, przekazywał

codzienne informacje o ludziach, o których nigdy nie słyszałem, zapewne członkach rodziny albo dawnych przyjaciółach June. Czasami pytał, czy June pamięta daną osobę. Niekiedy odpowiadała twierdząco, kiedy indziej zaś jedynie spoglądała na ojca bez zrozumienia, nieco rozpaczliwie, jakby pytanie zadano jej w obcym języku. W jej oczach widziałem wówczas coś znajomego i nagle przypomniałem sobie, co przypominał mi jej wzrok. Rozpacz i desperację w spojrzeniu mojego otepiałego ojca, gdy świat wymykał mu się z rąk, a wspomnienia zastępował chaos. Patrzenie na ojca w takim stanie sprawiało mi ból, ale zarówno ja, jak i on zdążyliśmy się do tego trochę przyzwyczaić. Dużo gorzej było widzieć ten sam wyraz twarzy u młodej dziewczyny.

Podczas rozmowy stale zachowywali kontakt fizyczny. Herman Voltersvik obejmował ją albo poklepywał po głowie, czasem jedynie trzymali się za ręce. Chyba jej się to podobało, gdyż oparła się o ojca, schowała się pod jego ramieniem. Mnie zignorowała tuż po tym, jak się przywitaliśmy, lecz teraz nagle zwróciła się w moją stronę.

– Kim pan jest? – zapytała, a ja powtórzyłem nazwisko.

– Dlaczego pan tu jest? Ktoś pana przysłał? – W jej oczach błysnął niepokój.

– Przyszedłem z twoim tatą. On mnie tu zabrał.

– Ach, tak.

To chyba ją uspokoiło, ale chwilę później nagle znów na mnie spojrzała.

– Widziałam... pana kiedyś.

– Tak?

– Tak, wiem, że pana widziałam. Był pan... był pan... tam w tamtą noc.

– Może ja już pójdę – powiedziałem, wstając. – Chyba mnie pamięta z...

– Dosiadłeś czerwonego rumaka o czarnych skrzydłach, tryskałeś dymem i ogniem, uniosłeś mnie i stamtąd zabrałeś, niosłeś mnie na skrzydłach zemsty, byłeś ze mną albo przeciw mnie, czy byłeś mścicielem, razem z mścicielem, nie, tak, nie, nie wiem, lecz zemsta była czerwona i czarna, zemsta była gorąca jak ogień, jak czerwone płonące jęzory piekła, byłeś i ja byłam, i noc, i rumak, i żar, i zemsta, i żar, i noc, i my dwoje, i ja sama, musiałam śnić, powstrzymać dźwięk drepczących stópek, drepczących stóp, drapiących szponów w nocy w ścianach i suficie, są wszędzie, wszędzie pełzają szczury, nadchodzą, nadchodzą...

Jej głos, z początku cichy i bezbarwny, przybrał na sile, stał się głośny i potężny, donośniejszy, jak gdyby odprawiała mszę. Wzdrygnąłem się, gdyż wiedziałem, że mówi o tamtej nocy, gdy doszło do pożaru. Przywołała cień owego chaosu, taki, jaki zachował się w jej chorym umyśle. Tamtej nocy, gdy dosiadłem czerwonego rumaka. Poczułem, jak włoski na rękach stają mi dęba, lecz wtedy Herman Voltersvik, który prawie od razu wstał z łóżka i wyszedł na korytarz, wrócił z pielęgniarką. Znow usiadł koło córki, objął ją i przytrzymał, ale nie zwróciła na niego uwagi, wzrok wbity miała we mnie, jej głos narastał i cichł jak muzyka organów. Strumień słów i skojarzeń, monolog bez sensu i treści.

Po paru minutach wpadły kolejne dwie pielęgniarki. Jedna wbiła strzykawkę w ramię June i po kilku chwilach dziewczynę ogarnęła senność. Jej głos przeszedł w szept. Położyli ją na łóżku, przykryli kołdrą. Herman Voltersvik pochylił się nad śpiącą córką. Jej włosy nagle zwilgotniały, twarz pokrywał pot. Położył jej dłoń na czole, szepnął do ucha coś, czego nie dosłyszałem. Kiedy wstał,

dostrzegłem przelotnie jej twarz i poczułem, jakbym oglądał ją nagą. Widok był tak intymny, że zrobiło mi się nieswojo.

Na zewnątrz, na parkingu, Voltersvik wydawał się zniechęcony i przybity. Wydobył z kieszeni płaszcz papierosy, zapalił jednego i podsunął mi paczkę.

– Chce pan?

Pokręciłem głową.

– Dziękuję, rzuciłem wiele lat temu.

– Ja też. Ale ostatnio... – Zerknął na opakowanie, jakby nigdy wcześniej go nie widział. – Superlekkie, samo powietrze, równie dobrze mógłbym sobie odpuścić. A Helena nie cierpi, kiedy śmierdzą dymem.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Głęboko się zaciągnął, po czym kontynuował.

– Myślałem, że pomoże panu, gdy zobaczy pan ją taką, jaka jest naprawdę. Jaką znam ja. Osobę kryjącą się za chorobą. Myślałem, że widział pan ją w najgorszym stanie i że... – Pokręcił głową. – Głupio zrobiłem. Chyba mój pomysł odniósł odwrotny skutek.

W tej chwili nie wyglądał na mężczyznę u władzy, o określonej pozycji, z setkami milionów na koncie. Przypominał raczej bezradnego chłopca, a ja zdałem sobie sprawę, że go lubię. Nie wiedziałem, jak zachowuje się jako przedsiębiorca, lecz wobec mnie nie był ani trochę fałszywy czy wyrachowany.

– To nie ma znaczenia – zapewniłem. – Wiedziałem wcześniej, że nie jest zdrowa, więc to bez różnicy. Może głupio zrobiłem, przyjeżdżając tu z panem, może przypomniałem jej tylko o pożarze, ale i tak uczynię, co w mojej mocy, żeby zbadać tę sprawę.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Mam nadzieję, że się panu uda. Bardzo dużo by to dla nas

wszystkich znaczyło, a najwięcej chyba dla Heleny. W końcu to jej ojciec i córka, a myśl, że June mogła... Chyba rozdarłoby to jej serce. – Ostatnie zaciągnięcie i papieros znikł, posłany rozżarzonym łukiem na mokry asfalt. – Życie ciężko doświadczyło Helenę, nie mam pojęcia, ile jeszcze zniesie... Wie pan, że jest artystką?

– Tak.

– Widział pan jej obrazy? Podobały się panu?

– Tak. Podobały mi się.

– Mnie też. Jest znakomita.

– Owszem – przyznałem, czując ucisk w żołądku. – Bardzo ją lubię.

Mówiłem prawdę. Wiedziałem to aż nazbyt dobrze.

Rozdział 18

W Oslo przywitał go chaos. Pulsująca, niepojęta, rozedrgana rzeczywistość, wywołująca odrętwienie i paraliż. Już wcześniej tego doświadczył, nieobcy był mu szok wyjścia na wolność po wielu latach. W ostatnim okresie dostawał nawet przepustki, spędzał długie weekendy wśród ludzi, powinien więc być na to przygotowany, ale nie był. Przepustki przypominały grę, udawanie, zabawę w teatr. Teraz na poważnie zetknął się z otaczającym go światem. Mruganie świateł ulicznych, neony rozjarzone w mroku, ostry pisk szyn tramwajowych, klaksony samochodów, przenikliwe odgłosy motocykli, kakofonia dźwięków i wrażeń – wszystko to sprawiało, że płoszył się niczym kociak, atakowało zmysły, przyprawiając go o zawrót głowy. I ludzie. Niekończący się strumień ludzi, czarnych, białych, brązowych i żółtych, szturchających go, odpychających na bok, kiedy stał na rogu ulicy, zastawiając im drogę, jak nieruchoma wyspa pośrodku ludzkiej rzeki.

Nie potrafił się odnaleźć. Nie wiedział, gdzie jest. Znał Oslo, zdarzyło mu się tam mieszkać, lecz teraz wszystko się zmieniło, jakby ktoś zburzył miasto i wybudował je na nowo trochę inaczej.

Bez ostrzeżenia wezbrała w nim panika, lęk, który odebrał mu oddech, obezwładnił zmysły, osłabił nogi. Zgarbił się, musiał wyciągnąć rękę, aby oprzeć się o najbliższą ścianę. Nadal mijał go

potok ludzi. Niektórzy zerkali na niego podejrzliwie, ale nikt się nie zatrzymał, nikt nie zapytał, czy źle się czuje lub potrzebuje pomocy.

„Mógłbym tu umrzeć – pomyślał. – Paść na ziemię i umrzeć z pękniętym sercem, nie, z pękniętym mózgiem i przeciążeniem zmysłów. Mógłbym umrzeć na tym chodniku i nikt by się nie zatrzymał. Chodziliby po mnie, zdeptaliby mnie, wbili w chodnik, aż nic by ze mnie nie zostało, aż bym zniknął. I nikt by za mną nie tęsknił”.

Minęło. Najgorsze minęło, a po chwili znowu myślał, widział i słyszał. Zorientował się też w terenie. Tak naprawdę nie zmieniło się aż tak dużo. Za światłami, szyldami i plakatami, za fasadami i migotliwie podświetlonymi oknami wystawowymi miasto pozostało w dużej mierze takie samo. Rozwahał, czy pojechać tramwajem, czy taksówką, ale nie potrafił, nie chciał na nikogo się zdawać. Dlatego poszedł pieszo. Minął dworzec Oslo S, uśmiechnął się na widok wielkiego tygrysa, który był dla niego nowością, przeszedł obok dobrze znanego, starego budynku Kolei Wschodniej i dalej koło ulubionego niegdyś przez narkomanów obszaru znanego jako Plata, który teraz niemal świecił pustkami po rozproszeniu środowiska przez policję. Skierował się w stronę portu, ku znajomym zakątkom i ulicom. Wetknął rękę do kieszeni, wydobył kartkę z nazwą i adresem pensjonatu, dla pewności ponownie go przeczytał, chociaż właściwie pamiętał treść notatki. Odnalazł to miejsce, zapuszczone i staromodne, lecz stosunkowo czyste. Stary mężczyzna w recepcji miał na dłoniach brązowe plamy wątrobowe, a na ramionach łupież, brzydko pachniał i uśmiechał się krzywo, bez humoru. Miał jednak wolny pokój od podwórza. Freddy wszedł na drugie piętro schodami – nie lubił wind – i odnalazł pokój. Przekręcił klucz w zamku. Położył się na łóżku i zamknął oczy.

Czuł łomoczące serce. Powoli się uspokajał, dawał otoczyć się przestrzeni, skupiał się na wolnym oddechu, próbując odnaleźć w sobie ów punkt. Punkt równowagi. Punkt, dzięki któremu przetrwał te wszystkie lata. Znalazł go wreszcie, a wraz z nim – spokój.

Na zewnątrz panowała wolność.

Chaos.

Za parę dni będzie lepiej. Musi być lepiej. Czas zacząć funkcjonować.

Miał coś do zrobienia.

Rozdział 19

Wiele razy pływałem już tym promem. Widziałem fiord połyskujący lodowatą zielenią w jasnym świetle słońca, otoczony kwitnącymi drzewami owocowymi i górami o ośnieżonych szczytach, jednak to było latem. Ten wtorek mocno różnił się od moich wspomnień. Na nabrzeżu stało niewiele samochodów, a kłujący, zimny wiatr wzburzał na szarej wodzie białe grzywy. Kiedy wpuszczono nas na prom, nikt nie podniósł wzroku ku imponującym horyzontom, wszyscy, trzęsąc się, spieszenie przeszliśmy przez pokład, by zejść do dusznego salonu, gdzie serwowano wrzącą kawę o posmaku ekspresu, który już dawno należało wyczyścić. Nikt na nikogo nie patrzył, wszyscy czytali gazety lub wpatrywali się w swoje kubki.

Jechałem do szpitala, w którym przebywała June, gdy choroba po raz pierwszy dała o sobie znać.

Zanim wreszcie dotarłem na miejsce, nastąpiło popołudnie. Chmury nieco się rozstąpiły, dostrzegałem między nimi przebliski bladobłękitnego, zimowego nieba. Stare szpitalne budynki stały samotnie na końcu drogi krajowej – była to grupka podniszczonych murowanych gmachów, niektóre z okresu międzywojennego, inne nieco nowsze, lecz wszystkie wychodzące na szeroki fiord, położone w nim wyspy oraz wysokie niebo.

Ordynator był stary, dużo starszy, niż to sobie wyobrażałem, gdy

rozmawiałem z nim przez telefon. Chodził pochylony, wolno stawiając kroki, lecz oczy miał bystre, a głos – młodszego mężczyzny.

– Doktor Hemmingsen – przywitał się w dźwięcznym północnym dialekcie. – Kawy? Tylko tyle mogę zaproponować.

Gdy popijaliśmy kawę, wyjaśniłem przyczynę swojej wizyty. Powiedziałem, że muszę wiedzieć więcej o June Berge, o jej przeszłości i historii choroby. Hemmingsen słuchał uważnie, dotykając palcami teczki leżącej przed nim na blacie biurka.

– June Berge, tak – rzekł. – Dobrze ją pamiętam. Pamiętam wszystkich swoich pacjentów, ale June bardziej niż innych. Chyba z powodu jej niezwykłego uroku, ale też jej zdolności. Była inteligentna, bardzo ładnie rysowała i malowała, pięknie grała na pianinie.

Trochę się zdziwiłem. Nikt mi o tym nie wspominał; zdałem sobie sprawę, jak niewiele o niej wiem.

– Niestety choroby psychiczne nierzadko dotyczą ludzi utalentowanych – ciągnął Hemmingsen. – Mnóstwo wielkich artystów cierpiało na depresje, a nawet psychozy. Na przykład malarz Lars Hertevig. Albo John Forbes Nash, słyszał pan o nim? Nie, niewielu go zna, w każdym razie cierpiał na schizofrenię, a mimo to zdobył Nagrodę Nobla z ekonomii. Zadziwiający człowiek. – Odchrząknął. – Ale zamęczam pana dygresjami. Wróćmy do June. Jeśli dobrze rozumiem, mecenasie Brenne, pana zasadniczym pytaniem jest to, czy mogła zabić swojego dziadka.

Skinąłem głową.

– Właśnie. Jak pan pewnie wie, u June zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną. Przyjęto ją tutaj po ostrym ataku jakieś dwa lata temu. Była wtedy w bardzo kiepskim stanie, przejawiała

silne tak zwane objawy pozytywne, to znaczy miała zaburzone pojęcie rzeczywistości. June wierzyła, że odegra ważną rolę w ostatecznej walce dobra ze złem, że zło ją ściga i wpływa na nią poprzez telewizję, radio, a przede wszystkim internet. Miała wyraźne, mocne cechy paranoidalne, co oczywiście prowadziło też do potężnego lęku.

– Czy sądzi pan, że mogła uważać dziadka za przedstawiciela zła i dlatego...

– Nie, nie, panie mecenasie. Opisuję jedynie jej stan w czasie, kiedy do nas przyszła. Pół roku później, a jeszcze przed śmiercią dziadka, czuła się dużo lepiej. Przyjmowała leki, które miały pozytywne działanie.

– Była zdrowa?

– Nie, nie była zdrowa. Ale objawy bardziej związane z, powiedzmy, zaburzeniami pojmowania rzeczywistości zasadniczo zniknęły albo przynajmniej zostały mocno stłumione. Na pierwszy plan wybiło się coś, co nazywamy negatywnymi komponentami choroby, czyli zubożenie życia uczuciowego i nieumiejętność odczuwania radości. – Przerwał na chwilę, spojrzał w zamyśleniu przed siebie. – Dlatego uznałbym za zaskakujące, gdyby zabiła dziadka, którego poza tym, o ile pamiętam, bardzo kochała.

– „Zaskakujące” to w tej sytuacji dość niejasne słowo.

– Owszem. Problem w tym, że przy psychozach nigdy nie można mieć pewności. Nie wiemy, skąd się biorą ani kiedy wrócą. Na ogół można zauważyć nadchodzący ostry atak, gdyż stan pacjenta stopniowo się pogarsza, więc nagłe nawroty choroby są dość niezwykłym zjawiskiem u pacjentów, którzy przyjmują leki psychotropowe.

– Ale nie można ich wykluczyć?

– W dziedzinie psychoz niczego nie można wykluczyć. Coś mogło spowodować ostry atak psychotyczny. A wiemy przecież, o ile dobrze zrozumiałem, że June miała taki atak.

– Czy coś musi go spowodować? Konieczna jest jakaś forma działania z zewnątrz?

Doktor Hemmingsen skinął głową.

– Tak. Tak, jestem o tym przekonany. Nagłe ataki nie biorą się znikąd. Ale nie potrafimy stwierdzić, co je wywołuje, poza tym, że musi to być przeżycie o potężnej sile oddziaływania emocjonalnego.

Zastanowiłem się chwilę.

– Znalezienie dziadka martwego, zamordowanego, mogło wywołać atak psychotyczny?

– Zdecydowanie. To się niemal samo narzuca.

– Okej. To ewidentnie najbardziej prawdopodobny scenariusz. Ale jeżeli wydarzyło się coś innego, coś, co spowodowało u June nawrót psychozy, to czy możliwe, że w takiej sytuacji zabiła człowieka, którego kochała?

– Chciałbym odpowiedzieć przecząco, jednak jeśli byłby to ostry napad choroby i jeśli uznałaby dziadka za część sił, które ją ścigają, prześladują, to istniałaby taka możliwość. O ile wiem, June nigdy nie przejawiała skłonności do przemocy, zresztą zdecydowana większość osób dotkniętych psychozą jest całkowicie niegroźna, ale...

Powiedziałem mu o pożarze, a on wysłuchał mojej historii w milczeniu. Kiedy skończyłem, wyglądał dość smutno.

– Całe szczęście, że nikt nie zginął.

– Tak. Ale policja uważa, że... że podpalenie przez nią domu czyni tamtą historię bardziej prawdopodobną. Wierzą, że to ona zabiła dziadka.

Doktor Hemmingsen zastanowił się nad tym.

– Cóż, widzę tu pewien związek. Wykazano, że jest groźna, ale to przecież dość powierzchowna logika, czyż nie? To znaczy, o ile rozumiem, między obydwojema epizodami nie istnieje żadne dające się udowodnić, wewnętrzne lub zewnętrzne, powiązanie.

– No, nie, ale ponoć mówiła dużo o ogniu, krwi i oczyszczeniu na wiele miesięcy przed pożarem – wyjaśniłem, a on natychmiast spoważniał.

– Naprawdę? Kto tak twierdzi?

– Jej matka. Czy to coś oznacza?

– Może. Co prawda wcale mi się to nie podoba, to czysta spekulacja, ale mam wrażenie, że jeśli, całkiem hipotetycznie, zabiła swojego dziadka, to możliwe, że teraz dręczy ją ogromne poczucie winy.

– Pomimo psychozy?

– Zgadza się. Nasz umysł działa na różnych płaszczyznach, z których nie wszystkie pozostają w związku z sobą, ale tak, uważam, że poczucie winy jest prawdopodobne. I w takim razie wydaje mi się, że wizje ognia i oczyszczenia mogą być swego rodzaju odpowiedzią na to traumatyczne doświadczenie.

– Czyli że podpalenie miałyby być formą pokuty?

– Właśnie. Ogień jako oczyszczająca siła to w końcu stara, uniwersalna idea. A to, że June sama próbowała wejść w płomienie... – Pokręcił głową. – Zresztą nie wiem, to tylko spekulacje. Może nie powinienem był tego mówić.

W drodze do domu zadzwoniłem do Heleny.

– Dzień dobry, tu Mikael Brenne.

– Dzień dobry. – Króciutka przerwa. – Hermana nie ma. Wyjechał.

– Wiem, to z tobą chciałem porozmawiać.

– Ach, tak?

– Zastanawiałem się nad jedną sprawą. Czy twój ojciec pilnował, aby zamykać drzwi i okna?

Jej westchnięcie było bezdźwięczne, bardziej je poczułem, niż usłyszałem.

– Tak, miał manię na tym punkcie. Jak to stary policjant. Zawsze o tym marudził, gadał, jacy to ludzie są nieostrożni, ile już widział włamań. To niemal nie do pomyślenia, żeby zapomniał zamknąć drzwi na klucz.

– Skoro zawsze zamykał drzwi, a nie było śladów włamania, to istnieją dwie możliwości, prawda? Albo zrobiła to June, albo twój ojciec wpuścił mordercę do środka.

– No i?

– Myślałem tylko, że... wiemy, że było późno... że do zabójstwa doszło późno w nocy, po pierwszej. Czy wpuściłby kogoś obcego o tej porze?

– Nie wiem. Nie wydaje mi się. Z czasem stał się wyjątkowo ostrożny, jak to bywa z osobami w podeszłym wieku. Chyba czuł się narażony na niebezpieczeństwo.

– No właśnie. Właśnie. Dlatego pomyślałem, że jeżeli kogoś wpuścił, to musiał tę osobę znać.

– Znać? Kogoś, kto go potem zabił?

– Dlaczego nie? Był policjantem, prawda? Jeśli dobrze cię zrozumiałem, pół życia pracował jako śledczy. Musiał wsadzić za kratki wielu, wielu ludzi. Może rozwiązania tej zagadki należy szukać w przeszłości?

– Wydaje mi się to dość nieprawdopodobne.

– Nie twierdzę, że to prawdopodobne, a jedynie, że jest taka

możliwość.

– No, pewnie jest – odparła, ale w jej głosie słyszałem powątpiewanie.

Na nabrzeżu wysiadłem z samochodu i przeszedłem się po mokrym asfalcie, żeby przeczytać godziny kursowania promów, przyklejone od środka na oknie zamkniętego kiosku. Żadnych pojazdów, żadnych ludzi, tylko trzy latarnie i dźwięk fal intensywnie bijących o betonowe nabrzeże. Na prom musiałem czekać trzydzieści minut. Byłem cały zeszywniały po godzinach spędzonych za kierownicą, więc trochę pochodziłem tam i z powrotem, ale wiał zimny wiatr, niosący z sobą masę maleńkich kropelek deszczu, które wpadały mi we włosy, perliły się na płaszczu i po krótkim czasie sprawiły, że wróciłem do samochodu. Szyby zaparowały, toteż włączyłem silnik. Mimowolnie chwyciłem telefon, by ponownie zadzwonić do Heleny Berge.

– Cześć, tu znowu Mikael Brenne.

– Tak?

– Czy chciałabyś... Zastanawiałem się, czy chciałabyś się ze mną spotkać... wyjść na drinka czy kawę.

– Co? Dlaczego? Wpadłeś na jakiś trop?

– Nie, pomyślałem tylko, żeby... się spotkać.

Zapadła długa cisza.

– Halo? Jesteś tam?

– Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

Rozłączyła się.

Na wodach fiordu pojawiły się światła promu, odległe jak gwiazdy w pustym wszechświecie.

Rozdział 20

– A nie mówiłem? Nic pan nie odkryje! – Sierżant Hamre popatrzył na mnie triumfalnie.

– To chyba naturalne pytanie?

– Tak, ale to pytanie dowodzi, że chwyta się pan brzytwy.

– Bo pytam o przeszłość Torleifa Bergego? No proszę, Hamre!

Uśmiechnął się szyderczo, a ja poczułem irytację.

– Czy uzyskam odpowiedź na moje pytanie?

– Czy sprawdziliśmy jego przeszłość? Ma pan na myśli coś szczególnego?

– Torleif Berge był policjantem, prawda? Czy aż tak nierozsądne jest przypuszczenie, że sprawa może mieć związek z czymś z jego przeszłości, ze starym śledztwem, dawną urazą, kimś, kogo kiedyś wsadził za kratki?

– Kimś, kto chciał się zemścić?

– Tak.

– Boże drogi, Brenne, ten człowiek miał osiemdziesiąt pięć lat, gdy go zabito! Osiemdziesiąt pięć!

– No i?

– Dwadzieścia pięć lat wcześniej przeszedł na emeryturę. Kiedy on kończył, ja jeszcze uczyłem się w szkole policyjnej. Nigdy nie słyszałem o Torleifie Bergem, zanim go zamordowano, a pan uważa, że ktoś miałby go zabić z powodu dawnej sprawy? Prawdę

mówiąc, Brenne, bandyci, których Berge swego czasu aresztował, albo już nie żyją, albo mają alzheimera i nie pamiętają nawet swojej matki, a co dopiero jakiegoś starego policjanta.

– Można chyba pomyśleć, że...

– Nie. Nie, Brenne, nie można. Takie rzeczy się nie zdarzają. W ostatnich latach przytrafiało się, co prawda, że policjanci byli narażeni na odwet przestępców, jednak zawsze chodziło o trwające śledztwo, nie o zemstę. A wtedy, jakieś trzydzieści lat temu, było to nie do pomyślenia. W każdym razie gdyby ktoś chciał się zemścić, nie czekałby z tym tak długo.

– Chyba że siedział w więzieniu, przebywał pod specjalnym nadzorem albo był pacjentem szpitala psychiatrycznego.

– Berge nie zajmował się takimi przypadkami.

– A więc sprawdzaliście! W dokumentach nie ma nic na ten temat.

Hamre westchnął.

– Zabójstwo Torleifa Bergego nie zostało wyjaśnione. Jak pan wie, nie lubimy niewyjaśnionych zabójstw, więc nie zostawiamy ich w spokoju. Dlatego odpowiedź na pana pytanie brzmi: tak, sprawdziliśmy co nieco, chociaż sam pomysł jest idiotyczny. I nie znaleźliśmy nikogo, kto miałby motyw lub możliwość, aby zabić Bergego. – Kolejne westchnięcie. – Jak wspomniałem, Brenne, mówimy tu o wczesnej epoce żelaza, o prehistorii! Współcześni Bergego już dawno odeszli z tego świata. Jestem pewien, że, jak każdy policjant, narobił sobie wrogów w ciągu kariery...

– Nie był zbyt miły w obejściu.

– Też tak słyszałem. Jak mówiłem, na pewno miał wrogów, szkielety w szafie, mroczne tajemnice. Wszyscy je mają, policjanci nie stanowią tutaj wyjątku, jednak Berge naprawdę się zestarzał,

a jego życie także przeminęło, straciło sens. – Wzrok Hamrego nagle stał się nieobecny, zamyślony. – Wszyscy się starzejemy, a to, co kiedyś uważaliśmy za ważne, rany, które miały się nigdy nie zagoić... wszystko to z czasem blaknie. Nie znika, jedynie wraz z upływem lat jawi się jako coraz mniej istotne.

Zastanawiałem się, jakie wspomnienia nagle pojawiły się w głowie Hamrego, lecz nie zapytałem. Zamiast tego powiedziałem:

– Możliwe. Myślę jednak, że nie zawsze tak jest. Czasami przeszłość przypomina stare pole minowe, pełne niewidocznych, zapomnianych, ukrytych ładunków wybuchowych, które nadal mogą spowodować śmierć.

Hamre popatrzył na mnie z uwagą.

– Poetyckie porównanie. – Wykrzywił usta. – Jednak w przeszłości Bergego nie znaleźliśmy żadnych min.

– Więc teraz uważacie, że June Berge zabiła dziadka?

– Na to wygląda.

– I chcecie ją oskarżyć?

– Nie ja o tym decyduję.

– Wiem, ale jak pan myśli?

– A jakie to ma znaczenie?

– Hamre!

Zawahał się chwilę.

– Myślę, że zostanie oskarżona, choć dowodów nie ma zbyt wiele.
– Rozłożył ręce. – Za to w sprawie podpalenia jest ich mnóstwo. Biorę też pod uwagę możliwość, że prokurator ulegnie pokusie, aby połączyć obie sprawy, w nadziei, że pierwsza pomoże mu uzyskać wyrok w drugiej. Wie pan, jak to jest.

– Tak. – Wstałem. – Wiem, co nie oznacza, że tak być powinno. W każdym razie June jest niepoczytalna.

– I co z tego? Może zostać skazana na przymusowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym, czyż nie? W ten sposób i tak zakończymy obie sprawy.

– Właśnie. I nie będziecie już kontynuować śledztwa w poszukiwaniu innych sprawców?

– Prowadzimy śledztwo od półtora roku, Brenne, i chyba wiemy, kto jest winny. Dlaczego mielibyśmy to ciągnąć? Mamy przecież co innego do roboty.

– Jasne. – Nie potrafiłem całkowicie się oburzyć i znałem tego przyczynę. W głębi duszy podejrzewałem, że Hamre ma rację, że June Berge naprawdę zabiła dziadka. – Jeszcze tylko jedno. Czy jest tu w komendzie ktoś, w czynnej służbie lub na emeryturze, kto dobrze znał Torleifa Bergego? Ktoś, z kim mógłbym pogadać?

– Dlaczego ciągle odnoszę wrażenie, że mnie pan nie słucha, kiedy do pana mówię, Brenne?

– Pewnie dlatego, że nie jest pan moim szefem, Hamre, a ja zastrzegam sobie prawo do samodzielnego myślenia. Sporo oskarżonych było mi już za to wdzięcznych. To jak, jest ktoś, z kim mógłbym porozmawiać?

– Geir Ove Bulken.

– Gdzie go znajdę?

– Proszę sprawdzić w książce telefonicznej. Parę lat temu przeszedł na emeryturę.

– A zatem Geir Ove Bulken. Kto to? Stary przyjaciel Bergego?

– Tak. O ile kogoś w ogóle można nazwać jego przyjacielem. – Hamre uśmiechnął się z lekką rezygnacją. – Oczywiście wolno panu z nim porozmawiać, ale to już naprawdę chwytnie się brzytwy.

Nie odpowiedziałem, ponieważ miał rację, a ja zdawałem sobie

z tego sprawę.

Rozdział 21

Geir Ove Bulken był kiedyś potężnie zbudowanym mężczyzną, teraz jednak ubrania na nim wisiały. Zostały z niego same kości i skóra przezroczysta jak papier, na łysej głowie miał zaś tylko parę siwych kosmyków. Wyjaśniłem, z czym do niego przybywam, a on po krótkim zastanowieniu wpuścił mnie do środka. Stawiał krótkie kroki i powłóczył nogami, idąc przede mną ciemnym korytarzem, a ja wszedłem za nim w zaduch, zapach leków, starego człowieka i papierosowego dymu, który sprawił, że zmarszczyłem nos.

Z krótkim jękiem opadł na fotel. Widziałem, że jest zmęczony, gdyż ciężko oddychał, a na twarzy był czerwony jak po poważnym wysiłku fizycznym. Wszystko, czego potrzebował, miał w zasięgu ręki – pilot do telewizora, telefon, dzbanek z kawą oraz sporo listków tabletek – przypuszczałem więc, że większość dnia spędza w tym fotelu.

– Jest pan chory? – zapytałem, a on kilkakrotnie skinął głową.

– Tak, nowotwór. Z przerzutami. Nic nie można zrobić. Zostało mi tylko parę miesięcy.

Zabrakło mi słów.

– To smutne – rzekłem wreszcie, na co prychnął pogardą.

– Smutne? Smutne? To potworne! Mam okropne bóle, prawie nie śpię, a ci idioci nie chcą dać mi więcej leków. Mówią, że to niezdrowo. Coś takiego! Mam zaraz umrzeć, a oni martwią się

moim zdrowiem. Słyszał pan większą bzdurę?

– Nie powinien pan leżeć w szpitalu?

– Po kiego grzyba? Leżeć i gapić się w sufit, podczas gdy ludzie wokół padają jak muchy? I tak nic nie mogą zrobić. Otworzyli mnie, zajrzeli do środka i zaszyli. Nie, mój chłopcze, lepiej mi u siebie w domu. Tutaj mogę oglądać telewizję, czytać i palić. Tyle zasadniczo robię. – Pokręcił głową. – Kiedyś wychylałem jeszcze kieliszek czy trzy, ale już mi tak nie smakuje.

Rozejrzałem się wokół, przyciągnąłem krzesło z za stołu stojącego pod ścianą, po czym odwróciłem je tak, żeby siedzieć po skosie naprzeciw Bulkena.

– A co z Torleifem Bergem? – zapytałem. – Słyszałem, że też lubił wypić.

– Kto tak powiedział?

– Jego córka.

– Hm. To i tak nie gra już żadnej roli. Torleif nie żyje, a ja niedługo pójdę w jego ślady. Tak, pił.

– Za dużo?

– A ile to jest za dużo?

Nie odpowiedziałem, za to on po chwili westchnął i kontynuował cichszym głosem.

– Tak, pił za dużo. Obaj za dużo piliśmy, prawdę mówiąc. Ja straciłem przez picie pracę, kobietę i...

– Ale z Bergem nie było tak źle?

Wzruszył ramionami.

– Nie, choć czasami myślę, że w życiu decyduje przypadek. Mógł źle skończyć, ale miał szczęście, w pracy go chronili, a jego żona chyba...

– Nie sądziłem, że był popularny wśród kolegów.

– Bo nie był, ale w policji panuje silna lojalność. Dużo trzeba, żeby o człowieka nie dbali.

– O pana nie zadbali.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Jest pewna granica. A ja... ją przekroczyłem.

Otworzyłem usta, aby zapytać, co zrobił, ale spojrzawszy na jego twarz, rozmyśliłem się.

– Co chciał pan powiedzieć o jego żonie? – spytałem zamiast tego.

– No, ona... Jak jej było? Vigdis. Vigdis była dość uległa. Moja Marie zostawiła mnie, spakowała się i wyjechała, gdy przebrała się miarka. Marie nie dała sobą pomiatać. Silna kobieta. – W jego głosie posłyszałem dumę. Nie skomentowałem absurdalności tego stwierdzenia.

– Ale nie Vigdis.

– Nie. Była... Sam nie wiem. Może się poddała? Oczywiście powinna była od niego odejść.

– Bo pił?

– Tak.

Coś w jego głosie albo w sposobie, w jaki na moment odwrócił wzrok, sprawiło, że zareagowałem.

– Bił ją?

Geir Ove Bulken chrząknął.

– Chyba tak.

– Jest pan pewien?

– Tak. Widziałem ją parę razy. Siniaki, które próbowała ukrywać, okulary przeciwsłoneczne, które zawsze miała na nosie. Takie rzeczy. A poza tym Torleif sam mi powiedział.

– Powiedział panu?

– Tak. Pijacy często żałują, po paru głębszych robią się

sentymentalni. Wtedy potrafił mi się zwierzać, ubolewać i płakać, przyrzekać, że to się nie powtórzy. – Jego spojrzenie było zrezygnowane, cyniczne. – Ale oczywiście się powtarzało.

– I mimo to się przyjaźniliście.

– Przyjaźniliśmy? Tak. Nie. Może i tak, nie wiem. Byliśmy kumplami od kieliszka.

– Miał jakichś innych bliskich przyjaciół?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Wstałem, czując nagłą potrzebę ruchu.

– Zastanawia mnie jedno... Wie pan przecież, że został zabity. Zastanawia mnie, czy mogło to mieć związek z czymś z jego przeszłości. Może zabójstwo było formą zemsty? Przypomina pan sobie, czy Torleif o czymś wspominał, o jakiejś sprawie, o kimś, komu zaszedł za skórę?

Powoli pokręcił głową.

– Nie. Nic z tych rzeczy.

– Jest pan pewien?

– Ja w każdym razie nie mam o tym pojęcia. Sprawy, którymi się zajmował, nie były chyba aż tak dramatyczne.

– Tak. – Westchnąłem. – Pewnie nie były.

– Jeśli chce pan poznać moje zdanie, to pewnie odbiło jakiemuś narkomanowi. Wszędzie ich przecież pełno, chodzą nafaszerowani tym świństwem. Świat całkiem stanął na głowie.

– To prawda – przyznałem. – W każdym razie dziękuję za pomoc.

– Ludzie postradali rozum – ciągnął Geir Ove Bulken. – Już lepiej umrzeć i zostawić cały ten syf.

Nie znalazłem na to odpowiedzi, więc się pożegnałem, lecz gdy wyszedłem na korytarz, zawołał za mną. Na powrót zajrzałem do salonu.

- Dziwne było tylko to, że zaczął podróżować.
- Podróżować? Jak to? – zapytałem.
- W ostatnim roku kilka razy wyjeżdżał.
- Ach, tak? Dokąd?
- Różnie. Raz chyba na wschód kraju. I raz za granicę.
- Dokąd?
- Nie powiedział.
- Może na wakacje?
- Nie, nie było go tylko parę dni.
- I sądzi pan, że to dziwne?
- Torleif Berge nigdy w życiu nie podróżował, z wyjątkiem paru wyjazdów w rodzinne strony, do gospodarstwa, z którego pochodził.
- Mówił, dlaczego wyjeżdża?
- Tak. Twierdził, że potrzebuje trochę odmiany na stare lata.
- Ale pan mu nie uwierzył.
- Nie. Cholernie dziwna sprawa.

Rozdział 22

Z dnia na dzień było łatwiej, jakby jego wewnętrzny zegar powoli synchronizował się z otoczeniem. Wychodzenie na dwór nie pociągało już za sobą chaotycznego ataku bodźców na zmysły, nauczył się rozróżniać zapachy, kolory i dźwięki, rozkładać je na czynniki pierwsze, aż stawały się zrozumiałe, nabierały znaczenia. Skończyły się napady paniki, mógł spacerować ulicami, robić zakupy, poszedł nawet do kina. Ale lęk nie minął. Tkwił w piersi jak szpon i narastał, gdy Freddy musiał zwracać się do obcych, pytać o drogę czy cenę towaru, wykonywać najprostsze codzienne czynności, przez które oblewał go zimny pot.

Dostrzegał ironię tej sytuacji. Tam, skąd pochodził, jego twarz była kiedyś znana, ale też budziła strach. Ludzie, których nigdy nie spotkał, z którymi nie zamienił ani słowa, drżeli i bledli na jego widok. Czasami w restauracji czy barze widział i czuł, jak wskazują go palcami i o nim szepczą. Wiedział, co mówili. „To on – szeptali. – Wiesz, ten, co popełnił to zabójstwo”. Wtedy twarze się zmieniały, przybierały niesamowity wyraz fascynacji zmieszanej ze wstrętem. Ludzie nie umieli przestać się gapić. Ich spojrzenia odnajdywały go, jakby był egzotycznym zwierzęciem, ale gdy odwracał głowę, by na nich popatrzeć, gdy spoglądał im w oczy, gwałtownie spuszczaali wzrok. Bali się.

Teraz to on się ich bał.

Młodych chłopców, ekspedientek, starego mężczyzny z recepcji pensjonatu – bał się ich wszystkich. Czuł nierozsądny, irracjonalny strach, pocił się, gdy się do niego odzywali, mamrotał ze wzrokiem wbitym w ziemię, gdy musiał się do nich zwrócić.

Zmuszał się jednak do wychodzenia, do rozmów, robienia zakupów, chodzenia do kawiarni, jeżdżenia tramwajem, robienia normalnych rzeczy. I zmuszał się do niewybierania prostego wyjścia. Żadnych pigułek, prochów, a przede wszystkim żadnego alkoholu. Chwilami czuł na języku smak wódki, wyczuwał ciepło w przełyku, które rozprzestrzeniało się na żołądek, wyobrażał sobie, jak wódka go obejmuje, unosi w ramionach, czyni niewrażliwym na wszystko i wszystkich.

Ale nie zrobił tego. Nie wypił pierwszego łyka. Wiedział, że za pierwszym, ciepłym uściskiem kryje się głębszy lęk, bardziej pierwotny, który wywoła w nim wściekłość, sprawi, że zatli się jak zapalony lont.

Siódmego dnia wstał, zszedł do recepcji i zapłacił.

Rytmiczny stukot kół utulił go do snu. Spał, podczas gdy pociąg wił się długą, nudną doliną. Po kilku godzinach Freddy obudził się z bólem pleców i sztywnym karkiem, po czym poszedł poszukać wagonu restauracyjnego. Wagony kołysały się, kiedy szedł między rzędami foteli, i w pewnym momencie stracił równowagę. Prawie wylądował na kolanach młodej kobiety, ale w ostatniej chwili czegoś się chwycił. Cicho zaklął pod nosem, lecz ona tylko się uśmiechnęła.

– W porządku? – zapytała przyjaźnie ta całkiem zwyczajnie wyglądająca kobieta. Był tak blisko, że czuł zapach jej perfum, widział tętnicę pulsującą ciepło pod cienką skórą szyi, przelotnie dostrzegł wilgotny koniuszek języka. Nagle ścisnęło go w gardle,

więc wymamrotał coś niewyraźnie i szybko ruszył dalej. Tyle lat bez kobiet. Tak dawno przestał o nich myśleć.

Jadł drogi i kiepski posiłek, ale się tym nie przejmował. Przęłykał bez smaku, nadal czując w nozdrzach jej zapach, mając przed oczami widok jej języka. Czuł erekcję, rytm pulsu w ciele i głowie. Nagle pomyślał też o Rosjanie, rozpoznał ten sam rytm, dźwięk odległych bębnow – niespodzianie poczuł związek, bliskość przemocy i seksu, krwi i nasienia – i zawstydził się, lecz również podniecił.

Mijając kobietę w drodze na swoje miejsce, omiótł wzrokiem jej duże, ciężkie piersi, biodra i uda. Była nieco zbyt krępa. Nagle spojrzała w górę, jakby wyczuła jego wzrok. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Teraz się nie uśmiechała, patrzyła na niego jedynie jak na obcego. Jakby nigdy się do niego nie uśmiechnęła, nigdy nie przesunęła koniuszkiem języka po wargach, nigdy nie dała mu poczuć swojego zapachu. Zaczerwieniony poszedł dalej, nagle czując narastającą wściekłość.

Dużo czasu minęło, nim się uspokoił, odnalazł owo miejsce w sobie, które zawsze pozostawało w równowadze.

W górach musiał zasłonić oczy, tak mocno raziło go światło nagiego, ośnieżonego płaskowyżu. Żadnych barier, granic, tylko nieskończona wolność. Oślepiająca wolność.

Po drugiej stronie działu wodnego szyny wiły się przez strome góry. Krajobraz stał się bardziej dramatyczny. Konduktor sprawdził bilety, a gdy rozpoznał jego dialekt, powiedział:

– Jeszcze parę godzin i będziemy w domu.

Freddy skinął głową z uśmiechem, lecz nagle do oczu napłynęły

mu łyzy i musiał się odwrócić. „W domu – pomyślał. – Niedługo będę w domu. Nie byłem tam piętnaście lat. W domu”.

Wiedział, że nikt na niego nie czeka, nikt nie ucieszy się na jego widok. Starzy przyjaciele zmarli, siedzieli w więzieniu lub usunęli się w cień, zmęczeni i wyniszczeni życiem, które nie zakładało nadejścia starości. Nie miał czego się spodziewać. Świat na zewnątrz stał się jednak dziwnie znajomy. Freddy obserwował go z zadowoleniem, jak gdyby góry wywołały w nim tajemnicze echo, jakby na niego czekały. Piętnaście lat spędził za kratkami w płaskiej, pozbawionej wyrazu okolicy we wschodniej Norwegii. Patrzył, jak wiatr kołysze zbożem na polach pod szerokim niebem, widział sunące chmury i dalekie zalesione pagórki na horyzoncie i nie zdawał sobie sprawy, jak obcy to dla niego krajobraz. Dopiero teraz, gdy pociąg mknął przez stromy, kręty wąwóz, co chwila znikając w tunelach, gdy dostrzegał skrawki nieba wysoko nad czarnymi szczytami, pojął, że konduktor miał rację.

Był w drodze do domu.

Rozdział 23

– Podróże? – zdziwił się Herman Voltersvik. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. O ile wiem, Torleif Berge nie podróżował, może poza sporadycznymi wyjazdami do rodzinnego gospodarstwa, a ono nie leży ani na wschodzie kraju, ani w Niemczech, mogę pana zapewnić, tylko piekielnie wysoko w górach, tu, na zachodzie. To na pewno jakaś pomyłka.

– Nie wydaje mi się. Bulken był pewny swego i równie zdziwiony jak pan.

– Zobaczymy, co na to Helena. – Odjął słuchawkę od ust i kilka razy zawołał ją po imieniu. – Jest pan tam, Brenne? Nie wiem, gdzie się podziała. Ten dom jest dla nas o wiele za duży. Za chwilę do pana oddzwonię, okej?

Minęło prawie dziesięć minut, zanim telefon znowu zabrzączał. Zawahałem się, trzymając dłoń na słuchawce. Nagle wyobraziłem sobie, że może dzwonić Helena Berge, a ja nie miałem ochoty z nią gadać. Nadal czułem się głupio i niezręcznie po naszej ostatniej nieudanej rozmowie, jednak wziąłem się w garść.

– To ja – odezwał się Herman Voltersvik. – Helena nic nie rozumie. Nic jej nie wiadomo o żadnych podróżach ojca.

– Czy normalnie byście o nich wiedzieli?

– Może nie ja, ale Helena powinna o czymś takim słyszeć.

Zawahałem się chwilę.

– Nie odniosłem wrażenia, że mieli z sobą dobry kontakt.

– No cóż... Jak już panu mówiłem, Torleif był zgryźliwym starcem i na pewno nie traktował dobrze Heleny. Ale mimo wszystko był jej ojcem, a po śmierci jego żony Helena regularnie rozmawiała z nim przez telefon. Wiedziałyby, gdyby gdzieś wyjeżdżał.

– Ach, tak.

– Czy to ważne? Ma to jakieś znaczenie?

– Nie wiem. Ale to nieco dziwne. Historia Geira Ovego Bulkena może, oczywiście, być nieprawdziwa, lecz nie chce mi się w to wierzyć. Nie wydawał się otępiały czy dezorientowany i nie miał powodów, by kłamać. Skoro jednak Torleif Berge ukrył przed wami swoje podróże, to chciałbym wiedzieć dlaczego.

– Mhm. Rozumiem – rzekł Voltersvik. – Ale jak mamy się tego dowiedzieć?

– Nie wiem. Był pewnie zbyt stary, by korzystać z internetu?

– Zgadza się.

– A więc musimy poszukać jakichś papierów. Zachowaliście jego dokumenty?

– Owszem. Odstawiliśmy chyba wszystko do piwnicy. Proszę poczekać. – Usłyszałem, jak ponownie woła Helenę, a następnie dobiegła mnie jej odpowiedź. Słyszałem ton, melodię głosu, lecz nie rozróżniałem słów.

– Mamy parę kartonów w piwnicy – powiedział Voltersvik do słuchawki. – Może pan przyjedzie, żeby je przejrzeć?

– Teraz?

– Czemu nie? Jest dopiero po ósmej. O ile, oczywiście, pan może.

Udostępnili mi bibliotekę, gdzie półki z książkami ciągnęły się od podłogi do sufitu. W rogu stały dwa skórzane fotele rozdzielone

lampką, a biurko pozornie przypadkowo ustawiono po skosie pośrodku podłogi. Przez na pół otwarte drzwi widziałem trzy pokoje, wszystkie puste i spowite półmrokiem. Otaczały mnie kartony z przedmiotami po Torleifie Bergem. Herman Voltersvik przyniósł je z piwnicy jeszcze przed moim przybyciem. Przywitał mnie krótkim uściskiem dłoni, z zaabsorbowanym wyrazem twarzy.

– Myślałem o tym, co pan powiedział. Ma pan rację, to wszystko jest dość tajemnicze.

– Najprawdopodobniej to nic takiego – odrzekłem. – Mógł mieć setki powodów, prawdopodobnie absolutnie nie wiąże się to z jego śmiercią.

Spochmurniał.

– Oczywiście. Ale i tak spróbujemy, co?

Zapytał w liczbie mnogiej, lecz wcale nie zamierzał mi towarzyszyć. Siedziałem sam z kartonami pełnymi rachunków, listów, wyciągów bankowych, reklam, pocztówek i broszur, przez które systematycznie się przekopywałem. Nie był to szczególnie imponujący zbiór pamiątek. Większość papierów okazała się trywialna i codzienna, listy i pocztówki od siostry i paru przyjaciół wypełniały banalne treści.

Raz po raz Herman zachodził, by zapytać o postępy. Kręciłem jedynie głową, więc znowu znikał, niecierpliwy, niespokojny, pełen energii. Raz usłyszałem stuk obcasów na parkiecie, zerknąłem w górę i zobaczyłem Helenę przechodzącą przez jeden z ciemnych pokoi. Ledwo odwróciła głowę, by spojrzeć w moim kierunku. Lekko nią kiwnęła, ale nie podeszła do mnie, tylko usiadła w fotelu z książką. Ze swojego miejsce widziałem jej głowę i ramię. Poczulem w piersi palące upokorzenie.

Zabrałem się do kolejnego kartonu.

Nieco później znów przyszedł Herman Voltersvik.

– Muszę wyjść – powiedział. – Jestem umówiony.

– Mam spakować rzeczy?

– Nie, nie trzeba. Oczywiście zrobi pan, jak zechce, ale Helena tu jest, a ona rzadko kładzie się przed północą.

– Dobrze. To niezbyt przyjemna robota. Wolałbym już dokończyć.

– Nic pan nie znalazł?

– Nic.

W drodze do wyjścia zatrzymał się przy fotelu żony, położył jej dłoń na ramieniu i powiedział coś, czego nie usłyszałem. Opuściła książkę, podniosła wzrok i przekrzywiła głowę. On pochylił się, by pocałować ją w usta. Czułem, jakbym ich podglądał, jakbym kradł im tę krótką, intymną chwilę codzienności. Helena wróciła do książki, ale Herman Voltersvik stał jeszcze przez sekundę, patrząc na żonę. W tym momencie zrozumiałem, że ją kocha.

Papiery nie zostały ułożone według żadnego porządku. Dokumenty sprzed paru lat mieszały się z pożółkłymi listami z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wyrywkowo czytałem pojedyncze akapity. Były to listy od przyjaciół z dzieciństwa, od brata i rodziców, pełne informacji o nadawcach, ich pracy, przeprowadzkach, urodzinach i ślubach, lecz zawierały niewiele lub nic na temat adresata. Nic, co powiedziałyby mi coś o Torleifie Bergem. Na dnie kartonu znajdował się album ze zdjęciami. Przeglądałem go powoli, zatraciłem się w czarno-białych fotografiach obcych ludzi, pozowanych zdjęciach mężczyzn i kobiet, wystrojonych i uczesanych na mokro dzieci. Ci ludzie z dalekiej przeszłości mogliby równie dobrze należeć do mojej rodziny. Byli anonimowi, bez wieku i cech charakterystycznych, a z ich twarzy

wyczytywałem jedynie śmiertelną powagę.

Zdjęła buty, więc usłyszałem ją dopiero, kiedy podeszła tak blisko, że na biurko padł cień.

– Hej – odezwała się. – Znalazłeś coś?

– Stare zdjęcia.

– Pokaż.

Stała za mną i pochyliła się. Poczułem jej zapach i lekki ucisk ramienia na mój bark, więc się odsunąłem.

– Dziwnie się czuję, patrząc na te zdjęcia – powiedziała. – Jakbym oglądała obcych ludzi.

– Leżały w papierach twojego ojca, więc to pewnie twoi krewni. Przodkowie.

Przerzucałem kolejne kartki, sztywne portrety, zdjęcia nieznanymi domów i nieznanymi ludźmi, aż trafiłem na stronę pełną fotografii przedstawiających starą ciężarówkę. Na wielu obok pojazdu stała brygada robotników.

– Kto to?

Pochyliła się, by lepiej widzieć. Poczułem jej ciepły oddech na policzku.

– Nie wiem. Może mój wujek. Chyba przed wojną zajmował się transportem.

Przerzuciłem kartkę i znaleźliśmy się w nowej epoce, w czasach Heleny. Zdjęcia zyskały kolory, a mimo to nadal nosiły piętno starości, były pożółkłe i wyblakłe, jakby z upływem lat barwy wysączyły się z papieru i miały zaraz zniknąć, podobnie jak ludzie uchwyceni przez obiektyw, którzy także zniknęli lub się zmienili. Zauważyłem Helenę w warkoczykach i z czerwonym tornistrem w jej pierwszy dzień szkoły, Helenę siedzącą na barana u ojca – wyglądało to na wycieczkę w górach. Oboje byli promiennie

uśmiechnięci. Chwila szczęścia.

– Pamiętam tę wycieczkę! – zawołała Helena. – Boże, już o niej zapomniałam. Byliśmy w naszym rodzinnym domu.

– Gdzie to jest?

– To gospodarstwo w górach, całkiem odizolowane, dziesiątki kilometrów od ludzi, prawie na nagiej skale. – Pokręciła głową. – Jak ktoś mógł się osiedlić w takim miejscu?

– Wyglądacie na szczęśliwych.

– Byliśmy szczęśliwi. Chyba pojechałam tam sama z ojcem. Chodziliśmy na długie wyprawy. W każdym razie tak to pamiętam. Czuliśmy się tam dobrze.

Jednak na większości zdjęć Torleif Berge wyglądał inaczej. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który często się uśmiechał, na ogół spoglądał w obiektyw poważnie, badawczo, jakby zastanawiał się, po co ktoś chce go fotografować, dlaczego tę właśnie chwilę należy zachować dla potomności.

Z kolei matka Heleny, Vigdis, zawsze się uśmiechała, jednak był to uśmiech zakłopotania, który miał ukryć zmieszanie wywołane nagłym znalezieniem się w centrum uwagi, dostrzeżeniem, pochwyceniem przez oko aparatu. Tylko raz zrobiono jej zdjęcie z zaskoczenia i wtedy na jej twarzy malowały się smutek oraz zmęczenie, które w innych przypadkach zawsze maskowała uśmiechem.

Jedna fotografia wyróżniała się na tle innych. Była czarno-biała, wyraźnie starsza od pozostałych, ukazywała Torleifa i Vigdis na ławce. Ubrani jak na wycieczkę, byli bardzo młodzi i wydawali się szczęśliwi. Torleif obejmował Vigdis, a ona, pochylając się w jego stronę, uśmiechała się do fotografa. Była piękna, miała regularne rysy i białe zęby. Odwróciłem zdjęcie i moim oczom ukazało się

parę słów skreślonych ołówkiem. Podniosłem je do światła, spojrzałem pod kątem, aby rozszyfrować litery, lecz kreski były cienkie jak pajęczne nici, niemożliwe do rozczytania.

– Wyglądają na szczęśliwych – szepnęła Helena, a ja usłyszałem zmianę w jej głosie, odwróciłem się i zobaczyłem w oczach łzy.

Odłożyłem album.

– Muszę popracować, jeśli mam jeszcze dziś skończyć.

Na wierzchu przedostatniego kartonu leżała brązowa koperta opatrzona literami F.K. Szybko zajrzałem do środka i od razu pojąłem, że znalazłem to, czego szukałem. Wstałem, włożyłem płaszcz i przeszedłem przez mroczne pokoje. W ostatnim, w kręgu światła rzucanego przez lampę jak na żółtej wyspie w ciemnym pomieszczeniu, Helena siedziała skulona na kanapie z książką. Podniosła wzrok, kiedy wszedłem.

– Koniec na dziś?

– Znalazłem.

– Co?

Wzięła kopertę, którą jej podałem.

– F.K. Co to znaczy?

– Nie wiem. Spójrz na zawartość.

Zajrzała.

– Bilety lotnicze do Hamburga? Oraz kolejowe do Oslo i powrotne? Nie znał nikogo w Oslo.

– Każdy zna kogoś w Oslo.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie utrzymywał z nikim stamtąd kontaktu, nie miał nikogo, kogo mógłby odwiedzić. – Przeczesała włosy gestem, który wielokrotnie już u niej widziałem. Zastanawiałem się, jakie to uczucie. Może jak głaskanie kociaka?

– Ten człowiek miał przeszło osiemdziesiąt lat! – ciągnęła. – Nie

pamiętam, żeby kiedykolwiek gdzieś wyjechał. Bardzo dziwne, że nic mi o tym nie wspomniał.

– Jest jeszcze jeden bilet, do małej miejscowości pod Oslo. Twój ojciec pojechał tam lokalnym pociągiem.

Patrzyła na mnie bez zrozumienia.

– Co miałyby tam robić?

– Nie wiem. To ty go znałaś.

Pokręciła tylko głową.

– A co z biletem lotniczym? Do Hamburga, przez Kopenhagę.

– Jesteś pewien, że to jego?

– Widnieje na nim jego nazwisko.

– Nienawidził Niemców. Nie mam pojęcia, po co miałyby jechać do Hamburga.

– A jednak pojechał tam dwa lata temu, prawdopodobnie po to, żeby odwiedzić Ottona Schweigera. Jego nazwisko i adres widnieją na karteczce dołączonej do biletów. Nic ci to nie mówi?

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Cóż, jest późno. Zastanów się nad tym.

Zsunęła się z kanapy. Długie nogi w czarnych pończochach.

– Odprowadzę cię.

W holu staliśmy chwilę, nagle nie mogąc znaleźć słów.

– Posłuchaj – zaczęła. – Wtedy, gdy zadzwoniłeś...

– Nie powinienem był tego robić – przerwałem jej. – Nie wiem, co mnie napadło. Zapomnij o tym, proszę.

– Tak. Okej.

– Dobranoc. Powiedz Hermanowi, że zadzwonię do niego jutro.

Skinęła głową.

– Powiem.

– A dokąd w ogóle poszedł tak późno?

– Na kolację z klientami. Albo do klubu kręglarskiego, nie wiem dokładnie. Wróci dopiero za parę godzin.

Popatrzyła mi w oczy badawczym, nieprzeniknionym wzrokiem. Tym samym, przez który wtedy zadzwoniłem.

Rozdział 24

Biuro numerów zagranicznych podało mi numer telefonu Ottona Schweigera. Wybrałem go, po czym na drugim końcu usłyszałem dziwny sygnał, nieco inny niż ten, do którego byłem przyzwyczajony. Dźwięk się nie kończył. Wyobraziłem sobie stare mieszkanie położone wysoko pod dachem, o białych ścianach, i samotny telefon dzwoniący w ciszy. Po chwili się poddałem. Przez resztę dnia i nazajutrz dzwoniłem jeszcze w regularnych odstępach czasu. Później zacząłem układać list. Sformułowanie myśli okazało się zadziwiająco trudne. Po licznych próbach zostałem przy takiej wersji:

Szanowny Panie,

nazywam się Mikael Brenne. Reprezentuję Helenę Berge, córkę Torleifa Bergego, który zmarł około dwóch lat temu. Przeglądając pozostałe po nim papiery, znalazłem dokumenty, które sugerują, że Torleif Berge odwiedził Pana we wrześniu 2006 roku.

Bezskutecznie próbowałem się do Pana dodzwonić. Dlatego proszę o wiadomość, w jaki sposób mógłbym skontaktować się z Panem, aby porozmawiać, ponieważ mam nadzieję, że posiada Pan informacje, które mogą wyjaśnić okoliczności śmierci Bergego.

Może Pan uważać, że nie ma istotnych informacji, jednak i tak proszę o kontakt, aby wykluczyć tę ewentualność.

Mam nadzieję, że odniesie się Pan przychylnie do mojej prośby,

gdyż ma ona ogromne znaczenie dla rodziny zmarłego.

*Z poważaniem,
Mikael Brenne, adwokat.*

Później siedziałem wpatrzony w list. „Wyjaśnić okoliczności śmierci Bergego”? Co miałyby to oznaczać? Nawet jeśli wyjazd Torleifa Bergego do Niemiec faktycznie w jakiś sposób wiązał się z jego zabójstwem, na ile to prawdopodobne, by Otto Schweiger, kimkolwiek był, udzielił mi informacji na ten temat? W rzeczywistości był to bezsensowny list, strzał w ciemno, ale nie przychodziło mi do głowy lepsze rozwiązanie, więc wzruszyłem ramionami, wysłałem list e-mailem do tłumacza i w ciągu godziny dostałem go z powrotem. Tłumacz dodał parę zwrotów grzecznościowych, ale nic to nie pomogło. Tekst wyglądał tak samo nieudolnie i mętnie po niemiecku jak po norwesku.

– Sam nie wiem – mruknął Herman Voltersvik. Przyszedł niezapowiedziany, zachwycony i trochę podekscytowany tym, że poprzedniego wieczoru udało mi się coś znaleźć, lecz po przyjrzeniu się biletom i przeczytaniu mojego listu do Ottona Schweigera siedział tylko, marszcząc brwi.

– Czego pan nie wie?

– Nie wiem, czy chciałbym odpowiedzieć, gdybym dostał taki list.

– Ma pan lepszą propozycję?

Zastanawiał się chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie, raczej nie. Proszę go wysłać, to zobaczymy. Przepraszam za negatywne nastawienie, po prostu...

– Martwi się pan o June, wiem. Ale nie jestem cudotwórcą.

– Wiem, że robisz, co w twojej mocy, Mikaelu – zapewnił. – Nie

myśl, że tego nie doceniam. – Położył mi dłoń na ramieniu i popatrzył prosto w oczy.

„To wyuczone – stwierdziłem cynicznie. – Robi to rutynowo, jest szefem, który wie, jak zachęcać i motywować do pracy podwładnych”. Ale gdy tylko to pomyślałem, dopadły mnie wyrzuty sumienia.

– Dam znać, kiedy się czegoś dowiem – wymamrotałem.

– Świetnie. Wyjeżdżam na parę dni i będę dość zajęty, ale zostaw wiadomość na komórce, to oddzwonię.

Po lunchu Peter powiedział mi, że to ostatni dzień pracy Synne.

– Żartujesz?

– Jasne, że nie. Dlaczego miałbym żartować?

– Dlaczego nic mi o tym nie wiadomo?

– Przekazałeś mi sprawę jej wypowiedzenia, nie pamiętasz już? Bo nie potrafiliście z sobą rozmawiać, nie kłócąc się przy tym...

– Tak, oczywiście, ale...

– ...więc się tym zająłem. Kiedy zapytała, czy może odejść przed końcem okresu wypowiedzenia, nie widziałem powodu, by odmówić. Nikt nie może jej zmusić, by została.

– Ale co będzie teraz robić?

– Zakłada własną działalność.

– Co takiego?! Jako adwokat? – Zerwałem się na równe nogi. – A co z klientami? Zabiera jakichś?

– Mikael, usiądź, proszę – rzekł Peter z naciskiem. – Przyznaj się, nie czytasz moich notatek służbowych? Regularnie zostawiam ci je na półce. – Popatrzył na mnie uważnie. – Nie czytałeś ich, prawda? Zerkałeś na nagłówek, stwierdzałeś, że chodzi o Synne, więc w złości gniołeś je i wyrzucałeś do kosza?

Nie odpowiedziałem, a on się zaśmiał.

– Boże drogi, może byś w końcu dorósł? Prześle ci kopie mailem, to sam zobaczysz, że Synne podpisała dobrą umowę. Zabierze, oczywiście, paru klientów, ale tylko tych, którzy zechcą, i nie więcej, niż to na ogół bywa. Zachowała się przyzwoicie. – Zawahał się chwilę, po czym dodał: – Powinieneś życzyć jej powodzenia, Mikael, zamiast dalej się dąsać.

– To ona się dąsa, nie ja.

– Boże, daj mi siłę – westchnął Peter, wychodząc.

Poszedłem do niej pod koniec dnia i spotkałem ją, gdy chwiejnie szła do windy, niemal schowana za wielkim pudłem. Przytrzymałem jej drzwi.

– Dziękuję – powiedziała, odgarniając kosmyki włosów z twarzy, nieco spocona i zasapana.

– Nie ma za co.

Milczenie.

– Więc naprawdę zakładasz własną działalność?

– Tak.

– Mam nadzieję, że ci się uda.

– Zobaczymy.

– Gdzie masz nowe biuro?

Wyjaśniła, a ja skinąłem głową.

– Brzmi dobrze.

– Tak. Trochę daleko od sądu, ale to kwestia ceny.

– Mhm. I tak możesz chodzić stamtąd pieszo.

– Prawda.

Znowu milczenie. W jej oczach dostrzegałem opór, ale też coś innego.

– No cóż, okej, jednak nadal myślę, że powinnaś zostać tutaj, Synne.

– Mogłeś zadbać o to, abym została.

Nagle ujrzałem błysk w jej oczach. Widziałem, jak walczy, aby zachować spokój, i irytacja, która we mnie wezbrała, minęła.

– Synne, przepraszam. Nigdy nie chciałem, żeby tak wyszło, sam nie wiem, jak to się stało.

– Do zobaczenia, Mikaelu.

Przełknąłem ślinę. Próbowałem znaleźć słowa, które wybudowałyby most nad dzielącą nas przepaścią.

– Przecież możemy pozostać w kontakcie i... – zacząłem, jednak ona zdążyła już wcisnąć przycisk, a drzwi windy cicho się zasunęły, ucinając moją wypowiedź.

Rozdział 25

Następnego dnia niebo było szare i ciężkie jak ołów. Śnieg już dawno stopniał, za to bezustannie padał deszcz. Po kilku dniach takiej pogody miało się wrażenie, jakby zawsze tak było, jakbyśmy znaleźli się w odrębnym świecie zaparowanych szyb, mokrych butów i kapiących parasoli, jakby ten stan miał trwać wiecznie.

Ale nie miał. Prognoza zapowiadała zmianę w weekend. Poza deszczem czekał nas jeszcze huraganowy wiatr.

Gdy tego piątkowego popołudnia szedłem z kancelarii do domu, zaczął zapadać mrok, a wiatr szarpał już poły płaszcza, mierzwił korony drzew, wywracał parasole na drugą stronę i zostawiał je w rynsztokach jak okaleczone ciała. Paru adwokatów z kancelarii poszło do pubu. Zapraszali mnie, ale ja ten jeden raz nie miałem ochoty. Oczami wyobraźni widziałem tam Synne, a nie chciałem się z nią spotkać.

Po obiedzie zdrzemnąłem się na kanapie. Spałem za długo i zbudziłem się w okowach niewyjaśnionego, przyprawiającego o drżenie lęku. Miałem sen, w którym ktoś drapał paznokciem po moich plecach, co wywołało zimny dreszcz, przeświadczenie, że coś lub ktoś nadchodzi.

Zapowiedź wydarzenia.

W ustach mi zaschło, głowa ciążyła. Burza na zewnątrz rozszalała się na dobre. Okna zamazała ulewa, lecz rozróżniałem

przez nie korony drzew, rzucające się jak maszty okrętu na wzburzonym morzu. To była dzika noc, cieszyłem się, że jestem w domu. Przepłukałem twarz zimną wodą, zaparzyłem kawy, do odtwarzacza włożyłem płytę *Modern Times* Boba Dylana, aby zagłuszyć wycie wiatru. Wyjąłem książkę, zapaliłem świece i usiadłem wygodnie w rogu kanapy. Próbowałem cieszyć się sytuacją, wciągnąć się w akcję powieści, dać się porwać rzeczywistości innej niż moja własna, ale sen napiął mi nerwy, zmienił je w gitarę elektryczną, na której burza wygrywała szaleńczy riff. Nie mogłem się skupić. Na dźwięk dzwonka do drzwi podskoczyłem jak nerwowy pies.

Z kuchennego okna zazwyczaj dostrzegam schody przed głównym wejściem, jednak żarówka w zewnętrznej lampie przepaliła się wiele tygodni wcześniej, więc teraz widziałem jedynie mroczny cień, nieostry profil w ciemności.

Dzwonek odezwał się znowu, ostro, ponaglająco.

Wzdrygnąłem się, powiedziałem sobie, że zachowuję się śmiesznie, i otworzyłem drzwi. Światło z korytarza padło na przemoczoną Helenę Berge. Jej krótko przystrzyżone włosy połyskiwały od wody. Na ramionach, w miejscach, gdzie deszcz przesączył się przez materiał płaszcza, widać było duże, ciemne plamy. Krople spadały jej z włosów na twarz, ciekły po czole i policzkach, zwilżały wargi i płynęły dalej po szyi, pod postawiony kołnierz.

– Mogę wejść? – zapytała zachrypniętym, dość cichym głosem, jakby była przeziębiona. Bez słowa odsunąłem się na bok, pozwalając jej wejść do domu, do korytarza, gdzie przystanąła. Spływająca z niej woda natychmiast utworzyła kałużę na podłodze.

– Nie spodziewałem się ciebie – powiedziałem.

– Mam sobie pójść?

– Pójść? Nie, oczywiście, że nie. Daj płaszcz, cieknie z ciebie.

Szłaś tutaj w taką pogodę?

Nie odpowiedziała.

– Jesteś pewien, że mogę zostać? Mogę sobie iść, jeśli chcesz.

– Nie, nie, zostań.

Rozsupłała pasek i trochę się odsunęła, abym mógł zdjąć z jej ramię przemoczone okrycie.

– Masz coś do picia?

– Koniak lub gin z tonikiem. Co wolisz?

– Gin z tonikiem.

Poszedłem do kuchni. Znalazłem kostki lodu, alkohol, tonik, wyczarowałem nawet plasterek cytryny. Kiedy wróciłem, stała odwrócona do mnie plecami, patrząc przez okno. Nawet na mnie spojrzała, kiedy podałem jej drinka.

– Okropna pogoda – odezwałem się.

– Mnie się podoba.

– Naprawdę?

– Tak, zawsze lubiłam burze. Są straszne, lecz zarazem fascynujące i piękne. Zazwyczaj schodzę w taką pogodę do atelier. Fale uderzają w okna, jakby chciały się do mnie przedostać.

– Ale nie dziś.

– Co?

– Dzisiaj tam nie poszłaś. Przyszłaś za to tutaj. Dlaczego?

– A dlaczego do mnie zadzwoniłaś?

– Co masz na myśli?

Obejrzała się przez ramię, napotkała mój wzrok.

– Wiesz, co mam na myśli. Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać, wyjść gdzieś razem?

– Bo... cię lubię.

– Wiem.

Wiatr zadał silnie i dom zadrżał, jakby miał oderwać się od ziemi, odczepić się od fundamentów, stracić kontakt z podłożem.

– Wiesz? – powtórzyłem; mój głos stał się lekko zachrypnięty.

– Tak. Cały czas widzę to w twoich oczach. Nie jesteś dobry w ukrywaniu myśli.

– Sądziłem, że jestem.

Pokręciła głową.

– Nie.

– Za to ty jesteś bardzo dobra – powiedziałem. – Nie da się odgadnąć, co myślisz.

Przez chwilę milczała. Upiła łyk dzinu, odstawiła kieliszek na parapet i odpowiedziała głosem tak cichym, że niemal zginął w dźwięku szalejącej na zewnątrz burzy.

– Przyszłam tu, prawda?

Nie odwróciła się, nadal stała plecami do mnie. Zawahałem się na moment, ale podszedłem i ostrożnie ją objąłem, a ona do mnie przyłgnęła. Dotknąłem ustami jej szyi. Smak deszczu i słonego potu, słaba woń perfum. Westchnęła i zwróciła ku mnie twarz; miała zamknięte oczy i otwarte usta.

Chwyciłem jej bluzkę, wyciągnąłem ze spódnicy i rozchyliłem materiał, by odnaleźć rozpaloną skórę, gładki brzuch, bardzo drobne piersi – była płaska jak chłopiec, ale sutki miała sztywne, zaczerwienione. Przesunąłem po nich dłońią, ująłem je między kciuk a palec wskazujący. Cicho jęknęła i chwyciła mnie za nadgarstki, delikatnie odsunęła moje dłonie, podciągnęła spódnicę do pasa i pochyliła się oparta rękoma o parapet. Nie miała nic pod spodem. Dotknąłem jej pleców, ostrożnie podrapałem skórę,

przesunąłem palcami wzdłuż zagłębienia między pośladkami i dalej w cień, w wilgotny mrok. Napała na mnie, otworzyła się pod moją dłoń.

Drugą ręką objąłem jej szczupły kark, pogładziłem po krótko przystrzyżonych, przypominających gęstą matę włosach, jakbym głaskał kociaka.

Kiedy w nią wszedłem, na chwilę zamarła, jak gdyby zupełnie się tego nie spodziewała. Stęknęła, wstrzymała oddech i przez kilka sekund staliśmy tak nieruchomo na skraju przepaści, a ja wiedziałem, że nadal mamy wybór, że idealnie balansujemy między dwiema rzeczywistościami, znaną i nieznaną, dobrą i złą, uporządkowaną i chaotyczną, lecz wreszcie straciliśmy równowagę i spadliśmy.

Tylko raz odwróciła ku mnie głowę. Spojrzała niewidzącym wzrokiem, mówiąc, że dochodzi. Powiedziała to spokojnym, niemal codziennym tonem, po czym znów odwróciła się do czarnego okna i krzyknęła bez słów, w harmonii, a może w proteście przeciwko ciemności i burzy, ulewie i kołyszącym się drzewom. Ujrzałem, jak wygina plecy w łuk rozkoszy, czułem jej biodra pod dłońmi, a jej krzyk mnie wyzwolił.

Gdy wrócił mi wzrok i słuch, twarz Heleny była zwrócona w moją stronę. Spoglądała na mnie z na pół otwartymi ustami. To była naga twarz, bezwstydna, pełna zadowolenia. Przepiękna.

Najbardziej zdziwiło mnie, że nie poszła potem do domu. Z jakiegoś powodu oczekiwałem, że wyjdzie, gdy tylko skończymy się kochać, zniknie równie niespodziewanie, jak się zjawiała, lecz to nie nastąpiło. Zamiast tego położyła się ze mną w łóżku, zwinęła się w kłębek u mojego boku, ciepła, zadowolona i senna. Przywarła do mnie, opierając rękę na piersi i przykrywając moją nogę długim,

eleganckim udem.

– Mogę zostać tu na noc, Mikael?

– A co z...

– Wyjechał.

Żadne z nas nie wymieniło jego imienia.

Leżeliśmy spowici własnym ciepłem. Na pół śpiąc, dotykaliśmy się i całowaliśmy. Zapytałem, dlaczego została artystką, na co wybuchła śmiechem.

– Nie wiem. Chyba nie mogłabym być nikim innym. Nigdy tego nie rozważałam. Zawsze wiedziałam, że będę artystką.

– Ktoś w twojej rodzinie miał takie zainteresowania?

Znowu śmiech, lecz tym razem pobrzmiwała w nim gorycz.

– O nikim takim mi nie wiadomo. Ojciec nienawidził tego, co robiłam, uważał to za głupotę, a matka twierdziła jedynie, że powinnam zająć się czymś rozsądniejszym, bezpieczniejszym, co da mi pieniądze i stałą pracę. Więc zostawiłam ich oboje, wyjechałam do Berlina, gdzie dostałam się na akademię sztuk pięknych.

– Do Berlina? Podobało ci się tam? Nigdy tam nie byłem, ale wszyscy mówią, że to ciekawe miasto.

– Czy mi się podobało? – Odniosłem wrażenie, że nigdy się nad tym nie zastanawiała. – Bardzo lubiłam uczelnię. Tak, podobało mi się i dobrze mi się tam żyło. Ale poza tym...

– Co?

– Nie za dobrze mi szło wybieranie chłopaków. Miałam ich mnóstwo, jeden gorszy od drugiego. Prawdę mówiąc, wpadłam w niezłe tarapaty. – Jej głos się zmienił, stał się całkiem bezbarwny. Wyciągnąłem rękę, przyciągnąłem ją bliżej, pogładziłem po plecach. – Gdy teraz o tym myślę, nie chce mi się wierzyć, że taka wtedy byłam. Autodestrukcyjna, dzika. Nie

stroniłam od narkotyków i alkoholu. Z wielu rzeczy nie jestem dumna. Jakbym wiodła wtedy inne życie. Teraz się zmieniałam.

Pomyślałem o wieczorze, kiedy spotkałem ją na mieście, o jej zachowaniu, o tym, jak wlewała w siebie drinki, jak rozpacz wywołała w niej szaleństwo i nieokiełznanie, ale nie wspomniałem o tym, tylko nadal głaskałem ją po plecach.

– A Herman? – zapytałem. – Jak go poznałaś? Wydajecie się tacy różni.

Całe jej ciało zeszywniało. Przekłułem bańkę mydlaną, wpuściłem rzeczywistość i od razu tego pożałowałem, ale po krótkiej chwili odpowiedziała.

– To tam go poznałam.

– W Berlinie? Jak to się stało? Chyba nie obracaliście się w tych samych kręgach.

– Herman mnie uratował. Spotkałam go na przyjęciu w norweskim konsulacie. Skończyłam studia i zaczęłam wystawiać swoje prace. Herman był tam w interesach, nie pamiętam dokładnie, o co chodziło. Właściwie to nie pamiętam za dużo z tego pierwszego wieczoru, wiem, że byłam pijana, że z nim tańczyłam, ale coś musiało zrobić na nim wrażenie, bo następnego dnia się ze mną skontaktował i zostaliśmy parą.

– Tak po prostu?

W ciemności zauważyłem przeczący ruch głową.

– Nie, nie tak po prostu. Byliśmy, jak mówisz, różni. A ja nie należałam do łatwych osób. Ale Herman się nie poddawał. Kiedy naprawdę czegoś chce, potrafi być wytrwały i wreszcie...

– Zdobył cię?

– Poddałam się.

– Tak też można na to patrzeć.

– Ale to prawda. Zostawiłam prochy, alkohol, agresywnych facetów. Przestałam stawiać opór, odmawiać, gdy chciał mnie ratować. Łatwiej było dać sobie spokój, robić, jak chciał. Wtedy pojawiła się June. I wszystko się zmieniło.

Zamilkliśmy.

– Dużo dla ciebie znaczy, prawda?

– Wszystko. Jest dla mnie wszystkim.

Leżeliśmy w ciszy. Słyszałem jej oddech, czułem bicie serca, wiedziałem, że nie śpi.

– Kochasz go, Heleno?

– Hermana?

– Mhm.

Długie milczenie.

– Herman to dobry człowiek. I dobry ojciec.

– Nie kochasz go.

Nie odpowiedziała.

– Co z June? – zapytała zamiast tego.

– Co z nią?

– Myślisz, że możesz jej pomóc?

– Nie wiem – przyznałem uczciwie. – Naprawdę nie wiem.

– Herman myśli, że tak.

– Ale ty nie?

Przesunęła opuszkami palców po mojej piersi.

– Herman jest optymistą. Ciągłe wierzy w wyzdrowienie June, w to, że dzięki tobie przestaną ją podejrzewać, że wszystko się ułoży, jeśli tylko będziemy wytrwali, ale świat taki nie jest, prawda, Mikaelu?

– Nie – odparłem. – Nie zawsze.

Rozdział 26

Następnego ranka była nieco cicha, nieobecna. Zjedliśmy szybkie śniadanie przy kuchennym stole i wypiliśmy kawę w salonie. Nawałnica zelżała o świcie.

– Co teraz, Heleno? Co teraz będzie?

– Co masz na myśli?

– Wiesz co.

Odwróciła wzrok. Gdy nie odpowiedziała, zapytałem ponownie:

– Co z nami, Heleno? Spotkamy się jeszcze?

– Nie wiem – powiedziała i po chwili dodała: – Nie planowałam tego, co się wczoraj wydarzyło. W ogóle nie chciałam tutaj przychodzić. Byłam na mieście z przyjaciółką.

– A jednak tu doszłaś.

– To miał być żart?

– Nie. Ale tak było. Przyszłaś tu.

– Tak, ale...

– Co?

Wstała, niespokojna, podenerwowana.

– Nie wiem. Może nie postąpiłam zbyt mądrze.

– Żałujesz?

– Nie żałuję. Ale moje życie jest takie skomplikowane... Nie wiem.

Przez chwilę milczałem.

– Nie było ci dobrze?

– Na Boga, Mikael, było wspaniale, nie bądź głupi. – Jej irytacja nadeszła niespodziewanie. – Jesteśmy dorosłymi ludźmi, nie chodzi tylko o to, co jest wspaniałe, prawda?

Spojrzałem na zegar.

– Musisz iść do pracy? – odgadła.

– Tak, mam posiedzenie w sprawie aresztowania. Ale wystarczy, że zatrzaśniesz za sobą drzwi...

Pokręciła głową.

– Nie. Pójdę z tobą.

Kiedy mieliśmy już wyjść, uderzyła mnie ta myśl; jakbym zapomniał, że jest kobietą innego mężczyzny.

– Posłuchaj, Heleno, może pójdź pierwsza. Tak, żeby nikt nie widział nas razem.

Zmarszczyła czoło.

– Pewnie nie powinniśmy iść razem aż do miasta, to chyba trochę głupie. Jeśli ty idziesz do centrum pieszo, ja mogę pojechać autobusem. Ale wyjść możemy jednocześnie.

Gdy skręciliśmy za bramą ogrodową, parę metrów przed nami ujrzałem plecy potężnego mężczyzny, którego krótko przystrzyżone ciemne włosy przyprószone były siwizną. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę z postawionym kołnierzem, szedł szybkim krokiem, z pochyloną głową, w tym samym kierunku co my. Było w tej postaci coś znajomego i odniosłem niejasne wrażenie, że już go gdzieś widziałem, ale patrząc na niego od tyłu, nie mogłem się upewnić. Jednocześnie martwiło mnie coś innego, coś niezdefiniowanego, co mi się nie zgadzało.

Mężczyzna szedł spieszenie w dół zbocza. Dotarłszy do głównej drogi, skręcił w lewo. My mieliśmy iść w prawo, w stronę centrum.

Stałem chwilę, patrząc, jak się oddala, patrząc na jego ociężałe ciało, długie, niezbyt lekkie kroki, ręce wetknięte w kieszenie. Wreszcie zorientowałem się, co mnie trapi, co jest nie tak. Przeszliśmy wolno alejką przez ogród, a kiedy skręciliśmy w lewo za bramą, mężczyzna znajdował się trzy czy cztery metry przed nami i zdązał w tym samym kierunku. Ale nie widziałem, żeby mijał przed nami bramę, co powinien zrobić, gdyby przyszedł z prawej. Nie było tam żadnych zjazdów, bocznych ulic czy bram, z których mógł wyjść, jedynie długi, gęsty żywopłot. Oznaczało to, że albo przyszedł z przeciwnej strony i zawrócił na nasz widok, albo stał pod moim żywopłotem, schowany między bukami, i prędko ruszył w kierunku głównej ulicy, gdy tylko nas ujrzał.

Jakby nie chciał, by go zobaczono.

Może się myliłem. Może minął bramę, a ja tego nie dostrzegłem albo nagle przypomniało mu się coś i zawrócił. Może.

– Mikael? Wyglądasz, jakbyś był miliony kilometrów stąd.

– Co? A, nic. Zdawało mi się, że rozpoznałem mężczyznę, który szedł przed nami.

– Aha. Nie zauważyłam go.

– Pewnie i tak się pomyliłem.

Rozmawialiśmy bez wysiłku, swobodnie, lecz wszystko między nami się zmieniło, stało się trudne, niewygodne, niezdarne.

– No to okej – zakończyła. – Idę na przystanek.

Spojrzałem na nią. Bez makijażu w szarym, bezlitosnym świetle poranka wyglądała na nieco zmęczoną.

Pragnąłem jej tak bardzo, że aż czułem ból.

Chciałem jej to powiedzieć.

Powiedzieć, że jest piękna, urocza, tajemnicza, pociągająca i wręcz cudowna.

– To... do widzenia, Heleno – powiedziałem zamiast tego.
Skinęła głową.

Rozdział 27

Nie zadzwoniła.

Czekałem, regularnie sprawdzałem komórkę, myślałem, że może zadzwoni później, może będzie chciała się znowu spotkać, lecz tak się nie stało. Nic się nie stało. Po kilku dniach cieszyłbym się, nawet gdyby zadzwoniła, by powiedzieć, że nie chce mnie więcej widzieć, że popełniła błąd i żałuje. Cokolwiek, bylebym usłyszał jej głos.

Ale nie zadzwoniła.

W kancelarii zorganizowano przyjęcie pożegnalne dla Synne. Nie miałem ochoty iść, ale widziałem, że muszę. Peter wygłosił zabawną mowę, Finn – sentymentalną. Ludzie zerkali na mnie, lecz nie odezwałem się ani słowem. Synne była moją aplikantką, koleżanką, protegowaną. Siedziałem przy jej łóżku, gdy znalazła się na krawędzi życia i śmierci. Pocieszałem ją, podnosiłem na duchu, uczyłem właściwego zachowania w sądzie, strategicznego myślenia. Stała się dobrym obrońcą i współpracownikiem. Dobrą przyjaciółką.

Zerkałem na nią ukradkiem, pijąc wino z kartonu i gadając obojętnie z dwoma aplikantami. Stała pośrodku mniejszej grupki, mówiła z ożywieniem, opowiadała jakąś historię. Gestykulowała dłońmi o uderzająco długich, wąskich palcach. Zarzuciła głową, wzbijając obłok jasnych włosów, wykrzywiła usta w autoironicznym

grymasie, a wszyscy wokół zaśmiali się, gdy dotarła do puenty. Jej twarz promieniała – od alkoholu, ale też młodością, radością życia. Pomyślałem, że powinienem do niej podejść, zacząć zachowywać się zwyczajnie, miło, przywrócić coś na kształt normalnej relacji.

Gdy jednak na chwilę, ułamek sekundy, nasze spojrzenia się skrzyżowały, pospiesznie odwróciła wzrok, ja zaś zobaczyłem, jak ją to zmieniło, jak zniknęły radość i żar. Straciłem ją. Zniszczyłem naszą przyjaźń, a przez dziecinne, aroganckie postępowanie zaprzepaściłem szansę zyskania zdolnego partnera – w tej sytuacji podejście do niej i udawanie, że nic się nie stało, byłoby wręcz nie na miejscu. Przygnębienie ogarnęło mnie niczym ciemne chmury spowijające jesienne niebo, więc zamiast zbliżyć się do Synne, wróciłem do domu. Wymknąłem się bez pożegnania, bez słowa, jak złodziej w nocy, co tylko pogorszyło moje samopoczucie.

Następnego dnia poszedłem na spacer. Była spokojna, szara niedziela, idealny dzień na prawdziwą wyprawę w góry, ale nie miałem na to siły. Brakowało mi energii, więc zadowolilem się przechadzką między starymi, szacownymi drewnianymi budynkami położonymi od strony gór, wzdłuż tradycyjnego niedzielnego traktu mieszkańców miasta – miejsca, gdzie szło się na spacer, aby być widzianym. Ludzie chodzili grupkami, z wózkami dziecięcymi i psami na smyczy, pozdrawiali się i kiwali do siebie głowami, czasem też do mnie, a ja odwzajemniałem gesty, lecz się nie zatrzymywałem. Nie byłem w nastroju do pogawędek.

Na samym końcu, gdy już miałem zawrócić, podjechał do mnie mężczyzna na wózku inwalidzkim. Było w nim coś znajomego, a kiedy się zbliżył, rozpoznałem Wilhelma Stephansena z dziadkiem. Zatrzymali się tuż przede mną, pośrodku drogi, więc nie miałem wyboru, musiałem też stanąć.

– Mecenasa Brenne – odezwał się starszy pan, dużo pewniejszym głosem, niż kiedy widziałem go ostatnio. – Cieszę się, że pana widzę.

– Dzień dobry – przywitałem się, kiwając głową w kierunku Wilhelma Stephansena. – Jak samopoczucie?

– Dobrze – odparł starszy pan. – Znakomite, mimo wszystko.

– Dziadek świetnie się czuje – dodał Wilhelm. – Nic mu nie jest.

– Poza tym, że nie mogę chodzić.

– Nie możesz chodzić od dwudziestu lat, dziadku.

Zaśmiali się poufałym śmiechem ludzi, którzy dobrze się znają i wielokrotnie wymieniali już te same repliki. Byli jak stare małżeństwo.

– Gdzie pan teraz mieszka? – zapytałem. – Czy w domu opieki?

– Mieszka u mnie – wyjaśnił Wilhelm. – Mam dość miejsca. Nie widzę powodu, by musiał przenosić się do jakiejś instytucji.

– To wspaniale.

Starszy pan skinął krótko głową, jakby uznawał to za oczywiste.

– Cóż – powiedziałem – obiad czeka na mnie w domu.

– Oczywiście. My też musimy iść dalej. Miłego dnia.

– Nawzajem.

Gdy przeszedłem dziesięć metrów, Wilhelm zawołał za mną. Odwróciłem się i zrobiłem parę kroków w jego stronę.

– Tak?

– Może by pan nas odwiedził? Dziadek chciałby, żeby kiedyś wpadł pan na obiad. Mógłby pan?

Nie miałem szczególnej ochoty, ale nie zdobyłem się na to, by odmówić.

– Chętnie. Będzie mi miło.

– Świetnie. Pasuje panu we wtorek?

– Wtorek będzie w sam raz.

– Znakomicie. To jesteśmy umówieni – ucieszył się i zaraz dodał z uśmiechem: – Proszę się nie bać, jestem dobrym kucharzem. Gotowanie to jedno z moich największych hobby.

Helena nie zadzwoniła, ale uczynił to Herman Voltersvik.

– I jak, odezwał się? – zapytał, a ja dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, że chodzi mu o Ottona Schweigera.

– Nie, cały czas cisza.

– Okej. Posłuchaj, mam teraz parę spotkań, ale może mógłbym wpaść tuż przed czwartą?

Wcale nie chciałem się z nim spotykać.

– Pasuje – odparłem mimo to. – Zapraszam.

Wpadł do mnie zagoniony i tak niespokojny, że nawet nie usiadł w fotelu dla gości, tylko chodził tam i z powrotem po pokoju, mówiąc.

– Powinien był już odpowiedzieć, nie sądzisz?

Zastanowiłem się, przeliczyłem w myślach dni.

– Tak. Powinien, o ile w ogóle miał zamiar.

– Właśnie. Dlatego pomyślałem... – Odezwała się jego komórka i wyszarpnął ją z kieszeni gestem rozdrażnionego rewolwerowca, który broń zamienił na telefon. – Tak? – A później, innym tonem: – Nie, jeszcze nie. Tak. Jasne. Okej, to nie potrwa długo. Poczekaj na zewnątrz, kochanie. Okej. Na razie. Przepraszam.

To ostatnie skierowane było do mnie.

– To Helena. Jestem z nią umówiony. Ma się tu ze mną spotkać.

Przełknąłem ślinę i spuściłem wzrok, czując skurcz żołądka.

– I co pomyślałeś?

– Chcę, żebyś tam pojechał.

- To pewnie strata pieniędzy.
- Mam dość pieniędzy, a tylko jedną córkę. Znasz niemiecki?
- Tyle, ile ze szkoły.
- A jaką miałeś ocenę? Czwórkę, piątkę?
- Z niemieckiego? Piątkę.
- To spokojnie wystarczy. Kiedy możesz jechać?

Odprowadziłem go do recepcji. Wiedziałem, że nie powinienem, ale nie mogłem się oprzeć pokusie. Helena siedziała wygodnie na sofie, czytając gazetę.

– Cześć – przywitałem się, a ona spojrzała na mnie z neutralnym wyrazem twarzy, ani przyjaznym, ani wrogim, po prostu uprzejmym.

– Cześć.

Chwyciłem płaszcz i zjechałem windą razem z nimi. Stałem obok niej. Herman Voltersvik cały czas gadał. Ja przytakiwałem, odpowiadałem półsłówkami i patrzyłem na niego, pozornie nie zwracając uwagi na Helenę, ale kątem oka widziałem jej głowę, jej gęste czarne włosy. Pamiętałem ich dotyk. Nozdrza wypełniła mi lekka woń perfum, przypomniałem sobie jej zapach.

– Tak – powtórzyłem po raz kolejny, czując mdłości. – Tak zrobię. Od razu. Dam znać o terminie wyjazdu. Jasne.

Helena nic nie mówiła.

Rozboliła mnie głowa.

Chwilę staliśmy na chodniku na zewnątrz. Objął ją, uśmiechnął się. Odwróciłem wzrok.

Po drugiej stronie ulicy, przed salonem fryzjerskim, potężny, mocno zbudowany mężczyzna opierał się o znak drogowy. Szczyrzył zęby, trzymając ręce w kieszeniach czarnej skórzanej kurtki. Tym

razem go rozpoznałem. Tym razem nie miałem wątpliwości.

– ...do usłyszenia – dobiegł mnie głos Hermana Voltersvika.

Wzięłem się w garść, otrząsnąłem z pierwszego szoku.

– Tak – odparłem odruchowo. – Dam znać.

Kiedy odeszli, znowu na niego zerknąłem. Nadal tam stał. Bez wątpienia na mnie patrzył. Miałem ochotę odwrócić się na pięcie, ale zmusiłem się do czegoś wręcz przeciwnego. Przeszedłem na drugą stronę ulicy.

– Witaj, Freddy.

– Mecenas Brenne. – Uśmiech miał szeroki, lecz niewidoczny w oczach. – Kopę lat.

– Kiedy wyszedłeś?

– Parę tygodni temu.

– I wróciłeś?

– Ano. Trochę dziwnie, ale to tutaj jest mój dom. Stąd pochodzę. Tu mam korzenie i tak dalej.

– Wątpię, czy zostało tu wielu twoich starych koleżków, Freddy. Większość nie żyje albo siedzi. Nie wiem, czy masz do czego wracać.

Przypomniałem sobie ten jego uśmiech, krzywy, nieco ironiczny, jakby bawiło go coś, czego inni nie pojmują. Tak samo uśmiechał się, kiedy w sądzie pokazywano zdjęcia jego ostatniej ofiary. Pozostali zbledli i dostali mdłości. Freddy się uśmiechał.

– Muszę spotkać się z paroma osobami, załatwić kilka spraw.

– W tym także wyrównać stare porachunki? Pomścić domniemaną niesprawiedliwość sprzed lat? Mam się martwić, Freddy?

– Dlaczego, u diaska, tak pan myśli, mecenasie?

– Śledzisz mnie. Widziałem cię w zeszłym tygodniu przed swoją bramą.

Uśmiechnął się szerzej, jakby naprawdę dobrze się bawił.

– Odbiło ci, Brenne? Masz jakąś obsesję?

Otworzyłem usta, aby odpowiedzieć, ale dałem za wygraną. Słowa i tak nic nie znaczyły. Freddy zawsze postępował według własnej logiki, własnych zasad. Oddalając się, czułem suchość w ustach i coraz mocniejszy ból głowy, jakby nadciągała nawałnica.

Rozpoznałem to uczucie. Wiedziałem, że to strach.

Rozdział 28

Kiedy straciłem już wszelką nadzieję na jej powrót, gdy pogodziłem się z tym, że skończy się na tej jednej nocy, i zdecydowałem, że tak będzie mimo wszystko najlepiej, ona zadzwoniła.

– Jesteś w domu? – zapytała, a ja mogłem jedynie odpowiedzieć, że tak. – Świetnie. Jadę do ciebie. – Później zaś jakby mimochodem dodała: – Jeżeli mogę.

Kiedy przyszła, minęła mnie w drodze do sypialni, zrzuciła ubrania i położyła się na łóżku.

– Nie przywitasz się? – zapytałem, ale nawet się nie uśmiechnęła, tylko popatrzyła na mnie, niecierpliwa, gotowa, jakbyśmy już dawno ustanowili taki zwyczaj, więc rozebrałem się i podszedłem do niej.

Później leżała nago, z kołdrą skłębioną za plecami w formie oparcia. Palcem wskazującym rysowała wzory na mojej piersi i brzuchu.

– Co się wtedy stało?

– Hmm? Kiedy?

– Kiedy byliśmy przy twoim biurze. Staliśmy na zewnątrz i mieliśmy się pożegnać. Widziałam, że coś jest nie tak.

– Zobaczyłem faceta, którego kiedyś znałem.

– No i?

Wzruszyłem ramionami.

– Wiele lat temu byłem z nim w sądzie.

– Mikael, stałam dokładnie na wprost ciebie, kiedy go zobaczyłeś. Zbladłeś jak prześcieradło. Byłeś dosłownie biały jak kreda. Myślałam, że zaraz zemdlejesz.

– Aż tak było widać? Herman też zwrócił na to uwagę?

Wzruszyła ramionami.

– Może. Ale Herman nie przejmuje się zdarzeniami, które nie mają dla niego znaczenia. Jest na swój sposób egocentrykiem. – Palec, którym rysowała na moim brzuchu ósemki, zatrzymał się. – No, mówże! Dlaczego tak silnie zareagowałeś?

Usiadłem na łóżku.

– Nazywa się Freddy Krogh. Wiele lat temu, nie pamiętam dokładnie ile, ale co najmniej piętnaście, byłem z nim w sądzie.

– Jako obrońca?

– Nie. Bronilem jego kumpla, Jarlego Nesbø. W tamtych czasach Freddy był ważną postacią w przestępczym półświatku. Przez lata kontrolował sprzedaż wódki na czarnym rynku. Wówczas był to lukratywny biznes. Wtedy wpadł za zabójstwo, odsiedział osiem lat za zabicie jednego faceta. O ile pamiętam, pokłócili się o kobietę. Zanim wyszedł, sytuacja zdążyła się zmienić. Pieniądze robiło się na prochach, nie na wódce. Freddy jako stary rockman nie znał się na narkotykach. Znasz ten typ, Elvis, brylantyna i czarne skórzane kurtki, jednak przede wszystkim był biznesmenem, więc zmiany go nie powstrzymały. W zaskakująco krótkim czasie znowu zaczął działać, tym razem jednak w ofercie miał inny asortyment – wszelkiego rodzaju narkotyki. Policja o tym wiedziała, ale mieli kłopot, żeby coś na niego znaleźć. Freddy był bystry, innym zlecał

czarną robotę, sam nigdy nie tykał dragów, a ci, których łapano, nic nie mówili, bo za bardzo się bali. Freddy zasłużenie cieszył się opinią brutalnego skurczysyna.

Helena wyprostowała się i też usiadła na łóżku.

– Poczekaj, pójde tylko po szklankę wody.

Kiedy wróciła, przylgnęła do mnie i ponagliła:

– Kontynuuj!

– Freddy dość szybko popadł w konflikt z innymi ugrupowaniami z tej samej branży. W tym mieście nikt nigdy nie miał monopolu na sprzedaż narkotyków, zawsze funkcjonowały różne, mniej lub bardziej zorganizowane grupy, jakoś żyjące obok siebie, ale Freddy nie zaakceptował tego stanu rzeczy. Chciał być panem i władcą, tak samo jak na rynku wódki.

– I wtedy rozpętała się burza?

– Właśnie. Wiele osób na własnej skórze doświadczyło brutalności Freddy'ego, więc dość prędko stał się największym graczem na rynku. Jednak nie wszyscy chcieli się poddać. Jeden facet, nazywał się bodajże Erik Kalvenes, stawiał opór. Nie wiem dokładnie, co się stało, albo odmówił podporządkowania się Freddy'emu, albo Freddy wykrył, że sprzedaje na własną rękę. W każdym razie Freddy wraz z dwoma kolegami, z których jednym był mój klient Jarle Nesbø, odwiedził Kalvenesa w domu. Tam bili go, kopali i skakali po nim, aż prawie zmarł. Ojciec Kalvenesa usłyszał hałasy, bo mieszkał piętro niżej, i przyszedł tam. Próbował ich powstrzymać, ale oni tylko się śmiali i dalej robili swoje. Dopóki nie uznali, że Kalvenes nie żyje.

– Boże drogi!

– Tak. Ale żył. Ojciec wezwał karetkę i okazało się, że chłopak jeszcze oddycha. Przewieźli go na intensywną terapię,

zawieszzonego między życiem a śmiercią.

– Przeżył?

– Nie. Freddy, Jarle Nesbø i facet, którego nazwiska nie pamiętam, jeszcze tej samej nocy wdarli się do szpitala. Wyciągnęli Erika Kalvenesa z łóżka i skopali go na śmierć.

– Żartujesz?

– Nie, to prawda. Naszprycowali się Bóg wie czym, rohypnolem, wódką, wszystkim, czym się dało, i byli całkowicie poza kontrolą.

– I co? Co się stało?

– W sądzie Freddy, Jarle Nesbø i ten trzeci twierdzili, że poszli do szpitala, bo żalowali tego, co zrobili, że chcieli zobaczyć, jak Kalvenes się czuje, ale wtedy nagle odbiło mojemu klientowi, Jarlemu, i to on dopuścił się aktu przemocy.

– Podczas gdy pozostali patrzyli?

– O ile pamiętam, stwierdzono, że Jarlemu odbiło, gdy tamci dwaj właśnie wychodzili ze szpitala. Usłyszeli jakieś hałasy, zawrócili biegiem i spróbowali powstrzymać koleżkę, ale było już za późno.

– To prawda?

– Nie.

– Więc dlaczego Jarle Nesbø powiedział, że to zrobił?

– Nie wiem. Ze źle pojętej lojalności lub, co bardziej prawdopodobne, bo nie odważył się zaprzeczyć. Nie mam pojęcia.

– To jak poszło w sądzie?

Wyprostowałem się bardziej na łóżku, zakryłem się skrawkiem kołdry.

– Musisz zrozumieć, że znalazłem się w jednej z najtrudniejszych sytuacji, jakie mogą przytrafić się obrońcy. Mój klient przyznał się do winy. Nie wierzyłem mu, ale był przerażony i zabronił mi wnosić

o wyrok uniewinniający.

– Co zatem zrobiłeś?

– I tak poprosiłem o uniewinnienie. Czasami trzeba słuchać własnego sumienia, swoich instynktów. Moim zadaniem jest uzyskać jak najlepszy rezultat, mimo że klient może sam nie wiedzieć, co dla niego dobre.

– Jak ci się to udało?

– Rozdzieliłem ich zeznania. Nie tak łatwo jest zgrać z sobą szczegóły trzech zmyślonych historii. W sądzie zająłem się Freddyem, przesłuchiwałem go dopóty, dopóki zarówno jego zeznanie, jak i wiarygodność zostały roztrzaskane w pył. Szczerze mówiąc, odwaliłem kawał dobrej adwokackiej roboty. Mojego klienta skazano za uszkodzenie ciała, lecz oczyszczono z zarzutu zabójstwa. To Freddy'ego za nie skazano.

– Co na to twój klient?

– Był zły. – Uśmiechnąłem się. – Ale też mu ulżyło.

– A Freddy?

– Freddy poprzysiągł zemstę.

– Tobie?

– Jarlemu Nesbø, mnie i Bóg raczy wiedzieć komu jeszcze. Głównie mnie.

– Myślisz, że to poważne?

Wzruszyłem ramionami.

– To bardzo agresywny człowiek. Został skazany za dwa zabójstwa, ale prawdopodobnie popełnił ich więcej. A Jarlego Nesbø parę lat po procesie pobito na śmierć w zakładzie karnym Ullersmo.

– Myślisz, że stał za tym Freddy?

– Kto wie? Siedział wtedy w Ringerike, ale miał dobre kontakty,

więc kto wie?

Leżeliśmy chwilę obok siebie w ciszy, aż zapytała:

– Co z tym zrobisz?

– Co mogę zrobić?

– Pójść na policję.

– I co im powiem? Muszę mieć coś konkretnego, same obawy nie wystarczą.

– To co zrobisz?

– Będę ostrożny. Będę się pilnował.

Zamilkliśmy. Po chwili położyłem rękę na jej brzuchu. Na matowym, ciepłym jedwabiu.

– Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę. W ten sposób.

– Hmm.

– Dlaczego przyszłaś?

– Co chcesz usłyszeć, Mikaelu?

– Że miałaś na mnie ochotę, cały czas o mnie myślisz i nie mogłaś mi się oprzeć.

– Nie mogłam ci się oprzeć. Zadowolony?

– Hmm. Ja tobie też nie mogę się oprzeć.

Nieco później zapytałem:

– Co z nami?

– Nie wiem.

– Ale...

– Nie, Mikaelu. Zostaw to.

Rozdział 29

W piękny, słoneczny dzień dom Wilhelma Stephansena na pewno wyglądałby przyjemnie, jednak tego zimowego wieczoru sprawiał ponure wrażenie, wzmacnione przez ciemną ścianę otaczających posesję świerków. Miałem ochotę zawrócić do domu, lecz kiedy Stephansen otworzył drzwi, hol zajaśniał przede mną od zapalonych świec i dywanów w ciepłych barwach. Zabrał mnie z sobą do kuchni, której powietrze wypełniał zapach egzotycznych przypraw, po czym nalał nam po kieliszku wina.

Sączyłem alkohol, podczas gdy on krzątał się przy garnkach.

– Ładnie pachnie – powiedziałem.

– Zobaczymy. To tadżin, marokańska potrawa. Próbował pan? Niesamowite bogactwo składników, zdumiewająca ilość przypraw.

– Uniósł pokrywkę, zanurzył łyżkę i spróbował. – Mm. Chyba będzie dobre.

– Tak w każdym razie pachnie. Gdzie pański dziadek?

– Zejdzie, gdy tylko jedzenie będzie gotowe. Czekamy jedynie na kuskus.

– Kuskus?

Zaśmiał się.

– Tak, zamiast ryżu. Dziwnie brzmi, ale dobrze smakuje. Przekona się pan.

– Okej. Ufam panu.

Gdy jedzenie było gotowe, wyszedł do holu i krzyknął. Po kilku minutach usłyszałem brzęczenie, a następnie Didrik Stephansen zsunął się na wózku inwalidzkim po małej platformie przymocowanej do schodów.

– Winda schodowa – wyjaśnił Wilhelm. – Właśnie ją zainstalowałem.

Jego dziadek miał na sobie szkarłatną bonzurkę i zielony koc na kolanach, a w powolnym zjeździe z góry była swego rodzaju absurdalna godność i sztuczna elegancja.

– Czyż to nie wejście na miarę hollywoodzkiej gwiazdy? – zapytał Didrik Stephansen wesoło, idealnie opisując chwilę.

Jedzenie smakowało równie dobrze, jak pachniało. Kiedy Wilhelm zajmował się serwowaniem potrawy, starszy pan przejął rolę gospodarza. Siedział u końca stołu w jadalni, której ściany pokrywały ciemne, dębowe panele. Przed nami lśniła srebrna zastawa, a nad głowami migotał olbrzymi żyrandol. Stephansenowie musieli posiadać stary majątek.

– Od lat mieszkamy w tym domu – powiedział Didrik Stephansen. – Młody Wilhelm, Willy, to już czwarte pokolenie. Dziadek kupił działkę, ojciec zlecił budowę, a ja mieszkałem tu, dopóki nie stało się to dla mnie zbyt uciążliwe. – Uśmiechnął się, lecz bez goryczy. – Osobie na wózku powinno wystarczać jedno piętro.

– A teraz pan wrócił.

Wyglądał na zadowolonego.

– Willy nalegał. I sam widział pan to fantastyczne urządzenie, które dla mnie zainstalował.

Kiedy zjedliśmy, uniósł szklanekę w toaście.

– Cieszę się, że zechciał pan dziś przyjść, abym mógł panu

właściwie podziękować. Naraził pan własne życie, by mnie uratować, a ja niestety nie mam się jak odwdzięczyć.

Machnąłem lekko ręką.

– Nie trzeba... – zacząłem, ale starszy pan mi przerwał.

– Trzeba, mecenasie Brenne. Dzisiejsi ludzie traktują wszystko niepoważnie, czują się niezręcznie w uroczystych chwilach i gdy coś wyda im się sentymentalne. Ale to nie sentymentalizm ani konwenanse. Niektóre rzeczy zasługują na to, aby zrobić je właściwie.

Popatrzyłem na niego. Na czubku głowy ładnie zaczesał kilka ostatnich kosmyków, bonzurka zwisała z chudych ramion. Był bardzo stary, a migotliwe cienie rzucane przez świece zdradzały jego wiek, uwypuklając wychudzoną twarz, zapadnięte policzki i ostry nos – jednak wzrok miał trzeźwy, niemal przenikliwy. W moich myślach, nieproszony, pojawił się ojciec. Ogarnął mnie smutek z powodu demencji, która w ostatnich latach stopniowo zredukowała go do cienia człowieka, i z powodu wszystkiego, co straciliśmy. Następnie poczułem ukłucie wyrzutów sumienia, że dawno go nie odwiedzałem.

– Stephansenowie zawsze próbowali postępować właściwie. Tym się szczycimy, czy chodzi o pracę, czy o inne sprawy. Jesteśmy też, ośmielę się stwierdzić, znani ze swojego honoru i dotrzymywania słowa. Słowo „honor” wyszło z powszechnego użycia. To słowo wyśmiewane we współczesnych czasach, słowo, które straciło wartość.

– Dziadku...

Krótko zerknął na wnuka, po czym znowu zwrócił się do mnie:

– Wilhelm boi się, że zgubię wątek, ale proszę się nie martwić, jestem jeszcze sprawny na umyśle.

– Przepraszam, dziadku, nie chciałem...

– Proszę, Wilhelmie, pozwól mi dokończyć.

Ton jego głosu sprawił, że Wilhelm Stephansen zamilkł, po czym nastąpiła krótka, nieprzyjemna cisza, aż stary znowu się odezwał.

– Chodzi mi o to, mecenasie Brenne, że jesteśmy rodziną, która poważnie traktuje pojęcie honoru. Oznacza to, że na serio bierzemy wyrównywanie rachunków, swoje zobowiązania, winy i długi. A faktem jest, że mamy wobec pana ogromny dług. Zaryzykował pan dla mnie życie. Chcę panu tylko powiedzieć, że jeżeli kiedykolwiek potrzebowałby pan pomocy, jeśli moglibyśmy coś dla pana zrobić, w czymś usłużyć, proszę tylko powiedzieć, a uczynimy wszystko, co w naszej mocy. To sprawa honoru. Zatem raz jeszcze dziękuję!

Chwycił kieliszek migoczący ciemną czerwienią i wznieśliśmy uroczysty toast. Nagle światło w jego oczach zgasło, cały lekko się zapadł. Ta krótka mowa go osłabiła. Wilhelm dostrzegł to i od razu wstał.

– Pomogę ci pójść do pokoju, dziadku.

Didrik Stephansen obojętnie skinął głową.

– Tak. Przepraszam. Nie mam już tyle sił, co kiedyś. Musi mi pan wybaczyć.

Minęła dłuższa chwila, może dwadzieścia minut. Popijałem wino, przyglądając się starym fotografiom surowych mężczyzn i obrazom. Było tam też parę nowszych zdjęć. Wszystkie przedstawiały Wilhelma jako myśliwego, stojącego z uśmiechem, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, przed zastrzeloną zwierzyną – łosiem, jeleniem, reniferem i paroma bardziej egzotycznymi okazami: rozpoznałem bawoła, antylopę, coś wyglądającego na kozicę. Na pozostałych zdjęciach Wilhelm nosił mundur, czasem pojawiał się

sam, a czasem w towarzystwie innych mężczyzn.

– Przepraszam, że tyle to trwało – powiedział, gdy wrócił. – Dziadek trochę się zmęczył. Chyba wypił kieliszek wina za dużo, więc chciałem mieć pewność, że trafi do łóżka.

– Nic nie szkodzi.

– Koniaku?

– Poproszę.

– Możemy wziąć kieliszki do salonu.

– Nie wiedziałem, że jest pan żołnierzem – zacząłem, gdy nalewał alkoholu.

– Widział pan zdjęcia?

– Tak.

– Owszem, jestem porucznikiem.

– Gdzie to było? – zapytałem, wskazując jedną z fotografii. Przedstawiała grupkę pięciu mężczyzn w mundurach polowych z maskującym wzorem. Siedzieli oparci o bloki skalne, trzymając w rękach broń automatyczną, na tle krajobrazu, który ewidentnie nie był norweski.

Omiótł zdjęcie wzrokiem.

– Afganistan.

– O rany, był pan tam? Jak było?

– Dość ciężko.

– Walczył pan z talibami?

– Tak. Kilka razy.

– Jak... – Przerwałem. Wreszcie zwróciłem uwagę na jego krótkie odpowiedzi i niezachęcającą minę. – Przepraszam, nie chciałem drażnić.

– W porządku. Ale nie będziemy o tym rozmawiać.

– Nie, oczywiście. Przepraszam.

Aby zmienić temat, zapytałem o zdjęcia z polowań, na co się rozpromienił.

– Łowiectwo to moja wielka pasja. Poluję, jak często mogę. To dziadek mnie tego nauczył. Nie ma na ziemi uczucia podobnego do tego, kiedy masz zdobycz w zasięgu wzroku, dokładnie w chwili, która decyduje o życiu lub śmierci, w krótkiej sekundzie, gdy cały świat wstrzymuje oddech. Tylko wtedy wiem z całą pewnością, że żyję. Proszę popatrzeć tutaj.

Otworzył starą szafkę ścienną. Już wcześniej zwróciłem na nią uwagę. Przypuszczałem, że mieści zastawę stołową, jednak się pomyliłem. Za lakierowanymi drzwiami znajdowały się następne, w formie stalowej kraty, a za nimi sześć lśniących egzemplarzy broni – trzy karabiny i trzy strzelby.

– Poluję i zbieram broń, to moje dwa zainteresowania. A pan, Mikaelu? Poluje pan?

– Nie, nie jestem łowcą – odparłem.

Uśmiechnął się.

– Wszyscy mężczyźni to łowcy – stwierdził. – Tylko nie wszyscy o tym wiedzą.

W salonie paliło się w kominku, stały tam też głębokie, wygodne fotele.

– Zdziwiłem się, że przygarnął pan dziadka po jego wyjściu ze szpitala.

– Naprawdę?

– Tak. Proszę mnie źle nie zrozumieć, uważam, że to godne podziwu, ale większość osób raczej załatwiłaby mu miejsce w domu spokojnej starości.

– Zapewne. – Przyglądał się swojej koniakówce, obracał ją, unosił do światła. – Nie brałem tego pod uwagę. Zasługuje na coś lepszego

niż publiczna placówka opiekuńcza.

Znowu pojawiła się myśl o ojcu, a wraz z nią irytacja wywołana słowami Wilhelma Stephansena, jednak powiedziałem tylko:

– Wygląda na to, że jesteście sobie bliscy.

– Tak. Dorastałem u niego.

– Ach, tak? A pańscy rodzice?

– Zmarli w wypadku samochodowym, kiedy byłem mały.

– Przepraszam, nie wiedziałem...

– Kiedy zmarli, mieszkaliśmy za granicą, w Argentynie. Ojciec prowadził tam interesy. A ja... – znowu uniósł szklanę; światło załamało się na fasetach – ...zostałem oddany do domu dziecka.

– Domu dziecka?

– Tak. Tymczasowo, na tydzień czy dwa, ale ja tego nie wiedziałem. Myślałem, że zostanę tam na zawsze. To nie było dobre miejsce. Właściwie to nie pamiętam zbyt wiele, jedynie uczucie, że zostałem opuszczony, ale wtedy przyjechał dziadek. Nigdy tego nie zapomnę. Wpadł tam, wziął mnie na ręce i zabrał z sobą. Uratował mnie. – W końcu przytknął szklanę do ust i wypił łyk. – Nie, nie trafi do domu opieki, póki to ja o tym decyduję. Wszystko mu zawdzięczam. – Pochylił się ku mnie z uśmiechem. – Dostyc tych smutnych wspomnień. Więcej koniaku?

Później, gdy byłem już w drodze do drzwi, chwycił mnie za przedramię.

– Słuchaj, Mikaelu, to, co dziadek wtedy powiedział, ta jego mała mowa...

– Tak?

– To nie były puste słowa. Nie miej wątpliwości, że tak właśnie myśli. I ja też. Jeśli tylko zajdzie potrzeba, jestem do twojej dyspozycji. Kiedykolwiek. W jakiegokolwiek sprawie.

Obaj byliśmy lekko wstawieni. Wiedziałem to, a jednak nieco się wzruszyłem. Niewiele osób oferowało mi pomoc.

– Dziękuję ci, Willy – powiedziałem. – Będę o tym pamiętał w razie problemów.

Rozdział 30

Otyły mężczyzna siedzący przede mną jęknął i odchylił się w tył, jakby chciał przetestować wytrzymałość oparcia. Siedzenie wytrzymało napór, ale zawiasy stolika ostro i boleśnie uderzyły mnie w kolana. Postanowiłem to zignorować, zlekceważyć chęć wrzaśnięcia, wstania i przyłożenia temu facetowi. Zamknąłem oczy. Spróbowałem zasnąć. Zacisnąłem zęby, modląc się w duchu, aby ten krótki lot z Kopenhagi do Hamburga, który według mnie trwał już wieczność, zaraz się skończył. Coś zabrzęczało w głośniku. Zerknąłem w górę. Świeciła się lampka „zapiąć pasy”. Samolotem nagle zarzuciło, poleciał w bok i w dół, zostawiając mój żołądek gdzieś w chmurach.

– ...lekkie turbulencje podczas lotu – poinformował głośnik uprzejmym i radosnym tonem. Spadaliśmy jak kamień. Nagle zahamowaliśmy gwałtownie. Bawiące się nami olbrzymy podrzucały maszynę i kręciły nią kółka. Ktoś za mną zwymiotował. Bolały mnie kolana. Bolał mnie kark. Nie otwierałem oczu.

Hotel, który znalazłem przez internet, był czysty i schludny, personel uprzejmy, a pokój gotowy. Wziąłem prysznic i uciałem sobie drzemkę. Obudziwszy się, poczułem desperacki głód. Restauracja hotelowa serwowała dania, które może nie były zbyt wyszukane, ale też nie istniał powód, by na nie narzekać. Nie zastanawiając się długo, najadłem się do syta i spojrzałem na

zegarek. Wpół do jedenastej wieczorem. Zbyt późno, by kogoś odwiedzać, ale za wcześnie, by się położyć.

Byłem już kiedyś w Hamburgu, eleganckim, szacownym mieście handlowym, mieście hanzeatyckim, bogatym od dawna i zarozumiałym od wieków. Postanowiłem się przejść wzdłuż rzeki. Wiał zimny, ostry wiatr, a ulice były niemal opustoszałe. Zastanawiałem się, czy nie podjechać taksówką na Reeperbahn, by znaleźć knajpkę, napić się piwa i poprzyglądać się ludziom, ale nie byłem w nastroju, więc odrzuciłem tę myśl. Spacerowałem, aż dopadło mnie zmęczenie, po czym zawróciłem do hotelu.

Chwilę pooglądałem telewizję, przeskakiwałem po kanałach od rzeczy obojętnych do bezsensownych i z powrotem. Chwyliłem komórkę i napisałem wiadomość. „Jestem w Hamburgu, sam w pokoju hotelowym. Myślę o tobie”.

Zawahałem się, ale wysłałem ją do Heleny.

Nie mogłem zasnąć przez wiele godzin, czekając na odpowiedź, która nigdy nie nadeszła.

Ponownie zadzwoniłem i usłyszałem brzęk dzwonka za zamkniętymi drzwiami. Była jedenasta przed południem. Wziąłem taksówkę z hotelu, przejechałem przez centrum na zachód, do starej, porządnej dzielnicy, gdzie wysiadłem pod ceglana kamienicą. Cztery kondygnacje, wysokie okna zdobione elegancką sztukaterią. Zadbane, dyskretne miejsce, gdzie zamożni mieszkańcy mieszkali od pokoleń. Drzwi zewnętrzne były zamknięte na klucz i nikt mi nie otworzył, gdy wcisnąłem przycisk domofonu, ale skorzystałem z okazji i zakradłem się do środka, kiedy z budynku wychodziła ciemnoskóra kobieta, może pomoc domowa, a może sprzątaczką. Odwróciła się i spojrzała na mnie, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zignorowałem ją i spieszenie,

zdecydowanie minąłem. Wzruszyła ramionami.

Zadzwoiłem raz jeszcze, a potem zastukałem w szybę w drzwiach, tuż nad tabliczką, na której starannie wypisano „Otto Schweiger”.

– *Ja, ja* – usłyszałem głos z wewnątrz. – *Moment. Ich komme.*

Poirytowany głos. Drzwi uchylły się na kilka centymetrów, na tyle pozwolił łańcuch bezpieczeństwa. W szczelinie dojrzałem przekrwione oko, nieco zmierzwione, jasne włosy i zarośnięty podbródek.

– *Ja?*

– Otto Schweiger?

– *Was wünschen Sie?*

Zacząłem wygłaszać przygotowaną mowę moim szkolnym niemieckim, jękając się nieustannie. Przedstawiłem się, spróbowałem wyjaśnić, po co przyjechałem. Po paru zdaniach przerwał mi, pytając, czy mówię po angielsku. Z westchnieniem ulgi przerzuciłem się na ten język.

– Ach – powiedział. – To pan pisał. Z Norwegii, prawda?

– Zgadza się.

Drzwi zamknięto, po czym otwarto na oścież.

– Proszę wejść – zaprosił mnie. – Przepraszam, siedziałem wczoraj w nocy do późna. Kawy?

Przyjąłem propozycję i poszedłem do kuchni za młodym mężczyzną w znoszonym szlafroku. Chodził boso, miał jasne, wyblakłe włosy i lekki zarost wyglądający, jakby narysowano go ołówkiem. Kiedy przygotowywał kawę, usłyszałem miękkie kroki, a gdy się odwróciłem, zobaczyłem w drzwiach młodą kobietę owiniętą prześcieradłem. Odezwała się, na co on odpowiedział po niemiecku z prędkością karabinu maszynowego, o wiele za szybko,

abym zrozumiał. Uśmiechnęła się do mnie i zniknęła.

– Przyjaciółka – wyjaśnił. – Coś do kawy? Nie? Proszę.

– Dziękuję – powiedziałem. – To pan jest Otto Schweiger?

Pokręcił głową.

– Nie.

– Nie? Ale czytał pan mój list?

– Nazywam się Gerhard Schweiger. Otto jest moim wujem, bratem ojca.

– Ach, tak.

– Mój wuj... To jego mieszkanie, jak pan widział, na drzwiach i skrzynce pocztowej widnieje jego nazwisko, ale wie pan, on zachorował. Chyba z rok temu miał wylew, dość rozległy. Stracił czucie w połowie ciała oraz w dużej mierze zdolność mówienia... – Wykonał nieokreślony ruch dłonią w powietrzu. – Ma rozmaite dolegliwości. Nie mógł już tu mieszkać.

– Więc pan się tu wprowadził?

– Wuj Otto nie ma własnych dzieci. Zawsze byliśmy w dobrych relacjach, więc kiedy ojciec załatwił mu miejsce w domu opieki, wprowadziłem się. Potrzebowałem mieszkania. Rodzeństwo jest już od dawna na swoim.

– Ale pan nie?

– Jestem artystą – wyznał po części z przekorą, a po części jakby się usprawiedliwiał.

– Naprawdę? Czym się pan zajmuje?

– Piszę wiersze. Jestem poetą.

– No proszę. Wydał pan coś?

– Nie. Jeszcze nie.

– Na pewno kiedyś się uda.

W rozmowie nastąpiła krótka przerwa. Przyjaciółka Gerharda

krzyknęła coś z korytarza, on odpowiedział, po czym trzasnęły drzwi.

– Pana dziewczyna? – zapytałem.

– Nie – odparł. – Tylko znajoma.

– Jedna z zalet bycia artystą – skomentowałem, na co uśmiechnął się trochę z wahaniem, niepewny, czy powiedziałem to z ironią, czy nie. – Proszę posłuchać, Gerhardzie. – Pochyliłem się nad kuchennym stołem. – Nie dostałem odpowiedzi na list, który wysłałem. Wie pan może, czy wuj...

Wzruszył przepaszająco ramionami.

– Nie czytał go. Nie dałem mu go. Nie było sensu.

– Ale pan najwyraźniej go czytał!

– Tak, czytałem.

– Więc może wie pan coś, co mogłoby mi pomóc? – Byłem nieco rozdrażniony, co od razu zauważył. Spojrzał w bok i zasłonił twarz filiżanką, jakby chciał się za nią schować.

– Tak, wiem coś. Ale nie wiem, czy to panu pomoże.

Ottona Schweigera odwiedził ktoś z Norwegii. Gerhard nie spotkał gościa osobiście, więc nie mógł go opisać, ale miało to miejsce kilka lat temu. Zapamiętał epizod, ponieważ wuj Otto przez pewien czas był niezwykle cichy i zamyślony. Wreszcie Gerhard zapytał, co go trapi, a wuj powiedział, że złożył mu wizytę pewien Norweg, przez co stanął przed dylematem zmuszającym go do zajęcia stanowiska wobec kilku kwestii.

– Zdradził, o co chodziło?

– Nie. Oczywiście drążyłem temat, ale tylko pokręcił głową.

– Rozumiem. Wydawał się wzburzony, wystraszony, zły?

W jakim był nastroju po tej wizycie?

Gerhard się zastanowił.

– Nie był zły ani wystraszony, nic z tych rzeczy. Wydawał się bardziej... nie wiem... zamyślony... może smutny... Jakby coś go martwiło. Trudno to wyjaśnić.

„Jesteś poetą – pomyślałem. – Słowa to twoja działka. Mógłbyś przynajmniej spróbować”.

Zapytałem, czy wuj rozwiązał trapiący go dylemat.

– Nie wiem. Z czasem wrócił do siebie, ale... Nie, nie wiem.

– I nie ma pan pojęcia, o co chodziło, czego ten Norweg od niego chciał? Jaki mógł być związek?

Pokręcił głową.

– Nie, nie mam pojęcia – rzekł. – Poza tym, co jest oczywiste.

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Poza wojną.

– Otto Schweiger był podczas wojny w Norwegii?

– Tak. Myślałem, że pan wie.

– Nie. Co tam robił?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem dokładnie. Ale należał do gestapo, o ile mi wiadomo.

– Hm. Cóż, to może go odwiedzę i sam zapytam?

Gerhard popatrzył na mnie z rezygnacją.

– Nie rozumie pan.

– Czego nie rozumiem?

– Powiedziałem przecież, że przebywa w domu opieki. Parę tygodni temu miał kolejny wylew, trzeci. Jest całkowicie sparaliżowany, w ogóle nie mówi.

Rozdział 31

Trochę to trwało, ale wreszcie namówiłem Gerharda, aby mimo wszystko zabrał mnie do wuja. Jechał za szybko i brakowało mu wprawy w prowadzeniu auta. Kiedy skręciliśmy przed starą, bieloną willą z dość dużym ogrodem, byłem zlany potem.

– Nie jest pan przyzwyczajony do ruchu miejskiego, co? – zapytał Gerhard. – Zauważyłem, że był pan spięty.

– Wszystko w porządku – wymamrotałem. – To tutaj?

– Tak. Prywatna klinika. Bardzo dobra. Zdolni pracownicy, dobra obsługa.

– Pewnie droga.

Wzruszył ramionami.

– Mamy... wuj ma pieniądze. Rodzina ma pieniądze.

– Ale pan nie?

Blady uśmiech.

– Coś tam odziedziczę.

Musieliśmy chwilę poczekać, gdyż właśnie trwał posiłek czy obchód, nie zrozumiałem do końca, ale po niecałej półgodzinie wyszła do nas młoda kobieta o spokojnych brązowych oczach i mocnym uścisku ręki.

– Siostra Angelica – przedstawiła się. – Proszę iść za mną.

Otto Schweiger leżał na plecach w wielkim łóżku, z dłońmi złożonymi na piersi i zamkniętymi oczami. Miał opuchniętą twarz

o barwie i fakturze kitu okiennego. Krótką chwilę staliśmy w milczeniu przy jego łóżku, a ja byłem pewien, że myślimy to samo – patrzymy na człowieka, który nas opuścił, cicho wyzionął ducha. Nagle uniósł powieki i spojrzał na nas zaczerwienionymi oczami. Prawe wydawało się większe od lewego, zakrytego zwisającą powieką.

– Panie Schweiger – powiedziała siostra Angelica. – Ma pan gościa. Z daleka, aż z Norwegii.

Nie dało się dostrzec żadnej reakcji.

Wtedy głos zabrał Gerhard.

– Wuju Ottonie! – zawołał, jakby mówił do głupka albo małego dziecka. – To ja, Gerhard. A to mecenas Mikael Brenne z Bergen w Norwegii. Szuka informacji w związku ze sprawą, którą prowadzi.

Otto nie poruszył się ani nie wydał dźwięku. Gerhard zwrócił się do mnie.

– Sam pan widzi. Niestety nie da się z nim porozumieć. Nie wiem, ile w ogóle rozumie, co do niego dociera.

Zignorowałem go, za to zwróciłem się do mężczyzny na łóżku.

– Szukam informacji o jakimś Torleifie Bergem – wyjaśniłem.
– Mam powody, by sądzić, że parę lat temu pana odwiedził.

Krótkie chrząknięcie, skurcz w prawym kąciку ust.

– O, pan Schweiger rozumie większość z tego, co się mówi – zapewniła siostra Angelica profesjonalnym, radosnym głosem pielęgniarki. – Prawda, panie Schweiger?

Następny skurcz.

– Wszystko jest w porządku z jego intelektem i absolutnie można się z nim komunikować. Zostało mu trochę czucia w prawej dłoni, więc rusza palcem wskazującym: raz na nie i dwa razy na tak. Nie

ma problemu, dopóki się za bardzo nie zmęczy.

Przysunęła krzesło do krawędzi łóżka, usiadła i chwyciła jego dłoń.

– Proszę pytać, a ja przekażę odpowiedzi. Musi pan tylko uważać, aby na pytania dało się odpowiedzieć „tak” lub „nie”, i nie zadawać ich więcej, niż to konieczne. W porządku?

Kiwnęliśmy głowami.

– Może najpierw zapytam, czy chce z panami rozmawiać.

Sekunda skupienia w ciszy. Wpatrywałem się w dużą prawą dłoń Schweigera, spoczywającą w białej, wypielęgnowanej dłoni siostry Angeliki. Widziałem, jak jego palec wskazujący niemal niezauważenie poruszył się dwa razy.

– Chce – stwierdziła siostra Angelica. – Mecenas zada swoje pytania, pan Gerhard Schweiger dla pewności przetłumaczy na niemiecki, a ja przekażę odpowiedzi.

Był to powolny, trudny i dziwny seans, z długimi przerwami między pytaniami a odpowiedziami, ale jakoś daliśmy radę.

– Czy parę lat temu odwiedził pana Torleif Berge? – zapytałem.

Stuk, stuk.

– Tak.

– Czy rozmawialiście?

Stuk, stuk. Znowu:

– Tak.

– Czy rozmowa dotyczyła spraw z czasów wojny, kiedy stacjonował pan w Bergen?

Stuk, stuk.

– Znaliście się wcześniej?

Stuk.

– Nie.

Ta odpowiedź mnie powstrzymała, musiałem pomyśleć. Musiało istnieć między nimi jakieś powiązanie.

– Czy Torleif Berge był nazistą?

– Nie.

– Był donosicielem, informatorem Niemców, to znaczy waszym?

– Nie.

– Aresztowało go gestapo?

– Nie.

Przerwałem, aby się zastanowić. Nie byłem pewien, co dalej. Nie miałem pojęcia, o czym rozmawiali, poza tym, że chodziło o coś związanego z wojną.

– Czy rozmowa dotyczyła czegoś o osobistym znaczeniu dla Bergego? Osobistym – w odróżnieniu od jego zainteresowania historią.

Jeden ruch, a po chwili, jakby się zawahał, kolejny.

– Tak.

Nie wiedziałem, co dalej. Mogłem tak drażnić temat w nieskończoność, nie zbliżając się do rozwiązania zagadki.

– Panie Schweiger – powiedziałem po namyśle. – Zadaję te wszystkie pytania, ponieważ Torleif Berge nie żyje. Ktoś go zamordował. Zastanawiam się, czy mogło to mieć jakiś związek z jego wizytą u pana.

Chrząknięcie, tym razem głośniejsze. Poczzerwieniał na twarzy i wytrzeszczył lewe oko. Patrzyłem na jego dłoń, drobne ruchy palca przypominające umierającego owada.

– Co on mówi, siostrze?

– Nie wiem. Nie powinien się tak emocjonować.

– Jego ręka, palec rusza się... chce...

– Pisać – odezwała się. – To ma pan na myśli? Pisanie?

Palec postukał dwa razy w jej dłoń, teraz wyraźniej.

– Tak.

– Nie wiem, czy da radę – powiedziała z powątpiewaniem w głosie – ale mogę przynieść papier i długopis.

Palec uniósł się i opadł. Raz.

– Nie.

– Nie papier. Nie chce pan, nie może pan sam pisać?

Stuk.

– Nie.

Siostra Angelica przejęła rolę pytającej, wciągnięta w rozmowę.

– Ale chodzi o coś z pisaniem, prawda?

– Tak.

– Coś już napisanego?

– Tak.

– To książka?

– Nie.

– List?

– Tak.

– List, który pan dostał?

– Nie.

– List, który pan napisał?

– Tak.

Rzuciłem się z własnym pytaniem.

– Do Torleifa Bergego? List, który pan wysłał do Bergego?

– Tak.

Zastanowiłem się kilka sekund.

– I ten list da mi odpowiedź na to, kto zabił Torleifa Bergego?

Sekundy mijały. Zorientowałem się, że wstrzymuję oddech. Jak zahipnotyzowani wpatrywaliśmy się w palec wskazujący Ottona

Schweigera, nieruchomo leżący na dłoni siostry Angeliki.

Wtedy się poruszył.

Nie w górę i w dół, ale w przód i w tył, jakby ją pieścił, rysował tajemny znak z czasów młodości. Kiedyś znaczył on: „Chcę się z tobą przespać”. „Może i ma to na myśli – przemknęło mi przez głowę. – Dlaczego nie? Ostatni skurcz, ostatnia możliwość, by poczuć, że kiedyś żył, że ta skorupa była kiedyś Ottonem Schweigerem, mężczyzną, żołnierzem, oficerem gestapo. Może...”.

– Ani tak, ani nie – odezwałem się – ale może! Chodzi panu o „może”?

Góra-dół, góra-dół.

– Tak.

Okej. Może. Zawsze to lepiej niż nic. Dużo lepiej. Teraz jedynie musiałem znaleźć ten list.

– A niech mnie – westchnął Gerhard Schweiger. – Prawdziwa tajemnica dla detektywa.

– Musi teraz odpocząć – stwierdziła siostra Angelica.

Na lotnisku, gdy miałem już wejść na pokład samolotu, piśnięcie telefonu oznajmiło nadejście wiadomości. Od Heleny. Wreszcie.

„Nie wysyłaj wiadomości na moją komórkę”. Tylko tyle. Całe zadowolenie z siebie i podniecenie, uczucie zbliżania się do celu – zniknęły.

Na lotnisku Kastrup przyszedł kolejny SMS, również od Heleny. „Zadzwoń do ciebie, jak wrócisz do domu”.

Chmury się rozwiały, prześwitywało słońce. Sprężystym krokiem poszedłem do swojej bramki, uśmiechając się do dzieci i stewardes. Przyłapałem się nawet na gwizdaniu.

Rozdział 32

Nie wiedział, dlaczego przyszedł właśnie tutaj. Nie był tu od dzieciństwa, nie miał stąd dobrych wspomnień, nikogo nie znał. Nikt nie powiedziałby mu: „Cześć, Freddy, kopę lat, jak się masz?“, gdyby zadzwonił do drzwi. Wręcz przeciwnie, spojrzano by na niego raczej ze strachem, o ile jeszcze go pamiętano. Nie miał na tych ulicach nic do roboty, ale coś go ku nim ciągnęło. A miał czas, wiele dni do zabicia. Był niespokojny, znużony czekaniem.

Zaskoczyła go skala zmian. Stara żwirowa dróżka wijąca się płaską doliną zniknęła, zastąpiona szeroką asfaltową ulicą z chodnikiem i szeregiem żółtych latarni. Od dawna nie stały tu gospodarstwa i grupki skromnych drewnianych domów. Na ich miejscu wyrosły bloki i szeregowce, a na samej górze kilka domów jednorodzinnych. Trudno było mu odnaleźć się w terenie. Aby zlokalizować swoje położenie, musiał podnosić wzrok, wpatrywać się w pagórki, wzgórza, otaczający go krajobraz.

Wtedy była to wioska, mała, żywa społeczność na obrzeżach miasta, połączona z centrum autobusem jeżdżącym cztery razy na dzień.

Teraz stała się przedmieściem.

Sklepy zniknęły, by ustąpić miejsca stacji benzynowej.

Piekarnię także zrównano z ziemią.

Za zakrętem ujrzał stary budynek szkoły. Nadal stał.

Zapuszczony, odrapany i z oknami zabitymi deskami, ale stał. Gdyby to Freddy miał decydować, kazałby go zrównać z ziemią. Pozostałe budynki mogły zostać, ale nie szkoła.

Skręcił w prawo, wspiął się po pagórku i przeszedł przez bramę. Znalazł się pośrodku małego szkolnego dziedzińca. Był mniejszy, niż pamiętał, ale poza tym wszystko wyglądało jak kiedyś. Żwir pod butami, ogrodzenie z siatki, daszek, pod którym chowali się w czasie deszczu.

Potrafił przywołać zapachy i dźwięki z tamtych czasów. Pamiętał też lęk, który czuł, gdy pani Ellingsen kazała mu napisać coś na tablicy. Uczucie nieistnienia, zupełnie jakby zniknął, przepadł, przestał słyszeć. Stał bez ruchu, czując, jak spływają po nim wszystkie te trudne słowa i ich niemożliwe litery. Podobnie śmiech. Spływał po nim i ginał niczym fale na piasku.

Teraz wiedział, że nazywa się to dysleksją.

Wtedy nie miał pojęcia.

Pamiętał też, co działo się później, na dziedzińcu czy w drodze do domu. Wściekłość, ale też rezygnację, gdy podchodzili. Wiedział, że mógłby ich pobić, gdyby zmierzyli się jeden na jednego, że jest silniejszy, twardszy od każdego z tych durnych wieśniaków – już wtedy był mocno wyrosnięty. Niestety nigdy nie doszło do pojedynku. Zawsze podchodzili grupą, całym stadem, a on kończył w piachu i błocie, brudny, pobity i zakrwawiony.

Wracał do matki, która go opatrywała.

Pytała dlaczego.

Pytała, jak go przezywali.

– Nie jesteśmy Niemcami, prawda, mam?

A matka kręciła głową, mówiąc:

– Nie jesteśmy. Jesteśmy Norwegami jak każdy inny.

Nie mógł tego pojąć.

Aż do dnia święta narodowego, siedemnastego maja, kiedy przyszedł na dziedziniec szkolny umyty, wystrojony, z czerwono-biało-niebieską wstążką. Stał wśród innych, potem szedł z nimi w pochodzie. Maszerował za malutką orkiestrą, wznosił okrzyki, machał norweską flagą, cieszył się wolnością kraju. Jeszcze tak niedawno znajdowali się w okowach, pod niemieckim jarzmem. Radość i ulga były nadal żywe wśród ludzi.

Nienawiść także.

Zaczął się od wyzwisk. Tym razem rzucanych nie tylko przez dzieci, lecz także przez ich rodziców – odpowiedzialnych, porządnym ludzi, kobiety i mężczyzn stojących przy zakurzonej wiejskiej drodze, wiwatujących, patrzących na przemarsz nieskładnej gromadki pociech o radosnych twarzyczkach.

– Nazistowski bachor! – wołali.

– Zdradziecki pomiot!

– Wracaj do domu! Brukasz flagę! Wynocha!

Był zdezorientowany. Zatrzymał się, choć z początku nie wiedział, że to o niego chodzi. Cieszył się tak samo jak oni, wiwatował równie głośno, a może nawet głośniejsze niż inni, ale zrozumiał, kiedy wyrwali mu z rąk flagę.

– Brukasz flagę!

Zdenerwował się, więc ich odepchnął. Próbował odzyskać flagę, sięgał po nią, ale go odsunięto. Oddawał szturchańce, lecz ktoś mocno go uderzył w plecy. Przewrócił się, rozbił kolano. Poczł napływające do oczu łzy. Nic więcej nie pamiętał, jedynie chaos i ból. Wiedział, że płakał, bił na oślep, chciał zniszczyć wszystko wokół. Wiedział, że coś w nim pękło.

Kiedy przyjechała policja, leżał na ziemi w stodole. Wniosło go

tam pięciu chłopca, związanego drutem tak mocno, że nie mógł się ruszać.

– Zabierzcie go, to wariat. Prawdziwy czubek.

– To tylko dziecko – zwrócił im uwagę policjant. – Musieliście?

– Kto wie, do czego tacy są zdolni – odezwał się gospodarz, spluwając czymś brązowym.

– Jak to „tacy”?

– Zdrajcy. Judasze.

– Co ty mówisz? Przecież to dzieciak. Jak mógł coś zrobić?

– Ma to we krwi.

Związali go mocno. Gdyby dobrze się przyjrzeć, nadal można by dostrzec blizny, cienkie, białe kreski na kostkach i nadgarstkach. Minęło długie życie, lecz blizny pozostały. Nigdy nie zejdą, będą mu zawsze przypominać o wszystkim, co wolałby zapomnieć. Spędził dobę w areszcie, wśród pijaków i przestępców. Wróciwszy do domu, zastał matkę pijaną do nieprzytomności. Później odkrył, że nikt jej nie powiedział, co się stało, więc uznała, że zginął w wypadku. W gruncie rzeczy miała wtedy rację. Tamtego dnia uległ tragicznemu w skutkach wypadkowi.

Przez chwilę żałował, że tu przyjechał. Czuł, jakby zdrapywał strup z rany, która nigdy się nie zagoi. Wizyta zaburzyła jego równowagę, wywołała niepokój, ale wiedział, że nie może tak myśleć. „Wszyscy jesteśmy produktami własnej przeszłości – przypomniawszy sobie. – Produktami tego, co czuliśmy i myśleliśmy, czego doświadczyliśmy. Żyjemy w nas wszystkie nasze dni, dni naszych rodziców i dziadków. Historia jest w nas ciągle żywa, nie ma sensu jej odrzucać. Sama przez to nie zniknie”.

Wiedział o tym.

Szedł dalej wśród nieznanym ludzi, między domami, których nigdy nie widział, ulicą, po której nigdy nie stąpał. Wszystko się zmieniło, lecz pod asfaltem kryła się stara zwirowa droga jak niewidoczny trop prowadzący w przeszłość.

„Pod spodem wszystko jest jak dawniej” – pomyślał.

Rozdział 33

– Nie, nic nie wiemy o żadnym liście – powiedział Herman Voltersvik przez telefon. – Pytałem Helenę, ale ona też nie ma pojęcia. A ty nic nie znalazłeś? W końcu przekopałeś się przez papiery teścia.

– Tak, ale nie widziałem żadnego listu po niemiecku.

– Zwróciłbyś na niego uwagę?

– Tak przypuszczam, w końcu szukałem powiązania z Ottonem Schweigerem.

– Okej, ale czy jesteś pewien, że list był po niemiecku?

– To bardzo prawdopodobne.

– Nie można być pewnym. Nie wiem, czy Torleif mówił w tym języku albo go rozumiał. Równie dobrze mogli używać angielskiego. Albo norweskiego. W końcu Otto Schweiger spędził tu parę lat.

– Oczywiście, istnieje taka możliwość.

– Zapytałeś go, w jakim języku napisał list?

– Nie. Nie zapytałem.

– Więc...

Westchnąłem.

– Tak, wiem. Ponownie przejrzę kartony. Zresztą ostatniego z nich nie dokończyłem.

– Dlaczego?

– Bo znalazłem to, czego szukałem.

– Czy to aby nie zbyt pochopna decyzja? Przecież tam mogło być...

Nagle ogarnęła mnie irytacja.

– To była cholernie nudna praca, Voltersvik. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś sam ją wykonał. Nie trzeba mieć aplikacji adwokackiej, aby szukać listu, a ja nie jestem twoim pracownikiem.

Na drugim końcu linii nastąpiła cisza.

– Przepraszam, Brenne. Wykonałeś dobrą robotę. Trochę mnie poniosło.

– Okej, rozumiem.

– Więc?

– Co?

– Kiedy przyjedziesz poszukać?

– Jutro. Przyjadę jutro, Voltersvik.

Znow dopadł mnie ból głowy oraz nieprzyjemne uczucie w brzuchu, jakbym zjadł coś niestrawnego. Wiedziałem jednak, że nie w tym tkwi problem. Ból głowy, mdłości, nagłe rozdrażnienie wobec Hermana Voltersvika – wszystko miało tę samą przyczynę, to samo źródło. Wyrzuty sumienia. Lubiłem Voltersvika i chociaż nie znałem go zbyt dobrze, poznałem go na tyle, aby wiedzieć, ile znaczy dla niego rodzina. Poza tym był moim klientem, ufał mi, płacił za moje usługi. A ja sypiałem z jego żoną.

Przycisnąłem opuszki palców do skroni i zamknąłem oczy. Powiedziałem sobie, że muszę z tym skończyć, że nie możemy tego ciągnąć. Jednocześnie myśl, że nazajutrz mam tam znowu jechać, kryła się w podświadomości jak robak. Ciepły żar wyczekiwania.

Ból rozsadzał mi głowę.

Ta sama biblioteka, te same ciężkie regały z książkami, których

nikt nigdy nie czytał, te same skórzane fotele, globus, biurko z lakierowanego wiśniowego drewna. I te same kartony, pełne tych samych trywialnych, bezsensownych świadectw minionego życia, które właściwie nic dla mnie nie znaczyło. Najpierw zabrałem się do kartonu, którego poprzednio nie przejrzałem do końca. Przekopywałem się przez kolejne pokłady papierów niemal pewien, że list będzie właśnie tam, jeśli w ogóle gdzieś. Nie znalazłem jednak żadnego listu od Ottona Schweigera, czy to po angielsku, norwesku, czy po niemiecku.

Herman przywitał mnie, kiedy przyszedłem. Krótko mnie pozdrowił, powiedział, że Helena zeszła już do atelier, po czym zniknął w swoim gabinecie. Gosposia kręciła się bezgłośnie po pokojach, sprzątając i wycierając kurze. Co pewien czas pojawiała się w moim polu widzenia, zostawiając za sobą unoszące się cząsteczki kurzu, widoczne w padających ukośnie promieniach nisko zawieszzonego słońca. Miałem ochotę rozrzucić papiery po całym pokoju.

O dwunastej przyszła Helena.

– Cześć – powiedziała, a ja podniosłem wzrok, zaskoczony. Nie słyszałem, jak wchodziła.

– Cześć. Jak się masz?

Wzruszenie ramion.

– Kiepski dzień. Nie mogę malować. Wszystko idzie nie tak. Mam wizję, wiem, jak powinna wyglądać całość, ale kiedy przelewam to na płótno, i tak jest źle.

– Szkoda – rzekłem, choć nie malowanie miałem na myśli.

– Czasem zdarzają się takie dni.

– Tak, na pewno. Każdy tak ma.

Później niespokojnie poruszała się po domu. Słyszałem jej kroki,

jej głos, kiedy rozmawiała z gosposią. Czasami widziałem ją przez krótką chwilę w drzwiach prowadzących do salonów niczym ruchomy cień w kąciku oka.

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi.

Dźwięki. Odległy, stłumiony głos fortepianu. Wstałem, przeszedłem cicho przez salony, do holu. Podążałem za dźwiękami, aż dotarłem do kolejnego salonu. Stałem w wejściu. Był to zupełnie inny pokój, z szerokimi drzwiami do werandy wychodzącej na ogród, białe, przestronne pomieszczenie ozdobione drobnymi, lecz dobrze dobranymi plamami koloru. Żółta poduszka, błękitny dywan, zaskakująco jasny, soczyście zielony szklany wazon.

„Pokój Heleny” – pomyślałem.

Siedziała z pochyloną głową przy fortepianie, skoncentrowana, oddana muzyce. Powolne, słodko-gorzkie, piękne dźwięki płynęły spod jej palców, wypełniając dzielące nas powietrze bolesną ulotnością.

– Co to było? – zapytałem, kiedy skończyła, a ona nie drgnęła, nie podniosła wzroku. Cały czas wiedziała, że tam jestem.

– Satie – odparła. – Erik Satie.

– Pasowało.

– Do czego?

– Do ciebie.

Niespodzianie znalazła się w moich ramionach, przytuliła się do mnie, obejmowała mnie, przyciskając twarz do mojej szyi. Była gorąca jak rozżarzony węgiel. Staliśmy tak długo, aż ostrożnie się oswobodziła, a wtedy w jej oczach ujrzałem łzy.

– Co jest? – zapytałem, chociaż wiedziałem, że myśli o June.

Pokręciła głową.

– Nic. A może wszystko, sama nie wiem. Taki to właśnie dzień. –

Nagle dodała zupełnie innym tonem: – Musisz już iść, zaraz wróci gosposia. Poszła jedynie po zakupy.

Nie znalazłem żadnego listu. Kiedy wstałem, z plecami zeszytwniałymi po tylu godzinach, byłem zły i zawiedziony. Gosposia siedziała w kuchni, piła kawę przy stole – niepozorna, anonimowa kobieta, ani stara, ani młoda.

– Skończyłem.

Skinęła głową.

– Znalazł pan to, czego szukał?

Po dialekcie odgadłem, że pochodzi z wysp, gdzieś z ujścia fiordu.

– Nie. Niestety nie.

– Niedobrze.

– Owszem. Gdzie jest Helena?

– Pani poszła się położyć. Bolała ją głowa.

– Okej. Proszę przekazać, że musiałem już iść.

Kiwnęła głową.

Herman zadzwonił tuż po północy.

– Rozumiem, że nie znalazłeś listu.

– Nie. A przyłożyłem się. Nie ma go wśród tych papierów, mogę ci to zagwarantować.

– Nie wątpię. To co teraz robimy?

– To wy po nim sprzątaлиście. Gdzie jeszcze może być ten papier? Może twój teść miał skrytkę bankową? Czy jakieś dokumenty włożono gdzie indziej? Nie wiem. Powinieneś usiąść z żoną i się zastanowić.

– Tak, spróbujemy.

Słyszałem powątpiewanie w jego głosie.

– Jak w ogóle ona się czuje?

– Helena? Dlaczego pytasz?

– Chyba bolała ją głowa, spała, kiedy wychodziłem. Pomyślałem, że może coś ją bierze.

– Nie sędzę. Zeszła na dół malować.

– Teraz? O tej porze?

– Tak, czasami jej się to zdarza. Niekiedy maluje całą noc.

Śniłem o niej. Śniłem, że stoi nago w swoim atelier, w środku nocy i szalejącej na zewnątrz burzy. Widziałem ją całkiem wyraźnie, jej długą szyję, mięśnie barku, gdy używała pędzla, wąską talię, łuk pleców, miękko zaokrąglone pośladki, cienie skrywające łono, długie nogi – i zapałałem do niej potężnym, nieskomplikowanym pożądaniem. Nagle jednak sen zmienił charakter, żądza mieszała się z niepokojem, a później z lękiem. Zwróciłem uwagę na obraz, który malowała. Patrzyłem, jak dobiera farby na palecie, widziałem zdecydowane pociągnięcia pędzla, lecz bez względu na to, jak bardzo się starałem, nie dostrzegałem samego dzieła. Płótno wypełniały niewyraźne kształty, cienie, ruchoma mgła i nieforemne postaci. Całą noc rzucałem się spocony w łóżku.

Gdy następnego ranka zajrzałem do skrzynki pocztowej, znalazłem w niej zaproszenie. Helena Berge miała wystawiać obrazy w jednej z najbardziej znanych galerii w mieście, a ja, jak głosił elegancki napis, byłem serdecznie zaproszony na wernisaż.

Rozdział 34

Przeciągnęła mi się rozprawa, zabrała dużo więcej czasu, niż się spodziewałem, więc do galerii przyszedłem późno. Odwiesiłem płaszcz i wcisnąłem się do przepełnionego pomieszczenia, prosto w szum głosów i śmiechu. W drzwiach jakaś młoda dziewczyna wręczyła mi kieliszek z bąbelkami. Poziom głośności sugerował, że większość gości zdążyła już wchłonąć trochę alkoholu. Nie dostrzegłem nikogo znajomego, więc skupiłem się na obrazach. Obok kilku z nich wywieszono czerwone karteczki – zostały już sprzedane. Ceny wydały mi się wygórowane, od dwudziestu do czterdziestu tysięcy koron. W głowie oszacowałem liczbę płócien, pomnożyłem ją przez średnią cenę i otrzymałem całkiem sporą kwotę. Zastanawiałem się, jak długo Helena pracowała nad tą wystawą.

Z początku jej nie zauważyłem, lecz po jakimś czasie przelotnie ujrzałem charakterystyczną fryzurę pośrodku grupy ożywionych ludzi. Przesunąłem się tak, aby widzieć jej twarz. Promieniała, oczy jej jaśniały, gestykulowała, mówiła, była w swoim żywiole. Wysoki mężczyzna w rażąco czerwonej koszuli i ciasnych czarnych spodniach pochylił się, by powiedzieć jej coś na ucho. Na chwilę dotknęła dłonią jego ramienia, po czym odrzuciła głowę w tył, zanosząc się głośnym, perlistym śmiechem. Od razu przypomniałem sobie wieczór, kiedy spotkałem ją na mieście;

rozpoznałem ten śmiech, nieco zbyt ostry i hałaśliwy. Tkwił w nim zarodek czegoś innego, co w mgnieniu oka mogło przerodzić się w smutek lub wściekłość, więc postanowiłem zachować czujność.

Odwróciłem się. Posłałem uśmiech dwóm kobietom i zapytałem o ich opinię o obrazach. Przytaknąłem temu, co powiedziały, gdyż zaimponowało mi ich spojrzenie, zrozumienie sztuki. Rozpromienione przedstawiły mnie swoim znajomym. Stałem się częścią ich kręgu.

Piłem szampana, czasem wygłaszając jakąś frazę. W tle śmiech Heleny piłował moje nerwy.

Później, gdy już zdecydowałem się wyjść, nagle znalazła się przy mnie, wsunęła dłoń pod moje ramię.

– Mikael – odezwała się. – Nie wiedziałam, że tu jesteś. Nie przywitałeś się. Ani nie pogratulowałeś.

– Cześć – powiedziałem. – I gratuluję.

– Dziękuję.

– Świetna wystawa.

– Tak sądzisz?

Zawahałem się chwilę.

– Nie wiem. Tyle tu ludzi, że nie widać obrazów.

Zaśmiała się.

– Możesz wpaść kiedy indziej. Albo i nie.

– Wpadnę. Ale teraz muszę uciekać.

– Tak wcześnie?

– Tak, jutro idę do sądu.

Ściągnęła usta.

– Jest dopiero ósma. Zaraz tutaj skończymy i przeniesiemy się gdzieś indziej. Nie dołączysz? Chociaż na trochę?

Zastanowiłem się.

– Proszę, Mikael. Chciałabym, żebyś z nami poszedł.

Stała tuż przy mnie, ubrana w jasnopomarańczową sukienkę z odsłoniętymi ramionami i plecami. Widziałem jedwabistą skórę pleców, przez ułamek sekundy poczułem napór jej biodra.

– Okej – mruknąłem. – Na chwilę.

– Świetnie. Poczekaj tylko na mnie, pójdziemy razem.

Zawahałem się.

– Hermana tu nie ma?

– Był, ale musiał wyjść. Jakieś spotkanie.

Galeria zaczęła pustoszeć. Goście stali w kolejce po płaszcze. Helenę ściskano, chwalono pod niebiosa, wszyscy chcieli mieć ją dla siebie. Gdy tłum wreszcie się przerzedził, podeszła do mnie.

– Idziemy, Mikael?

Przytrzymałem jej drzwi i wyszedłem za nią na orzeźwiające wieczorne powietrze.

– To dokąd?

Wymieniła nazwę miejsca. Skinąłem głową i ruszyliśmy w stronę centrum. Jej obcasy stuknęły na asfalcie, wsunęła rękę pod moje ramię.

– Możemy zejść tędy – powiedziała, skręcając w wąską uliczkę. – Tak będzie szybciej.

– Nie wydaje mi się – odparłem, ale dałem się prowadzić. Dźwięk jej kroków zmienił się na bruku, ostre uderzenia obcasów odbijały się echem między domami. – Tylko się nie przewróć – ostrzegłem. – Jest ślisko.

Zatrzymała się, odwróciła i pocałowała mnie. Zamknąłem oczy, zatonałem w jej zapachu i smaku.

Gdy ponownie otworzyłem oczy, nad jej ramieniem ujrzałem Freddy'ego.

Tak naprawdę nie mogłem stwierdzić, że to Freddy. Widziałem jedynie ciemną sylwetkę uwydatnioną przez blask latarni na szczycie wzgórza, ale nie miało to żadnego znaczenia. Byłem pewien, że to on. Wszystko wewnątrz mnie – układ nerwowy, zmysły, włosy na karku – krzyczało, że to Freddy, wszystko ostrzegało przed niebezpieczeństwem, przesyłało impulsy do mózgu, nóg, nakazywało, bym biegł co sił w nogach, uciekł od tego groźnego cienia.

Ale nie mogłem. W ramionach miałem Helenę. Helenę, która nadal stała przyciśnięta do mnie, z ustami spragnionymi pocałunków, powoli jedynie orientując się, że cisza w zaułku się zmieniła. Helenę, która wreszcie spostrzegła sztywność i nieruchomość mojego ciała, poczuła, że moje ręce ją puściły, a usta nie dotykają jej warg. Helenę na wysokich obcasach na śliskim bruku.

– Co? – zapytała. – Co ci jest, Mikael?

Nie odpowiedziałem, chwyciłem jedynie jej ramię i na pół przesunąłem ją za siebie, jednocześnie robiąc mały krok naprzód.

– Freddy? – odezwałem się, a gdy nie otrzymałem odpowiedzi, powiedziałem znowu, tym razem głośniejszym głosem: – Freddy? Czego, do cholery, chcesz?

Nadal nie odpowiadał, za to usłyszałem drżenie własnego głosu, rozedrgany ton, rezonans czegoś wewnątrz mnie, co napięło się tak mocno, że mogło zaraz pęknąć. Głos zdradzał mój strach i wyobraziłem sobie, że słyszę lekki śmiech mrocznej postaci. Wezbrała we mnie wściekłość, stary przyjaciel. Nie przegoniła lęku, jednak nadała mu kierunek i cel. Puściłem rękę Heleny i ruszyłem w stronę Freddy'ego.

Dotarłszy wystarczająco blisko, ujrzałem jego ciężkie rysy,

krzywy nos, półuśmiezek.

– Co ty, kurwa, robisz, Freddy? Dlaczego mnie śledzisz? Jeśli pragniesz zemsty, to proszę, nie krępuj się. Oczywiście cię za to zamkną i resztę życia spędzisz w więzieniu. Zgnijesz tam, sczeźniesz, ale co tam, kurwa, przecież nigdy cię to nie powstrzymywało, więc dlaczego miałoby teraz? Idiota idiotą pozostanie.

Stałem z nim twarzą w twarz. Tak blisko, że czułem jego zapach. Pot, słabą nutę wody po goleniu – nie była to nieprzyjemna czy nachalna woń, po prostu zwykły zapach ciała.

– Co ty wiesz o zemście, Mikaelu Brenne?

– Wiem, że... – zacząłem, ale zaraz mi przerwał.

– Nic nie wiesz o zemście. Ty, z tym swoim życiem prawnika, tym poukładanym, dostosowanym, przewidywalnym życiem. Co miałbyś wiedzieć o zemście, na kim miałbyś się mścić? Na jakimś biurowym intrygancie? Na kobiecie, która cię odtrąciła? Twoje życie nie ma formatu, który pozwoliłby ci rozumieć, czym jest zemsta.

Z jakiegoś powodu nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Jego słowa przedarły się przez moją wściekłość i strach, wypełniły mnie chłodem, jakby Freddy rzucił na mnie zaklęcie.

– I jak możesz sądzić – ciągnął – że coś o mnie wiesz? Jak mógłbyś zrozumieć, co się we mnie kotłuje, co mnie motywuje, co sprawia, że działam? Nic o mnie nie wiesz.

Prawą ręką chwycił poły mojego płaszcza i szarpnął, aż musiałem stanąć na palcach. Szwy trzasnęły. Oburącz ująłem jego nadgarstek i odchyliłem się w tył, aby się oswobodzić, ale on pozostał przerażająco nieruchomy. Czułem, jakbym próbował przemieścić kawał granitu. Jego ręka ani drgnęła. Wzrok miał pełen pogardy.

– Puść mnie – wykrztusiłem, na pół się dusząc, i wtedy mnie puścił, tak nagle, że straciłem równowagę i poślizgnąłem się na niepewnej powierzchni. Musiałem podeprzeć się rękoma. Kiedy spojrzałem w górę, był już odwrócony do mnie plecami i odchodził.

Wstałem zesztywniały i otrzepałem ubranie. Trochę mnie mdliło ze strachu. Helena patrzyła na mnie jak sparaliżowana.

– Co to... to był on? Freddy?

– Tak.

– Boże.

– Chyba nie dam rady dziś nigdzie iść, Heleno.

– Mam pójść z tobą do domu?

Pokręciłem głową, słaby i rozedrgany. Adrenalina już opuszczała moje ciało.

– Nie dzisiaj.

Rozdział 35

Listu, który rzekomo napisał Otto Schweiger, nie dało się nigdzie znaleźć. Helena i Herman Voltersvik szukali wszędzie, przejrzeni skrytki bankowe, na nowo przekopali kartony, a nawet skontaktowali się z ludźmi, którzy kupili dom po Torleifie Bergem – wszystko na próżno. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zrozumiałem źle Ottona Schweigera. Przecież w gruncie rzeczy nic nie wiedziałem o jego stanie umysłowym, o tym, co tak naprawdę pojął z moich relacji i pytań. Mogłem jedynie sugerować się lekkimi ruchami palca wskazującego, tak niepozornymi, że z początku nie miałem nawet pewności, czy je dostrzegam. Wyciąganie wniosków z takiego seansu prawdopodobnie było niemądre, było bardziej kwestią wiary niż produktem racjonalnych rozważań.

A jednak czułem, że tak nie jest.

Że list istnieje i zawiera rozwiązanie zagadki śmierci Torleifa Bergego.

Doskonale znałem schody do sądu apelacyjnego. Przez ostatnie dwadzieścia lat pokonywałem je niezliczoną ilość razy, w drodze ku zwycięstwom i porażkom, triumfom i tragediom, jednak tego dnia nie szedłem do sądu z togą przerzuconą przez ramię i ciężką jak ołów aktówką w dłoni. Tego dnia miałem jedynie pogadać ze starym znajomym.

Sekretarz sądu Torbjørn Ofte spojrzał na mnie zaskoczony znad grubych szkieł okularów.

- Mikael – powiedział. – Co ty tutaj robisz?
- Nie przeszkadzam? Mogę wejść?
- Oczywiście – odparł. – Wchodź. Kawy?
- Chętnie.

Usiadłem na krześle pod oknem i zerknąłem na niego. Zestarzał się. Był prawie łysy, zostało mu jedynie parę białych kosmyków za uszami, lecz nadal miał zadziwiająco gładką, młodą twarz. Dzięki okrągłym, rumianym policzkom i przyjaznemu spojrzeniu błękitnych oczu wyglądał jak emerytowany Święty Mikołaj. Ale pozory mogą mylić. Torbjørn Ofte spędził w policji całe życie i skończył jako szanowany szef Wydziału Kryminalnego, którym był do przejścia na emeryturę. Od tamtej pory pilnował porządku w sprawach karnych sądu apelacyjnego, odpowiadał za wezwania i doprowadzenia, pocieszał świadków, gdy było to konieczne, ale w razie potrzeby okazywał się władczy i surowy. W ciągu swojego długiego życia zdążył zobaczyć prawie wszystko.

Wskazałem kciukiem drzwi prowadzące na salę sądową.

- Co się tam dzisiaj dzieje?
 - Sprawa o narkotyki. Amfetamina. Właśnie trwa przerwa, nie stawił się świadek.
 - Więc nie przeszkadzam?
 - Nie, nie.
- Uderzyła mnie myśl.
- Posłuchaj, Torbjørn, pamiętasz Freddy'ego, prawda?
 - Freddy'ego Krogha? Jasne, że pamiętam. Nie da się go tak łatwo zapomnieć.
 - Wyszedł na wolność.

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

– Tak, spotkałem go. I wydaje mi się, że chce mnie dorwać.

– A niby dlaczego?

– Z powodu starej sprawy.

Wyjaśniłem. Kiedy skończyłem, pokręcił głową.

– Uważaj, Mikaelu. To groźny człowiek.

– Wiem, ale to absurdalne chcieć się na mnie mścić. Ten facet postępuje zupełnie irracjonalnie.

– Może i tak, ale...

– Ale co?

– To my go stworzyliśmy.

– Jak to?

– Pierwszy raz widziałem Freddy'ego parę lat po wojnie. Jacyś ludzie związali go stalowym drutem i zostawili na ziemi w stodole.

– Boże! Dlaczego?

– Bo Freddy szalał w pochodzie majowym.

– Co takiego?

– Jego ojciec był ponoć nazistą czy coś w tym stylu, nie pamiętam dokładnie. Połamali Freddy'emu flagę i wywlekli go z pochodu. Dorośli ludzie.

– Boże drogi.

– No, przykra historia. Ale i tak jest groźny. Pogadam z kimś na komendzie, zobaczę, czy mogą szepnąć słówko Freddy'emu. Nie wiem, czy coś to da, ale warto spróbować.

– Dziękuję, Torbjørnie.

– To dlatego tu zajrzałeś?

– Nie, zastanawia mnie co innego. Zacząłeś pracować w policji tuż po wojnie, prawda?

– Tak, po kilku latach. Najpierw służyłem w Brygadzie

Niemieckiej^[1].

– Nie wiedziałem.

– A jednak.

– Ale z tego, co słyszałem, podczas wojny działałeś we Froncie Krajowym^[2].

Wzruszył ramionami.

– Byłem dzieciakiem.

– Gunnar Sønsteby, Kjakan^[3], też był dość młody, gdy wybuchła wojna.

– Owszem.

– Więc... to prawda? Że działałeś we Froncie Krajowym?

– Tak, to prawda.

– Dlaczego tak niechętnie o tym mówisz, Torbjørnie?

Zaśmiał się trochę zawstydzony.

– Pewnie to głupie, ale właściwie to ze starego przyzwyczajenia. Podczas wojny milczenie decydowało oczywiście o życiu, a później przerodziło się to w zwyczaj. Nie akceptowano otwartego opowiadania o swoich doświadczeniach.

– Okej. Jednak chodzi mi o sprawę, z którą się zmagam. Nie o sprawę sądową, tylko o zlecenie.

– Ach, tak – rzekł Ofte. – O Torleifa Bergego.

Gapiłem się na niego.

– Jak, do cholery...?

– Nadal mam dobre kontakty.

– Najwyraźniej. Znałeś go?

– Torleifa? Jasne, że tak. Rozpoczął służbę zaraz po wojnie, jeszcze przede mną, i przez wiele lat pracowaliśmy razem. Jasne, że go znałem.

– I?

– I co? To był trudny człowiek. Zręczliwy, kłótniwy pijak.

– Którego chroniliście.

Wzruszenie ramion.

– Wtedy wszystko było inaczej.

– W porządku. Ale znałeś go już wcześniej, prawda? Z czasów wojny? Z ruchu oporu?

Strzelałem w ciemno, lecz trafiłem.

– Nie powiedziałbym, że go znałem, ale wiedziałem o nim. Kiedyś wykonywaliśmy wspólnie zadanie. Wtedy był przyzwoitym facetem.

– Na czym polegało to zadanie?

– To nieistotne.

Westchnąłem.

– Torleif Berge został, jak wiesz, zabity, a ja mam powody, by przypuszczać, że miało to jakiś związek z wojną.

– Dlaczego tak sądzisz?

Opowiedziałem mu o biletach do Hamburga, o podróży do Niemiec i spotkaniu z Ottonem Schweigerem.

– I wierzysz w ten list? W to, że istnieje?

– Tak.

Zamilkł. Długo siedział wpatrzony przed siebie, zagubiony w dawnych wspomnieniach. Pozwoliłem mu myśleć.

– Pamiętam Ottona Schweigera – rzekł wreszcie. – Faktycznie tu stacjonował, jako zastępca dowódcy Referatu IV 1b Gestapo. Był niebezpiecznym człowiekiem. Inteligentnym i bezwzględny, który potrafił długofalowo planować. Często myślałem, że stracilibyśmy o wiele więcej naszych, gdyby Schweiger pełnił funkcję głównego dowódcy zamiast tego brutalnego, lecz durnego rzeźnika, którego miał za przełożonego. Ale Schweiger i tak odpowiadał za mnóstwo cierpienia i śmierci.

– A Torleif Berge? Co z nim? Istniał jakiś związek między Schweigerem a Bergem?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Oczywiście mógł istnieć, nawet jeśli ja o tym nie wiedziałem, ale nic takiego nie kojarzę, a i po wojnie o niczym nie słyszałem.

– Helena, córka Bergego, uważa, że podczas wojny coś się z nim stało. Coś, co zmieniło jego życie, przeistoczyło go w zgorzkniałego, udręczonego człowieka. Coś, przez co zaczął pić.

Znowu długa przerwa.

– Nie wiem... nie wydaje mi się, żeby miało to znaczenie.

– Co jest, kurde? Nawet jeśli coś się wtedy stało, to chyba możesz mi powiedzieć?

– Nie. Nie, Mikael. Niektóre zadania, pewne rzeczy, do których wtedy doszło, nadal są drażliwe. Nie mogę nic więcej powiedzieć.

– Minęło sześćdziesiąt lat!

– Przykro mi.

– A kto może mi coś powiedzieć? Komu wolno mówić? Kto decyduje o przekazywaniu historii? Jest w ogóle ktoś taki?

– Zapytaj Rastuma.

– Juliusa Rastuma? Sędziego?

– Tak, byłego sędziego. Wtedy był lokalnym szefem Milorgu^[4]. Zadzwoń do niego, zaanonsuję cię. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić, Mikaelu.

[1] Brygada Niemiecka (norw. Tysklandsbrigaden) – norweska część sił alianckich okupujących Niemcy po II wojnie światowej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Front Krajowy (norw. Hjemmefronten) – łączne określenie sił

norweskiego ruchu oporu podczas II wojny światowej.

[3] Gunnar Sønsteby, pseud. Kjakan (1918–2012) – członek norweskiego ruchu oporu podczas II wojny światowej, przywódca jednostki sabotażowej Oslogjengen.

[4] Milorg – konspiracyjna organizacja wojskowa działająca w okresie niemieckiej okupacji w Norwegii, w roku 1941 zatwierdzona przez norweski rząd emigracyjny.

Rozdział 36

Otrzymałem wiadomość, aby przyjść o drugiej po południu. Julius Rastum mieszkał w jednej z najlepszych dzielnic, w ustronnym, szarym, murowanym domu o szerokich parapetach i grubych ścianach, który wyglądał jak więzienie. Drzwi otworzono niemal w tej samej chwili, gdy do nich zadzwoniłem, po czym spojrzałem prosto w bladoniebieskie oczy.

– Mikael Brenne – przedstawiłem się. – Jestem umówiony.

– Proszę wejść – odparł mężczyzna. Jego uścisk dłoni nie był silny ani słaby, jedynie poprawny. Miał na sobie świeżo wyprasowane szare spodnie i koszulę bez śladu zagnieceń, ale marynarka na nim wisiała. Poruszał się niepewnie o lasce, którą z każdym krokiem mocno uderzał w parkiet, jakby gotował się z wściekłości. Zaprowadził mnie do wyglądającego na gabinet pomieszczenia, pełnego papierów, starych gazet i książek piętrzących się na półkach i na podłodze.

Z westchnięciem ulgi opadł na krzesło za biurkiem, przeczesał dłonią kredowobiałe włosy, które wydawały się przyklejone do czaszki, po czym wbił we mnie wzrok.

– No, Brenne – zaczął. – Co mogę dla pana zrobić?

Nigdy nie wygłaszałem przed nim mów w sądzie. Przeszedł na emeryturę parę lat po tym, jak rozpocząłem karierę, ale nadal pamiętano go jako jednego z najbardziej aroganckich sędziów, jacy

kiedykolwiek pracowali w tym mieście. Cieszył się opinią człowieka, który jedną ostrą jak brzytwa ripostą mógł publicznie upokorzyć nieostrożnego adwokata.

– Potrzebuję informacji – powiedziałem. – Z czasów wojny. Skierował mnie do pana Torbjørn Ofte.

Krótkie skiniecie głową.

– Tak. Torbjørn do mnie zadzwonił.

– Nie czuł się upoważniony, by przekazać mi informacje, których szukam.

– I myśli pan, że to dziwne? Może uznał pan, że w ten żaloszny sposób próbował dodać sobie ważności długo po tym, jak jego życie przestało mieć jakieś znaczenie dla kogokolwiek poza nim samym?

– Ee, wcale nie... – W gruncie rzeczy tak właśnie jednak pomyślałem.

– To nic. Ale Torbjørn postąpił słusznie. Dla większości ludzi druga wojna światowa to już historia, odległa historia. Ja czuję, jakby wszystko to działo się wczoraj. Pamiętam szczegóły operacji sprzed lat, a nie zawsze potrafię sobie przypomnieć, co jadłem na obiad poprzedniego dnia. – Westchnął. – Tak to już jest z ludźmi i tak pozostanie. Nowe pokolenia żyją nowym życiem. „Za ludzkiej pamięci” oznacza krócej, niż może się zdawać. Wiele zapomniano, pogrzebano wraz ze zmarłymi, już niedługo nie zostanie żaden z nas, który w tym uczestniczył, który wie, jak było naprawdę.

– Chyba właśnie dlatego należy o tym mówić.

– Historia przez to nie zginie, panie mecenasie. Historia, a przynajmniej jej część, będzie żyć dalej, długo po śmierci tych, którzy jej doświadczyli. Ukształtowała nas, a my naszych potomków. Poza tym historia może też posiadać wybuchową moc, nawet w dzisiejszych czasach.

Zastanawiałem się, co usiłuje mi powiedzieć.

– Proszę posłuchać... Panie sędzio, próbuję dowiedzieć się czegoś o pewnej śmierci, o zabójstwie. Jest to sprawa wielkiej wagi dla kilku osób, a ja sądzę, że może sięgać aż do czasów wojny.

– Zabójstwo Torleifa Bergego. I gestapowiec Otto Schweiger. Torbjørn zdradził mi, o co chodzi.

– Więc co może mi pan o nich powiedzieć?

– O ile mi wiadomo, nie istniał żaden związek między Schweigerem a Torleifem Bergem.

– A gdyby istniał, czy wiedziałby pan o tym?

Myślał nad tym chwilę.

– Raczej tak. Pewne grupy powiązane z komunistami czasami działały dość samodzielnie, ale Torleif nigdy nie wykazywał takich sympatii. Uważam za wykluczone, że mógł trzymać się z komunistami. Co prawda, komunikacja między Londynem a naszym dowództwem nie zawsze przebiegała tak samo sprawnie. Działaliśmy we wrogim środowisku, komunikacja była wielkim wyzwaniem. Ponadto istniała, można powiedzieć, pewna rywalizacja między ruchem oporu w kraju i za granicą. Ale gdyby istniało powiązanie, którego pan szuka, pewnie dowiedziałbym się o nim po wojnie. Większość spraw, nawet tych najbardziej tajnych, prędzej czy później wypływa na powierzchnię.

– A więc całkowicie odrzuca pan takie powiązanie?

Wzruszenie ramion.

– Obaj jesteśmy prawnikami, Brenne. Niczego całkiem nie odrzucam. Mówię jedynie, że to wielce nieprawdopodobne.

– Ale musiał istnieć jakiś powód, dla którego Torleif Berge odwiedził Ottona Schweigera. A poza tym coś się z nim stało podczas wojny. Coś, co dręczyło go przez resztę życia.

– Wiele osób zajmujących się nielegalną działalnością miało później problemy. To nie były czasy dla ludzi o słabych nerwach.

Pokręciłem głową.

– Torleif Berge był twardym facetem, tak mówi Torbjørn Ofte. A jego córka twierdzi, że stało się coś konkretnego.

– Skąd miałyby o tym wiedzieć?

– Od matki. I uważam, że należy jej się prawda.

– Cóż, nie orientuję się, co to mogło być.

Sporą część życia spędziłem w sądzie, przez całą karierę przesłuchiwałem świadków i oskarżonych, i z czasem nauczyłem się rozróżniać kłamstwo od prawdy. Julius Rastum był starym wygą z doświadczeniem w konspiracji, ale albo czas zrobił swoje, albo były sędzia nie brał mnie na poważnie. W każdym razie jego twarz drgnęła. Zaraz potem skryła się znowu pod maską, jednak było już za późno. Wiedziałem, co zobaczyłem.

– Myślę, że dobrze pan wie, o co chodziło, panie Rastum. Myślę, że nie mówi mi pan prawdy.

Przez kilka sekund milczał. Kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał inaczej.

– Są dwa powody, dla których nie chcę zdradzić nic więcej, Brenne. Choć oczywiście nie ma sensu dalej trzymać wszystkich operacji w tajemnicy, istnieją wyjątki. O niektórych rodzajach operacji nigdy nie rozmawialiśmy i nigdy rozmawiać nie będziemy.

– A drugi powód?

– Drugim powodem jest pan.

– Jak to ja? Co takiego zrobiłem?

– Może nie pan osobiście. Ale popytałem co nieco, zanim tu pan przyszedł. Nadal podtrzymuję znajomości z ludźmi z naszego środowiska. Ma pan niezłe referencje, mecenasie. Co prawda mówi

się, że jest pan niepokorny i trochę zbyt wielki z pana indywidualista, ale większość osób ceni pana za uczciwość, prawość i kompetencję.

– W czym więc tkwi problem?

– Nazwisko Brenne nie jest mi całkiem obce, że tak powiem. I chociaż niekoniecznie mam coś osobiście przeciwko panu, jest to wystarczający powód do zachowania ostrożności. – Wstał. – Historia nigdy nie bywa wykuta w kamieniu. Dość mamy tych, którzy próbują ją pisać.

Jego laska uderzała o dębową podłogę w nierównym, ostrym rytmie, kiedy odprowadzał mnie do holu. Wypchnął mnie za drzwi z krótkim, lecz grzecznym skinieniem głowy, zostawiając mnie zdziwionego i nic nierozumiejącego w bladym, zimowym świetle. Nie miałem pojęcia, o czym mówił.

Rozdział 37

– Witaj, Mikaelu!

Ojciec siedział w fotelu z kocem na kolanach. Był jedną z wielu starszych osób skupionych w półkolu wokół ściszonego telewizora, który wyświetlał jedynie migoczące, niedające się zidentyfikować obrazy. Uśmiech rozjaśnił mu twarz. Rozpromienił się na mój widok, a ja jak zawsze poczułem wyrzuty sumienia – bo tak dawno ostatnio go odwiedzałem i nie potrafiłem już cieszyć się jego towarzystwem. Przez ostatnie lata stawał się stopniowo coraz bardziej otępiały. Niczym lodowiec, który powoli wyrównuje ziemię pod naporem swojej potężnej masy, zostawiając ją zmienioną nie do poznania i pozbawioną konturów, tak choroba siała spustoszenie w krajobrazie mentalnym ojca, aż rozmowa z nim zaczęła przypominać wędrówkę po obcym terenie. Była wyczerpującym procesem, często pozostawiała mnie z uczuciem pustki i przygnębienia.

Czasami jednak bywało lepiej, może dlatego, że ojciec zachowywał większą przytomność, a może to ja potrafiłem przystać na jego warunki. Odkryłem też, że cieszy go bliskość fizyczna, uścisk, objęcie, jednak takie zachowanie przychodziło mi z trudem. Ojciec nieczęsto zdobywał się na takie gesty. Wychowywał mnie sam, po tym jak opuściła nas moja matka, i przykładał się do tego zadania, jednak nie okazywał mi czułości ani ciepła. Mimo to nigdy

nie wątpiłem, że mnie kocha.

Uścisnąłem go.

– Cześć, tato. Pójdziemy do twojego pokoju, okej?

Podreptał za mną drobnym, nieco chwiejnym krokiem. Nie podobało mi się to, wiedziałem, że za mało się rusza, że w ośrodku nie ma dość personelu, aby ktoś mógł mu towarzyszyć na spacerze. Jeżeli miałby więcej się ruszać, częściej wychodzić, musiałbym sam o to zadbać. Nigdy mi się to nie udawało.

Pielęgniarka przyniosła kawę i ciastka. Zawsze takie same, za każdym razem. Ojciec zapytał, czy chcę mleka do kawy, a ja pokręciłem głową.

– Nie, tato, piję czarną.

– Naprawdę? – Zdziwił się.

– Tak. Od zawsze.

– Dobrze wyglądasz.

– Ty też, tato. Ty też. – Zrobiłem głęboki wdech. – Posłuchaj, tato. Przydarzyło mi się dziś coś dziwnego. Rozmawiałem z pewną osobą, a w trakcie rozmowy padły słowa, przez które zacząłem się zastanawiać nad tym, co... co robiłeś podczas wojny.

– Co robiłem? Oczywiście pracowałem. Chyba zajmowałem się rachunkami. Tak, rachunkami.

– Rozumiem. Chodziło mi o politykę.

Jego zdumienie było głębokie i szczere. Zawahałem się chwilę i powiedziałem prosto z mostu:

– Zastanawiałem się po prostu, czy byłeś nazistą. Członkiem NS^[5] czy czegoś w tym stylu.

– Co takiego? Nazistą?

– Tak, pasiastym, czy jak tam się na nich mówiło. Wiesz, co mam na myśli, tato. Byłeś?

Najgorsze byłoby, gdyby nie pamiętał, nie potrafił odpowiedzieć. Tak mogłoby się zdarzyć, gdybym zapytał o coś, co działo się dwa, pięć czy dziesięć lat temu, ale po jego oczach poznałem, że rozumie, pamięta.

– Nie, Mikaelu, nie byłem. Nie byłem bohaterem, nie walczyłem o kraj. Nie wychylałem się, żyłem, jak mogłem, przez te trudne lata, ale nie robiłem nic złego. Nie byłem nazistą ani pasyastym.

Zamilkł. Znałem go i wiedziałem, że nie skończył, że powie coś jeszcze.

– Ale mój ojciec – rzekł wreszcie tak cicho, że ledwie go usłyszałem. – Mój ojciec był nazistą.

– Dziadek!

– Tak. Parę lat był policjantem niedaleko Kongsbergu, skąd pochodziliśmy. Nazistą, policjantem, donosicielem, zdrajcą. Wiele lat odsiedział po wojnie. To... to cud, że go nie zlikwidowano, właściwie uratował go przypadek. Był na liście.

– Nie... nie miałem pojęcia... Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś?

– Nie wiesz, jak to było wtedy, zaraz po wojnie. Wstyd, nienawiść... Nie wyobrażasz sobie. To z powodu ojca wyniosłem się z rodzinnego miasta. Przeprowadziłem się tutaj, gdzie nikt mnie nie znał, gdzie mogłem zacząć od zera, od czystej karty. Nie chciałem, żeby moja rodzina, moje dzieci żyły w cieniu jego występków. Dlaczego miałbym ci o tym mówić? Na co by się to zdało? Tylko byś się zmartwił. Nie, Mikaelu, chciałem cię chronić.

Naprawdę się przejął, prawie krzyczał. Dostrzegłem żyłą pulsującą na jego czole, więc poklepałem go po dłoni i przyznałem mu rację, powiedziałem, że go rozumiem. Po chwili się uspokoił, a kiedy po półgodzinie wstałem, żeby wyjść, chyba zdążył już

zapomnieć o całej rozmowie.

Ja jednak nie zapomniałem. Tej nocy rozmyślałem w łóżku, nie mogąc spać. Rozumiałem ojca, jego chęć chronienia mnie przez zatajenie prawdy i ucieczkę na drugi koniec kraju, udawanie, że nie stało się nic złego, ale nie byłem pewien, czy postąpił właściwie. Pamiętałem go z czasów mojej młodości. Pamiętałem, jak pochylał głowę, ostrożny, cichy, zawsze w cieniu. Był inteligentnym, wrażliwym człowiekiem, który nigdy nie wykorzystał w pełni swoich umiejętności. Ze wszystkich cnót, które cenił, za zdecydowanie najważniejszą uważał niewychodzenie przed szereg, niezwracanie na siebie uwagi, niewyobrażanie sobie, że jest się kimś lepszym niż inni. Zawsze sądziłem, że ukształtowała go małomiasteczkowa społeczność, zbiorowa nienawiść wobec jednostki wybijającej się ponad szarą masę, jednak teraz pomyślałem, że może wpłynęły na niego inne siły. Wstyd i lęk przed byciem rozpoznany, pamiętany, napiętnowanym jako syn nazisty Geira Brennego. Mojego dziadka.

Leżąc tak w ciemności, również to czułem.

Wstyd.

Pewnie był bladym cieniem tego, co czuł ojciec, jednak okazał się na tyle realny, że wierciłem się pod kołdrą, jak gdyby nagle przyłgnęło do mnie coś ohydneho, nieczystego. Całe życie sądziłem, że jesteśmy zwyczajną rodziną. Wszystko, co słyszałem o wojnie, o roli mojej rodziny w tamtym okresie, zgadzało się z powszechnymi prawdami o ówczesnej Norwegii. Może nie byliśmy bohaterami, ale za oczywiste uważałem, że jak wszyscy nienawidziliśmy Niemców, że zaciskaliśmy pięści w kieszeni i wiwatowaliśmy, gdy złe czasy minęły.

Dziadek od dawna nie żył, zresztą nigdy nie znałem go dobrze.

Rzadko jeździliśmy do Kongsbergu, a on nas nie odwiedzał. Jako dziecko bawiłem się w wojnę, latałem spitfire'em, lądowałem na plażach Normandii razem z synem sąsiadów. Czytałem komiksy o tematyce wojennej. Trzymałem stronę tych dobrych. Teraz mój świat stanął na głowie. Wmawiałem sobie, że to bez znaczenia. Że minęło ponad sześćdziesiąt lat. Że to się działo parę pokoleń temu.

Mimo to nie mogłem spać.

^[5] Nasjonal Samling – norweska faszystowska i nacjonalistyczna partia polityczna założona przez Vidkuna Quislinga. Jedyna partia działająca legalnie podczas niemieckiej okupacji w Norwegii.

Rozdział 38

- Nie wiem, Mikaelu. – Jej głos brzmiał płasko, martwo.
- Nie wiesz, czy się wkrótce spotkamy? Dlaczego?
- Po prostu nie wiem. Pogadamy później.
- Kiedy później, Heleno?
- Nie wiem.

Ukłucie irytacji odczułem jak kopnięcie prądem.

– A coś w ogóle wiesz? Mam tak tutaj sterczeć i czekać, aż będziesz chciała się skontaktować, aż przypadkiem nabierzesz ochoty na numerki?

– Mikaelu, nie...

Rzuciłem słuchawkę. Mocno. Wygrażałem pięścią ścianom, czując potrzebę kopnięcia, rozbicia czegoś, wyładowania frustracji. Zamiast tego włożyłem stare adidas i w szalonym tempie wypadłem na zimowy wieczór. Biegłem, nie patrząc, nie myśląc, zdenerwowany i zrozpaczony. Pędziłem przez mrok jak przestraszony koń, aż oddech zaczął rzeźić mi w piersi, puls załomotał w uszach, a uda i łydki mnie rozboleły, aż nie miałem siły na choćby krok więcej. Stałem pochylony na spokojnej ulicy, z rękoma na kolanach, zastanawiając się, czy zaraz nie dostanę zawału.

Do domu wracałem powoli, czując skurcze w łydkach i metaliczny smak w ustach. Smak rozczarowania, rozpacz,

tęsknoty i przeciążonego serca.

Smak miłości.

Gdy zbudziłem się następnego dnia, mięśnie miałem tak sztywne, że ledwo chodziłem. Był sobotni ranek. Pokuśtykałem po gazety i poczułem chłód atakujący gołe nogi pod szlafrokiem, a następne godziny spędziłem na kanapie z kawą i prasą. Dokładnie przeczytałem jedną gazetę. Zjadłem śniadanie. Wziąłem prysznic. Więcej kawy. Jeszcze jedna gazeta. Nie zadzwoniła.

O drugiej wybrałem ich numer domowy.

– Dom państwa Voltersvików, słucham. – Kobięcy głos. Nie jej. Wiejski dialekt. Gosposia.

– Dzień dobry. Mówi mecenas Brenne. Czy jest ktoś w domu? Pan albo pani Voltersvik?

– Niestety. Pan Voltersvik jest w biurze. Ma ważne spotkanie. A pani wyszła.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem, nic nie powiedziała. Proszę spróbować zadzwonić na jej komórkę.

Ale komórkę miała wyłączoną.

Kiedy telefon wreszcie się odezwał, był już wieczór. Od razu rozpoznałem numer, więc chwyciłem słuchawkę, lecz usłyszałem jedynie Hermana.

– Cześć, co u ciebie? Słyszałem, że dzwoniłeś.

– Tak, zgadza się.

– O co chodziło? – zapytał, trochę zdziwiony, kiedy nie dodałem nic więcej.

– Tak tylko pomyślałem... Czuję, że utknęliśmy w miejscu. Nie ruszamy dalej. Nie bardzo wiem, co teraz robić.

– To straszny defetyzm, Brenne. W rzeczywistości pokonaliśmy...

pokonałeś już spory odcinek drogi. Jestem pewien, że dokopałeś się do prawdy. Teraz trzeba tylko wytrzymać, nie poddawać się, dalej zadawać trudne pytania. To na pewno wyłącznie kwestia czasu.

Brzmiał naprawdę optymistycznie i pozytywnie, co jeszcze bardziej mnie zdołowało.

– Okej, na pewno masz rację.

– Mam rację. Tak trzymać, Mikaelu.

– Aha.

– Posłuchaj, tak tylko, żebyś wiedział: w poniedziałek jadę do Azji, nie będzie mnie tydzień. Szykuje nam się ogromny kontrakt. Ale pogadamy, jak tylko wrócę, Mikaelu, prawda? Mam nadzieję, że będziesz miał dla mnie dobre wieści. – Jego głos stał się cichszy, bardziej poufały. – Byłem dzisiaj u June. Ma się dużo lepiej, to zupełnie inna dziewczyna, prawie taka, jaką pamiętam. Ledwie byś ją poznał.

– Świetnie.

– Tak. Może... jeśli poprawa się utrzyma, to może... – Zamilkł. Nie śmiał głośno wyrazić nadziei na przyszłość córki. – Ale wyjaśnienie śmierci Torleifa jest teraz ważniejsze niż kiedykolwiek. Nie chcę, żeby to nad nią wisiało.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Wiem, Mikaelu. Ufam ci.

Poczułem się jeszcze żałośniej. „To super, Hermanie, że mi ufasz – pomyślałem ponuro. – Ufasz mi, a ja cię zdradzam”.

– Pozdrów Helenę – wymusnęło mi się, zanim zdążyłem pomyśleć.

– Pozdrowię. Chodzi dzisiaj po mieście z przyjaciółką, chyba ma się lepiej. Byłeś na jej wernisażu?

– Tak.

- Fantastyczna wystawa, co? To utalentowana kobieta.
- Owszem.

Rozdział 39

Z powodu wyrzutów sumienia wydobyłem papiery i usiadłem przy kuchennym stole z biletami znalezionymi wśród dokumentów Torleifa Bergego. Czytałem je w kółko, przesuwałem po blacie, jak gdyby zawierały ukryty wzór albo tajemną wiadomość. Wreszcie zamknąłem oczy i zacząłem rozmyślać o Oslo i Hamburgu. Otto Schweiger. Oslo. Mała miejscowość niedaleko stolicy, zaledwie pół godziny pociągiem. Czego szukał tam Torleif Berge?

Chwyciłem telefon, by zadzwonić do Geira Ovego Bulkena. Mówił zachrypniętym, cichym głosem, jakby dopiero się obudził.

– Dzień dobry, tu mecenas Mikael Brenne – przedstawiłem się. –
Co u pana?

– Bieda z nędzą. Czego pan chce?

Powiedziałem mu o znalezionych biletach.

– I wiem, kogo odwiedził w Hamburgu – dodałem.

– Czyżby? Kogo?

– Niejakiego Ottona Schweigera.

– Nie słyszałem.

– Okej, ale kogo Torleif mógł znać w Oslo albo w okolicy? –
Podałem nazwę miejscowości.

– Nikogo.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście, że nie jestem. Ale nigdy nie wspominał o nikim

stamtąd. Czy skądkolwiek indziej. Miał kontakt ze mną, z córką, czasami z tym swoim durnym, nadzianym zięciem i z wnuczką June. To wszystko, o ile wiem.

– W porządku, tak tylko się zastanawiałem. Dziękuję. Życzę zdrowia.

– Jaja pan sobie robi?

Byłem niespokojny, niecierpliwy, wiedziałem, że coś przeoczyłem. Coś, co powinienem odkryć, na co powinienem wpaść. Po chwili poddałem się i sięgnąłem po niedzielną gazetę. Przeczytałem komiksy, potem sport i informacje ze świata. Całe życie robiłem to w tej samej kolejności. Taki porządek odzwierciedlał zapewne moje zainteresowania i priorytety z czasów młodości, a później stało się nawykiem, stałym, niezmiennym wzorem. Tak samo stałym jak to, że Torleif Berge nigdy nie podróżował i nie miał znajomych na wschodzie kraju. A jednak wyjechał, przełamał schemat, tylko dlaczego? Kogo odwiedził? Wiedziałem, że mógł to być ktokolwiek, a jednak nie potrafiłem pozbyć się myśli, które ciągle wirowały mi w głowie. Pojechał do zapyziałej dziury. Nikt nie jeździł tam bez szczególnego powodu. Dobrze znałem to miejsce, bywałem tam wielokrotnie, aby odwiedzić klientów siedzących w więzieniu położonym zaraz za centrum. Była to kompletnie nijaka miejscowość, pozbawiona jakichkolwiek atrakcji dla przyjezdnych. Centrum handlowe, stacja, parę rozrzuconych budynków, płaskie pola, to wszystko. No i więzienie.

Więzienie!

Poczułem się głupio. Tak długo nie dostrzegałem tego oczywistego związku, chociaż miałem go przed oczami, na widoku. Torleif Berge był policjantem. Sam powiedziałem sierżantowi Hamremu, że sprawa może dotyczyć przeszłości. Nie byłem pewien,

lecz wszystkie instynkty podpowiadały mi, że mam rację. Że Torleif Berge odwiedził kogoś w więzieniu.

– Mikael – rzekł Geir Flåten, wyciągając silną dłoń. – Kopę lat. Oczywiście jestem na bieżąco, czasem czytam o tobie w prasie. Wszystko u ciebie w porządku, jak mniemam.

– Tak – odparłem. – Zasadniczo tak. A u ciebie?

Rozłożył ręce.

– Może nie aż tak wspaniale, ale nawet tak wolę.

Rozejrzałem się po gabinecie. Trzy na cztery metry, umeblowany na rachunek państwa. Jeśli nie liczyć fotografii dwojga dzieci na ścianie, pomieszczenie dorównywało przytulnością publicznej poczekalni.

– Bycie wicedyrektorem jednego z największych zakładów karnych w kraju to nie najgorsza fucha. Podoba ci się?

– Owszem. To wymagająca praca. Wymagająca, ale też satysfakcjonująca, gdy mamy dobre wyniki. Oczywiście dostajemy zbyt mało pieniędzy, więc zawsze mogłoby być lepiej.

Siwe, krótko ostrzyżone włosy i krzaczaste wąsy nadawały mu wygląd oficera z czasów pierwszej wojny światowej, jednak nie był zgrzybiały. Przepelniała go namacalna wręcz energia i wydawało się, że wierzy w to, co mówi.

– Dobrze, że ktoś jeszcze potrafi się angażować w pracę – powiedziałem z przekonaniem.

– No cóż, staramy się, jak możemy. A co poza tym?

Gadaliśmy parę minut o dzieciach, jego rozwodzie, kolegach ze studiów. Wreszcie odchrząknął, ale powstrzymał się od zerknięcia na zegarek.

– Co cię tu sprowadza, Mikaelu? Przypuszczam, że nie jest to wizyta towarzyska? Nie przyjaźniliśmy się aż tak bardzo na

studiach.

Uśmiechnąłem się.

– Nie. Chodzi o przysługę.

– Serio?

– Nieco ponad dwa lata temu przyjechał w te strony emerytowany policjant, Torleif Berge. Myślę, że odwiedził kogoś w więzieniu. Muszę wiedzieć, czy na pewno tutaj był i z kim się spotkał.

Silna dłoń potarła podbródek. Flåten wykrzywił usta.

– Pytasz o to w związku z jakąś sprawą?

– W pewnym sensie. Torleif Berge został zamordowany. Myślę, że jego wizyta ma znaczenie.

– A więc dlaczego nie poprosisz policji o zdobycie tych informacji? Albo sędziego, jeżeli policja jest niechętna?

Spróbowałem się jakoś wykręcić.

– To nie jest... to nie jest sprawa rozpatrywana w sądzie ani objęta aktywnym śledztwem.

Spoglądał na mnie całkiem neutralnym wzrokiem.

– Masz świadomość, że nie mogę przekazać ci informacji, o które prosisz? Że wiąże mnie tajemnica służbowa?

– Tak, wiem, ale...

– Ale co?

– To ważne, Geir, inaczej bym cię nie prosił. I mogę ci zagwarantować, uroczyście przyrzekam, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wyjawię ani nie wykorzystam w żaden sposób tego, co mi powiesz. Jeżeli informacje okażą się istotne, otworzę sprawę i pozyskam je normalnym trybem, za pośrednictwem policji, tak abym mógł ich użyć. Chciałbym jedynie, żebyś szepnął mi coś na ucho, abym wiedział, czy jestem na dobrej drodze, czy nie.

Siedział całkiem nieruchomo.

– Geir? Przecież wiesz, że możesz mi zaufać.

Westchnięcie.

– Nie powinienem. – I kolejne. – To kiedy ten Torleif Berge tu był?

Podąłem mu datę. Jego palce przebiegły po klawiaturze komputera.

– Mhm. No tak.

– Był?

– Tak. Był.

– Wiedziałem! Kogo odwiedził?

Szczęka mi opadła, gdy usłyszałem odpowiedź.

Rozdział 40

– Freddy’ego? – zapytałem z niedowierzaniem. – Freddy’ego Krogha? Mordercę?

– Chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewałeś?

– Proszę? Och, sam nie wiem, czego się spodziewałem. Właściwie to niczego specjalnego. Jedynie nazwiska, z którym mógłbym coś zrobić, śladu, czegoś, co zaprowadziłoby mnie dalej. Ale nie Freddy’ego.

– Znasz go.

– Tak, znam.

– Wiesz, że wyszedł? Że niedawno skończył odsiadkę?

– Zdaję sobie sprawę.

Geir Flåten znowu potarł podbródek.

– Będiesz z nim rozmawiał? Zapytasz o odwiedziny Torleifa Bergego?

– Chyba muszę.

– Krogh to groźny człowiek.

– Mnie nie musisz tego mówić.

– Wielu naszych więźniów, to znaczy tych agresywnych, z czasem się uspokaja. Jakby się wypalali, wściekłość w pewnym momencie z nich ulatuje. Ale Freddy... Ma przeszło sześćdziesiątkę, prawda?

– Pewnie tak.

– W sumie to już stary człowiek. Emeryt. W ostatnich latach na

pozór się uspokoił, lecz nie więcej jak parę miesięcy temu omal nie zabił jednego Rosjanina.

– Co takiego?

Skinął głową.

– Pobił go prawie na śmierć. Rozległe krwawienia wewnętrzne, uszkodzone organy. Lekarze, którzy go operowali, myśleli, że brał udział w wypadku samochodowym.

– Ale jak... Dlaczego wyszedł, skoro...

Krótki uśmiech.

– Oczywiście nie mogliśmy tego udowodnić. Nikt tutaj nic nie mówi. Nawet Rosjanin milczał jak zakłęty, kiedy już mógł zeznawać. Stwierdził, że spadł ze schodów! Ale ja mam swoje kontakty, wiem mniej więcej, co się dzieje w moim więzieniu. Wierz mi, to był Freddy.

W drodze do domu informacje krążyły po mojej głowie niczym rój pszczoł. Freddy Krogh, Torleif Berge i Otto Schweiger. Nie dostrzegalem między nimi związku, nie widziałem, jak można by ich z sobą połączyć, ale faktem było, że Torleif Berge odbył w krótkim odstępie czasu dwie podróże, wbrew swoim zasadom i zwyczajom. Odwiedził byłego oficera gestapo i podwójnego mordercę. Po prostu musiał istnieć między nimi związek.

Kolejki na lotnisku Gardermoen ciągnęły się bez końca. W Trondheim unosiła się mgła, na południu padał śnieg, a na zachodzie, tam dokąd się wybierałem, lód zalegał ponoć na pasie startowym jak lśniący lukier. Wszystkie loty były opóźnione, a pasażerowie zmęczeni i rozdrażnieni. Dzieci marudziły i płakały, rodzice pyskowali, ludzie wokół mnie stali apatyczni i zrezygnowani, szarzy w zimowym świetle, z pustymi oczami,

które ożywiały się jedynie na ułamek sekundy na widok ruchu na tablicy odlotów. Cóż z tego, skoro jedyną zmianą było zwiększenie opóźnienia. Mieliśmy ochotę krzyczeć, lecz wiedzieliśmy, że przyniesie to tyle pożytku, ile narzekanie na wędrówkę słońca po niebie.

Nic na świecie nie męczy i nie dołuje bardziej od norweskiego lotniska zimą.

Otto Schweiger.

Freddy Krogh.

I Torleif Berge.

Miałem za mało informacji. Brakowało mi kawałków układanki. Nie widziałem całości.

Gdy po północy wróciłem do domu, byłem wykończony jak po podróży dookoła świata. Umyłem zęby i położyłem się. Spałem bez snów. Rano wziąłem prysznic i zasiadłem do śniadania. A wtedy wpadłem na tę myśl, na pomysł, który zjawił się niespodziewanie i wylądował miękko między filiżanką herbaty a tostem z marmoladą.

Nazywał się Hans Egil Brustadmoen, nosił dziki zarost, małe okrągłe okulary, workowate spodnie ze sztruksu i tweedową marynarkę. Miałem wrażenie, jakby dokładał wszelkich starań, aby nie zawieść niczyich oczekiwań dotyczących wyglądu uczonych i pracowników naukowych. Nie przeszkadzało mi to, dopóki wiedział, o czym mówi, a wszystko na to wskazywało.

– Polowanie na szczury – powiedział bez wahania, kiedy zadałem mu pytanie.

– Co takiego?

– Jeśli napotkał pan ścianę milczenia, to chodzi o polowanie na

szczury.

– O czym pan mówi?

Popatrzył z uśmiechem na moją wyrażającą brak zrozumienia twarz.

– Tak ruch oporu określał wtedy, w czasie wojny, wykonywane przez siebie wyroki. A osobę wykonującą wyroki nazywano łowcą szczurów. Na sto procent chodzi tu o jakiś wyrok. Jeden lub kilka.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ jest to jedyny problem, o którym byli członkowie Frontu Krajowego konsekwentnie nie chcą rozmawiać. Cały czas trzymają język za zębami. Nie mówili o tym, nie pisali, a poza pojedynczymi, ogólnikowymi uwagami nie brali także udziału w publicznej dyskusji na ten temat. Nie mieli też ochoty przyczynić się do tego, abyśmy my, historycy, lepiej zbadali sprawę. Tak w każdym razie było do tej pory, w ostatnich latach sytuacja nieco się poprawiła. Wydano parę dość zwodniczych książek, często opartych na informacjach uzyskanych bezpośrednio od byłych członków ruchu oporu, z ich publikacji lub od rodzin kilkorga zabitych, a także wykorzystujących znane z braku rzetelności źródła niemieckie. Wtedy Front zrozumiał, że musi wyrazić sprzeciw, więc pojawiło się pewne poprawne historycznie dzieło, ale ponieważ minęło już tyle czasu, spora część danych przepadła.

– Rozumiem.

– Nadal jednak, kiedy próbuje się wydobyć od byłych członków Frontu szczegóły, takie jak nazwiska, zadania i tak dalej, napotyka się ścianę milczenia, a wtedy bardzo, a wręcz wielce prawdopodobne jest, że sprawa dotyczy likwidacji donosicieli, Niemców albo rodzimych nazistów.

– Ale dlaczego? Po tylu latach?

– Dlaczego byli członkowie ruchu oporu nie chcą o tym rozmawiać? – Wzruszył ramionami. – No, przyczyny są pewnie złożone. Przede wszystkim chodzi o samych łowców szczurów. Zamysł był taki, aby osoby wykonujące wyroki, na ogół z rozkazu przełożonych, uniknęły moralnego obciążenia wynikającego z tej roli. Poza tym ludzie ci mieli też uniknąć nienawiści czy nawet zemsty ze strony rodziny lub przyjaciół zabitego. Wreszcie przypuszczam, że była to po prostu część gry.

– Czyli?

– Wielu działaczy Milorgu, w tym przywódców, szkoliły brytyjskie służby wywiadowcze. W tym świecie dotrzymanie tajemnicy i milczenie są oczywiście najważniejsze, a z czasem w takich środowiskach wykształciła się niemal paranoiczna, nazwijmy to, kultura organizacyjna. W Milorgu również.

– Hm. Więc w jaki sposób mogę dowiedzieć się czegoś więcej o określonym przypadku?

– Nie może pan.

– Chyba muszą istnieć jakieś dane pogładowe?

Pokręcił głową.

– Nie. W Danii stworzono po wojnie takie zestawienie. Ale nie u nas. Wręcz przeciwnie, informacje ukryto, a materiały źródłowe usunięto. Zarówno rząd, jak i sądy dawały przyzwolenie na tę zмовę milczenia. Jeżeli na przykład rodzina zabitego zgłosiła morderstwo, a okazało się, że śmierć nastąpiła w wyniku działań Frontu Krajowego, sprawę umarzano. W rezultacie nie prowadzono żadnych śledztw. Zgłoszeń nie rejestrowano ani nie wyjaśniano we właściwy sposób. Niefortunna, nieporządna praktyka.

– Dziwne.

– Może nie aż tak dziwne w pierwszych latach po wojnie, ale

prawda jest taka, że cała ta aura tajemnicy przyczyniła się do powstania wielu mitów i spekulacji. W dodatku pokrzywdzone zostały rodziny zlikwidowanych, które czasami nie potrafiły pogodzić się z tym, że ich najbliższy był zdrajcą, a nieraz nawet nie miał grobu, który można by odwiedzić. Popołniono wiele błędów, tak w tym, jak i w innych przypadkach.

– A więc ile wyroków śmierci wykonano podczas wojny w Norwegii? O jakich liczbach mówimy?

– Nikt nie wie na pewno. Liczbą najbliższą prawdy może być osiemdziesiąt dwa. To, powiedzmy, historycznie uzasadniona wielkość.

Wstałem.

– Bardzo dziękuję za pomoc.

Wzruszenie ramion.

– Nie wiem, na ile panu pomogłem. Aby dowiedzieć się więcej, musiałby pan zapytać u źródeł. Niech pan spróbuje porozmawiać z Julusem Rastumem. Z żyjących członków Milorgu to on orientuje się w tych sprawach najlepiej.

– Dziękuję, już próbowałem.

– Nie chciał pomóc?

– Wyrzucił mnie. Oczywiście grzecznie.

Hans Egil Brustadmoen się zaśmiał.

– No tak. Twarda z niego sztuka.

– Owszem. Ale mimo wszystko chyba będę musiał złożyć mu kolejną wizytę.

Rozdział 41

– Brenne? Chyba wyraziłem się jasno, że nie mam już panu nic więcej do powiedzenia? – Julius Rastum nie wydawał się zły ani rozdrażniony, jedynie zdumiony, że za pierwszym razem nie zrozumiałem przekazu.

– Wyraził się pan.

– Więc co pan tutaj robi?

– Mogę wejść? Pada deszcz.

Popatrzył na mnie z rezygnacją, jak na tępe, trudne dziecko, po czym z westchnieniem otworzył drzwi.

Tak samo jak ostatnio pokuśtykał przodem, zaprowadził mnie do tego samego gabinetu i opadł na ten sam fotel.

– Myśli pan, że coś panu pomoże zawracanie mi głowy, Brenne? Jest pan z tego pokolenia, które dostaje wszystko, o ile wystarczająco długo marudzi?

– Mam przeszło czterdziestkę, Rastum. To absurdalne.

Drgnął na dźwięk agresji w moim głosie.

– Nie może pan mówić do mnie tym tonem.

– Mogę. Ostatnim razem w celu uzasadnienia odmowy podania mi informacji uczynił pan aluzję do przeszłości mojej rodziny. Nic z tego nie pojmowałem, myślałem, że to nieporozumienie, ale się myliłem. Dziadek ze strony ojca był, jak się dowiedziałem, nazistą. W dodatku bardzo gorliwym. Zszokowało mnie to. Wiele dni źle się

z tym czułem. Jakby coś do mnie przylgnęło, coś nieczystego, złego. Jakbym miał wrodzoną skazę czy defekt. – Wstałem. – Ale przecież tak nie jest. Jestem tym samym człowiekiem co wcześniej. Grzech pierworodny nie istnieje. Zła, sympatii nazistowskich czy skłonności przestępczych nie da się odziedziczyć. Prawdę mówiąc, Rastum, pańskie myślenie stanowi wyraz tego, co było złe w nazizmie. Nie lubię takiej formy genetycznego predeterminizmu. A poza tym – powiedziałem, wskazując go palcem – bardzo nie spodobały mi się pańskie zarozumiałstwo i natarczywy ton, pański krytycyzm i źle skrywane uczucie moralnej wyższości, kiedy zasugerował pan istnienie mrocznych tajemnic w mojej rodzinie. Było to nieuprzejme i niedopuszczalne. Nie jestem moim dziadkiem, ledwo go znałem i nie zrobiłem nic, aby zasłużyć na takie traktowanie.

Mówiłem cichym, jednostajnym tonem, nie krzyczałem, nie dramatyzowałem, ale jego twarz i tak zbladła, zesztyniała. Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, po czym potarł czoło kościstą dłonią.

– Prze... – zaczął, odchrząknął i zaczął raz jeszcze. – Przepraszam, Brenne. Nie miałem prawa tak się zachować. Przepraszam.

– W porządku. – Nie spodziewałem się, że przyjmie krytykę, a jeszcze mniej, że poprosi o wybaczenie, więc nie wiedziałem, co powiedzieć. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, aż się odezwał: – Ale w sprawie Torleifa Bergego, w której tutaj byłem, nadal pozostają nierozwiązane kwestie.

– Nie, mecenasie Brenne. – Pokręcił głową. – Chociaż przykro mi z powodu mojego wcześniejszego zachowania, nie mogę dyskutować z panem o tej sprawie.

– W zasadzie nie będzie pan musiał.

– Jak to?

– Wiem, co się stało. Nie musi pan nic mówić, jedynie słuchać.

Odczekałem parę sekund, żeby zobaczyć, czy zaprotestuje, a gdy tego nie uczynił, podjąłem wątek:

– Torleif Berge był podczas wojny młodym człowiekiem. Godnym zaufania patriotą o mocnych nerwach, zaangażowanym w pracę na rzecz ruchu oporu. Niedługo wcześniej się ożenił i pomimo ciężkich czasów był szczęśliwy. Widziałem jego zdjęcie z tamtego okresu. Siedzi gdzieś w górach, obejmując żonę. Pali fajkę, oparty o staromodny plecak, i emanuje radością, którą widać jedynie u ludzi w wiośnie życia, mających jeszcze wszystko przed sobą. Torleif Berge był młody, zakochany, a przez to nieśmiertelny. W swoim czasie musiał pan widzieć wielu takich młodzieńców.

Julius Rastum krótko skinął głową.

– Owszem. Nie trwa to jednak długo.

– To prawda. Życie odbiera nam bardzo wiele, lecz nie tak brutalnie i nagle, jak w przypadku Torleifa Bergego. Stało się coś, co odcisnęło na nim piętno, zmieniło go, odebrało mu szczęście i wiarę w przyszłość, a także na zawsze naznaczyło jego rodzinę. Co to mogło być?

Julius Rastum nic nie powiedział, ale uważnie słuchał.

– Nie został aresztowany, nie torturowano go ani nie wykorzystano. Oczywiście przyczyny mogły być rozmaite. Na przykład utrata dobrych kolegów albo po prostu nieustający stres, lęk, niepewność związana z nielegalnymi akcjami, stale narastająca presja, która wreszcie wykańcza układ nerwowy. Wielu ludzi musiało tego doświadczyć, również tych mocnych, solidnych.

Kolejne skinienie.

– Jednak chyba nie to przydarzyło się Torleifowi Bergemu. A myślę tak, ponieważ nie chce pan o tej sprawie mówić.

– Jak to?

– Gdyby Torleif Berge ucierpiał z powodu wojennego stresu, po co by pan to ukrywał? Chyba nie miałyby to sensu? Wręcz przeciwnie, jak przypuszczam. Dowiedziałem się jednak, że kiedy byli członkowie Milorgu nabierają wody w usta i zaczynają udzielać wymijających odpowiedzi, chodzi tylko o jedno.

– Mianowicie?

– O wyroki.

– I ten wniosek wyciąga pan, ponieważ nie chciałem opowiedzieć mu o działaniach operacyjnych Torleifa Bergego? Czy to aby nie za słaby ciąg dowodowy?

Przytaknąłem.

– Zgadza się. Ale odkryłem pewne powiązanie.

– Tak?

– Tuż po swojej wizycie w Hamburgu Torleif Berge pojechał na drugi koniec kraju, na wschód. Tam odwiedził w więzieniu Freddy'ego Krogha. Freddy jest podwójnym mordercą, który spędził za kratkami pół życia, dopiero niedawno wyszedł na wolność.

– Berge był policjantem. Chyba nic dziwnego, że miał kontakt z przestępcami.

– To prawda, ale nigdy nie miał nic wspólnego z Freddyem, w każdym razie nie służbowo. Sprawdziłem to.

Milczenie.

– Istnieje jednak inne powiązanie, nie tak łatwo zauważalne. Jako dziecko Freddy był okrutnie prześladowany. Wie pan dlaczego?

Znowu cisza.

– Założę się, że tak. Ojciec Freddy’ego, Hans Krogh, donosił podczas wojny. Był podwójnym agentem na usługach Niemców, z jego winy gestapo aresztowało i zabiło wielu porządnych Norwegów. Dlatego Hans Krogh został zlikwidowany przez Front Krajowy.

– Skąd pan to wie?

– Powiedział mi Torbjørn Ofte, gdy odpowiednio go przycisnąłem. – Wzruszyłem ramionami. – To żadna tajemnica, wręcz przeciwnie. Po wojnie większość ludzi o tym wiedziała. W końcu informowaliście o wykonanych wyrokach w podziemnej prasie, zapewne ku przestrodze.

– Tak. Potencjalni zdrajcy mieli wiedzieć, jaką zapłacą cenę. Czym ryzykują.

– Właśnie. A więc likwidacja Hansa Krogha nie była tajemnicą, po prostu o niej zapomniano. – Odkaszlnąłem. – Wtedy został mi już tylko ostatni logiczny wniosek. To Torleif Berge w 1944 roku zlikwidował Hansa Krogha. Problem w tym, że Torleif nie był człowiekiem tego kalibru. Nie twierdzę, że był gorszy czy lepszy niż inni, którzy może daliby radę żyć z takim brzemieniem, jednak Torleif sobie nie poradził. Czuł się winny, nie mógł pozbyć się wspomnień. Krótko mówiąc, nie był katem. To zadanie zrujnowało mu życie. W końcu, po latach, nie potrafił już z tym żyć.

– Uważa pan, że go nie zabito? Że popełnił samobójstwo?

– Nie. Albo tak, w pewnym sensie. Torleif próbował uspokoić swoje sumienie. Podjął pielgrzymkę, podróż do więzienia, gdzie odwiedził syna swojej ofiary, Freddy’ego Krogha. Tam zapewne wyznał grzechy i poprosił o przebaczenie. I to chyba kosztowało go życie.

Julius Rastum popatrzył na mnie zdumiony.

– Sądzi pan, że Freddy Krogh zabił Torleifa?

– Tak. Freddy nie jest spowiednikiem. Żyje według własnego kodeksu moralnego, zaczerpniętego raczej ze Starego, a nie z Nowego Testamentu. Jego kodeks opiera się na zemście.

– Ale... ale... – Widziałem, że jego umysł zaczął pracować. Julius Rastum spędził całe życie na sali sądowej, toteż szukanie słabych punktów ciągu dowodowego lub rozumowania było jego instynktowną reakcją. – Czy Freddy Krogh nie siedział wtedy w więzieniu? Nie powiedział pan, że dopiero niedawno wyszedł?

– Zgadza się, tak właśnie było. Ale w tym więzieniu pracuje mój stary znajomy, kolega ze studiów. Zadzwoiłem do niego z prośbą o sprawdzenie jednej sprawy.

– Przepustka? Był na przepustce, kiedy zabito Torleifa Bergego?

– Umysł Juliusa Rastuma działał, jak należy. Pomimo wieku funkcjonował znakomicie.

– Tak jest.

– A niech mnie...

– Właśnie. Też tak zareagowałem. Panie Rastum, proszę jedynie o potwierdzenie jednej, decydującej informacji. Że Torleif Berge zlikwidował Hansa Krogha. Że był łowcą szczurów. Może to pan potwierdzić?

Nastąpiła długa przerwa.

– Skoro tak się sprawy mają... Ma pan rację. Torleif Berge zastrzelił Hansa Krogha na zlecenie Frontu. Tak dla ścisłości: było to w pełni legalne działanie, spełniało wszelkie warunki legalnej likwidacji. Ale, Brenne...

– Tak?

Napotkał moje spojrzenie. Miał oczy starca, trochę przekrwione,

wyblakłe, jakby przez lata wyciekał z nich kolor, a jednak intensywność wzroku Juliusa Rastuma przywoływała wspomnienie mężczyzny, którym był kiedyś.

– Co do jednego się pan myli.

– Naprawdę?

– Tak. Dotrzymywanie przez nas tajemnicy nazwał pan absurdalnym. A czy nie widzi pan, że ta historia pokazuje, jak konieczne i słuszne jest ukrywanie tych rzeczy? Nie widzi pan, że takie historie nigdy się nie kończą?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem, panie Rastum. Nie sądzę. Myślę, że rany, których nie oczyści się właściwie przed zagojeniem, ulegają zakażeniu. Że latami zbiera się w nich ropa i rośnie zgorzel, aż wreszcie wszystko wychodzi na wierzch. A wtedy efekty mogą być katastrofalne.

Nagle wydał mi się zmęczony.

– To co teraz? Pójdzie pan z tym na policję?

– Tak, w poniedziałek. – Wstałem. – Dziękuję za pomoc, panie sędzio.

Posłał mi uśmiezek suchy i chłodny jak zimowy dzień.

Rozdział 42

Niecierpliwy. Rozproszony. Niespokojny.

Krażyłem bez celu po własnym domu. Zamiast cieszyć się, że wreszcie znalazłem rozwiązanie sprawy, chodziłem strapiiony od pokoju do pokoju, czując, że coś jest nie tak, że coś się nie zgadza. Wiało. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, aby drzewa i krzewy się kołysały, a cienie rzucone przez latarnię po drugiej stronie żywopłotu błędziły niczym poszukujące czegoś palce gęstej ciemności.

Wystarczająco, abym za każdym krzakiem widział Freddy'ego, skrytego w migotliwym cieniu.

Wzdrygnąłem się i odwróciłem plecami do czarnych okien. Chwyciłem telefon, po czym wybrałem numer Hermana Voltersvika, lecz nagle przypomniałem sobie, że wyjechał gdzieś do Azji, więc zrezygnowałem. Pewnie tam, gdzie był, trwała właśnie noc. A moje wieści mogły poczekać.

Zamiast tego wybrałem jego numer domowy, ale w tej samej chwili nabrałem pewności, że nikogo nie zastanę – sygnał przywodził na myśl echo dzwonka telefonu rozbrzmiewającego w kółko w ciemnym, pustym domu. Odłożyłem słuchawkę. Zaparzyłem kawę. Wypiłem ją. Włączyłem telewizor tylko po to, aby wypełnić pokój dźwiękiem, iluzją życia i towarzystwa, jednak stałem się przez to jeszcze bardziej niespokojny, nasiliło się

wrażenie, że ktoś zakrada się do mnie pod osłoną nocy, że głośny, działający na nerwy, sztuczny śmiech z ekranu zagłuszy ostrożne kroki.

Wyłączyłem telewizor. Zadzwoiłem na komórkę Heleny.

Jej też nikt nie odebrał.

Zakląłem, już chciałem cisnąć telefonem o ścianę, i raptownie drgnąłem, gdy się odezwał, nagle ożył w mej dłoni. Przez niezdarność upuściłem go na ziemię, wibracje zabrzęczały na parkiecie.

– Halo!

– Mikael? Brzmisz, jakby brakowało ci tchu.

– Cześć, Heleno. Tak, komórka spadła mi na podłogę.

– Zobaczyłam twój numer. Dzwoniłeś.

– Tak. Chyba wiem, kto zabił twojego ojca.

Długa przerwa.

– Jesteś pewien?

– Pewien? Tak, jestem dość pewien.

– Kto... Jak?

Powiedziałem jej.

– Z czasów wojny? Aż z drugiej wojny światowej? Przecież to zupełne szaleństwo.

– Tak, ale Freddy postępuje według własnej logiki. Która różni się od naszej.

– Freddy... jak się nazywał? Freddy Krogh. Uważasz, że to on jest mordercą, że pomścił swojego ojca?

– Zgadza się.

– Na pewno masz rację, ale...

– Co, Heleno?

– Ten sam człowiek cię ściga, prawda? To on cię śledził i napadł

po wernisażu?

– Tak właśnie. To on.

– Ale... czy to nie szalony zbieg okoliczności?

– Można tak powiedzieć, ale nie widzisz, że wszystko trzyma się kupy, że wszystkie fragmenty układanki znajdują się na swoim miejscu?

– Tak. Jasne, że widzę, muszę tylko ochłonąć. Właściwie to fantastyczne wieści. Mówiłeś Hermanowi?

– Nie, jeszcze nie. O ile wiem, tam gdzie przebywa, jest teraz noc.

– Dziękuję, Mikaelu.

Gdy się rozłączyła, siedziałem wpatrzony w telefon spoczywający w dłoni, jakbym chciał go zmusić, by ponownie zadzwonił. Stało się tak po dwóch minutach. Tym razem go nie upuściłem.

– Mikaelu? Nadal jesteś na mnie zły?

– Zły? – Nie wiedziałem, o czym mówi. W ostatnich dniach tyle się wydarzyło, że zapomniałem o naszej kłótni. – Nie, nie jestem na ciebie zły.

– Chcesz, żebym przyszła?

Poczułem jej smak na języku, skórę pod palcami.

– Tak.

Czekając, sprzątałem. Strząsnąłem pyłki z kanapowych poduszek, wyniosłem brudne kubki po kawie, wytarłem kuchenne blaty. Czynności te nie miały większego sensu, gdyż nie panował u mnie szczególny bałagan, nie było też brudno, po prostu zabijałem w ten sposób czas. A podczas sprzątania umysł, a przynajmniej ta jego część, której nie pochłaniały myśli o Helenie, dalej pracował na pełnych obrotach.

„Czy to nie szalony zbieg okoliczności?” – powiedziała przez telefon. Faktycznie, to dziwne, że Freddy zabił jej ojca,

a jednocześnie chciał zemścić się na mnie. Jeszcze dziwniejsze, iż wszystko to miało miejsce, podczas gdy wynajęto mnie, abym odkrył prawdę o morderstwie Torleifa Bergego. To więcej niż szalony zbieg okoliczności. Zdawał się wręcz nieprawdopodobny, nie wyglądałby przekonująco nawet w powieści kryminalnej, a co dopiero w prawdziwym życiu.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Wiedziałem, że czegoś nie dostrzegam, że coś się nie zgadza. Pomyślałem o Freddym. Za pierwszym razem, kiedy parę tygodni temu zjawił się przed bramą mojego ogrodu, nie rozpoznałem go. Później spotkaliśmy się na ulicy przed kancelarią. Ostatni raz po otwarciu wystawy Heleny.

Zdałem sobie sprawę, co mnie trapi. Nigdy nie byłem sam. Za każdym razem towarzyszyła mi Helena.

Jej telefon dzwonił bez końca, aż włączyła się poczta głosowa. Zakląłem i wcisnąłem przycisk ponownego wybierania numeru.

– Cześć, Mikaelu, niedługo u ciebie będę.

– Gdzie jesteś?

Dobiegł mnie chrzęszczący, rytmiczny dźwięk. Z początku nie wiedziałem co to, lecz po chwili zrobiło mi się słabo, gdyż zorientowałem się, co słyszę. Kroki na żwirowej nawierzchni.

– Na ścieżce koło jeziora. Nie było żadnej taksówki, więc pomyślałam, że równie dobrze mogę się przejść.

– Jest tam ktoś jeszcze? Jacyś ludzie na spacerze?

– Co? Nie, nie w tej chwili. Dlaczego? Co się dzieje, Mikaelu? – Słyszała, że jestem zestresowany.

– Pewnie nic. – Jedną ręką wyciągałem właśnie adidasy z szafki.

– Tylko... pomyślałem, że może...

– Co?

– Że Freddy nie ściga mnie, ale ciebie.

- Co? Mnie? Dlaczego?
- Skąd mam wiedzieć? Pewnie z chęci zemsty. Twój ojciec zabił jego ojca.
- Ale...
- Gdzie dokładnie jesteś?
- W... może w połowie drogi.
- Okej, idź dalej. Wyjdę ci naprzeciw. Rozłączę się teraz, ale zaraz znowu zadzwonię.

Przebiegłem jezdnię tak blisko nadjeżdżającego samochodu, że opony zapiszczały, kiedy kierowca wdepnął hamulec. Ja jednak się nie zatrzymałem, tylko pędziłem dalej w stronę jeziora. Znałem te ulice, wszystkie schody i skróty, chodziłem tędy wielokrotnie – na ogół były to spokojne wieczorne spacerunki, czasem jakiś jogging, lecz teraz biegłem ile sił w nogach.

Znowu zadzwoniłem do Heleny.

- Gdzie jesteś? – Z trudem wydobyłem z siebie słowa. Płuca pompowały powietrze, lecz w piersi brakło tchu.
- Nadal na ścieżce. Ale ktoś tu jest, chyba ktoś za mną idzie.
- Biegnij!

Oderwałem telefon od ucha, lecz nadal trzymałem go w dłoni, nie rozłączyłem się. Przebiegłem ostatnią ulicę, jednym susem minąłem barierkę i znalazłem się przy jeziorze, na dróżce wzdłuż wody. Przyspieszyłem, próbując wydłużyć krok, ale czułem już, że zaczynam ciężko stąpać, że nogi mi zeszywniały. Nie poruszałem się lekko i sprężysto – przy każdym zetknięciu butów z asfaltem czułem to w całym ciele, w kręgosłupie, nawet w głowie. Biegłem z otwartymi ustami, z trudem łapiąc powietrze, jakbym pierś miał opasaną żelazną obręczą.

Na chwilę uniosłem telefon do ucha, lecz nie zdołałem go

spokojnie utrzymać. Zdałem sobie sprawę, że to bez sensu, że muszę być na tyle blisko, aby usłyszeć jej wołanie.

Ścieżka się rozwidlała.

Jedna odnoga biegła wzdłuż wody, a druga na wprost, najszybszą drogą do centrum. Zawahałem się, po czym wybrałem tę w prawo, krótszą. Przed sobą usłyszałem krzyk. Dochodził z lewej, od strony wody. Źle skręciłem. Zakląłem, bez wahania wpadłem między drzewa, prosto w mrok, potknąłem się, prawie upadłem, zasłoniłem twarz rękoma w ochronie przed gałęziami i krzewami. Dziesięć metrów i znalazłem się na zwirowej ścieżce. Brnąłem dalej, niemal całkiem wypompowany. Nogi przypominały pieńki, a serce wciąż mi waliło. Obszedłem niewielki pagórek i zyskałem nieograniczony widok na wprost.

Zobaczyłem ciemną postać pochyloną nad inną, leżącą na ścieżce. Ujrzałem, jak postać klęka. Próbowałem krzyknąć, ryknąć, ale brakowało mi tchu, w ustach czułem smak krwi, lecz nagłony siłą woli i lękiem zdobyłem się na ostatni wysiłek. Postaci usłyszały mnie i podniosły wzrok. Z moich ust wydostał się nieartykułowany dźwięk, coś między stęknieniem a rykiem. Znalazłem się przy mężczyźnie. Pochyliłem się i natarłem na niego, siłą rozpędu i desperacji przewróciłem go, przetoczyłem po ziemi, aż wylądowałem na nim. Coś histerycznie, desperacko czekało mi do ucha. Popatrzyłem w szeroko otwarte oczy zupełnie obcego starszego pana. Poczulem, jak ostre zęby małego pokojowego pieska wbijają się w moją łydkę i wrzasnąłem z przerażenia. Podniosłem się, kopniakiem odgoniłem psa, który wycofał się na metr, na zmianę warcząc i histerycznie ujadając.

Helena siedziała na ścieżce, spoglądając na mnie z wykrzywioną w szoku twarzą.

– Heleno. – Pochyliłem się nad nią. – Wszystko w porządku? –
Wyrzucałem z siebie pojedyncze słowa.

Skinęła głową.

– Tak, chyba tak.

Pomogłem jej wstać, a ona nagle zaczęła drżeć.

– On... Słyszałam, jak za mną szedł, więc pobiegłam, próbowałam od niego uciec, ale nie zdołałam. Dopadł mnie, uderzył.

Teraz zobaczyłem, że jedną stronę twarzy ma spuchniętą i czerwoną. Z kącika ust płynęła cienka strużka krwi.

– Uratował mnie ten pan – powiedziała, wskazując mężczyznę, którego zaatakowałem. – Gdyby nie on, nie wiem, co by się stało.

Odwróciłem się w jego stronę. Właśnie podnosił się z ziemi.

– Przepraszam. Dobrze się pan czuje? Myślałem, że to pan...

– Rozumiem – zapewnił, pochylając się. – Cicho, Sofus, cicho. Do nogi, tak, dobry pies. Ma któreś z was telefon?

– Co? Tak, ja mam.

Wyciągnął dłoń – jako jedyny z nas zachował przytomność umysłu.

– Chyba najlepiej będzie zadzwonić po policję, nie sądzi pan?

Skinąłem głową, podając mu komórkę.

Helena przytuliła twarz do mojego ramienia i zanosła się cichym płaczem.

Rozdział 43

Wąs inspektora Samdala wibrował, nadając mu wygląd zaciętego gryzonia. Na ogół zwisał smutno i niechlujnie nad jego wargą, razem z rzadkimi włosami i podpuchniętymi oczami sprawiając, że policjant wydawał się zmęczonym życiem cynikiem – teraz jednak węszył krew.

Krew i zainteresowanie prasy.

Tylko to, jak sądziłem, mogło jeszcze przyprawić go o żywsze bicie serca i pulsowanie krwi w żyłach. Inspektor Samdal był mizantropem, zgorzkniałym, zgryźliwym człowiekiem, który nie lubił nikogo – kolegów z pracy, obrońców, cywilów, przestępców i mnie. Zwłaszcza mnie. Nienawidził mnie, ponieważ był kiepskim prawnikiem, osobą o ogromnej wiedzy, lecz bez zdolności oceny czy zdrowego rozsądku, dlatego wielokrotnie miażdżyłem go na sali sądowej. Poza tym nienawidził sukcesów innych, a ja w ostatnich latach odniosłem ich sporo.

– A więc – powiedział, zacierając dłonie. – Freddy Krogh, co? We własnej osobie.

– Tak.

– Hm. Wyjaśnij mi raz jeszcze, dlaczego interesuje się... – szybko zerknął w papiery – Heleną Berge.

– Zapewne z chęci zemsty. – Ponownie wszystko mu naświetliłem, powiedziałem o likwidacji ojca Freddy'ego, zabójstwie

Torleifa Bergego, o powiązaniach, jakie odkryłem.

Samdal pociągnął się za wąs.

– Skomplikowane.

– Zgadza się. Z prawnego punktu widzenia to budowla bez porządnego fundamentu. Freddy miał motyw, aby zabić Torleifa Bergego, miał też możliwość. Biorąc pod uwagę kontekst historyczny, jak dla mnie dowodów jest więcej niż dość, ale może ich nie starczyć na wyrok skazujący. A może nawet nie na aresztowanie.

– Hm. Może nie, może nie.

– Ale chyba nie musisz odwoływać się do zabójstwa Torleifa Bergego i jego uzasadnienia, przynajmniej na razie. Nie trzeba zamykać Freddy’ego na parę tygodni, aby śledztwo mogło potoczyć się własnym rytmem. Za to przeszłość Freddy’ego Krogha spokojnie wystarczy, żeby oskarżyć go o napaść na Helenę Berge.

– Prawda. A co z motywem, nie możemy przecież...

– Na tym etapie śledztwa motyw jest niepotrzebny. Lepiej spokojnie zbadać sprawę w całej jej złożoności, żeby później móc oskarżyć go o zabójstwo. – Celowo na chwilę przerwałem. – A kiedy ta sprawa wyjdzie na jaw, będzie na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju.

Dosłownie oblizał usta.

– Masz rację, Brenne, masz rację. Najpierw wyjdziemy z napaścią, uszkodzeniem ciała, a może i z próbą gwałtu, tak, czemu nie? Zamkniemy faceta, a później spokojnie zajmiemy się śledztwem w sprawie zabójstwa Bergego. Chyba tak trzeba to rozegrać.

Skinąłem głową.

– Dobry pomysł, Samdal.

– No wiesz, nie takie rzeczy się robiło! – wykrzyknął, patrząc na mnie z zadowoleniem.

Za rogiem budynku sądu wąskie schodki prowadzą do równie skromnych drzwi. Jest to boczne wejście do wielkiej sali sądu apelacyjnego, w której toczą się rozprawy w poważnych sprawach karnych z udziałem ławy przysięgłych. Jednocześnie jest to wejście do byłego sądu śledczego. Ta nazwa nie funkcjonuje już po przekształceniu różnych rodzajów sądów w jeden sąd rejonowy, lecz zmiana miała jedynie kosmetyczny charakter. Nadal schodzi się tymi samymi schodami do drzwi, tylko zamiast dalej iść prosto, po stopniach do sądu apelacyjnego, można wybrać pierwsze drzwi po lewej. Za nimi małe schodki prowadzą do ciasnej piwnicy, wyposażonej jedynie w drewnianą ławę i stół. Jest to poczekalnia przed najmniejszą salą sądu, w której decyduje się o tymczasowym aresztowaniu podejrzanych.

Wchodziłem przez te drzwi i schodziłem po tych stopniach nieskończenie wiele razy, nigdy jednak jako członek widowni, rzadko też przy tak żywym zainteresowaniu mediów jak tego nieprzyjemnego zimowego dnia. Na zewnątrz w gotowości stali fotografowie, przestępując z nogi na nogę i dłubiąc przy swoich aparatach, ciągle w napięciu, skłonni wkroczyć do akcji, gdy tylko coś zacznie się dziać. Poczekalnię wypełniali dziennikarze. Kiedy przyszedłem, parę fleszy błysnęło mi w twarz, głównie z przyzwyczajenia, a paru niedoświadczonych i niedoinformowanych reporterów ożywiło się, sądząc, że to ja jestem obrońcą – zaczęli przekrzykiwać się, zadając mi pytania, podczas gdy ci lepiej poinformowani spoglądali na nich z politowaniem.

– Będę tylko patrzył – wyjaśniłem.

Czekaliśmy.

Samdal zjawił się ubrany w mundur. Policijni prawnicy mogą występować w sądzie w mundurze zamiast togi, ale niewielu z nich to robi. Rzadko uważają to za naturalne, chyba że należą do małej grupy tych, którzy jeszcze przed studiami prawniczymi służyli w policji. Jednak inspektor Samdal uwielbiał swój mundur, więc chociaż podczas posiedzeń w sprawie aresztowania nie nosi się togi i wszyscy inni stawili się ubrani jak do biura, Samdal jak zwykle miał na sobie uniform. Przywitał się z dziennikarzami, odpowiedział krótko na kilka pytań, uśmiechnął się sztywno w deszczu fleszy, po czym wszedł do sali.

Dalej czekaliśmy.

Wreszcie wprowadzono Freddy'ego. Ręce w kajdankach trzymał z przodu, ale głowę miał uniesioną, kamery i eksplozję fleszy przyjął z twarzą pozbawioną wyrazu, zupełnie zignorował kakofonię pytań, która go zalała. Ciężko zszedł po kilku stopniach, odepchnął ramieniem paru dziennikarzy i został odprowadzony do innego pomieszczenia, gdzie miał również czekać na ogłoszenie wyroku.

Pomyślałem, że ma w sobie pewną godność.

Kiedy wreszcie otwarto drzwi do sali sądowej, wpadłem do środka jako jeden z pierwszych i usiadłem pod tylną ścianą. Pomieszczenie z wolna wypełniali dziennikarze. Sędzia przesunął wzrokiem po zgromadzonych. Dobrze go znałem. Nie zdziwiłem się na widok jednego z najbardziej doświadczonych specjalistów od prawa karnego w mieście. Był jowialnym mężczyzną, który lubił też znajdować się w centrum uwagi, cieszyły go niezwykle wydarzenia. Jego okulary błysnęły, kiedy dostrzegł mnie wśród tłumu

reporterów. Wprowadzono Freddy'ego, tym razem bez kajdanków. On też mnie zauważył, na chwilę napotkał mój wzrok. Miał ciemne, spokojne spojrzenie, baczne, ale zimne. Wzdrygnąłem się. Zajął miejsce pośrodku sali.

– W porządku – odezwał się sędzia. – Wszyscy znają zasady. Koniec fotografowania i filmowania. W przypadku złamania zakazu zostaną państwo wyproszeni z sali. Przypominam też o zakazie referowania obrad sądu i liczę, że lojalnie będą go państwo przestrzegać. Mówiąc krótko: żadnych szczegółów! Czy to jasne?

Wszyscy skinęli głowami, choć wiedzieliśmy, że nikt nie będzie się tym przejmował.

– Panie prokuratorze, chyba kogoś brakuje? Nawet Freddy Krogh ma prawo do obrońcy, czyż nie? Widzę wśród nas, co prawda, mecenasa Brennego, ale ponieważ zajął miejsce wśród szanownych giermków demokracji, przypuszczam, że nie będzie dziś pełnił tej funkcji?

Samdal wstał.

– Zgadza się, wysoki sędzie. Czekamy na...

Drzwi do sali otworzyły się, po czym wkroczyła przez nie elegancka, szczupła postać, która z trzaskiem odłożyła aktówkę na stół, zdjęła płaszcz i rzekła:

– Przepraszam za spóźnienie. Powiadomiono mnie dopiero kilka minut temu.

Przez salę przebiegł szum. To była Synne.

Rozdział 44

Freddy skinął głową.

– Oczywiście, że chcę zeznawać – powiedział.

– Dobrze. Dlaczego to takie oczywiste? O ile widzę, odmówił pan składania wyjaśnień na policji, czyż nie?

Synne wstała, zanim sędzia zdążył skończyć zdanie.

– To nie do końca tak, wysoki sędzie. Mój klient chciał złożyć zeznanie, ale tylko pod warunkiem że dowie się, o co jest podejrzany.

Sędzia uniósł brwi.

– Ach, tak? To prawda, panie prokuratorze?

Samdal odchrząknął.

– Ee... nie... Przedstawiono mu akt oskarżenia.

– Tymczasowy akt oskarżenia. W aktach sprawy jest to dokument numer osiemnaście zero jeden. Brakuje w nim dokładnego opisu zarzucanego czynu karalnego wraz ze wskazaniem czasu jego popełnienia, poza pewnymi ogólnikami. Nie można tego nazwać aktem oskarżenia. W każdym razie na studiach oblano by mnie, gdybym przedstawiła coś takiego jako akt oskarżenia w świetle prawa karnego.

– Cóż, mecenas Bergstrøm, chyba nie ten dokument stanowi podstawę wniosku o aresztowanie? Akt oskarżenia, który przede mną leży, wygląda całkiem poprawnie.

– Zgadza się, wysoki sędzie, nie mam do niego zastrzeżeń. Ale właśnie ten tak zwany tymczasowy akt oskarżenia mój klient otrzymał do wglądu przed przesłuchaniem. Nie zawiera on rzeczywistych informacji o zarzutach i to dlatego mój klient nie chciał zeznawać. Teraz jednak jest w pełni gotowy, by złożyć zeznanie przed sądem.

– Dobrze, mecenas Bergstrøm. Panie Krogh, co może mi pan powiedzieć w tej sprawie?

– Nic, wysoki sędzie.

– Ponieważ...?

– Ponieważ nic o niej nie wiem.

– Doprawdy? A więc wczoraj, nie, przedwczoraj wieczorem nie śledził pan, nie pobił i nie próbował zgwałcić Heleny Berge?

– Nie, absolutnie. – Freddy był zrelaksowany, opierał się na krześle.

– Panie prokuratorze, chyba lepiej będzie, jeśli zajmie pan głos.

– Dziękuję, wysoki sędzie. – Samdal znowu odchrząknął; miał w sędzie taki irytujący zwyczaj. Przejrzał leżące przed nim papiery.

– Panie Krogh, zaprzecza pan zatem, że napadł na Helenę Berge?

– To właśnie powiedziałem.

– Ale napadnięto na nią, a ona zidentyfikowała, rozpoznała pana. Jak to możliwe?

– Nie wiem.

– Nie wie pan. Tak, tak. Ale...

– Przepraszam, wysoki sędzie. – Synne znowu wstała.

– Tak, mecenas Bergstrøm? – Sędzia mówił chłodnym głosem. Nie przepadał za wtrącającymi się adwokatami i odstępstwami od dokładnie rozplanowanego, powolnego tańca procesu karnego, jednak Synne najwyraźniej się tym nie przejmowała.

– Przepraszam, że przerywam, wysoki sędzie, ale to, co mówi prokurator, zwyczajnie się nie zgadza. Poszkodowana Helena Berge nie zidentyfikowała mojego klienta jako napastnika.

– Oczywiście, że tak! – obruszył się inspektor Samdal. – Tak jest napisane w jej przesłuchaniu, dokument sześć zero dwa, strona trzecia.

– Jest tu napisane, że zdecydowanie twierdzi, iż napastnikiem był Freddy Krogh. Z akapitu powyżej wynika, że kiedy doszło do ataku, na dworze było ciemno, a miejsce było słabo oświetlone. Poszkodowana mówi, że odwróciła głowę i zobaczyła za sobą mroczną postać, którą wzięła za Freddy’ego Krogha. Zeznaje, że próbowała uciec od tej osoby, ale nie zdołała, została dogoniona, chwycona za ramię i brutalnie odwrócona, a jednocześnie mocno uderzona w twarz, po czym nagle znalazła się na ziemi. Później zjawił się mężczyzna wyprowadzający psa, a napastnik zbiegł. – Zrobiła wdech, wyprostowała się i popatrzyła prosto na sędziego. – W tym kontekście nie brzmi to jak identyfikacja, wysoki sędzie, lecz wniosek, przypuszczenie.

Elegancko to rozegrała. Samdal jękał się, próbując coś powiedzieć, ale sędzia zbył go ruchem ręki.

– Cóż, proszę uwzględnić to w końcowej argumentacji.

Widziałem jednak, że słowa Synne wywarły odpowiednie wrażenie. Zakląłem w duchu. Nie przeczytałem dokumentacji sprawy, więc nie wiedziałem, jak policja wykonała swoją pracę. Nie mogłem znieść własnej bezradności.

Samdal próbował znów przejść do ofensywy.

– Panie Krogh, zaprzecza pan, że śledził pan w ostatnich tygodniach Helenę Berge? Mamy kilka zeznań świadków, które...

– Nie śledziłem jej.

– Nie? A więc muszę zapytać, czy zaprzecza pan także, że spotkał ją przynajmniej trzy razy w tym samym okresie?

– Owszem, zgadza się.

– A zatem doszło do tego, mimo iż pan jej nie śledził? Może to Helena Berge zainicjowała te spotkania?

– Nie. – Freddy pokręcił głową. – Oczywiście, że nie. Wiem, kim jest, ale mi jej nie przedstawiono.

– Więc czego pan wtedy od niej chciał?

– Niczego.

– Jak to? Niczego? Powiedział pan przecież, że...

Serce mi zamarło. Wiedziałem, co nastąpi. Szybko zerknąłem na Synne i napotkałem jej wzrok po raz pierwszy, odkąd zjawiała się na sali. Ona też to wiedziała, cały czas. Zdradzało ją lekkie przekrzywienie głowy, niemal widoczne wibrowanie nozdrzy. Bardzo dobrze wiedziałem co to. Najlepsza broń prawdziwego obrońcy. Instynkt łowiecki. Uczucie zbliżania się do zdobyczy. Była to twarz kobiety, która zaraz pociągnie za spust.

– Powiedziałem, że spotkałem ją trzy razy – rzekł Freddy. – Ale stało się tak, ponieważ była z mecenasem Brennem. Przyznaję, że szukałem go, mamy pewne stare sprawy do załatwienia, ale obecność Heleny Berge była za każdym razem absolutnym przypadkiem.

Wiedziałem, że Samdal pragnie wspomnieć o ojcu Heleny, zabójstwie, wojennej przeszłości, ale nie mógł i dobrze o tym wiedział. Nie przygotował sobie tego, dokumentacja sprawy nie zawierała żadnych informacji na ten temat, brakowało też dowodów. Sędzia nigdy by na to nie zezwolił.

Freddy na pół się odwrócił i spojrzał w moją stronę.

– W ogóle to się dziwię. Nikt nie przesłuchał ani nie spytał

mecenasa Brennego? Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, twierdził, że go śledzę, a teraz nagle prześladowę jego kobietę? Nie wiem, co jej o mnie powiedział, ale najwyraźniej mocno ją to przestraszyło.

Miałem ochotę zrobić dwa kroki w przód i mu przywalić.

– Mecenasiu Brenne? To prawda? – Teraz mówił sędzia.

– Nie jestem świadkiem, wysoki sędzie, więc nie wiem...

Nie chciał mnie słuchać.

– To tylko posiedzenie w sprawie aresztowania, a nie główna rozprawa. Jeżeli ma pan jakieś istotne informacje, chciałbym je poznać.

– Wysoki sędzie, czy mogę zadać mecenasowi Brennemu parę prostych pytań? – Tym razem odezwała się Synne, aksamitnym, przymilnym głosem.

– Proszę.

– Czy był pan razem z poszkodowaną, kiedy spotkała pana Krogha?

– Tak, zgadza się.

– Czy zarzucił pan Freddy'emu Kroghowi, że pana śledzi?

– Tak, w pewnym sensie...

– Dziękuję. Czy rzeczywiście macie jakieś niezłatwione sprawy z dawnych czasów?

– To Freddy tak myśli. Ja wykonywałem tylko swoją pracę. To był...

– Dziękuję, nie musimy znać szczegółów. I na zakończenie, czy faktycznie mówił pan Helenie Berge o Freddy'emu Kroghu, o jego wcześniejszych wyrokach za zabójstwa?

– Tak.

– Czy może pan powtórzyć odpowiedź? Nie dosłyszałam.

Jej oczy błyszczały jak świeżo naostrzony katowski topór.

Mówiły: „Ach, Mikaelu, nie chciałeś mnie jako partnerki w firmie, nie sądziłeś, że jestem wystarczająco dobra, dorosła, odpowiedzialna? Więc co powiesz na to?”.

– Mecenasiu Brenne, czy może pan powtórzyć odpowiedź? – ponaglił sędzia. – Czy mówił pan Helenie Berge o przeszłości Freddy’ego Krogha?

– Tak.

– Dziękuję, wysoki sędzie. Nie mam pytań.

To była rzeź.

Później Synne przedstawiła świadka, lekko otyłą blondynkę z czarnymi odrostami, która przysięgła na grób swoich rodziców, że Freddy spędził w jej domu cały wieczór dwa dni temu, kiedy to doszło do napaści. Zachichotała kokieteryjnie, kiedy Samdal ją przycisnął, i przyznała, że uprawiali seks.

– Właściwie to nawet kilka razy – powiedziała. – Chłopak długo siedział, więc to jasne, że... ale muszę powiedzieć, że to... no, jest nadal w formie, byłam później całkiem skonana, ten chłopak nie miał dość, muszę powiedzieć...

„Chłopak” uśmiechnął się szeroko z zadowolenia, że świat dowiedział się, jakim jest jurnym i wytrzymałym kochankiem.

Wprowadzenie świadka było przesadą, obeszlibyśmy się bez tej szopki, gdyż bitwa została już dawno wygrana. Sędziemu mniej niż kwadrans zajęło przygotowanie do ogłoszenia decyzji o odrzuceniu wniosku o aresztowanie.

Samdal wstał.

– Zgłaszam apelację od decyzji i proszę o zawieszenie jej mocy prawnej do momentu ustosunkowania się sądu apelacyjnego do mojego wniosku.

Sędzia nie poprosił nawet o uzasadnienie. Posłał Samdalowi

lodowate spojrzenie, po czym przez sekundę przesunął tym samym zimnym wzrokiem po mnie.

– Wniosek oddalony – warknął i zniknął za drzwiami.

Kiedy stado wilków wreszcie się najadło, skończyło tłoczyć się w zachwycie wokół Synne i rozszarpało inspektora Samdala, aż zostały po nim tylko kości, poszedłem do toalety, aby przemyć twarz zimną wodą. Za sobą usłyszałem dźwięk spłuczki, a po chwili otworzyły się drzwi do jednej z kabin. Samdal stanął obok mnie i zaczął myć ręce.

– Poszło fatalnie – zauważyłem.

Napotkał mój wzrok w lustrze. Miał zaczerwienione oczy, spuchniętą, pokrytą plamami twarz, jakby płakał.

– Oszukałeś mnie – powiedział. – Wykorzystałeś mnie. – Jego wąs drżał i nagle pojąłem, że nie zbiera mu się na płacz, że prawie dusi się ze wściekłości.

– O czym ty mówisz?

– To ciebie ściga Freddy Krogh, więc żeby się go pozbyć, wymyśliłeś przekłętą bajeczkę, chorą historyjkę, do której sprawdzenia mnie zmusiłeś. Do tego sfingowałeś napaść, a wszystko tylko po to, aby Freddy trafił za kratki!

– Zgłupiałeś? – prychnąłem gniewnie. – Tylko dlatego, że zawałiłeś sprawę, nagle to ja jestem tym złym, a nie Freddy Krogh, podwójny morderca? Odbiło ci, Samdal?

Na nic się to nie zdało. Inspektor Samdal doznał publicznego upokorzenia, wyśmiał go cały zastęp dziennikarzy, więc nie chciał słuchać głosu rozsądku. Potrzebował kozła ofiarnego, a ja byłem pod ręką. Wyrzucał z siebie zarzuty i obelgi, aż odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Na schodach przed sądem stała Synne.

– Cześć, Mikaelu.

Wsunęła rękę do kieszeni, wydobyła z niej paczkę papierosów i zapaliła.

– Zaczęłaś palić?

Ściągnęła usta i wydmuchnęła na chłodne zimowe powietrze cienką smużkę dymu. Wydawała się zrelaksowana.

– Tylko okazyjnie. Kiedy coś pójdzie naprawdę źle. Albo naprawdę dobrze.

– Teraz poszło naprawdę dobrze?

– Mhm.

– Mówisz tak, chociaż zadbałaś, aby Freddy Krogh znów wyszedł na wolność. Człowiek, który jest niebezpieczny, którego stać na wszystko. I który prześladowuje moją... Helenę Berge.

– Dlaczego miałyby ją prześladować?

– Po prostu tak jest. Uwierz mi. I ze względu na ciebie mam nadzieję, że jej nie dopadnie.

– Ze względu na mnie? To moja praca, Mikaelu. Praca, którą wykonuję najlepiej, jak umiem, czyli cholernie dobrze! A osobą, która nauczyła mnie o tej pracy wszystkiego, która sprawiła, że jestem taka dobra, która pokazała mi, jak mam traktować swój zawód, uczyła mnie o etyce obrońcy, o odpowiedzialności, która zawsze powtarzała, że naszym zadaniem jest służyć klientowi, tylko to i nic innego, że jesteśmy na usługach systemu – tą osobą byłeś ty!

W jej oczach pojawiły się iskry, była wściekła, piękna i urażona.

– Ja...

– Idź sobie. Odejdź. Daj mi się cieszyć chwilą.

To nie był mój dzień.

Rozdział 45

– Jak to? Wypuścili go?

– Posłuchaj, Heleno...

– Co to, kurwa, za system, w którym wypuszcza się na ulice morderców? Nawet mnie o tym nie poinformowali? Przecież mogłam go spotkać przed bramą!

– Przepraszam, Heleno, ale to nie było...

– Kurwa mać! – krzyknęła, rzucając słuchawką.

Wieczorem znowu do mnie zadzwoniła.

– Przepraszam. Wiem, że to nie twoja wina, Mikaelu.

– W porządku. Rozumiem, że się wkurzyłaś.

Milczeliśmy kilka sekund.

– Rozmawiałaś z Hermanem?

– Tak, powiedziałam mu o twoim przypuszczeniu, że Freddy zabił ojca.

– A co z napadem? O nim też mu wspomniałaś?

– Nie, nie wiem, jak mam mu to powiedzieć.

– Jak to?

– Dlaczego późnym wieczorem szłam wzdłuż jeziora. Co tam robiłam.

– Tak, oczywiście. Nie zastanawiałem się nad tym.

Westchnęła.

– Nieważne. Coś wymyślę.

– Tak. – Zawahałem się chwilę. – Kiedy on wraca?

– Za tydzień.

– No tak.

Znowu milczenie, wypełnione wszystkim, czego nigdy sobie nie powiedzieliśmy. Słyszałem jej oddech, lekki, rytmiczny dźwięk w uchu. Bliski jak pieszczota.

– Mogę do ciebie jutro przyjść. Jeśli chcesz.

– Chcę. Wiesz, że chcę.

Suche liście, które jeszcze zwisały z buków, zaszeleściły na wietrze. Freddy chował się w cieniu. Poruszał się wolno i ostrożnie, bez pośpiechu. Krył się przed światłem, unikał polan między drzewami, tkwił cały czas w cieniu. Prawie niewidoczny dla kogoś, kto mógłby stać na straży. Raczej nie stał, ale Freddy nie mógł być pewien, nie po tym, co się wydarzyło, więc nie ryzykował.

Krył się.

Przed nim wyłonił się zarys domu, przysadzistego i masywnego jak średniowieczna twierdza. W jednym oknie na piętrze zobaczył światło przesłonięte ciężkimi kotarami. Pozostałe okna przypominały ciemne, nieruchome, wychodzące na zewnątrz otwory strzelnicze. Poczul ogarniającą ciało falę gorąca, gdyż wiedział, że ona tam jest, za kotarami. Pomyślał, że może się położyła albo dopiero szykuje się do snu, rozbiera, zajmuje wieczorną toaletą.

Tak blisko.

Zawahał się, wycofał nieco w cień. Niespiesznie okrążył dom. Z tyłu drzewa i krzewy sięgały niemal do ściany budynku. Poruszał się coraz wolniej, ostrożniej. Długo stał w cieniu pod ostatnim drzewem, na pół skryty za pnem. Zaledwie pięć metrów od rogu domu. Wahał się, ale wreszcie postanowił zrobić dwa szybkie, zdecydowane kroki w przód, opuścić kryjówkę.

Nagle się zatrzymał, zamarł w blasku reflektora, który włączył się ze słyszalnym kliknięciem.

Oślepiony i sparalizowany lękiem, przez chwilę stał w zimnym świetle, aż zmienił kierunek ruchu, wycofał się, nie śmiąc odwrócić się plecami do lampy. Wszedł między drzewa i krzewy, potknął się i upadł w bezpieczny mrok. Wtedy panika zelżała, zmusił się do zatrzymania, oddychania, nasłuchiwania.

Kolejne kliknięcie i nastąpiła ciemność.

W porządku. Czujnik ruchu podłączony do reflektorów. Czekał na dźwięk alarmu, ale nic nie słyszał. Wiedział, że to nic nie znaczy, że mury są grube, a alarm mógł być bezgłówny, bo rozbrzmiewał w centrali. Ktoś mógł już tu jechać. Albo i nie. Nie miało to znaczenia, bo wiedział, gdzie ona jest. Nie zniknie. Nie musiał się spieszyć ani ryzykować. Mógł zaczekać.

Czekać potrafił najlepiej na świecie.

Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Tym razem szybciej pokonał trasę, gdyż znał teren. Nadal poruszał się jednak bezszelestnie, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi, lecz nie usłyszał nic poza zwykłymi dźwiękami nocy – cicho hukającą sową, szelestem koron drzew, a po chwili szumem fal. Odnalazł łódź, odbił od brzegu i chwycił wiosła. Cicho, bezgłównie zniknął w ciemności.

Rozdział 46

Nie przyszła o ósmej, jak się umówiliśmy.

Nie przyszła też o wpół do dziewiątej.

Nikt nie odbierał telefonu stacjonarnego. Jej komórka dzwoniła bez końca, aż wreszcie w moim uchu rozlegał się miękki, przymilny głos: „Cześć, tu Helena. Nie mogę w tej chwili odebrać...”.

Po północy pojechałem do niej. Bramy z kutego żelaza stały otworem, lampy wzdłuż podjazdu się paliły, lecz dom był pogrążony w ciszy i mroku. Zadzwoiłem do drzwi, obszedłem budynek, zerknąłem do środka przez wyjście na taras, sprawdziłem drzwi i okna, ale wszystkie okazały się zamknięte. Przeszedłem przez park do morza, do atelier Heleny. W ciemności przed sobą ujrzałem błysk światła, który na moment rozpałił we mnie nadzieję. Nadzieję, że pracuje, maluje, że całkiem pochłonął ją obraz, że kształty i ostre kolory opętały ją tak, iż zapomniała o całym świecie. Jednocześnie poczułem złość, że mogła mi coś takiego zrobić, tak mnie zignorować, zawieść i przerazić na śmierć.

Kiedy jednak dotarłem na miejsce, gniew minął, zgasł niczym ognisko na deszczu. Źródłem światła była lampa nad wejściem do atelier, pojedyncza żarówka jarząca się w nocy. Samo atelier pozostawało ciemne. Dotknąłem drzwi. Uchyliły się. Wszedłem do środka, po omacku znalazłem włącznik. Jarzeniówki zamigotały, biały blask zmieszał się z głębokim cieniem, aż wreszcie

pomieszczenie się rozświetliło. Ostatnim razem, gdy tu byłem, w pokoju znajdowało się mnóstwo obrazów, teraz zaś panowała niemal całkowita pustka. Wiedziałem, że większość płócien jest na wystawie, a mimo to ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, że Helena opuściła to miejsce, wyjechała, by nigdy nie wrócić. Na kuchennym blacie stał brudny kubek po kawie z brązowymi, suchymi zaciekami i wyraźnym śladem szminki na krawędzi.

Odcisk ust Heleny. Tylko tyle tu po niej zostało.

Wyszedłem na dwór. Stałem wpatrzony w ciemną wodę, jakbym miał znaleźć tam odpowiedź. Przy nabrzeżu niestarannie zacumowano małą łódź wiosłową, jolkę. Uderzała o beton bez odbijaczy. Wiosła ciśnięto na ławkę, więc ze stukiem toczyły się tam i z powrotem. Bez namysłu wskoczyłem do jolki, wyłożyłem dwa odbijacze, zaklinowałem wiosła pod ławką i porządnie zacumowałem łódź. Później ruszyłem w stronę domu. Stał tak samo ciemny i cichy. Jeszcze kilka razy zadzwoniłem do drzwi, bez większej nadziei. Nie wiedziałem po prostu, co robić. Potem wsiadłem do samochodu i odjechałem. Odruchowo, bez zastanowienia, wybrałem znów numer Heleny, czekałem na niekończący się, irytujący sygnał, lecz nie usłyszałem go.

„Abonent czasowo niedostępny” – powiedział modulowany, obcy kobiecy głos. Jej telefon został wyłączony. Dreszcz niepokoju przebiegł mi po plecach jak włochaty pająk.

Młody policjant grzecznie mnie słuchał.

– Jest pan jej krewnym?

– Nie, ale byliśmy umówieni.

– A ona nie przyszła.

– Zgadza się. I nie ma jej też w domu. Martwię się. Parę dni temu

została napadnięta.

– Większość osób zaginionych prędko się pojawia. Na ogół wszystko można łatwo wyjaśnić.

– Tak, wiem, ale...

– Sprawdził pan jej przyjaciół i znajomych?

– Nie, nie znam jej aż tak dobrze.

– Nie? Cóż, zapiszę nazwisko. Poczekamy i zobaczymy.

To było beznadziejne. W profesjonalnym, uspokajającym i pełnym zrozumienia głosie słyszałem ton pobłażliwego zniecierpliwienia. „Nie męcz nas z powodu dziewczyny, która nie przysłała na randkę, mamy na głowie ważniejsze sprawy”.

Synne popatrzyła na mnie zdumiona. Miała na sobie znoszony szlafrok, jej twarz była świeżo umyta, bez makijażu, włosy wisiały niestarannie związane z tyłu głowy.

– Żartujesz?

– Nie żartuję. Boję się, że stało się coś poważnego, że Freddy...

– Idź na policję.

– Nie chcą mnie słuchać. Musisz mi pomóc.

– Nic nie muszę. Freddy to mój klient. Nie możesz żądać ode mnie jego adresu, żeby wparować do niego w środku nocy. Bóg wie, do czego mogłoby wtedy dojść! Nie ma mowy.

– A numer telefonu?

– Nie.

– Synne!

Musiała wyczytać coś w moich oczach, gdyż wyraz jej twarzy złagodniał.

– Czy ona aż tyle dla ciebie znaczy?

Nagle zamilkłem, nie potrafiłem znaleźć słów.

– Nie mogę, Mikaelu. Nie mogę tego zrobić. Przepraszam. Musisz

iść na policję, nie do mnie.

Drzwi zamknęły się miękko i przepaszająco przed moim nosem, wydając niemal bezgłośnie kliknięcie.

Nie mogłem zrobić nic więcej. Pojechałem do domu i siedziałem w ciemności, aż nastał świt.

Rozdział 47

To była długa noc. Nie miałem do kogo pójść, nie mogłem podążać żadnym tropem. Tylko godziny czekania, długie i ciągnące się jak płynny asfalt. Do tego dręczący lęk, który podsycił moją fantazję, podsuwając straszliwe obrazy Heleny.

Helena i Freddy.

Krew, zemsta i śmierć.

Wraz z brzaskiem pojawiła się nadzieja.

Wziąłem prysznic, wmusiłem w siebie kilka kanapek i znów wsiadłem do samochodu. Za dnia posiadłość wydawała się mniejsza, mniej groźna i złowróźbna, okna nadal pozostawały jednak ciemne i milczące. Drgnąłem, gdy otworzyły się drzwi.

– Nie ma ich w domu – powiedziała gosposia. – Nikogo.

Wpuściła mnie do kuchni, gdzie dostałem filiżankę kawy.

– Nie – odpowiedziała na moje pytanie. – Nic nie mówiła. Poszłam ją obudzić, wie pan, ona lubi sobie rano pospać, więc ostatecznie zawsze ją budzę, ale nikogo nie było.

– Zdarza jej się to?

– Na ogół jest o tej porze w domu.

– Nie, chodziło mi o to, czy zdarza jej się nie mówić, kiedy gdzieś wyjeżdża?

– Nie.

– Nigdy?

Zastanowiła się.

– Chyba nigdy tak nie zrobiła.

A po chwili:

– Czy... czy coś się stało?

– Nie wiem. Trochę się o nią martwię.

– Nie była ostatnio sobą. Chodziła cała niespokojna, nie mogła sobie znaleźć miejsca, ale oczywiście dość miała przejść z panienką June.

– Tak, to zrozumiałe. Kiedy ją pani ostatnio widziała?

– To musiało być... wczoraj. Była tu, gdy wychodziłam o wpół do piątej.

– Kiedy poszła pani ją obudzić, zwróciła pani uwagę, czy łóżko wyglądało, jakby w nim spała?

– Nie wiem.

– Możemy spojrzeć?

Była niepewna. Nie wiedziała, czy powinna wpuszczać mnie do sypialni Heleny, do jej prywatnej sfery, ale nalegałem, łagodnie, lecz stanowczo, i wreszcie dała za wygraną.

– To jej pokój.

Otworzyła drzwi.

– Ma własną sypialnię?

– Pokój pana Voltersvika jest tam. – Wskazała boczne drzwi.

Rozejrzałem się wokół. Dość duży pokój utrzymany w ciepłych barwach ziemi, rdzawej czerwieni i seledynu, pełen ciężkich tkanin, o oknach i drzwiach wykończonych ciemnym drewnem. Inny, niż się spodziewałem. Cięższy, bardziej zmysłowy, z narzutą na łóżko z brokatu i jedwabnymi poduszkami, w niemal orientalnym stylu. Przed oczami stanęła mi naga Helena, jej biała skóra, szczupłe, niemal chłopięce ciało ułożone między jedwabnymi

poduszkami na bordowym tle. Musiałem przełknąć ślinę.

– Nie spała tu tej nocy – powiedziała gosposia.

– Jest pani pewna?

– Tak. – Skinęła głową w stronę łóżka. – To ja pościeliłam to łóżko, nie ona. Nigdy nie wygląda tak ładnie, gdy sama to robi.

– Może pani zajrzeć do szafy? Żeby sprawdzić, czy zniknęły jakieś ubrania?

Popatrzyła na mnie pobłaźliwie.

– To chyba nic nie da. Proszę spojrzeć.

Szafa była wielka jak cały pokój. Wypełniały ją rzędy sukienek, bluzek, płaszczy, kilkumetrowej długości półki z butami, jedna nawet wyłącznie z kapeluszami. Szafa zamożnej kobiety. Nigdy tak o Helenie nie myślałem, co przypomniało mi, jak mało o niej wiem.

– Rozumiem.

Odprowadziła mnie do wyjścia.

– Proszę zadzwonić, jeśli się zjawi, dobrze? – Skinęła głową. – Na pewno nie mamy powodów do zmartwienia – dodałem.

Jej wzrok wyrażał zwątpienie.

– Może i nie. Ale dziwne, że zniknął jej samochód.

– Ma samochód? Nie wiedziałem. Chyba nigdy nie widziałem, jak prowadzi.

– Już tego nie robi. – Jej policzki lekko się zaczerwieniły. – Prawdę mówiąc... pewnie nie powinnam tego mówić, ale w zeszłym roku straciła prawo jazdy.

– Naprawdę? Za szybko jechała?

Milczenie.

– To pewnie prowadziła po pijanemu?

Lekkie, prawie niewidoczne skinięcie głową.

– Tak czasem bywa – powiedziałem. – Jakim jeździ autem?

- Małym, czarnym bmw.
- Myśli pani, że mogłaby znaleźć numer rejestracyjny?
- Jest na breloczku przy zapasowych kluczykach.

Policjant był uprzejmy i cierpliwy, ale nie sprawiał wrażenia, jakby szczególnie przejmował się sprawą.

– Wysłaliśmy wiadomość – powtórzył po raz ósmy. – Wszystkie patrole będą jej wyglądać.

– Wysłaliście też opis samochodu?

– Tak, już panu powiedziałem.

– A co z Freddym?

– Co z nim?

– Skontaktowaliście się z nim? Szukacie go w ogóle?

– Poważnie traktujemy zniknięcie Heleny Berge, poinformowałem już odpowiednie osoby. Niestety nie mogę zdradzić, jakie konkretnie podjęliśmy czynności.

Miałem ochotę przywalić pięścią w tę pobłażliwą, sympatyczną, biurokratyczną młodą twarz. Zamiast tego wstałem, podziękowałem i na sztywnych nogach wyszedłem z posterunku. Skierowałem się ku kancelarii Synne.

Chwilę błądziłem, zanim znalazłem niewielkie, anonimowe biuro przy cichej, bocznej ulicy, lecz szyld z napisem „Adwokat Synne Bergstrøm” lśnił nowością, a sekretarka, która na powitanie posłała mi matczyzny uśmiech, wydawała się miła.

– Mikael Brenne – przedstawiłem się. – Nie jestem umówiony, ale może zapyta pani Synne, czy znajdzie dla mnie pięć minut?

Rozdział 48

– Wiem, czego chcesz. Moja odpowiedź nadal brzmi „nie”.

Zamknąłem oczy. Poczułem zaciskający się supeł frustracji, chciałem na nią ryknąć, ale wiedziałem, że nic to nie da, więc się opanowałem.

– Ponieważ?

– Przecież wiesz. Ponieważ Freddy Krogh nadal jest moim klientem, a ja jego adwokatem. Jak wiesz, oznacza to, że mam wobec niego pewne zobowiązania.

Odezwał się ból głowy. Kciukiem i palcem wskazującym ścisnąłem nasadę nosa.

– Wiesz, kim jest Freddy Krogh, prawda?

– Znam oczywiście jego wcześniejsze wyroki.

– Tak. Dwa wyroki za zabójstwo.

Wzruszyła ramionami.

– Wszyscy nasi klienci mają kryminalną przeszłość, Mikaelu. Nie należą do najsympatyczniejszych ludzi na świecie. Tak to już jest w tej branży.

– Prawda. Ale pozwól, że opowiem ci o Freddym Kroghu. Jest sławny wśród tych z nas, którzy mogą jeszcze pamiętać jego sprawę.

Kiedy skończyłem, była trochę bledsza, lecz zachowała rezon.

– Okej. Okropna historia. Agresywny człowiek. Ale co z tego?

Chcesz, abym złamała swoje zasady, ponieważ mój klient to nieprzyjemny typ? Ty zrobiłbyś tak na moim miejscu?

– Myślę... nie, jestem prawie pewien, że on ją ma, Synne.

– Helenę Berge?

– Tak. I boję się, że ją zabije. Jeżeli już tego nie zrobił.

Popatrzyła na mnie niepewnie.

– Dlaczego? Czemu tak myślisz?

To również jej powiedziałem. Gdy skończyłem, długo siedziała w milczeniu. Dobrze ją znałem i wiedziałem, że jej umysł pracuje.

– To fantastyczna historia, Mikaelu.

– Wiem.

– Niemal zbyt fantastyczna, by mogła być prawdą. Nie wiem, co mam myśleć. Porwał córkę człowieka, który zabił mu ojca? Dlaczego? Dla zemsty? I po co w ogóle miałby ją z sobą zabierać? Dlaczego po prostu jej nie zabił?

– Boże drogi, nie wiem, co on kombinuje, Synne. – Wstałem. – Ostatnio działo się dużo niedobrego. Wiem, że jesteś na mnie wściekła i obrażona z powodu tego partnerstwa. Popełniłem błąd, wiem, że podjąłem złą decyzję, że niesłusznie zrobiłem, odmawiając ci możliwości zostania partnerem.

– Mikaelu, ja...

– Nic nie mów, Synne, tylko mnie posłuchaj, proszę. Wyrządziłem ci krzywdę, może nawet zniszczyłem na zawsze naszą przyjaźń. Ale tutaj nie chodzi o ciebie ani mnie. O urażoną dumę czy zerwane stosunki. Gra toczy się o coś więcej. Helena jest w niebezpieczeństwie, boję się o nią. To o to chodzi, nie o nas.

Poszukała wzrokiem moich oczu, jakby próbowała coś w nich dostrzec, odczytać tekst wypisany drobnym druczkiem na mojej duszy. I nagle kiwnęła głową, chwyciła teczkę z biurka i napisała

coś na żółtej samoprzylepnej karteczce, którą mi wręczyła. Adres i numer telefonu.

– Mam nadzieję, że ją znajdziesz, Mikaelu.

– Dziękuję. Boję się, że będzie za późno.

Jej blond włosy z czarnymi odrostami pamiętałem z sądu. To ona dostarczyła Freddy'emu alibi. Teraz spoglądała na mnie z głębokim niedowierzaniem.

– Czego pan chce?

– Czy jest tu Freddy?

– Co panu do tego?

Naparłem na drzwi i wcisnąłem się do środka.

– Hej! Co, do cholery... To moje mieszkanie!

Wkroczyłem do ciasnego salonu. Poszła za mną, czerwona na twarzy z poirytowania, lecz bez cienia obaw.

– Wiesz, kim jestem, prawda, Halldis?

– Tym adwokatem o nazwisku Brenne. Ale nie masz prawa mnie tutaj nachodzić.

Zignorowałem ją.

– Gdzie jest Freddy? Tutaj?

– A wygląda, jakby tu był?

– Gdzie on jest?

Była oburzona.

– Nie możesz tak po prostu...

– Im szybciej odpowiesz na pytania, tym szybciej się mnie pozbędziesz. Mieszka tu, prawda?

– Teraz tak. Aż znajdzie sobie coś innego.

– Skąd go znasz? Jesteście parą?

– Parą? – Jej śmiech był niespodziewany, lecz szczery. – Nie, nie jesteśmy parą. Ale znam Freddy'ego całe życie.

- Kiedy się go spodziewasz?
- Nie wiem.
- Czyżby? To kiedy widziałaś go ostatnio?
- Wczoraj.
- Kiedy wczoraj?
- Wyszedł wieczorem, nie wiem, która była godzina. Może siódma.
- Co zamierzał, Halldis? Dokąd poszedł?
- Nie wiem. Nie mówi mi, dokąd chodzi i co robi. – W jej oczach znów błysnął bunt. – Co to ma, kurde, być? Dlaczego włączysz tu i mnie przepytujesz? Nie jesteś nawet gliną, tylko adwokatem!
- Tak, zgadza się. Nie jestem z policji, a ty nie masz obowiązku odpowiadać na moje pytania. – Zbliżyłem się do niej. – Ale Freddy porwał kobietę, a ja się boję, co może z nią zrobić.
- Porwał? Freddy nigdy by tego nie zrobił. To miły człowiek.
- Dla ciebie jest pewnie miły, Halldis, ale jeśli naprawdę go znasz, to wiesz, co potrafi.
- Odwróciła wzrok, a wtedy dodałem:
 - I jeśli coś stanie się Helenie Berge, a ja odkryję, że zataiłaś informacje, jakiegokolwiek informacje, które mogłyby ją uratować, będziesz jego współpracowniczką, Halldis. I zadbam, abyś na starość trafiła za kratki. Rozumiesz?
 - Hej, człowieku! Nie wiem, gdzie on jest!
 - Ale coś wiesz. Widzę, że czegoś mi nie mówisz.
- Jej opór stopniowo malał, aż coś w niej pękło.
- Kupił narty – powiedziała cicho.
- Co takiego?
- Narty. Sprzęt zimowy.
- Po co?

– Nie wiem. Ale kupił je i zabrał z sobą.

Później, kiedy siedziałem w samochodzie, wybrałem numer otrzymany od Synne. „Abonent czasowo niedostępny” – powiedział mi do ucha miękki głos.

Również telefon Freddy’ego był wyłączony. A może poza zasięgiem. Do tego Freddy kupił sprzęt zimowy.

Nagle zrozumiałem, gdzie są.

Być może.

Rozdział 49

– Kogo chce pan odwiedzić?

– June Berge. Nazywam się Mikael Brenne i jestem adwokatem.

Szpitala psychiatryczne to miejsca, w których dobrze jest być adwokatem. Wystarczy tylko wymienić ten magiczny tytuł zawodowy, żeby od razu wejść do środka. Wspiąłem się po schodach, zbyt niespokojny, by czekać na windę. Zadzwoiłem do drzwi prowadzących na oddział i przebierałem niecierpliwie nogami, czekając, aż ktoś mi otworzy. Takie oddziały mają własny rytm, własny puls. Wolny puls.

– Dzień dobry, June – zacząłem ostrożnie. – Nazywam się Mikael Brenne. Jestem adwokatem. Odwiedziłem cię kiedyś z twoim ojcem.

– Gdzie tata? On też przyjdzie?

– Niestety nie. Jest w podróży.

– Nadal. – Wydawała się rozczarowana.

– Tak. Ale na pewno przyjdzie do ciebie, gdy tylko wróci.

– Wiem.

Naprawdę wyglądała dużo lepiej. Nie potraktowałem zbyt poważnie słów Hermana Voltersvika o ogromnych postępach, jakie zrobiła, lecz kiedy ją zobaczyłem, pojąłem, że miał rację. Jej twarz zmieniła się jak po liftingu. To, co ostatnio było luźne i niewyraźne, teraz stało się jędrniejsze, a wzrok i mimika dziewczyny odżyły.

– Pamiętasz mnie?

Lekko skrzywiła usta.

– Nie, chyba nie, ale byłam chora. Dużo nie pamiętam.

– Teraz jesteś zdrowa?

– Czuję się o wiele lepiej. – Grzecznie i cierpliwie czekała, aż powiem, co mnie do niej sprowadza.

– Posłuchaj, June, tak myślałem... Twój dziadek miał gospodarstwo, to, z którego pochodził.

– Tak, Heimly.

– Tak się nazywa?

Skinęła głową.

– Byłaś tam kiedyś?

– Jasne, że tak.

– Świetnie. A mogłabyś powiedzieć mi, jak się tam jedzie?

Wyjęła długopis i papier, po czym narysowała bardzo dokładną mapę. Kiedy skończyła i podała mi rysunek, zapytała:

– Po co chce pan tam jechać? I dlaczego nie zapyta pan mamy?

– Myślę, że twoja mama już tam jest.

– Mama? W Heimly?

– Tak sędzę.

– Dziwne. Nigdy nie lubiła tam jeździć. Kiedy jeździłam tam z dziadkiem, nigdy nie chciała się przyłączyć.

– Mimo to sędzę, że tam jest. Mam taką nadzieję.

Musiałem się skupić, żeby nie wciskać za mocno gazu i nie wrzeszczeć na kierowców na drodze, na normalnych ludzi załatwiających swoje sprawy, jadących z pracy do domu, na spotkanie lub żeby odebrać dzieci z przedszkola. Ludzi żyjących własnym życiem, pewnych, że dzień jutrzejszy będzie mniej więcej taki sam jak dzisiejszy. Jechali nieznośnie wolno, bez zmartwień.

Jakby o nic nie toczyła się gra. Bo w ich przypadku rzeczywiście tak było.

Moje dłonie na kierownicy zbieleły, ramiona się napięły. Świadomie spróbowałem się rozluźnić.

Na policji przełączano mnie od jednego numeru do drugiego. Wreszcie trafiłem na tego samego młodego funkcjonariusza. Nie ucieszyło go to, a kiedy skończyłem mówić, wydawał się jeszcze bardziej sceptyczny.

– W gospodarstwie górskim?

– Tak, powiedziałem panu.

– Jest pan pewien?

Nagle przebrała się miarka.

– Chyba to oczywiste, kurde, że nie jestem pewien! Co z wami?! To tylko teoria, ale prawdopodobna teoria, wyjaśniłem przecież dlaczego. Posłuchajcie wreszcie, co mówię, do jasnej cholery!

– Proszę się uspokoić, mecenasie Brenne.

– Ja mam się uspokoić? Freddy Krogh to psychopatyczny morderca, a ja mam się uspokoić? Nienormalny pan jest?

– Proszę... Oddzwonię za parę minut.

Minęło prawie dziesięć minut, zanim zadzwonił. Po jego głosie słyszałem, że czuje się niezręcznie.

– Co takiego? Może pan powtórzyć?

– Mówię, że pana informacje nie mają charakteru uzasadniającego ingerencję policji.

– To znaczy, że nic nie zrobicie.

– Zgadza się.

– Z kim pan rozmawiał?

– Przepraszam?

– Kto podjął tę decyzję? Z kim pan się skonsultował, zanim pan

oddzwonił? Z Samdalem?

- Nie mogę tego skomentować.
- Z Samdalem.

Odłożyłem słuchawkę, po czym ponownie wybrałem numer policji.

- Czy mogę rozmawiać z inspektorem Samdalem?
- Kto dzwoni?

Zawahałem się.

- Mecenas Bergstrøm.

Kliknięcie, a po chwili znajomy głos:

- Samdal.
- Mówi Brenne.

Milczenie.

- Co ty wyprawiasz, Samdal?

- O czym mówisz?

– Freddy Krogh wywiózł Helenę Berge do gospodarstwa w górach. Grozi jej niebezpieczeństwo, o ile jeszcze w ogóle żyje. Jadę tam i potrzebuję wsparcia. Freddy Krogh jest groźny, wiesz o tym.

- Nie mam zamiaru znowu się przez ciebie wygłupić.
- Posłuchaj, Samdal, to nie było...
- I wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić te swoje bajeczki!
- Samdal, nie możesz...

Kliknięcie.

Zostałem sam.

Jechałem na północ tak szybko i w takim skupieniu, na jakie było mnie stać. Na nabrzeżu stały trzy ciężarówki i jeden samochód osobowy, ale nie było widać promu. Nie potrafiłem usiedzieć

w spokoju, musiałem wyjść, rozruszać się, chodziłem więc bez wytchnienia tam i z powrotem. Woda była ciemnoszara i gładka. Góry po drugiej stronie wydawały się czarne i strome w popołudniowym świetle, osłonięte strzępami obłoków zwisających ze szczytów niczym ponure flagi. Deszczowa chmura nadciągała nad fiord, zasłaniając widok i sprawiając, że świat się skurczył, zamknął wokół nas. Kiedy zaczęło kropić, wsiadłem do auta.

Minuty wlokły się jedna za drugą, tak wolno, jakby zegarek stanął. Oparłem czoło o kierownicę i zamknąłem oczy, próbując się opanować. Wiedziałem, że będę tego potrzebował, że muszę utrzymać jasność myśli, zachowywać się racjonalnie, ułożyć plan. Oddychałem wolno, rytmicznie. Wyczułem lęk, zaakceptowałem go, a następnie zamknąłem w osobnej przegrodce. Gdzieś na tyłach wąskich uliczek umysłu. Wpadłem na pomysł i chwyciłem telefon. Do końca nie byłem pewien, czy zapisałem numer, ale jednak to zrobiłem. Na drugim końcu linii sygnał wybrzmiewał bez końca, ale nikt się nie odzywał. Zakląłem, po czym znów wybrałem numer. Tym razem ktoś odebrał.

– Halo?

– Mówi Mikael Brenne – przedstawiłem się. – Potrzebuję pomocy.

Kiedy skończyłem, prom wyłonił się ze spowijającej fiord mgły – skondensowany, szary cień na tle szarości świata.

Po drugiej stronie jechałem wzdłuż fiordu, pokonywałem kolejne dziesiątki kilometrów, mając po jednej stronie wodę, a po drugiej spadziste góry. Zatrzymałem się gdzieś, żeby zatankować. Kupiłem też dwa hot dogi. Smakowały jak karton, ale wmusiłem je w siebie, wiedząc, że tego potrzebuję, bo cały dzień nie jadłem. Minuty dalej się wlokły, strasznie powoli zmieniały się w godziny. Zostawiałem

za sobą kilometry, dziesiątki kilometrów niekończącej się samochodowej wyprawy przez ten sam ponury krajobraz; czułem już, że nigdzie nie dojadę. Miałem wrażenie, jakbym kręcił się w kółko, mijając te same ciemne obejścia, ten sam spieniony, biały wodospad, te same strome zbocza, bez przerwy, zawieszony w czasie i przestrzeni jak w koszmarze na jawie.

O zmroku ujrzałem w końcu znak mówiący, że zbliżam się do celu, a tuż po nim nastąpił stromy zjazd. Wkrótce miałem dotrzeć na miejsce.

Rozdział 50

Wlokłem się na drugim biegu, a na najostrzejszych zakrętach musiałem zredukować do jedyńki. Na zboczu łąty pierwszego śniegu leżały rozrzucone między pniami świerków, przy drodze pojawiły się też pojedyncze brudne zwały. Z czasem ilość śniegu wzrosła, a kiedy po stromej wspinaczce wyjechałem na płaski teren, zobaczyłem, że puch zwisa ciężko z drzew. Zasy urosły tak wysokie, że tworzyły biały tunel.

Droga nadal się pięła, teraz jednak równo i spokojnie wciskała się w przytulną dolinę, biegnąc wzdłuż zamrożonego łożyska rzeki. Przed i nade mną wyrastały szczyty, niektóre białe, inne o czarnych, groźnie wyglądających stromiznach. Po kilku kilometrach dotarłem do szlabanu. Zatrzymałem samochód i wysiadłem, poczułem chłód rwący nozdrza. Słońce już prawie zaszło, podszedłem więc do bariery i w świetle reflektorów przeczytałem ręcznie wypisaną kartkę. Wspólnota mieszkańców osiedla domków letniskowych byłaby wdzięczna, gdyby użytkownicy drogi zostawili dwadzieścia koron w puszcze przy szlabanie. Znalazłem monetę w kieszeni, wrzuciłem ją do puszki, otworzyłem szlaban i pojechałem dalej.

Wciąż w górę.

Dotarłem do osiedla domków, niskich, niemal identycznych, ciemno bejcowanych budyneczków o zasłoniętych oknach. Każdy

dach pokrywał przynajmniej metr śniegu, a niektóre domki były niemal zakopane w miękkich śnieżnych kołdrach, które utworzyły zasy tam, gdzie docierał wiatr. Nie widziałem żadnych świateł, ani śladu życia.

Rzuciwszy okiem na odręczny szkic June, zorientowałem się, że jestem prawie na miejscu. Zakręć, jeszcze jeden, i teren się wyrównał. Minąłem mostek i dotarłem do końca drogi. Duży plac do zawracania.

W rogu stało zaparkowane małe czarne bmw.

Wysiadłem z auta, zdjąłem z dachu narty i kijki, po czym oparłem je o zaspę. Rozejrzałem się wokół. Stałem w głębi doliny. Wysoko nade mną nagie sylwetki gór odcinały się na tle granatowego nieba, lecz niżej z ledwością dostrzegałem krawędź płaskowyżu i wiedziałem, że gdzieś tam, w miejscu niewidocznym z parkingu, leży mała dolina w kształcie litery U, tysiące lat temu wyżłobiona przez lód. Tam znajdowało się też gospodarstwo, w którym przyszedł na świat Torleif Berge.

Tam była Helena.

O ile żyła.

Pod krawędzią płaskowyżu teren ciągnął się stromy i trudny – tylko nagie skały i zamarznięty wodospad, tworzący migotliwą pokrywę lodową, ale z lewej, na zachodzie, zbocze nie było aż tak strome. Stok porastał niski brzozowy las, a ja wiedziałem, że to tamtędy wąska ścieżka wije się aż do płaskowyżu.

Zmieniłem buty na narciarskie, wyjąłem anorak, czapkę i rękawice, zawahałem się i wyłowilem z kieszeni komórkę. Wyświetlacz był pusty. Nie miałem zasięgu.

Ciężko oddychałem. Chmura białej pary unosiła się z moich ust.

Wisiałem na kijkach, cały czas musiałem podchodzić rozkrokiem. Było stromo, drogę wyznaczał wąski, biegnący w górę ślad. Śnieg pod stopami miałem suchy i głęboki, parę razy się poślizgnąłem, ale zasadniczo szło mi dobrze. Wybrałem narty bezsmarowe, które zdawały egzamin.

Przystanąłem, wypuściłem powietrze. Pomyślałem, że nie mogę się przeciążyć, że muszę mieć siły po dotarciu na górę. Był jeszcze jeden powód, dla którego chciałem zachować spokój. Podczas każdego postoju czułem chłód. Tej nocy przegrzanie mogło się okazać niebezpieczne. Pot zmoczyłby mnie i przesiąknął ubrania, w które później zakradłby się mróz. Nie wiedziałem, czy uda mi się wrócić do domu, a zimno mogło zabić tak samo skutecznie jak Freddy Krogh.

Ruszyłem dalej. Próbowałem utrzymać równe, spokojne tempo, oszczędzać siły, jak najefektywniej wykorzystywać teren. Trzymałem się śladów w śniegu. Przynajmniej dwóch narciarzy przeszło niedawno tą drogą. Gdzieniedzie puch zasypał ślady, ale na ogół były wyraźne, dobrze widoczne. Słońce już zaszło, lecz w wysokich górach nigdy nie panuje całkowita ciemność. Śnieg odbija nawet najśłabszy blask gwiazd i księżyca.

Kolejna przerwa. Droga była dłuższa, niż się spodziewałem. Uniosłem głowę, ale nie widziałem, ile jeszcze zostało do krawędzi płaskowyzu. Brzozy chroniły się tutaj przed najsilniejszym wiatrem, gęsto porastając zbocze. Przed moimi nartami biegł trop zająca, charakterystyczne ślady wyglądające, jakby zostawiła je jakaś trójnożna istota. Drgnąłem na dźwięk szelestu, po którym nastąpił słaby krzyk.

„Zwierzę – pomyślałem. – Drapieżnik na polowaniu. Lis albo sowa”.

W tej zimnej i śnieżnej krainie też istniało życie. Życie, lecz również krew i śmierć. One zawsze występują razem.

Wreszcie dotarłem do szczytu wzgórza i wydostałem się z zarośli – byłem już prawie u celu. Nagle wzdrygnąłem się na myśl, co czeka mnie na miejscu, wbiłem jednak kijki w śnieg i poszedłem dalej. Wspinałem się szybko, a ostatni odcinek musiałem podchodzić rozkrokiem. Wreszcie pokonałem krawędź. Stałem zwieszony na kijkach, zgrzany i bez tchu.

Przede mną rozpościerała się dolina. Okrągła jak miska, o tak idealnym kształcie, że wydawała się sztuczna, niczym naczynie ulepione przez kosmicznego garncarza. Pośrodku doliny płynęła rzeka, w śniegu widziałem wyżłobione przez nią zagłębienie. Teren na obu brzegach rzeki był płaski, otwarty. Wyobraziłem sobie soczyście zielone, trawiaste wzgórza wiosenną porą, jednak teraz widniała przede mną jedynie nieprzerwana płaszczyzna bieli, z wyjątkiem lewej strony. Tam robiło się bardziej stromo, nieduże pagórki poprzecinane niskimi zaroślami odbijały się czarno na tle śniegu.

Na końcu doliny leżało gospodarstwo, małe skupisko budynków, niewielkich i ciemnych, o drewnianych ścianach zawianych śniegiem. W jednym z nich migotało słabe światło.

Poczułem też zapach dymu, charakterystyczną woń palonego drewna brzozy, a w mroku ledwie rozróżniałem jasną smugę na nocnym niebie. Zapach przypomniiał mi dzieciństwo, wakacje z ojcem, wielkanocne wyprawy w góry bez wody i prądu, ojca zrywającego się wczesnym rankiem, by napalić w piecu, żeby w domku było ciepło i przyjemnie, kiedy wstanę.

Nagle oblał mnie zimny pot, w uszach mi zaszumiało.

Wiedziałem, co jest tego przyczyną. Bałem się. Bałem się tego, co mogło się stać z Heleną, wszystkiego, co czekało mnie tej nocy, lecz najbardziej bałem się Freddy'ego Krogha. Zawsze mnie przerażał, już od naszego pierwszego spotkania. Był ode mnie większy, silniejszy i w przeciwieństwie do mnie miał skłonności do przemocy. Przywykł do bójek – spędził całe życie wśród agresywnych przestępców i morderców, których zdominował, stał się ich królem. Zabijał ludzi.

Mogłem liczyć jedynie na zaskoczenie oraz na to, że przygotowałem się na najgorsze. Zdjąłem plecak, otworzyłem pokrywę, by pogrzebać chwilę na dnie. Wyczułem okrągłą, gładką rękojeść, zacisnąłem wokół niej dłoń i wyciągnąłem niedużą siekierę. Ostrze błysnęło matowo. Mdłości wezbrały mi w żołądku, na chwilę zgiąłem się wpół, lecz zaraz pozbyłem się nieprzyjemnego uczucia i z kijkami w jednej ręce oraz siekierą w drugiej ruszyłem w stronę gospodarstwa – do migoczącego, żółtego światła, do Heleny i Freddy'ego Krogha.

Rozdział 51

Nie rozumiałem, co widzę za oknem. Umysł krzyczał, że coś jest nie tak, coś się nie zgadza, w głowie rozległ się alarm, zapaliły się czerwone lampki, lecz mimo to stałem jak wryty w głębokim śniegu, nie mogąc się ruszyć ani skupić myśli.

Narty odpiąłem przy rogu niedużego budynku gospodarczego. Bez zastanowienia odwróciłem je i ułożyłem czubkami w kierunku, z którego przyszedłem, jakbym szykował się do ucieczki. Następnie, chwyciwszy mocno siekierę, poszedłem w stronę domu.

Był skromny, niewysoki, miał zaledwie półtorej kondygnacji. Ściany pokrywały odporne na działanie pogody panele, ciemne i przypominające zmatowiałe srebro. Pośrodku fasady widniały drzwi, otoczone z obu stron gęsto dzielonymi oknami. W oknie po lewej świeciło się światło. Nie chciałem wyjść z cienia, więc dopóki mogłem, trzymałem się z dala od słabego blasku rzucanego na podwórze, lecz bez wahania podszedłem tuż pod okno i ostrożnie zajrzałem do środka. I od razu się zorientowałem, że coś jest nie tak.

Nie wiem, czego się spodziewałem, jakie okrucieństwa sobie wyobrażałem. Wiem jedynie, że przygotowałem się na najgorsze. Gdybym zobaczył, jak Freddy torturuje Helenę, nawet nie mrugnąłbym okiem. A gdyby zakrwawione ciało Heleny leżało ciśnięte w kąt, nie załamałbym się, nie sparaliżowałyby mnie

smutek i rozpacz. Ponieważ wszystkie możliwe tragedie, najgorsze, najbardziej krwawe scenariusze, jakie ludzki umysł jest w stanie wymyślić, już dawno zdążyłem sobie zwizualizować, przecierpieć i zaakceptować jako realną możliwość.

Nie zdołałem jednak wyobrazić sobie pokoju oświetlonego rozedrganym płomieniem lamp naftowych, ze zwyczajnymi sosnowymi meblami, jakich pełno w tysiącach norweskich domków letniskowych. Był to pokój o ścianach pokrytych barwnymi makatkami, z rozżarzoną do czerwoności kominkiem w rogu, a w tym otoczeniu Freddy i Helena siedzieli każde w swoim fotelu z kubkiem czegoś, co wyglądało na kakao. Helena czytała książkę. Freddy rozwiązywał krzyżówkę.

Całkowita normalność tego obrazka kłóciła się ze wszystkim, co sobie wyobrażałem, i nie mogłem tego pojąć. Dlatego stałem w miejscu.

Oboje siedzieli zwrócenii do mnie plecami, przodem do kominka. Helena z podwiniętymi nogami, on wyciągał długie, mocne nogi do ciepła. Na stopach miał grube wełniane skarpety. Nie widziałem ich twarzy, wmawiałem więc sobie, że źle odczytuję tę sytuację, na pewno niewłaściwie ją interpretuję, że pozorna normalność wcale nie musi nic znaczyć, jednak sam w to nie wierzyłem. Przeczyło temu coś w ich postawie. Coś w sposobie, w jaki Helena piła z kubka, nie spuszczać wzroku z książki, całkowicie zajęta tekstem, oraz coś w tym, jak Freddy drapał się w głowę ołówkiem, przeciągając się, a może też ziewając, kłóciło się z obrazem, którego się spodziewałem. Freddy pochylił się, otworzył drzwiczki kominka, by wrzucić do niego kawał drewna, a następnie wstał. Lekko dotknął ramienia Heleny, po czym przemieścił się w prawo i zniknął mi z oczu. Powiedział coś, a ja drgnąłem na dźwięk jego

głosu, choć nie rozpoznałem słów. Helena podniosła wzrok, odwróciła się do niego i coś odpowiedziała.

I uśmiechnęła się.

Był to ciepły, spokojny, szczery i serdeczny uśmiech. Uśmiech, którym żadna ofiara nie obdarzyłaby swojego porywacza. Uśmiech, którego żadna aktorka, obojętnie ile zdobyłaby Oscarów, nie zdołałaby posłać mężczyźnie, który groził jej śmiercią. Pojąłem, że to prawdziwy uśmiech, a wszystko, co myślałem o tej sprawie, było całkowitą pomyłką.

Odszedłem wolno od okna, ostrożnie stąpając w tył, w mrok. Zobaczyłem dość. Cofnąwszy się o trzy metry, stanąłem znowu jak w transie. Próbowałem odczytać to, co ujrzałem, w jakimś rozsądnym kontekście. Helena Berge i Freddy Krogh, w zgodzie. Przyjaciele. Może więcej niż przyjaciele. Usiłowałem przypomnieć sobie sposób, w jaki dotknął jej ramienia, odtworzyć w myślach jej uśmiech, żeby zobaczyć, czy mogło łączyć ich coś więcej niż przyjaźń. Czy mogli być kochankami?

Nie wiedziałem.

Ale napaść musieli zaaranżować, ona musiała brać w tym udział. Pamiętałem swój lęk, to, jak bardzo bałem się tego wieczoru. Pomyślałem też o strachu, który nosiłem w sobie przez ostatnią dobę, aż zaczęła narastać we mnie złość, jakby ktoś podpalił powoli żarzący się lont.

Oszukali mnie.

Ona mnie oszukała.

Musiała brać w tym wszystkim udział. Myśli wirowały mi w głowie, leciały jak ptak, pędziły jak gepard. Wiedziałem, że nienawidziła swojego ojca, sama opowiedziała mi o dzieciństwie, o jego pijackich nastrojach i humorach, ciągłych zmartwieniach,

o niedocenieniu i pogardzie, jakie spotkały ją z jego strony. Musiała w tym wszystkim uczestniczyć, w zabójstwie własnego ojca, ale dlaczego? I po co ta gra, napaść i porwanie?

Myśli krążyły w kółko, byłem ogłupiały, zrozpaczony, a lont cały czas palił się równym, jasnym płomieniem, zbliżając się do punktu krytycznego, do ukrytego we mnie składu prochu. Moja dłoń zacisnęła się na siekierze.

Drzwi otworzyły się, wyszedł z nich Freddy Krogh. Gdy tylko go zobaczyłem, przypomniałem sobie pusty pojemnik na drewno – dwa ostatnie polana Freddy przed momentem wrzucił do kominka. Wyszedł po opał. Przeklinałem własną głupotę, teraz jednak nie mogłem już nic zrobić, gdyż stał trzy metry ode mnie. Zauważył mnie i nagle zmarł.

Odruchowo zrobiłem krok w tył, czując tkwiący głęboko strach przed nim, ale zmusiłem się, by się zatrzymać.

– Mikael Brenne? – Jego zdziwienie było głębokie i szczere. – Co, do cholery? Mikael Brenne? – powtórzył, a zdziwienie już prawie zmieniło się w coś innego, coś słyszalnego w jego głosie, co zjeżyło mi włosy na karku i sprawiło, że po moich plecach przebiegł zimny dreszcz.

Uniosłem siekiere, zasłoniłem się nią.

W jednej chwili zamilkł. Widok ostrza siekiery zmienił jego postawę, ramiona napięły się, a mocne ręce lekko zakrzywiły. Płonący we mnie lont dalej żywo się palił.

Freddy zrobił krok w przód. Uniosłem siekiere wyżej. Uśmiechnął się, a ja zrozumiałem, dlaczego ludzie mawiają, żeby nie uśmiechać się do psów. Błysnęły zęby obnażone w nagiej groźbie, w moim odczuciu zaś był to też znak pogardy, wilczy uśmiech pełen wyższości, arogancji i nienawiści. To wystarczyło, by

miarka się przebrała.

– Brenne, to...

Freddy zaczął coś mówić, ale iskra zdążyła już dotrzeć do składu prochu, powodując eksplozję wszelkich moich wątpliwości. Krew zawyla mi w uszach, świat przesłoniła czerwona mgła. Myślałem jedynie o tym, by zetrzeć z jego twarzy ten uśmiech, tę nieznośną arogancję, więc z całej siły zamachnąłem się siekierą.

Ostrze błyskawicznie przecięło powietrze, wykroiło połyskujące półkole odbitego światła, rozplatało zimową noc na dwoje. Krzyknął coś, próbował rzucić się w bok i w tył, ale był za wolny, o wiele za wolny. Nie udało mu się, gdyby nie poślizgnął się na śniegu, nie stracił oparcia i nie runął na ziemię, wymachując rękoma, podczas gdy siekiera świsnęła koło jego głowy jak bzyczący owad.

Włożyłem w ten cios całą swoją siłę, cały strach i wściekłość, a gdy nie trafiłem, moje ciało podążyło tym samym torem, co siekiera. Też straciłem równowagę i prawie wywróciłem się na śniegu, z ledwością utrzymałem się na nogach. Znów odwróciłem się w stronę Freddy'ego. Nadal leżał w śniegu, z ręką wyciągniętą przed siebie. Z czoła ciekła mu cienka strużka krwi, wypływająca z maleńkiego nacięcia tuż pod nasadą włosów. W jego oczach widziałem szok.

Zrobiłem dwa kroki i ponownie uniosłem siekierę.

Leżał w głębokim śniegu, nie miał o co oprzeć rąk i nóg, więc wiedział, że nie zdąży, niezależnie od tego, co próbowałby zrobić. Spoglądając mu w oczy, czułem się tak, jakbym wertował kartki książki, kiedy to umysł rejestruje jedynie niektóre słowa. Tak szybko zmieniał się jego wzrok – wyrażał lęk, strach przed śmiercią, potem wolę walki, następnie rezygnację i poddanie. Aż wreszcie coś zupełnie innego. Coś na kształt spokoju.

Freddy Krogh pogodził się ze śmiercią.

Może tylko to mogło powstrzymać siekierę.

A może była to tłąca się we mnie wątpliwość, która sprawiła, że zawahałem się na ułamek sekundy. Cichy głosik twierdzący, że nie wiem, co się dzieje, i mogę znów się mylić, że jak dotąd wszystko w tej sprawie źle zrozumiałem, że działałem zbyt pochopnie, kolejny raz robię coś bez zastanowienia.

A może po prostu, widząc Freddy'ego Krogha leżącego bezradnie w śniegu, nie potrafiłem zadać śmiertelnego ciosu? Bo nie jestem mordercą. Tak naprawdę.

Mam nadzieję, że to dlatego.

Nagle Helena zjawiła się z krzykiem w drzwiach.

– Boże, Mikaelu, nie, nie! – zawołała. – Co ty robisz, oszalałeś? Nie wolno ci, Mikaelu!

Po jakimś czasie słowa wreszcie do mnie dotarły. Jednak to nie ich treść, ale szczere przerażenie w głosie Heleny sprawiło, że opuściłem siekierę i odwróciłem się. Poziom adrenaliny wolno opadał. Drżałem na całym ciele.

Rozdział 52

– Więc nie zostałam uprowadzona?

Siedziałem w tym samym fotelu, który wcześniej zajmował Freddy. Ramiona przykryła mi wełnianym kocem, dostałem też kubek kakao, lecz dłonie mi drżały i nadal miałem ściśnięty żołądek, jakbym zjadł coś niestrawnego. Helena nieco się wierciła. Siedziała w fotelu obok, pochylona w przód, na pół zwrócona do mnie. Freddy zajął miejsce przy stole. Nic nie mówił, siedział jedynie nieruchomo, ciężki i zgarbiony, i słuchał. Nadal odczuwałem niepokój związany z przebywaniem w tym samym pomieszczeniu co on.

– No, w pewien sposób zostałam.

– Jak to w pewien sposób? Albo cię uprowadzono, albo nie!

– Zasadniczo tak, ale...

– Przecież to bez sensu!

– Mikaelu, możesz wreszcie posłuchać?! – Popatrzyła na mnie z rezygnacją, z wyrazem twarzy, który kobiety przyjmują, mówiąc do nieposłusznych dzieci. – Pamiętaj, że wtedy myślałam, że Freddy mnie napadł, zabił mojego ojca i mnie śledził. Ty mi to powiedziałaś, Mikaelu, a ja ci uwierzyłam. Oczywiście, że nie poszłam z nim dobrowolnie. Wręcz przeciwnie, kiedy zjawił się u mnie w domu, gdy nagle stanął w salonie, myślałam, że wybiła moja ostatnia godzina.

– On mógł...

– Poczekaj. Posłuchaj tylko, proszę.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? – wymuskięło mi się. – Nie masz pojęcia, jak się bałam!

– Przecież powiedziałam, że nie poszłam z nim dobrowolnie, przynajmniej na początku. Oczywiście nie pozwolił mi nigdzie zadzwonić.

Freddy gapił się na mnie ponuro.

– Bardzo słabo słuchasz jak na adwokata, Brenne. Nic dziwnego, że ciągle dochodzisz do błędnych wniosków.

Spojrzałem na niego krzywo, lecz nie odpowiedziałem. Helena ciągnęła:

– Po jakimś czasie zrozumiałam, że nic mi nie grozi, ale wtedy było już za późno, bo znaleźliśmy się poza zasięgiem sieci komórkowych. Rozumiem, że się bałeś, Mikaelu, ale Freddy nie chciał mnie dopaść, nie miał zamiaru mnie skrzywdzić. Potrzebował tylko mojej pomocy, aby coś znaleźć. To dlatego mnie tu zabrał.

– I ty w to wierzysz? Ten facet jest w końcu mordercą.

– Sam pomyśl. Siedzimy tutaj już prawie dobę. Miał mnóstwo okazji, by mnie skrzywdzić, zabić, zrobić ze mną cokolwiek. Ale on zupełnie nic nie zrobił. Wręcz przeciwnie, zachowywał się całkiem poprawnie.

Nie potrafiłem porzucić wyobrażenia o Freddym jako zbirze. Byłem jak stary pies, któremu raz trafiła się kość z mięsem, który wgrzył się w nią i warczał, bo ktoś chciał mu odebrać łup.

– Może masz rację – mruknąłem niechętnie. – A może to trik, taki pozór, żeby cię zmylić.

– Po co, Mikaelu? Co miałyby w ten sposób osiągnąć?

– Nie wiem.

– Poza tym opowiedział mi pewną historię. Historię, która mnie przekonała. Chcesz posłuchać?

– Pewnie. Dlaczego nie?

Byłem niczym nadąsane dziecko, rozpuszczony chłopczyk. Freddy popatrzył na mnie z irytacją, jakby chciał posłać mnie gdzie pieprz rośnie, ale po chwili zmienił zdanie i pochylił się nad stołem.

– Jak już wiesz, Torleif Berge odwiedził mnie w więzieniu. Miało to miejsce jakieś półtora roku temu. Nigdy o nim nie słyszałem, był dla mnie kimś zupełnie obcym, ale przypuszczałem, że szuka informacji w jakiejś starej sprawie. – Uśmiechnął się krótko. – Znam mnóstwo starych tajemnic. Cóż, w każdym razie rzadko mnie ktoś odwiedzał, więc pomyślałem: „Dlaczego nie? Nie zaszkodzi, jak posłucham, co ma do powiedzenia”. Ale te odwiedziny nie wyglądały tak, jak się spodziewałem. Torleif Berge opowiedział mi historię z dawnych czasów. O sobie i moim ojcu.

Odchrząknął, wypił łyk kawy z kubka.

– Wyznał, że zabił mojego ojca, że to on zastrzelił go w 1944 roku. Gdyby nie szok, pewnie zabiłbym go na miejscu. Co do tego miałeś rację, Brenne.

Skinałem głową.

– Ale to tylko część historii. Nowych faktów było więcej, dużo więcej. To, co mi opowiedział, wydawało się zbyt fantastyczne, by mogło być prawdą, lecz miało w sobie coś... Nie wiem do końca czemu, ale z jakiegoś powodu uwierzyłem w słowa Torleifa Bergego. – Nagle wstał, zaczął chodzić w kółko. Mówiąc dalej, wędrował tam i z powrotem po pokoju, a jego cień tańczył na ścianach. – Zastrzelił mojego ojca, bo przełożony oświadczył mu, że ojciec jest zdrajcą, donosicielem odpowiedzialnym za śmierć wielu

ludzi, więc należało go powstrzymać, zanim zginą kolejni. Berge wykonał wyrok, ale nigdy nie pogodził się z tym, co zrobił, stale czuł, że coś było nie tak. Torleif Berge przyjaźnił się z moim ojcem. Powiedział mi, że wyraz twarzy ojca, zanim go zastrzelił, zdradzał zdziwienie. Nie strach, poczucie winy czy wściekłość, ale zdumienie, jakby nie pojmował, co się dzieje i dlaczego. Ten wyraz twarzy oraz wątpliwość, czy postąpił właściwie, to gryzące go podejrzenie, że mógł zastrzelić niewinnego człowieka, męczyły Torleifa Bergego przez całe życie. Po przejściu na emeryturę zaczął grzebać w sprawie. W końcu dotarł do byłego oficera gestapo, który chciał z nim rozmawiać.

– Ottona Schweigera.

– Tak, zgadza się. I Otto Schweiger zdradził mu, co naprawdę się stało. Mój ojciec był niewinny. Poświęcono jego życie, aby kryć właściwego zdrajcę. Berge był jedynie narzędziem w rękach cynicznych mężczyzn, którzy bawili się w brudną grę, chcąc ocalić własną skórę. Torleif Berge poprosił mnie o wybaczenie za to, co zrobił. Powiedział, że zabił przyjaciela. I że mógł wykazać się większym rozsądkiem.

Freddy zamilkł.

– I co, Freddy? Wybaczyłeś mu? – Musiałem zapytać.

– Nie należę do tych, którzy łatwo przebaczą. Ale tak, wybaczyłem mu. Jak sam powiedział, był jedynie narzędziem, to inni ponoszą winę. Torleif Berge całym swoim życiem zapłacił za to, co zrobił.

Zerknąłem na Helenę. Miała szkliste oczy. Ona też zapłaciła.

– Ale jaki to ma związek z tym miejscem? Dlaczego musieliście tu przyjechać?

– Berge miał z sobą list od Ottona Schweigera, ze szczegółowym

wyjaśnieniem wszystkiego, co się stało. Przeczytałem ten list i gdybym wcześniej mu nie uwierzył, w ten sposób by mnie przekonał. List był bez wątpienia autentyczny. Berge zresztą zdążył już stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który rozkazał zabić mojego ojca, i powiedział mi, że wyczytał w jego oczach prawdę.

– Więc dlaczego nie nagłośnił sprawy?

– Chciał zrobić wszystko porządnie, zadać miazdzący cios człowiekowi, który zniszczył mu życie. Parę tygodni wcześniej przeczytał w pewnym artykule, że NRK^[6] przygotowuje serial dokumentalny o donosicielach i wyrokach śmierci podczas drugiej wojny światowej. Zdążył już się umówić z jednym z dziennikarzy pracujących nad serialem. Chciał, aby cały kraj poznał prawdę. Ale zanim doszło do spotkania, został zabity.

Wolno skinąłem głową.

– A list?

– Zniknął.

– Boże...

– Tak, ja widziałem tylko kopię. Berge nie był głupi, rozumiał, że może znaleźć się w opałach, więc ukrył oryginał w bezpiecznym miejscu.

– Tutaj?

– Tak. Powiedział mi, że jest schowany za zdjęciem.

– Znaleźliście go?

Długo pokręcił głową.

– Nie. Nie ma go tu.

– Jesteście pewni?

Helena odezwała się pierwszy raz od dłuższego czasu.

– Tak, jesteśmy pewni. Szukaliśmy cały dzień. Listu tutaj nie

ma. – Popatrzyła na mnie badawczo. – Ale to nie oznacza, że historia nie jest prawdziwa. Pomyliłeś się, Mikaelu, całkowicie się pomyliłeś. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

– Tak.

– Więc wierzysz mi? – zapytał Freddy.

– Wierzę.

Moje kakao wystygło, zapomniałem o nim, więc teraz piłem zimne, siorbiąc.

– W sumie to okropna historia. A twój ojciec, Heleno, musiał zostać zamordowany z powodu tego listu, rozumiesz to, prawda?

– Owszem.

– Kto był właściwym zdrajcą? Kto za tym stoi? List Ottona Schweigera mówi coś na ten temat?

– Tak.

– Więc kto to?

– Didrik Stephansen.

Długa przerwa.

– Didrik Stephansen?

– Tak.

– Stary Stephansen?

– Tak, to teraz starzec.

– Przecież on nie mógł nikogo zabić, ten człowiek ma przeszło pięćdziesiąt lat! – Pokręciłem głową. – Nie, oczywiście, Boże drogi, posłużył się swoim wnukiem! To Wilhelm musiał zabić Torleifa Bergego!

– Tak, Freddy też tak myśli – przyznała Helena.

– Boże drogi! – powtórzyłem w szoku.

Wyczytałem w ich oczach zdumienie spowodowane moją nagłą reakcją.

– Co jest, Mikaelu? Dlaczego jesteś taki... Coś nie tak?

– On tu jedzie.

– Wilhelm Stephansen? – Teraz zabrzmiał głos Freddy’ego. – Jak to możliwe?

– Zadzwoń do niego.

– Co takiego?

Szybko wyjaśniłem dlaczego.

Kiedy skończyłem, Freddy popatrzył na mnie.

– Oszalałeś?

– Myślałem, że jesteś... – zacząłem, ale nie skończyłem zdania, tylko odwróciłem się do Heleny. – Czy da się stąd wydostać inną drogą, niż ta, którą przyszliśmy?

Pokręciła głową.

– Nie. Może latem, jeśli jesteś dobry we wspinaczce, ale w środku zimy, po ciemku? Zapomnij.

Spojrzałem na zegarek. Próbowałem wykonać w głowie obliczenia, przypomnieć sobie odległości i godziny kursowania promów, moje myśli były jednak jak zanurzone w lepkim syropie. Gdzieś w głębi mnie pulsowała umierająca gwiazda, załątek paniki. Wyparłem to uczucie.

– Obawiam się, że mamy mało czasu.

– Jest nas troje – powiedział Freddy. – Dwóch dorosłych mężczyzn. Możemy go powstrzymać, gdy przyjdzie.

– Nie, Freddy. Willy Stephansen to zawodowy żołnierz sił specjalnych. Na miłość boską, on był w Afganistanie i walczył z talibami! Weźmie z sobą broń, jak na normalne polowanie. Wie, że tu dotarłem, na pewno domyśla się, że rozmawialiśmy i że

prawda wyszła na jaw. Wie także o liście, albo przynajmniej pojmuję, że gdzieś powinien być oryginał, którego nie zniszczył, gdy zabił Torleifa Bergego. Mógł powiązać fakty i zrozumieć, że właśnie w tym celu tutaj przyjechaliście. Przyjedzie tutaj, żeby zabić. Musi pozbyć się nas wszystkich. Już raz zabił i nie ma nic do stracenia.

Helena pokręciła głową.

– I wszystko to przez tak dawną historię? Boże, kto przejmuje się tym, co wtedy robił Didrik Stephansen?

– Wiele osób, Heleno, wielu jeszcze pamięta. Myślę jednak, że najbardziej przejmują się Stephansenowie. To dziwni ludzie. Reputacja, społeczne uznanie i status znaczą dla nich niezwykle dużo. Może nawet wszystko. To ludzie, którzy bez skrupowania mówią o honorze. Myślę, że byliby gotowi zabić, aby ocalić swe dobre imię i reputację.

– Przecież to obłąd!

– Możliwe. Ale on tu jedzie.

W jej oczach dostrzegłem kielkujący lęk. Jakbym przeglądał się w lustrze.

[6] NRK (Norsk rikskringkasting) – norweski publiczny nadawca radiowo-telewizyjny.

Rozdział 53

Szedłem szlakiem pierwszy, lecz zatrzymałem się, gdy dotarłem do zejścia. Pozostali zjawili się obok. Stali w milczeniu, obserwując, jak światła samochodu powoli przesuwają się między wzgórzami i pokonują ostatni zakręt przed parkingiem.

– To on? – zapytała Helena, ale nie musiałem odpowiadać. Zimą, a do tego tak późnym wieczorem w środku tygodnia nie mógł to być nikt inny. – Może schowamy się na zboczu między drzewami?

– Nie da się. – Byłem o tym przekonany. – Szlak i droga są zbyt wąskie, stromizny po obu stronach zbyt duże, las jest za rzadki, a poza tym zobaczy nasze ślady schodzące ze szlaku.

– Masz rację. To co robimy? Urządzimy zasadzkę? – Jedyнным pomysłem Freddy'ego było podjąć walkę.

– Nie, nie bez broni i w głębokim śniegu. Musimy poczekać, aż dotrze na płaskowyż, a później uciec za jego plecami. Ale będzie trzeba zyskać trochę na czasie. Chodźcie. Wracamy do gospodarstwa.

– Po co? – zapytała Helena.

– Zapalimy światło i dorzucimy drew, żeby uwierzył, że nadal tam jesteśmy. Żeby stracił czas, kiedy my będziemy uciekać na parking.

– I to wystarczy? – powątpiewał Freddy. – Nie radzę sobie za dobrze na nartach. Na płaskim idzie jeszcze w miarę i umiem się

wspinać, ale w dół...

– Co innego nam zostaje?

Helena wpadła na pomysł, który mógł dać nam czas niezbędną, aby mój plan wypalił. Po powrocie do gospodarstwa zabrała mnie do stodoły, gdzie skierowała słaby promień latarki na tylną ścianę.

– Rany boskie, co to? – zapytałem. Mrużyłem oczy, spoglądając na coś przypominającego zardzewiałe średniowieczne narzędzia tortur: niepojęte obręcze i sprężyny, dwa wygięte kawałki stali zakończone ostrymi zębami jak szczeka rekina.

– Pułapki na lisy – powiedziała. – Sidła. Pomóż mi je wyjąć i otworzyć.

To była straszliwa praca. Przerażała mnie siła mechanizmu, a zardzewiałe zęby wyglądały, jakby nadawały się na niedźwiedzie, a nie lisy. W sumie pułapek było pięć. Ciężko pracowaliśmy, aby zdążyć na czas, lecz kiedy wszystkie otworzyliśmy, a Helena ostrożnie przykryła je śniegiem, kiedy leżały już między budynkami jak niewidoczne drapieżniki, nagle ogarnęły mnie wątpliwości.

– Czy wolno nam to zrobić? A co jeśli się mylimy? Może on chce mi tylko pomóc?

Jednak Helena zdążyła uwierzyć, strach zaś uczynił ją bezwzględna.

– Ten skurczybyk zabił mi ojca, Mikaelu. Chodź, idziemy stąd.

Zostało nam tylko czekać. Leżeliśmy obok siebie w śniegu, schowani w cieniu pod krzewem jałowca, jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie ślady nart wspinały się po ostatnim wzniesieniu przed wyrównaniem terenu. Marzłem i czułem, że przez ciało Heleny również przebiegają lekkie dreszcze, wywołane

zimnem lub napięciem. Po mojej drugiej stronie leżał Freddy. Nie drżał. Był nieruchomy jak głaz.

Nad krawędzią otaczających dolinę urwistych szczytów wzeszedł wąski, blady księżyc. Niebo się przejaśniło, temperatura spadła, zaczęło wiać. Kiedy zdążaliśmy do naszej kryjówki, nagle powiewy zasypywały nam stopy śniegiem jak piaskiem, a jeszcze zanim dotarliśmy na miejsce, musiałem pochylić głowę i całe ciało w ochronie przed mocniejszymi podmuchami.

Leżeliśmy osłonięci od wiatru, ale na szczycie przy każdym silniejszym powiewie kurzawa wznosiła się niczym welon.

Powinien już tu być.

Zacząłem dzwonić zębami, zanim wreszcie się zjawił. Niewyraźny zarys powoli zmaterializował się w zamieci, lecz wtedy nagle wiatr ucichł, przestał wiać, a śnieg ułożył się spokojnie na wzgórzu, i widziałem go jak na dłoni. Bez wątplenia szedł przed nami Wilhelm Stephansen. Rozpoznałem go mimo słabego światła. Równym krokiem wspinał się na ostatnie wzniesienie, trzymając oba kijki w jednej dłoni. W drugiej niósł coś, czego z początku nie udało mi się zidentyfikować, lecz kiedy wydostał się na płaszczyznę i stanął na chwilę prosto, by odpocząć, zobaczyłem, co wciągnął z sobą po stromiznach.

Był to pięciolitrowy kanister benzyny.

Znad ramienia mężczyzny wystawała lufa karabinu.

Dopiero wtedy zyskałem pewność, że Wilhelm Stephansen jest mordercą, że to on zabił Torleifa Bergego i idzie właśnie, by zabić nas. W tej samej chwili pojąłem, co chce zrobić. Wyobraziłem sobie, jak bezszelestnie, pod osłoną nocy i wiatru zbliża się do gospodarstwa, polewa ściany benzyną i je podpala. Później czeka

w bezpiecznej odległości, aż dostrzeże nasze sylwetki, wyraźne na tle płomieni, oczywiście zakładając, że udałoby nam się uciec z płonącego domu. Wtedy wybija nas jak kaczki.

Helena i Freddy wyobrazili sobie to samo i doszli do tego samego wniosku. Poznałem to po ich wstrzymanych oddechach, ich nagłym znieruchomieniu.

Wilhelm Stephansen pochylił się, wziął kanister w prawą dłoń i ruszył dalej ku grupce ciemnych budynków, ku słabemu światłu w oknie, gdzie, jak przypuszczał, byliśmy.

Parę minut później ostrożnie wychynęliśmy z naszej kryjówki, pokonaliśmy krawędź i włożyliśmy narty.

Jako dziecko wybierałem się na długie narciarskie wyprawy z ojcem, a od tamtej pory latami trenowałem narciarstwo biegowe i zjazdowe. Helena spędziła w tych górach wszystkie ferie zimowe i wielkanocne w dzieciństwie, znała szlak i dobrze radziła sobie na nartach, lecz Freddy miał poważny kłopot. Jego dzieciństwo wyglądało inaczej. Nikt nie zabierał go na niedzielne wycieczki ani ferie wielkanocne i chociaż poszedł z nami bez lęku, co pięćdziesiąt metrów lądował na twarzy. Jedyne fuksem nie zrobił sobie krzywdy ani nie uszkodził sprzętu. Mimo to cały czas się podnosił, by znowu ruszyć przed siebie.

Raz wydało mi się, że słyszę odległy krzyk, lecz nie byłem pewien. To mogło być cokolwiek, sokół albo myszołów, polujące lub umierające zwierzę. Równie dobrze mógł krzyczeć Wilhelm Stephansen, gdy zardzewiałe zęby pułapki na lisy wbiły się w jego łydkę.

Freddy raz jeszcze runął w zaspę.

– Jedźcie! – zawołał do nas. – Jeździe, uciekajcie stąd, ja sobie

poradzę.

Nie zrobiliśmy tego, lecz w mojej głowie sekundy i minuty pędziły jak szalone. Wyobrażałem sobie, jak Wilhelm dociera do gospodarstwa, robi to, po co przyszedł, i jak po chwili zdaje sobie sprawę, że nas tam nie ma, że go oszukano. Po raz tysięczny zerknąłem nerwowo przez ramię. Nad krawędzią ujrzałem rozżarzoną czerwień, głęboką, groźną barwę, przypominającą lawę lub płynne żelazo. Gospodarstwo płonęło. Wiedziałem, że Wilhelm Stephansen jest w drodze.

Jednak nie przyszedł. Byliśmy już prawie na samym dole, prawie wyszliśmy z lasu. Teren stał się tak płaski, że nawet Freddy utrzymywał się na nogach. Zacząłem mieć nadzieję, a później wręcz wierzyć, że nam się udało, gdy wtem usłyszałem strzał.

Z początku nie zrozumiałem co to. Rozległa się seria równych, ostrych trzasków, odbijających się echem od gór. Każdy z nich przechodził w następny, brzmiał jak nadciągająca burza. Nagle tuż koło mnie gałązka rozpadła się na dwoje, rozcięta przez niewidzialne nożyce, a śnieg prysnął mi przed czubkami nart. Po chwili, tak blisko, że aż poczułem mdłości, usłyszałem dźwięk kul uderzających z wyraźnym stukiem w pnie drzew. Dopiero wtedy pojąłem, że Wilhelm Stephansen do nas strzela.

Mimo to gdy Freddy runął na ziemię z głośnym jękiem, jakby uszło z niego powietrze, pomyślałem, że po prostu znów się przewrócił. Helena szybciej zorientowała się w sytuacji, po sekundzie znalazła się przy nim. Krzyknęła do mnie, aż się skuliłem, a później pomogłem jej częściowo unieść, a częściowo podeprzeć Freddy'ego w drodze między drzewa, z dala od ścieżki, od drogi i parkingu oraz od ścigających nas kul. W końcu minęliśmy nieduże wzniesienie u podnóża góry i zeszliśmy z linii ognia.

Rozdział 54

Freddy miał twarz białą jak kreda, a mięśnie wybrzuszały się wzdłuż jego żuchwy, lecz nawet nie pisnął, gdy Helena badała mu ranę.

– Jak to wygląda? – zapytałem, nie odwracając się. Leżałem w śniegu, obserwując drogę, którą przyszedliśmy. Którą on mógł przyjść.

– Kula przeszła go na wylot.

– Gdzie?

– Tuż pod ostatnim zębem, prawie całkiem z boku. Wygląda... no nie wiem, rana jest dość brzydka w miejscu, gdzie kula wyszła. Mocno krwawi.

– Nie trafiła żadnego ważnego organu. Będzie dobrze. Miałem już gorsze urazy – powiedział Freddy, jednak jego głos był napięty niczym struna.

– Możesz powstrzymać krwawienie, Heleno?

– Spróbuję. Odedrę kawałek swojej bielizny i muszę pożyczyć twój szalik, Mikaelu.

W cieniu między drzewami panował ruch. Leżałem wpatrzony w przestrzeń między pniami, a ciemność i wirujący śnieg tańczyły mi przed nosem, aż raz po raz podskakiwałem ze strachu. Nerwy miałem zszargane i cały byłem roztrzęsiony.

– Chyba wszedł w sidła – odezwałem się, głównie po to, by

usłyszeć własny głos.

– Dlaczego tak myślisz?

– Inaczej by po nas przyszedł, dogoniłby nas. Sądzę, że strzelał z dużej odległości, aż z krawędzi. To dlatego nas nie trafił. To znaczy... dlatego jeszcze nas nie pozabijał. Poza tym chyba słyszałem wcześniej słaby krzyk.

Długa cisza, przzerwana jedynie jękiem Freddy'ego.

– Podpalił gospodarstwo – dodałem.

– Tak. Widziałam łunę.

– List przepadł.

– Pewnie tak. – Znowu skupiła się na Freddy'm. – No, skończyłam. Ale nie możesz ruszać ramieniem, bo rana znowu zacznie krwawić. Zawiążę ci temblak.

Odwróciłem głowę i popatrzyłem na Freddy'ego, który wstał.

– To co teraz robimy? – Oboje zwrócili się w moją stronę. – To znaczy... chyba nie możemy wracać do aut, prawda? Musielibyśmy pokonać sześćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni, bez żadnej osłony. Dopadnie nas. – Zamilkłem na chwilę, po czym kontynuowałem: – I chociaż jest ranny, pewnie tu idzie. Znajdzie nas, jeśli tu zostaniemy. Pójdzie po naszych śladach.

– Może zatoczmy koło, zejdziemy i będziemy trzymać się rzeki aż do osiedla domków, gdzie złapiemy zasięg? – podsunął Freddy, lecz Helena już kręciła głową.

– Nie, musielibyśmy pokonać rzekę, a to się nie uda inaczej niż mostem. A jeśliibyśmy nim przeszli...

Nie musiała mówić nic więcej. Zginęlibyśmy.

– To co, Heleno? To ty znasz ten teren. Jest jeszcze jakaś inna droga do ludzi?

– Nie, ale... – Czekaliśmy. – Dalej na płaskowyżu znajduje się

stare sanatorium.

– Sanatorium?

– Tak, dla chorych na gruźlicę. Od dawna nie działa, ale budynek nadal stoi.

Zastanowiłem się.

– Znajdziesz je po ciemku?

– Chyba tak. O ile będę widziała góry. Dasz radę iść, Freddy?

– Jak to daleko?

Zawahała się.

– Spory kawałek. Myślisz, że dasz radę?

– Tak.

Bez słowa wstaliśmy, włożyliśmy narty i ruszyliśmy przed siebie. Sunęliśmy wolno przez zagajnik, aż wydostaliśmy się na drugą stronę. Ostatni raz się odwróciłem. Za ostrą krawędzią gór nocne niebo rozjaśniała czerwień, niczym słaba poświata po pięknym zachodzie słońca. Wtedy weszliśmy na nagi płaskowyż.

Wiatr był jak głodny drapieżnik, szarpiący nas tygrys o ostrych pazurach, wyjąca hiena, śmiejący się szakal. Chwycił nas lodowatymi palcami zaraz po opuszczeniu lasu, a im dalej posuwaliśmy się po zamarznętej powierzchni, z dala od cienia gór, tym mniej dzieliło nas od nawałnicy wiejącej prosto ze staronordyckiego piekła.

Helena szła przodem. Znała drogę, była też najlepiej ubrana, w porządną górską odzież, stuptuty, spodnie przeciwwiatrowe i anorak z mocnym kapturem. Ani Freddy, ani ja nie przygotowaliśmy się tak dobrze. Ubrałem się jak na niedzielną wycieczkę po górach za miastem, natomiast Freddy, w swojej zielonej wojskowej kurtce, spodniach z szarej, szorstkiej wełny i starej, skórzanej czapce uszatce wyglądał, jakby odwiedził pchli

targ. Szedł w środku, a ja na końcu. Związałibyśmy się, gdybyśmy mieli linę, lecz bez niej musieliśmy niemal deptać sobie po nartach, aby na pewno nie stracić się nawzajem z oczu. Niebo było czyste, z wyjątkiem kilku postrzępionych chmur, które czasami przysłaniały księżyc, pędząc jak wystraszone dzikie konie, ale wcale nie poprawiało to widoczności. Burza porwała wierzchnią warstwę najlżejszych kryształków śniegu, uniosła je i utworzyła z nich białą, niedającą się pokonać rzekę. Oślepiła nas, wbijając zamrożone igiełki w skórę twarzy. Mogliśmy tylko pochylić głowy i iść.

W miarę stały kierunek utrzymywaliśmy, jedynie sunąc prosto pod wiatr. Orientację łapaliśmy w krótkich momentach, kiedy wiatr słabł, ciągle wycie zmieniało się w cichy ryk, rzeka lodowatych cząsteczek opadała jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, my zaś mogliśmy unieść głowy i rozejrzeć się wokół. Helena przyglądała się górom, patrzyła na boki, by zaraz znów ruszyć przed siebie, czasem lekko modyfikując kurs, a czasem po prostu idąc dalej w tym samym kierunku. Zastanawiałem się, czy ma w ogóle pojęcie, gdzie jesteśmy. Pocieszało mnie jedynie to, że absolutnie nikt, ani Wilhelm Stephansen, ani nikt inny, nie mógł w tej pogodzie podążać naszym śladem. W kilka sekund po odbiciu się na nartach nasz trop ginął, jakby nigdy go tam nie było.

Freddy się męczył. Nie narzekał, ale zaczepiał od tyłu o narty Heleny, jedną rękę przycisnął do ciała, a drugą trzymał kijek, co sprawiało, że ruszał się w dziwnie nierytmiczny sposób, jakby kuśtykał. Już od początku szedł pochylony, aby nie rozerwać rany, lecz z czasem zgiął się niemal wpół, a niekiedy się zataczał, miał problemy z równowagą. Gdy kilka razy ciężko runął na ziemię, poprosiłem, by położył mi rękę na ramieniu. Protestował, ale

szybko dał za wygraną, więc poszliśmy dalej niczym para bliźniąt syjamskich. Chwiejnie sunęliśmy przez noc.

Czasami krzyczałem mu coś do ucha, pytałem, jak się czuje, a on odpowiadał, że dobrze, lecz widziałem przeciekającą przez jego kurtkę krew. Materiał wokół rany był ciemny i sztywny, a na każdym postoju plama wyglądała na większą.

Zrobiliśmy sobie krótką przerwę i Freddy ciężko usiadł w śniegu. Kiedy wstał, na jego miejscu została krew.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytałem Helenę. – Freddy nie da już długo rady.

Miała zmęczoną twarz.

– Nie wiem. To powinno być gdzieś tutaj. Już powinniśmy byli tam dojść, Mikaelu.

– Mogłaś się pomylić?

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła się, pochyliła głowę i ruszyła dalej.

Nie zauważyłem, kiedy wiatr zelżał. Nie smagał już naszych twarzy ostrymi kryształkami śniegu, nie był tak głośno w uszach. Później, gdy nadal posuwaliśmy się z mozołem naprzód, zelżał jeszcze bardziej, a ciemność przed nami jakby się zmieniła, zgęstniała. Szedłem coraz wolniej, mrużyłem oczy w mroku, nie rozumiałem, co się dzieje. Zrozumiałem, dopiero gdy wpadłem na Helenę, której narty natrafiły na mur.

Doszliśmy. Znajdowaliśmy się pod osłoną potężnych ścian sanatorium, ogromnego, zapuszczonego drewnianego budynku, który górował nad nami niczym opuszczony średniowieczny zamek.

Rozdział 55

Drzwi wejściowe, w których wybito dwie szyby, były już uchylone. Musiałem tylko pchnąć je ramieniem, żeby otworzyły się na oścież. Na przeszkodzie stała blokująca je zaspą metrowej wysokości, jednak dzięki nagłemu zastrzykowi energii udało mi się je otworzyć i naszym oczom ukazała się ciemność. Zamknęliśmy za sobą drzwi, przystanęliśmy w ciszy i mroku. Wiatr wył gdzieś w oddali, słyszałem własny ciężki oddech. Helena pogrzebała w swoim plecaku i wyjęła latarkę.

– Wzięłam ją na wszelki wypadek.

– Jesteś genialna – ucieszyłem się.

Wielkie pomieszczenie omiół słaby, blady strumień światła. Znajdowaliśmy się w holu wejściowym, na którego końcu po obu stronach dostrzegłem biegnące w górę schody, natomiast nad nami matowo migotały kryształki żyrandola. Z każdej strony ciągnęły się też szeregi zamkniętych drzwi.

– Okej, Heleno. Musimy znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogli się rozłożyć, może nawet piec, a przynajmniej kominek. Potrzebujemy ciepła.

– Tak. Usiądź tu na schodach, Freddy, zaraz wracamy.

Opadł bez słowa na najniższy stopień. Siedział pochylony, niemal zgięty w pół, z zamkniętymi oczami.

– Pospieszcie się – wysapał.

Mieliśmy tylko jedną latarkę, więc szliśmy razem. Choć nie powiedziałem tego głośno, cieszyłem się z towarzystwa. Miejsce było nieprzyjemne, panowały w nim egipskie ciemności i lodowaty chłód, a każde pomieszczenie wyglądało, jakby ludzie, którzy kiedyś tu przebywali, żyli, oddychali i rozmawiali, nagle po prostu je opuścili. Zaczęliśmy od prawej. Przeszliśmy przez ogromną kuchnię, wyposażoną w kuchenki oraz wielkie garnki, łyżki i chochle wiszące na ścianach, stosy półmisek i talerzy gotowych do użytku. Zaplecze, chłodnia i spiżarnia były porządne i czyste, jakby czekały na to, aż ktoś wróci i zacznie z nich korzystać.

Z przodu budynku znajdowała się jadalnia, gdzie na stołach nadal leżały białe obrusy, lecz szyby w wielu oknach stłuczono, a na podłodze utworzyły się zaspasy.

Przeciwnie skrzydło wypełniały pokoje chorych i salony. W jednym kącie stał czarny fortepian, a w innym wielka radiola. Tutaj meble przykryto, zasłonięto białymi pokrowcami, jak robiono w dawnych czasach, kiedy dom miał przez dłuższy czas stać pusty. W świetle latarki sprawiało to dziwne, upiorne wrażenie. Poza tym wszystko zdawało się nietknięte, z wyjątkiem pojedynczych miejsc na ścianach zewnętrznych, gdzie wilgoć przedarła się do środka, tworząc na tapetach czarne zacieki.

– Nie możemy tu zostać – odezwałem się cicho. – Pokoje są za duże. Musimy przenieść się na piętro.

Na górze bez końca ciągnęły się korytarze i sypialnie, których jednak nie mogliśmy użyć. Łóżka stały pościelone, ale jedynym źródłem ogrzewania były tam malowane na biało kaloryfery pod oknami, tak zimne, że metal sparzył mi dłoń, gdy dotknąłem jednego z nich.

– Gdzieś tu musi być jakieś normalne mieszkanie – stwierdziła

Helena.

– Dlaczego tak myślisz?

– W końcu to sanatorium, prawda? Oprócz pacjentów musiał tu mieszkać personel. Jakiś dyrektor, lekarz, pielęgniarki. Chyba nie sądzisz, że mieszkali w tych pokojach?

– Nie. Na pewno masz rację.

Z czasem zorientowałem się, że budynek ma kształt podkowy, składa się z głównej części i dwóch mniejszych, bocznych skrzydeł. W każdym rogu znajdowała się klatka schodowa, poza schodami biegnącymi z holu. W jednym skrzydle znaleźliśmy czyjeś mieszkanie, dokładnie tak, jak mówiła Helena. Składało się z trzech sypialni i salonu, a wyposażono je w tapicerowane meble, typowe dla mieszczańskiego stylu okresu międzywojennego. Unosił się tam kurz, a kilka mebli wyglądało na naruszone przez myszy, gdyż wypełnienie wystawało przez zgniłe obicie. Ale okna były całe, a w kącie stał stary, czarny piec kaflowy.

Helena spojrzała na niego z powątpiewaniem,

– Myślisz, że damy radę w nim napalić?

– Nie wiem. Trzeba spróbować.

– A co z Freddyem?

– Przeprowadźmy go tutaj.

Doszedł do sanatorium o własnych siłach, lecz teraz całkiem z nich opadł. Skulił się w kącie, był ledwie przytomny, gdy do niego przemówiliśmy. Przełożyłem jego rękę przez swoje ramię. Helena podparła go z drugiej strony i razem wciągnęliśmy Freddy'ego po schodach, przez ciemny korytarz, aż stanął chwiejnie w mieszkaniu. Poszedłem do jednej z sypialni, zdarłem materac z łóżka, rzuciłem go na podłogę w salonie i pomogłem Freddy'emu

się na nim położyć. Twarz miał mokrą od potu, a wzrok nieobecny.

– Nie wygląda dobrze.

– Cud, że doszedł tak daleko. Sprawdź, jak wygląda rana. Sporo krwawił.

– Potrzebujemy ciepła.

– Tak, ale muszę najpierw znaleźć jakąś siekierę. Zaraz wracam.

W piwnicy znalazłem siekierę i wziąłem ją z sobą. Czarny, zakurzony skład koksu nadal był na pół pełen, więc napełniłem wiadro, które wciągnąłem po schodach. Helena rozcięła kurtkę, sweter i koszulkę Freddy'ego. W blasku latarki ujrzałem, że cały jego bok pokrywa połyskliwa masa krwi i tkanek. Kawałki materiału, których Helena wcześniej użyła jako bandaży, zmieniły się w przesiąknięte krwią szmaty.

– Jezu! Stracił bardzo dużo krwi! – wykrzyknąłem.

– To prawda, ale nie jest tak źle, kiedy leży spokojnie. Spróbuję go lepiej opatrzyć. Jednak nie podoba mi się kolor jego twarzy. Poza tym ma parę drobnych odmrożeń. Nie są chyba poważne, ale wszyscy potrzebujemy ciepła.

Spojrzałem na nią. Twarz miała brudną, a usta sine.

– Zobaczę, czy uda mi się napalić w piecu.

Siekierą porąbałem kilka starych krzesel. W komórce znalazłem jakieś czasopisma, które zgmiotłem i wsadziłem do pieca. Na wierzch dorzuciłem trochę drzazg. Niestety ogień tylko zatlił się i zgasł. Zakląłem, po czym zabrałem się do ścian – zerwałem kawałki sztywnej, starej tapety, wrzuciłem je do pieca i spróbowałem ponownie. Tapeta zapłonęła, jakby ktoś polał ją benzyną.

Kilka razy powietrze zeszło z komina, a pokój wypełnił gęsty, gryzący dym, lecz nie mieliśmy wyboru, wywietrzyliśmy najgorsze

i próbowaliśmy dalej. Po godzinie intensywnej pracy spaliłem trzy krzesła i zacząłem dorzucać koksu. Piec syczał, a rzadki, ostry dym ulatniał się przez wszystkie szczeliny i łączenia, ale ciepło otoczyło nas niczym ściana, a ja po raz pierwszy od wielu godzin poczułem się bezpiecznie.

Wyciągnąłem materace z sypialni i ułożyłem je na tyle blisko pieca, na ile się odważyłem – Freddy leżał z jednej strony, a my z drugiej. Helena przyniosła obrusy z jadalni, podarła je na pasy i porządnie zabandażowała Freddy’ego. Leżał teraz z zamkniętymi oczami i wilgotną skórą.

– Chyba ma gorączkę – powiedziała Helena.

– Nie możemy dla niego zrobić nic więcej. Nie teraz. Jutro sprowadzimy pomoc.

Zrzuciłem przepoconą odzież wierzchnią, po czym wpełzłem pod zimne koce i wilgotne kołdry. Helena zaraz przylgnęła do mnie, drżąc na całym ciele.

– Obejmij mnie, Mikaelu.

Uczyniłem to. Trzymałem ją z całych sił, jakbym się bał, że wyślizgnie mi się z rąk i zniknie bez śladu.

Rozdział 56

– Mikaelu?

– Hm?

– Śpisz?

– Nie śpię.

Czułem ciepło i zapach jej ciała. Spociliśmy się i zmarzliśmy, męczyliśmy się długie godziny, więc nie pachniała perfumami, ale też nie brzydko.

Była to jedynie woń ciała i potu.

– Czy to już koniec? Jesteśmy bezpieczni?

– Chyba tak. Wiatr rozwiał nasze ślady. Nikt nie zdołałby pójść za nami w tę pogodę, nie zamarzniemy też na śmierć. Musimy tylko spokojnie poczekać na zmianę pogody.

– Tak. – Wierciła się lekko w moich ramionach. – Mieliśmy szczęście.

– Rzeczywiście. – A po chwili dodałem: – Jesteś na mnie zła?

– Zła? Jak to? – Helena popatrzyła na mnie z zaskoczeniem.

– To przez moje pochopne wnioski i pomyłki znaleźliśmy się w tej sytuacji. Gdybym ruszył głową, nie doszłoby do tego. – Wzdrygnąłem się. – Przeze mnie mogłaś zginąć.

– Ale jestem tu. Żyjemy.

– Tak. Nie chcę cię stracić.

Próbowałem spojrzeć jej w oczy, jednak w ciemności widziałem

jedynie zarys twarzy. Pogłaskałem ją po plecach, wsunąłem dłoń między koszulkę a getry. Poczułem gładką, ciepłą skórę i usłyszałem, jak niemal bezgłośnie łapie oddech.

– Dobrze tak?

– Wspaniale.

– Kocham cię.

Wstrzymała oddech. Nie chciałem tego mówić, słowa same spłynęły z warg.

Wreszcie znów zaczęła oddychać. Skryła twarz w mojej szyi.

– Naprawdę. Kocham cię. Pragnę cię.

– Cii, Mikaelu. – Pocałowała mnie, lecz tym razem nie dałem się powstrzymać.

– Nie, posłuchaj – powiedziałem cicho. – Chcę być z tobą. Kocham cię. Kilka razy myślałem dzisiaj, że zginiemy. Myślałem, że już po wszystkim, że żyje się tylko raz, więc nie mamy za dużo czasu, nie możemy marnować życia. Nie będziemy mieć zbyt wielu możliwości.

Czułem na skórze jej ciepłe, wilgotne wargi. Ucichła, znieruchomiała.

– Heleno?

– Ja też cię kocham.

– Kiedy to się skończy... przyjdiesz do mnie? Nie po kryjomu, w nocy, ale za dnia? Zrobisz to?

– Tak, Mikaelu. Przyjdę do ciebie.

Wreszcie moje wycieńczone ciało i przeciążony umysł odmówiły posłuszeństwa. Pochłonął mnie pusty, głęboki i cichy mrok.

Obudziłem się obolały. Każdy mięsień protestował, kiedy ostrożnie uwalniałem się od ramienia Heleny, od koców i kołder spiętrzonych nad nami jak góra. Drżałem w koszulce i kalesonach.

Piec był ledwie letni, prawie zgasł, więc dołożyłem pasków tapety, kawałków drewna i koksu, aż znów zaczął grzać. Helena wciąż spała, widziałem jedynie wystający spod kołdry czubek jej głowy. Freddy leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Twarz miał jak z wosku, a siwe i czarne włoski zarostu sprawiały, że wyglądał brudno. Na nosie i policzku widniały brzydkie plamy po odmrożeniach. Nie wiedziałem, czy śpi, czy stracił przytomność, ale uznałem, że bez sensu będzie to sprawdzać. Po wczorajszym dniu potrzebował jak najwięcej spokoju i odpoczynku.

Poczułem parcie w pęcherzu, więc włożyłem nadal wilgotne ubrania i poszedłem się wysikać.

Świat na zewnątrz wyglądał, jakby wczorajsza zamieć wcale nie miała miejsca. Dzień był jasny, niebo bladobłękitne, panował też ziąb. Przejmujący ziąb. Zerknąłem na słońce i zrozumiałem, że jest już późne przedpołudnie.

Wokół jak okiem sięgnąć rozciągała się szeroka dolina, nieprzerwana, równa powierzchnia pokryta dziewiczym śniegiem. Wysoko nade mną jakiś drapieżny ptak leniwie zataczał kręgi. Poza tym nie widziałem żywej duszy. Spojrzałem na zbocza gór, które nie były tutaj strome, lecz miękkie i idealnie zaokrąglone. Sanatorium leżało pośrodku olbrzymiego, naturalnego amfiteatru, ze wszystkich stron otoczone górami.

Przyjrzałem się temu nieruchomemu, pozbawionemu życia obrazowi, zastygłemu w miejscu i czasie, a później obróciłem się wokół własnej osi i zamarłem.

Nad dachem nieosłoniętego, drewnianego budynku unosił się cienki, lecz wyraźny słup czarnego dymu, niczym wykrzyknik na tle jasnego, spokojnego nieba, na pewno widzialny z kilkudziesięciu kilometrów.

Nie wiedziałem, gdzie jest Wilhelm Stephansen. Może nie żył, wykrwawił się z powodu ran zadanych przez sidła. Może dał za wygraną i wrócił do domu. Istniała taka możliwość, lecz nie wierzyłem w nią. Instynkt podpowiadał mi, że ciągle jest w górach, że dalej poluje. A jeśli rzeczywiście tak było, właśnie ukazał mu się znak, palec wskazujący na zdobycz, kierujący go do nas tak samo bezbłędnie jak krzyżyk na mapie skarbów z dzieciństwa.

Rozdział 57

Kiedy wróciłem, Helena już nie spała. Nadal leżała pod kołdrą, ale spojrzała na mnie zaspanym wzrokiem.

– Cześć, Mikaelu. – Uśmiechnęła się krótko. Rozpoznała mój wyraz twarzy, jeszcze zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. – Coś nie tak? Chodzi o niego?

– Chyba tak. – Powiedziałem jej o dymie. – Jest na pewno widoczny z kilkudziesięciu kilometrów.

– O mój Boże. – Podniosła się. – Zgasimy ogień?

– Nie wiem, czy ma to jakiś sens. Już prawie południe. Albo tu idzie, albo nie. A potrzebujemy ciepła, na zewnątrz straszny ziąb.

– To co robimy?

– Zerknij na Freddy’ego, a ja nabiorę śniegu do garnka i go roztopię. Potrzebujemy też wody.

Oblizła spierzchnięte usta.

– Tak. Wody i jedzenia. Mam w kieszeniach parę ciasteczek.

Wyjrzałem za okno. Musiałem najpierw zetrzeć parę z szyby. Dolina rozciągała się przede mną biała i spokojna. Nie zarejestrowałem żadnego ruchu.

Po paru minutach wróciłem z garnkiem pełnym śniegu. Zasyczał, gdy postawiłem go na piecu. Helena klęczała obok Freddy’ego.

– Jak się czuje?

Zagryzła wargę.

– Nie wiem. Może powinnam zdjąć bandażę i przemyć ranę, ale opatrunek się przykleił. Boję się, że znowu zacznę krwawić. W każdym razie nie mam czym zdezynfekować rany, więc może lepiej dać sobie spokój.

– Tak, może tak będzie lepiej.

– Ale nie podoba mi się to. Jest półprzytomny i ma gorączkę. Jest rozpalony.

– Spróbuj podać mu trochę wody, a ja się rozejrzę. Postaram się opracować plan, na wypadek gdyby Stephansen się zjawił.

– Tak.

Znowu wyjrzałem przez okno. Krajobraz był tak samo pusty, jedynie słońce przemieściło się nieco na niebie. Poczułem nadzieję.

Po jakimś czasie zorientowałem się w rozkładzie budynku. W przeciwległym skrzydle znajdowały się gabinety, pokoje badań i zabiegowe. Na ścianach wciąż wisiały plansze przedstawiające ludzkie organy wewnętrzne, jednak barwy, niegdyś ostre i wyraźne, spłowiały. Spod popękanych skórzanych obić kozetek do wykonywania masażu lub przeprowadzania badań wystawały strzępy wypełnień. Wzdłuż ścian pomieszczenia wyglądającego na poczekalnię stały drewniane krzesła, a w rogu na wieszaku ktoś zostawił samotny kapelusz. Na haczyku na ścianie wisiała stara lornetka. Uniosłem ją do oczu, skierowałem w stronę okna. Rozmyte, migoczące kreski ostrego, białego światła. Wyregulowałem okulary i nagle wyraźnie ujrzałem okienne szprosy. Zawiesiłem lornetkę na szyi i ruszyłem dalej.

Więcej gabinetów, archiwa o pustych półkach, zakurzone, puste pomieszczenia. Nic, co dałoby się wykorzystać lub co poddałoby mi jakiś pomysł.

Drugie piętro wyglądało niemal identycznie jak pierwsze, poza

tym, że zachodnie skrzydło zamiast gabinetów wypełniały pokoje dla pacjentów. Ciągłe te same, niemal identyczne białe sale ze skrzypiącymi żelaznymi łózkami, z firankami zjedzonymi przez mole, porcelanowymi umywalkami i nocnikami.

Na poddaszu pomieszczenia były mniejsze, miały skośne sufity, urządzono je też w bardziej urozmaicony sposób. Zdawało się, jakby wstawiono tam wszystko, co nie zmieściło się gdzie indziej. Pomyślałem, że to pokoje dla personelu, kiedyś zamieszkałe przez pielęgniarki, pracownice kuchni i sprzątaczkę. Gdzieniegdzie na ścianach nadal wisiały obrazki – wyblakła fotografia niegdysiejszego hollywoodzkiego amanta o cienkim wąsiku i gładko zaczesanych włosach, wizerunek Jezusa z aureolą nad głową, obramowany haft głoszący „Błogosławieni cisi”.

Zszedłem schodami aż do piwnicy, gdzie powędrowałem przez ciemny labirynt. Wąskie okienka znajdowały się tuż pod sufitem, ale większość z nich od zewnątrz całkiem zakrył śnieg, więc przedostające się do środka światło było słabym, brudnoszarym odblaskiem oślepiającej jasności panującej na dworze. Kontury przedmiotów straciły ostrość, miałem wrażenie, jakbym poruszał się pod wodą. Chodziłem od pomieszczenia do pomieszczenia. Magazyny – kilka pustych, inne nadal wypełnione niewyraźnie opisanymi skrzynkami, beczkami i pudłami – kotłownia, chłodnia, mniejsze i większe wnętrza, często bez rozpoznawalnej funkcji.

Zatrzymałem się przy drzwiach na końcu pokoju pełnego zniszczonych mebli. Były to solidne stalowe drzwi, zamykane od zewnątrz na dwie spore zasuwę. Zajrzałem za nie. Żadnych okien, nic oprócz ciągnących się metrami pustych półek. Kopnąłem stojący w kącie przedmiot, który zabrzączał. Pochyliłem się, by podnieść zakurzoną butelkę wina. Stara piwnica na wino. Betonowe ściany

i stalowe drzwi, aby zabezpieczyć drogocenną zawartość przed spragnionymi pracownikami lub kuracjuszami. Pomieszczenie nie miało innego wyjścia. Obejrzałem zasuwę. Dolna zardzewiała w otwartej pozycji, ale górną dało się ruszyć. Zawiasy skrzypiały brzydko, jednak po rozruszaniu zaczęły chodzić lżej. Od wewnątrz drzwi były całkiem gładkie. Osoba zamknięta w tej piwnicy nie zdołałaby wyjść z niej o własnych siłach.

Zacząłem się spieszyć. Ostrożnie przestawiłem meble w pomieszczeniu obok. Prawie biegałem od pokoju do pokoju w poszukiwaniu odpowiednio cienkiego sznurka. Wreszcie znalazłem cienką, brązową linę nawiniętą na patyk. Szybko wróciłem na miejsce i wszystko przygotowałem. Wypróbowałem zamknięcie. Uznałem, że przy odrobinie szczęścia może zadziałać. W każdym razie był to mój jedyny pomysł. Później poszedłem na górę do pozostałych.

Freddy leżał spokojnie z zamkniętymi oczami.

– Jak się czuje?

– Dałam mu trochę wody.

– Dobrze. Mówi?

– Zapytał, co się dzieje i gdzie jesteśmy.

– I co powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Powiedziałałam mu o wszystkim, co się stało, i wyjaśniłam, gdzie się znajdujemy. Wtedy jakby się obudził i wszystko sobie przypomniał, lecz zaraz potem znów stracił świadomość. Jest w bardzo złym stanie. Umrze, jeśli wkrótce nie znajdzie się w szpitalu.

– Musimy tylko przeżyć najbliższe godziny.

Wzdrygnąłem się i poszedłem do Freddy'ego. Pochyliłem się nad

nim. Na nosie i jednym policzku miał brzydkie, czarne ślady po odmrożeniach, za to drugi policzek był pąsowy, a czoło zroszone potem.

– Cześć, Freddy – odezwałem się. – Jak się masz?

Brak reakcji.

– Musimy tylko upewnić się, że jesteśmy bezpieczni, i sprowadzimy ci pomoc, okej?

Nadal brak odpowiedzi. Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Tylko wytrzymaj, a będzie dobrze. – Poczuję się bezradny.

– Mikaelu. – Helena wyglądała przez okno. Spostrzegłem, że nagle stała się spięta. – Chodź zobaczyć.

Z początku nic nie zauważyłem.

– Nie. Nic nie widać. Chyba się pomyliłaś.

– Może – powiedziała, lecz żadne z nas nie ruszyło się spod okna, a po krótkiej chwili zobaczyłem to, co ona wcześniej. Małą kropkę, czarną plamkę na wielkiej białej kartce. Kropka się przemieszczała, po chwili urosła, zbliżyła się do nas.

– To on?

Uniosłem lornetkę.

– Nie wiem, nie widać z tej odległości.

– Pokaż. – Zabrała mi lornetkę, przez pewien czas ją regulowała.

Widziałem, jak lekko drżą jej palce. – To on.

– Nie możesz być pewna. Nie da się rozpoznać szczegółów z tej odległości.

– Utyka, widzę też lufę karabinu nad ramieniem. To on.

– Pokaż jeszcze raz.

Nie potrafiłem rozróżnić szczegółów.

– W porządku. Musimy przyjąć, że masz rację, że idzie tu Wilhelm Stephansen.

– To co robimy? Możemy uciec?

Pokręciłem głową.

– Musielibyśmy zostawić Freddy’ego. I dokąd mielibyśmy pójść? Dalej w góry w tym zimnie? Zamarzlibyśmy na śmierć, o ile wcześniej nie dopadłby nas Wilhelm.

– Tak. Ale...

– Najpierw musimy zapewnić bezpieczeństwo Freddy’emu.

– Jak?

– Trzeba go ukryć. Co innego nam pozostaje?

– Gdzie?

– Mam pomysł.

Do schodów zaciągnęliśmy go na materacu, co nie było trudne, ale zejść musiał sam. Prawie upadłem pod jego ciężarem. Zataczał się na boki, mamrotał coś bez sensu, ale wreszcie znalazł się tam, gdzie chciałem. Gdy go ułożyliśmy, pochyliła się nad nim Helena.

– Freddy – szepnęła. – Freddy, słyszysz mnie?

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Freddy, on tu idzie. Wilhelm Stephansen nadchodzi. Spróbujemy go schwytać, ale musisz być cicho. Nie możesz wydawać żadnych odgłosów. Zabije cię, jeśli cię znajdzie. Rozumiesz, co mówię, Freddy? Musisz być cicho.

Wetknęła mu coś w dłoń.

– Myślisz, że zrozumiał, co powiedziałaś?

– Nie mam pojęcia.

Na piętrze znalazłem pokój z wybitą szybą. Wilhelm Stephansen był już dużo bliżej. Nawet gołym okiem widziałem, że Helena miała rację – szedł niezgrabnie, w nierównym rytmie, nie odbijał się odpowiednio jedną nogą. Za każdym razem, gdy prostował się, aby

wbić kijek w śnieg, lufa wystawała znad jego ramienia niczym grożący palec. Uniosłem lornetkę. Najpierw go nie znalazłem, nie mogłem złapać ostrości, lecz gdy mi się udało, pojawił się przede mną zdumiewająco wyraźnie i przeraźliwie blisko.

Nie wiem, czy to przypadek, czy faktycznie coś dostrzegł – może refleks odbity przez lornetkę – ale nagle stanął, wyprostował się i spojrzał prosto na mnie. Uśmiechnął się, a przynajmniej tak mi się zdawało. Ujrzałem biały błysk obnażonych zębów.

Drgnąłem, prawie upuściłem lornetkę.

– Co się stało, Mikaelu?

– Zejdźmy do piwnicy, żeby się przygotować.

Wilhelm Stephansen znów ruszył przed siebie.

Rozdział 58

W piwnicy panowała całkowita cisza. Było też ciemno choć oko wykol i strasznie zimno. Czekaliśmy już długo i zmarzliśmy. Do tego nerwy zaczęły płać mi figle. Słyszałem dźwięki, cienie ożywały, więc co jakiś czas podskakiwałem ze strachu, serce waliło mi jak młotem, a w ustach zupełnie zasychało, dopóki nie zorientowałem się, że nic nie słyszę ani nie widzę.

Z początku było łatwiej. Ale potem usłyszałem trzaśnięcie. Uznałem, że to dźwięk otwieranych drzwi, że Wilhelm Stephansen jest już w budynku. Później doszło mnie parę dalekich odgłosów, których nie potrafiłem zidentyfikować, aż wreszcie nastąpiła przeraźliwie długa cisza; zdawało się, że nie ma końca.

- Co on robi? – szepnęła mi Helena na ucho.
- Szuka. Ciii.

Minęło półtorej godziny, nim gdzieś w górze rozległ się huk. Ostrego dźwięku nie dało się z niczym pomylić. Poczulem, jak Helena drgnęła.

- Co to było, Mikaelu? Strzał, prawda?
- Skinąłem głową.
- Tak.
- Boże drogi, Freddy! Znalazł Freddy’ego. – Zaniósł się płaczem.
- Cicho, Heleno. Nie wiadomo.
- W jakim innym celu miałby strzelać?

– Może też się denerwuje. Wie, że gdzieś tu jesteśmy, i musi skradać się od pokoju do pokoju, cały czas mieć się na baczności. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby palec drgnął mu na spuście.

– Tak myślisz?

– Tak. Poza tym dźwięk wybrzmiał zbyt daleko. Nie nad nami.

– Jesteś pewien?

– Zdecydowanie. Freddy żyje.

Nie byłem pewien, ani trochę. Miałem jednak taką nadzieję.

Nagle poczułem, że jest w piwnicy.

Nie wiem dlaczego, ale byłem o tym przekonany. Powietrze jakby się zmieniło, stało się gęstsze i cięższe. Trudniej się oddychało, każdy ruch napotykał opór, zrobiło się też cieplej. Nie marzłem już, za to gorąca krew pulsowała mi w całym ciele, aż po czubki palców. Zdjąłem jedną rękawicę i chwyciłem sznurek, bojąc się, że go upuszczę i nie odnajdę w ciemności. Przesuwałem cienką linkę w palcach, a później dla pewności owinąłem ją wokół palca wskazującego.

Helena też to czuła. Niezauważenie zmieniła pozycję, napięła mięśnie. Siedzieliśmy na podłodze, zwróceni plecami do ściany. Teraz oboje wstaliśmy, starając się jak najmniej hałasować, chociaż w moich uszach każdy ruch, szurnięcie butem o beton czy szelest materiału anoraka odbijał się echem od nagich ścian. Bezwiednie wstrzymałem oddech, a kiedy wreszcie z długim westchnieniem wypuściłem powietrze i zachłysnąłem się, łykając tlen, świst oddechu wydał mi się ogłuszająco głośny.

Helena ścisnęła moją dłoń. Powoli oddech wrócił mi do normy, a puls stopniowo przestał galopować niczym wystraszony koń, ustabilizował się, przechodząc w równomierne, mocne bicie.

Długo to trwało. Tak długo, że w końcu zmusiłem się do

zamknięcia oczu, przestałem wpatrywać się w cienie, gdzie mrok poruszał się jak wirujący dym.

Coś usłyszałem.

Odległy, słaby, ostrożny dźwięk. Nie wiem, czy Helena też go wychwyciła, czy tylko wyczuła moją reakcję, ale jeszcze bardziej ucichła i znieruchomiała.

Wtedy usłyszałem kroki.

Ostrożne, niemal bezgłośnie kroki mężczyzny w butach narciarskich, niesamowicie powolne i uważne na betonowej powierzchni. Zbliżał się niespiesznie niczym polujący kot. Przez ułamek sekundy jakbym zajrzał w głąb umysłu Wilhelma Stephansena. Polował i cieszył się tym. Adrenalina pulsowała w jego ciele tak samo jak w moim. Tętno biło mu w skroniach równie mocno, był tak samo czujny i spięty jak ja. Wiedziałem też, że jest groźniejszy niż kiedykolwiek. Już raz go oszukałem, gdyż był zbyt pewny siebie, zbyt arogancki, przez co dosłownie wpadł w moje sidła, ale drugi raz nie popełni tego samego błędu. Tym razem nie zaryzykuje, będzie ostrożny, cierpliwy i systematyczny.

Otworzyłem oczy. Wiedziałem, że jest tuż obok. Próbowałem nie wpatrywać się w ciemność, nie skupiać się na jednym punkcie, aby nie przytępić wzroku. Pomału, tak wolno, że niemal nie dało się tego wytrzymać, mrok gęstniał, zyskiwał kształt, przyjmował postać istoty z krwi i kości. Stawał się Wilhelmem Stephansenem.

Szedł lekko pochylony, oburącz trzymając karabin przy piersi. Powoli obracał głowę na boki. Czułem jego otwarte zmysły, to, jak próbuje nas usłyszeć, zobaczyć, wywęszyć. Zwalczyłem ochotę, aby przywrzeć do ściany, zniknąć w cieniu. Zmusiłem się, by stać spokojnie. Wiedziałem, że nie może nas dostrzec za stertą stołów i krzesel. Dopóki się nie poruszaliśmy, byliśmy niewidocznymi.

Helena tkwiła obok mnie nieruchoma niczym posąg.

Stałał pośrodku pomieszczenia, rozejrzał się na boki. Wiedziałem, że muszę wybrać idealny moment, nie mogę działać za szybko ani za bardzo zwlekać. Byłem sparaliżowany, niepewny, wahałem się. Jego głowa zwróciła się w lewo. Patrzył prosto na nas, wpatrywał się w otaczającą nas ciemność, a ja miałem wrażenie, że wie, gdzie stoimy, że wietrzy naszą obecność jak zwierzę. Bezgłośnie wypuściłem powietrze z płuc. Pociągnąłem sznurek.

Jego drugi koniec był przywiązany do szyjki leżącej butelki. Z piwnicy na wino dobiegł słaby szmer. Wilhelm Stephansen drgnął, po czym ruszył w stronę otwartych drzwi niczym spuszczonego ze smyczy pies. Puściłem sznurek. Stephansen uniósł karabin i zrobił krok ku czarnej szczelinie. Po chwili jeszcze jeden.

Przygotowałem się.

Tuż przed drzwiami zawahał się i zgiął w pół. W słabym świetle wyglądało to, jakby na chwilę się pochylił, lecz nagle jednym susem znalazł się w środku.

W pułapce.

Wybiegłem z kryjówki, nie zważając na to, by być cicho. Teraz liczyła się tylko prędkość. Rzuciłem się parę metrów naprzód, w stronę stalowych drzwi, położyłem na nich jedną dłoń, drugą ręką odnalazłem górną, sprawną zasuwę i zatrzasnąłem drzwi z całej siły, jednocześnie ciągnąc zasuwę w dół, aby zamknąć zamek. Aby uwięzić Wilhelma Stephansena w przerażająco ciemnym pokoiku bez okien, gdzie jak dla mnie mógłby nawet szczeznąć. Już wezbrała we mnie radość, okrzyk triumfu cisnął się na usta, lecz zamiast spodziewanego satysfakcjonującego zatrzaśnięcia się wrót poczułem, jak drzwi odskoczyły od futryny. W tym samym ułamku sekundy pojąłem, że Stephansen mnie

oszukał. Wiedziałem już, dlaczego się pochylił, zanim wszedł do środka. Zablokował drzwi, wsadzając coś między nie a framugę. Nie miał zamiaru bezmyślnie wpaść w kolejną pułapkę. Zabezpieczył się.

– Uciekaj! – krzyknąłem. – Heleno, uciekaj!

Nie było czasu na nic innego. Wiedziałem, że nie mogę się pochylić, by usunąć przedmiot blokujący drzwi. Gdybym spróbował to zrobić, dostałbym kulkę w łeb. Nie zostawało nam nic innego, tylko uciekać.

Nie dalibyśmy rady, gdyby nie był ranny, gdyby miał sprawne obie nogi. Biegiem minęliśmy róg, wpadliśmy w cień i mrok. Z trudem łapiąc oddech i z narastającą paniką pędziliśmy, czekając na kule, które miały trafić nas między łopatki. Usłyszeliśmy jednak tylko potężny, ogłuszający, pojedynczy strzał, który odbił się od betonowych ścian straszliwym echem, do granic możliwości wypełniając dźwiękiem piwnicę. Wtedy minęliśmy kolejny róg i całkiem zniknęliśmy z pola widzenia Wilhelma Stephansena, mimo to mknęliśmy dalej, bezmyślnie pokonywaliśmy w mroku kolejne pomieszczenia, aż wpadliśmy na schody, które zaprowadziły nas do rozświetlonych salonów. Tam się zatrzymaliśmy, z trudem łapiąc oddech i drżąc z emocji. Wydostawszy się z mroku piwnicy, poczuliśmy ulgę, jak gdyby białe, bezlitosne światło dało nam choćby namiastkę bezpieczeństwa.

Rozdział 59

Kręciliśmy się w kółko, biorąc udział w stresującej, niekończącej się zabawie w kotka i myszkę. Skradaliśmy się lodowatymi korytarzami, na palcach poruszaliśmy się po klatkach schodowych równie nieprzyjemnych, jak wnętrze zamrażarki, stale czujni, zdenerwowani, z nerwami napiętymi niczym struna. Wilhelm Stephansen nie mógł biec. Poważnie zranił się w nogę, więc stać go było najwyżej na nierytmiczne podskoki. Dlatego bez problemu trzymaliśmy się od niego z daleka. Drżąc i szczękając zębami, czekaliśmy na ciche dźwięki zdradzające, że nadchodzi albo czai się, aby zaskoczyć nas pośrodku korytarza lub otwartej przestrzeni. Ledwie go usłyszeliśmy, braliśmy nogi za pas.

Wkrótce odkryliśmy, że najlepiej jest czekać na niego na klatkach schodowych, tuż przy drzwiach prowadzących do przejścia. W ten sposób kontrolowaliśmy dwie drogi ucieczki. Jedno z nas pilnowało schodów, a drugie wyglądało na korytarz. Jeśli pojawiał się na schodach, wpadaliśmy na korytarz, biegliśmy aż do kryjówki na następnej klatce schodowej, a jeśli szedł korytarzem, pędziliśmy schodami. Nie dopadł nas, byliśmy od niego szybsi, choć mój oddech brzmiał w moich uszach coraz głośniejszy, stał się cięższy, krew zaś pulsowała szybciej.

A Wilhelm Stephansen ciągle się zjawiał, jak perpetuum mobile czy robot.

Raz, kiedy pędziliśmy przez salony, Helena nagle wykonała zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, otworzyła drzwi i prędko wpadła do środka. Po paru sekundach wróciła. Szybko skinęła głową i posłała mi coś na kształt uśmiechu.

– Freddy żyje?

– Nie wiem, ale na pewno nie został znaleziony ani postrzelony. Zauważyłabym.

– Dobrze. Dobrze. – Nie starczyło mi oddechu, żeby powiedzieć więcej. Przy każdym słowie para unosiła się białą chmurą z ust.

Słońce zatoczyło łuk na niebie, powolutku czołgało się w stronę horyzontu na zachodzie. Biegliśmy, czekaliśmy w napięciu i biegliśmy dalej.

Popatrzyłem na Helenę. Zacisnęła usta, a jej oczy poruszały się stale na boki, niespokojnie, bez wytchnienia. Pod jednym okiem, niczym owad uwięziony pod skórą, drżał jej mięsień.

– Nie możemy tak dalej, Heleno.

Nie spodobało mi się spojrzenie, które mi posłała. Było puste, bez wyrazu, nieco zrezygnowane, jakby miała ochotę się położyć.

– To co mamy robić? Rzucić się na narty i uciec? Mieć nadzieję, że Freddy przeżyje, aż wrócimy?

– I tak w ten sposób nie pomożemy Freddy'emu. Biegamy w kółko.

– Więc uważasz, że powinniśmy uciec?

– Nie my. Tylko ty.

– Nie, Mikaelu!

– Zastanów się, Heleno. Rozejrzyj się wokół. To zasrane miejsce znajduje się pośrodku równiny. Nie ma gdzie się schować w promieniu dziesiątków kilometrów. Jeżeli spróbujemy uciec, Wilhelm spokojnie nas zastrzeli.

– Ale...

– Ale jeśli jedno z nas go zajmie, drugie będzie miało szansę. Zwabię go na drugą stronę budynku. Musisz iść... nie, biec ile sił w nogach.

– Ja... chyba możesz...

– Przestań, Heleno. Zrobmy to, zanim znudzi mu się zabawa w kotka i myszkę i podpali tę rudere.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Myślisz, że to zrobi?

– Nie wiem. Czemu nie? Podpalił gospodarstwo, prawda? Uciekaj, sprowadź pomoc. Nie ma sensu czekać.

Następnym razem, gdy pojawił się na klatce schodowej, zawołał mnie.

– Brenne! – krzyknął. – Mikael Brenne?

Nie odpowiedziałem.

– Wiem, że tam jesteś, Brenne. Dlaczego biegacie? Nie rozumiesz, że to tylko kwestia czasu, że prędzej czy później was dopadnę? Możecie się chować, uciekać, ale to ja jestem wilkiem. Jestem wilkiem, a wy zdobyczą, więc będę was gonił, aż opadniecie z sił, aż położycie się w śniegu, wykończeni, wyczerpani, z obnażonymi gardłami. – Jego głos przeszedł w suchy kaszel, po czym znów rozległ się odgłos jego utykania. – Idę po ciebie, Brenne. Idę.

Pomyślałem, że zupełnie mu odbiło.

Otworzyłem drzwi na korytarz, pomachałem do Heleny i wskazałem jej pierwszy pokój po prawej. Zrobiłem błagalną minę. Skinęła głową, pocałowała mnie w usta suchymi, spękanyimi wargami i uczyniła, co chciałem.

Czekałem w przejściu między klatką schodową a korytarzem, tak długo, aż byłem pewien, że poszła na górę. Wtedy pobiegłem najszybciej, jak mogłem, przez cały korytarz, aż na drugi koniec i wypadłem na schody po przeciwnej stronie. Tam się odwróciłem i zerknąłem przez szparę w drzwiach. Widziałem, jak Wilhelm Stephansen idzie za mną, stawiając długie kroki i wlokąc za sobą jedną nogę. Wykrzywił twarz z wysiłku i bólu. Zszedłem schodami piętro niżej. Nade mną drzwi zatrzasnęły się z głośnym łomotem, po czym usłyszałem echo jego kroków, więc zbiegłem na jeszcze niższe piętro. Czekałem. Słyszałem, że nadal się zbliża, zatem pędem rzuciłem się do piwnicy.

„Biegnij, Heleno – pomyślałem. – Już czas. Zakładaj narty i biegnij ile sił w nogach”.

Przestałem słyszeć jego kroki.

Stałem bezradny, niepewny, w drzwiach do piwnicy. Zmusiłem się do czekania, do cierpliwości, lecz nie wiedziałem, co począć. Najbezpieczniej byłoby przebiec przez piwnicę i wyjść na klatkę schodową po przeciwnej stronie. Poruszałem się szybciej niż Wilhelm Stephansen, zdołałbym dotrzeć tam przed nim i zająć swoją zwykłą, w miarę bezpieczną pozycję na pierwszym piętrze.

Ale nie mogłem wybrać najbezpieczniejszej opcji. Musiałem za wszelką cenę zadbać, aby został w tej części budynku i nie zobaczył Heleny. Plan był prosty i zadziałał, przynajmniej na początku – Stephansen poszedł za mną, jednak teraz nie wiedziałem, gdzie jest. Nie podobało mi się to.

Musiałem zaryzykować.

Wróciłem na schody, pokonałem jeden stopień w górę, następnie kolejny. Wiedziałem, że Wilhelm Stephansen może znajdować się tuż nade mną, schowany w cieniu, przyciśnięty do ściany,

niewidoczny, z karabinem gotowym do strzału. Zatrzymałem się. Stałem jak wryty. Jednak pod powierzchnią paralizującego strachu rozległ się w mojej głowie cichy alarm, głos rozsądku zapytał mnie, dlaczego miałby tu na mnie czekać, dlaczego miałby sądzić, że tym razem zawrócę prosto w paszczę lwa, zamiast uciekać. Nie było w tym logiki. Wiedziałem to, lecz nagle poczułem, że zaraz coś pójdzie nie tak.

Pokonywałem po dwa stopnie naraz, aż wypadłem na korytarz, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Biegłem najprędzej, jak umiałem, między szeregami zamkniętych drzwi, nie przejmując się zachowaniem ciszy. Wręcz przeciwnie, chciałem hałasować, przykuć jego uwagę, w nadziei, że Wilhelm Stephansen niespodzianie zjawi się gdzieś z obłędem wymalowanym na twarzy, wszystkimi zmysłami zwrócony wyłącznie w moją stronę. Miałem taką nadzieję, modliłem się o to, lecz prośby nie zostały wysłuchane.

Usłyszałem pojedynczy, ostry strzał, a później ciszę. Dźwięk dobiegł ze strony, w którą zmierzałem. Złej strony. Ze strony, po której nie powinno go być.

Rozdział 60

Ostre światło stawało się coraz bardziej przyćmione, jakby na świecie zapadał mrok. Znajdowałem się na końcu tunelu, w którym światło, dźwięki i zapachy docierały do mnie niczym odległe, słabe echa.

Po długiej chwili przyjąłem do wiadomości, że to był strzał.

Musiałem odszukać źródło.

Zobaczyć, do czego strzelił.

Albo do kogo.

Nie, nie do kogo...

To mógł być lis albo renifer, o ile takie zwierzęta żyły w tych górach. Może rosomak, a nawet rys? Byliśmy pośrodku największej górskiej dziczy, więc czemu nie?

Nie mógł strzelić do człowieka...

Nie...

Musiałem sprawdzić. Dla pewności.

Nieruchoma postać leżała w śniegu sto metrów od budynku. To była Helena, wiedziałem, że to Helena, cały czas to wiedziałem, od mikrosekundy, kiedy ostry strzał dobiegł moich uszu. Dokładnie w momencie, gdy niewidzialne fale dźwiękowe wywołały pulsowanie błony bębenkowej, posłały niewidoczne wibracje do maleńkich organów w uchu środkowym, a następnie przekazały wiadomość w postaci słabych impulsów elektrycznych do nerwu

słuchowego, który z kolei uruchomił synapsy, a te, jedna za drugą, utworzyły reakcję łańcuchową w mózgu – dokładnie w tym momencie wiedziałem i niemal natychmiast, w tej samej mikrosekundzie, w odcinku czasu tak krótkim, że ludzki umysł nie jest w stanie go zarejestrować, wieść rozeszła się do każdej komórki ciała, aż do czubków palców, nawet do najodleglejszych labiryntów mej duszy.

Wieść o śmierci Heleny.

Tak, wiedziałem.

Zostawało jedynie zobaczyć to na własne oczy. Leżała z twarzą w śniegu i rękoma rozrzuconymi na boki, nieruchoma, bez życia. Wilhelm Stephansen ją zastrzelił. Oparłem głowę o szybę i zamknąłem oczy, jednak nadal miałem jej obraz pod powiekami – krzyż na śniegu. Czarny krzyż na białym tle.

– Brenne. Mikaelu Brenne.

Jego głos przeciął ciszę i mróz niczym wrzask drapieżnego ptaka.

– Hej, Mikaelu Brenne, zostawisz ją tam, żeby zamarzła na śmierć? Chcesz tego? Wiem, że mnie słyszysz.

Słyszałem słowa, które jednak do mnie nie docierały. Był szatanem, kusicielem, złem wcielonym, tym, który przynosi nadzieję, kiedy jej nie ma.

– Mikaelu, ona żyje. Trafiłem ją w bark. Ale niedługo umrze, jeśli do niej nie podejdziesz.

– Dlaczego miałbym... – Mój głos był tak zachrypnięty, że się załamał. Musiałem zacząć od nowa: – Dlaczego miałbym ci wierzyć? Chcesz tylko, żebym wyszedł na otwarty teren, żebyś mógł mnie od razu zastrzelić!

– Możesz mi wierzyć lub nie, Mikaelu, wszystko mi jedno. Ale

masz minutę. Jeżeli w tym czasie do niej nie podejdziesz, strzelę jej w głowę.

Strzał rozległ się zupełnie bez ostrzeżenia. Zobaczyłem drzazgi lecące z prawej narty Heleny, zdało mi się też, że widzę drgnięcie ciała. Może. A może siła uderzenia pocisku wprawiła jej nogę w ruch? Nie wiedziałem.

– Chciałem ci tylko pokazać, że nie blefuję. Że trafiam tam, gdzie chcę. Zostało ci czterdzieści sekund. To jak będzie?

Nie miałem dużego wyboru.

Unieść wysoko nogę, przenieść ją w przód i opuścić w śnieg. Ciężko, z wysiłkiem oddychać, męczyć się przy każdym kroku, aby znów utonąć w puchu. Te sto metrów wydawało się długie jak dziesięć kilometrów. Do tego cały czas czekać na kulę, na uderzenie, wiedzieć, że stale ma mnie na celowniku, obserwuje mnie przez lunetę, jego wzrok wbija się w punkt między moimi łopatkami, a palec dotyka spustu. Odczuwałem to jako dziwne swędzenie przemieszczające się od tyłu głowy na kark i dalej wzdłuż kręgosłupa. Czekałem na przeszywający ból, rozdzierające uczucie, gdy miękki ołów przeniknie tkanki, kości i mięśnie. Czekałem, aż przestałem czuć cokolwiek i szedłem dalej odrętwiały, bez myśli i czucia.

Helena była martwa. Może jeszcze nie wyzionęła ducha, ale była martwa. Ja też. Moje ciało jeszcze tego nie wiedziało, więc nadal niestrudzenie pracowało, jednak umysł wiedział. Wilhelm Stephansen nie pozwoli nam żyć.

Nie spodziewałem się, że będzie żyła, nie uwierzyłem mu, lecz chociaż krew wytoczona z barku zabarwiła śnieg na czerwono i chociaż Helena straciła przytomność, miała twarz białą jak kreda

oraz szybki, płytki oddech, to jednak żyła. Zdjąłem szalik i zacisnąłem go najmocniej, jak umiałem, pod jej ramieniem, przykrywając ranę. Później zsunąłem jej narty, przewróciłem ją na plecy i zacząłem wlec z powrotem do sanatorium.

– A nie mówiłem, Mikaelu? Żyje, prawda? Nie mówiłem?

Jego głos rozbrzmiewał triumfalnie w jasnym powietrzu. Nie odpowiedziałem, tylko dalej ciągnąłem ją za sobą, plecami zwrócony do niego, centymetr za centymetrem, metr za metrem. Po każdym dziesięciu metrach musiałem usiąść i odpocząć. Była ciężką, pozbawioną życia masą, którą wlokłem przez luźny śnieg. Czułem, że zbliżam się do granic wytrzymałości swojego ciała, że zaraz zabraknie mi sił. Wypuściłem powietrze, po cichu odliczyłem sześćdziesiąt sekund i pociągnąłem ją dalej. Po każdym postoju w śniegu zostawały plamy świeżej, czerwonej krwi.

Usłyszałem odgłos tłuczonego szkła, a następnie trzask drewna i obejrzałem się przez ramię. Znajdowałem się jakieś dwadzieścia metrów od budynku. Stephansen kopniakiem otworzył drzwi. Stał w wejściu z bronią w jednej dłoni, a drugą do mnie machał.

– Tędy. Chodź tutaj.

Pięty Heleny stukały o parkiet, kiedy ciągnąłem ją przez próg. Wilhelm Stephansen cofnął się o kilka metrów. Zatrzymałem się i rozejrzałem wokół. Byłem wcześniej w tym pomieszczeniu. Znajdowaliśmy się w salonie, przestronnym i jasnym, gdzie podwójne balkonowe drzwi wychodziły na płaskowyż i góry. Czarny fortepian w kącie. Wszędzie tapicerowane sofy i fotele, przykryte pokrowcami z białego lnu. Promienie słońca padały ukośnie przez okna, nastał jasny dzień. Grupki mebli tworzyły białe wyspy w pomieszczeniu bladym i pustym jak szkierowe wybrzeże zimą.

Znów pochyliłem się nad Heleną, przesunąłem ją po podłodze.

- Co robisz, Brenne?
- Położę ją tylko na sofie.
- W porządku.

Wciągnąłem ją tam ostatkiem sił. Wilhelm trzymał się z boku. Otuliłem ją lnianym pokrowcem w nadziei, że trochę się ogrzeje, zacisnąłem szalik na ranie.

Gdy wreszcie się ku niemu zwróciłem, ujrzałem, że miniona doba również na nim odcisnęła piętno. Twarz pokrywał ciemny, świeży zarost, oba policzki nosiły wyraźne ślady odmrożeń. Po raz pierwszy mogłem się też przyjrzeć jego nodze. Nie wyglądała dobrze. Ostre zęby pułapki na lisy rozdarły nogawkę, na tkaninie widziałem ciemne plamy zakrzepłej krwi. Najwyraźniej miał pod spodniami opatrunek; chyba owinął obrażenie kilkukrotnie, gdyż zraniona noga była zdecydowanie grubsza od drugiej. Mimo to spojrzał na mnie trzeźwo, ostro i bezlitośnie.

- Gdzie jest Freddy Krogh? – zapytał.
- To dlatego jeszcze nas nie zabiłeś? Chcesz całkiem się nas pozbyć, mieć pewność, że dopadniesz wszystkich naraz?
- Gdzie on jest?
- Daleko stąd, Willy. Już dawno w wiosce, poszedł wezwać pomoc. To tylko kwestia czasu, kiedy to miejsce zaroi się od policji.
- Kłamiesz. Widziałem ślady, zakrwawione bandaże, materac, na którym spał w nocy. Wiem, że wczoraj go trafiłem. Freddy nigdzie nie pójdzie, jest poważnie ranny. Gdzie się ukrywa?
- Jesteś mi winien przysługę, Willy.
- Doprawdy? A tak, masz rację. Uratowałeś dziadka z pożaru.
- Owszem i pamiętam obiad u was. Całą tę gadkę o honorze, o tym, że jesteście rodziną, która zawsze postępuje właściwie, której nie dotknął rozkład moralny czasów.

– Zgadza się.

Popatrzyłem na niego, zastanawiając się, czy znajdujemy się na tej samej planecie.

– Twój dziadek był zwykłym zdrajcą narodu, człowiekiem odpowiedzialnym za więzienie, torturowanie i mordowanie ludzi, za wysyłanie rodaków w noc i mgłę...

Pokręcił głową.

– Nie, nie, nie!

– ...kazał zlikwidować Hansa Krogha, aby uratować własną skórę. Jak możesz mówić o honorze, Willy, o właściwym postępowaniu, o... – Brakło mi słów.

– Nic nie rozumiesz, Brenne. Jesteś tak samo ograniczony i żaloszny jak inni, wszyscy ci zazdrośni lizusi, którzy najchętniej zmieszaliby mojego dziadka z błotem, zszargali dobre imię wielkiego człowieka, zniszczyli całą rodzinę Stephansenów!

Naprawdę się wściekł.

– Mój dziadek był wielkim człowiekiem. Jednym z najważniejszych, a może i najważniejszym członkiem ruchu oporu. Zgadza się, że zdemaskowało go gestapo, że próbowano zwerbować go jako donosiciela, ale on ich przechytrzył. Działał jako podwójny agent, Niemcy myśleli, że go mają, choć tak naprawdę to on ich wykorzystywał.

– A Hans Krogh?

– Niestety trzeba było go poświęcić. Tak się czasem zdarza na wojnie. To jak w szachach. Czasami trzeba poświęcić pionka na rzecz skoczka. A Hans Krogh był pionkiem.

Westchnąłem, lekko się poruszyłem. Całe ciało miałem zeszywniałe. On także zrobił kilka kroków, aby mieć mnie blisko. Widziałem, jak twarz mu drgnęła, kiedy postawił zranioną nogę na

ziemi. Wilhelm Stephansen nie był szalony, ale żył w świecie marzeń i iluzji, który stworzył wraz z dziadkiem. Nagle zrozumiałem, że nie ma dla mnie nadziei, że za chwilę zastrzeli mnie jak psa. Ta świadomość wywołała we mnie wściekłość.

– Powinienem być pozwolić, aby twój dziadek spłonął żywcem.

Musiał odczytać coś w mojej twarzy, bo bezwiednie wycofał się o krok, uderzył w krawędź sofy i niemal stracił równowagę. Wtedy uniósł lufę karabinu o kilka centymetrów, po czym skierował ją w lewo, na Helenę.

– Gdzie jest Freddy Krogh?

Patrzyłem na niego w milczeniu.

– Gdzie on jest?

– W pobliżu.

Rozdział 61

Otworzył oczy.

Wszystko wokół było białe. Czyżby umarł?

Zamknął oczy i nastąpiła ciemność. Otworzył je ponownie, by ujrzeć to samo, pozbawione konturów, białe światło. Pomyślał, że nie mógł umrzeć. Wtedy znowu zasnął.

Gdy ponownie się zbudził, był zlany potem, a gorączka szarpała mu kończyny jak sfora dzikich psów. Bolało go całe ciało, kiedy zaś lekko się poruszył, przeszył go tak silny ból w boku, że na chwilę poczerniało mu przed oczami. Leżał spokojnie, szybko oddychając przez usta, aż najgorsze minęło. Zastanawiał się, gdzie jest i dlaczego widzi wokół jedynie białe światło.

Znów zasnął.

W snach był młody, szalony i w pełni męskich sił. Stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach – jak słup, drzewo o mocnych korzeniach, klif, o który rozbijały się spienione fale życia. Czuł się silny i wolny, niepokonany.

Tak właśnie miało być.

Śnił o butelkach wódki, kobietach o rozwartych, czerwonych ustach i oczach jak węgle, śnił o kolegach, planach, zadaniach, głodzie i nagiej chciwości, wyczuwał między palcami używane banknoty, brudne, klejące się banknoty.

Śniły mu się też krew, mocz i wymiociny. Tępy, mdlący, a jednak podniecający odgłos uderzania zaciśniętą pięścią o żywe ciało. Nagie betonowe ściany, metalowe kraty oddzielające go od świata. Godziny, minuty i sekundy płynące wolno jak smoła. We śnie zapłakał, może po raz pierwszy jako dorosły mężczyzna. Opłakiwał beznadzieję całej tej sytuacji, wszystko, co być mogło, lecz się nie wydarzyło, wszystko, co przepadło, co stracił.

Cały czas słyszał też, tak samo jak na jawie, odległy, groźny, ostry, wabiący dźwięk bębnow, rytm tak równy, tak podobny do rytmu jego własnego pulsu, że najczęściej nawet nie zwracał na niego uwagi. Jednak ów rytm rozbrzmiewał od zawsze, sprawiał, że się w nim gotowało, a dusza krzyczała z rozpaczy. Jego następstwem zawsze były krew i smutek.

Gdy znów się obudził, coś się zmieniło. Nie wiedział co, ale coś wydawało się inne. Nagle przypomniał sobie głos kobiety. „Musisz być cicho, Freddy. Zabije cię, jeśli cię znajdzie. Musisz być cicho”.

Kto to powiedział? Nie był pewien, pamiętał jedynie słowa, które brzmiały mu w głowie. „Musisz być cicho, Freddy”.

Nagle pomyślał, że może to matka. Zdało mu się, że rozpoznał jej głos, łagodny, trochę zmęczony i zrezygnowany. Tak, to głos matki, teraz był pewien.

„Dobrze, mamó, będę cicho” – odparł. Powiedział to jednak sam do siebie, nie na głos, gdyż nie chciał, by go znaleziono. Nie chciał umrzeć. Ku swemu zdziwieniu zauważył, że nie chce umrzeć.

Trochę później usłyszał czyjąś rozmowę.

Dwa głosy. Jeden wydawał się wycieńczony i zrezygnowany, jakby mówiący przestał wierzyć i mieć jakąkolwiek nadzieję, a jednak w tym głosie pobrzmiwał też inny ton, mieszanka lęku

i przekory.

– ...całkiem się nas pozbyć, mieć pewność, że dopadniesz wszystkich naraz... – mówił głos. – ...odpowiedzialnym za więzienie, torturowanie i mordowanie ludzi, za wysyłanie rodaków w noc i mgłę... kazał zlikwidować Hansa Krogha, aby uratować własną skórę...

Wiedział, że to ważne, wiedział, że chodzi tu o niego, więc próbował słuchać, lecz gorączka paliła jego żyły jak opium. Oślepił, dał się porwać białemu światłu. W uszach mu szumiało, jakby słuchał kiepskiego radia, docierały do niego tylko strzępy słów.

– ...wielkiego człowieka, zniszczyli całą rodzinę Stephansenów...
– Drugi głos był silniejszy, pewny siebie, pełen wiary. Ale i w nim Freddy słyszał dodatkowy ton, niemal niezauważalny cień zwątpienia i strachu.

– A Hans Krogh? – zapytał pierwszy głos, niespodzianie wyraźnie i zdecydowanie.

Drugi odpowiedział:

– Niestety trzeba było go poświęcić. Tak się czasem zdarza na wojnie. To jak w szachach. Czasami trzeba poświęcić pionka na rzecz skoczka. A Hans Krogh był pionkiem.

Freddy poczuł lekki ucisk na udzie, jakby ktoś go dotknął.

– Gdzie jest Freddy Krogh? – dopytywał drugi głos. W tej samej chwili Freddy zrozumiał, gdzie się znajduje i kto mówi, wszystko sobie przypomniał. Jednocześnie poczuł też w dłoni rękojeść noża, którą ścisnął przez wszystkie te długie, zimne godziny.

– W pobliżu – odparł drugi głos, a Freddy uniósł białe płótno, pod którym leżał na sofie, odwrócił się na bok i nie bacząc na przeszywający ból, jednym szybkim, płynnym ruchem przeciął tętnicę po wewnętrznej stronie prawego uda Wilhelma

Stephansena.

Wilhelm wydał cichy krzyk, bardziej przerażenia niż bólu. Nadal dzierżył karabin, miał dość czasu, by go użyć, lecz jakby o nim zapomniał. Lewą dłonią chwycił krocze, jak zaczarowany gapił się na krew, która nieubłaganie płynęła między jego palcami. Wreszcie odwrócił głowę i ze smutkiem popatrzył na Freddy'ego.

– Zobacz, co zrobiłeś – powiedział z wyrzutem, jakby Freddy coś stłukł czy pobrudził, jakby był nieznośnym dzieckiem. – Zobacz, co zrobiłeś.

Osunął się na kolana, a później położył na boku z podkurczonymi nogami. Leżał tak, a kałuża krwi powoli rosła, nieuchronnie jak wody nadchodzącego przypływu.

– Mój ojciec nie był pionkiem, którego można poświęcić – rzekł Freddy Krogh do mężczyzny na podłodze. – Życie to nie partia szachów.

Nie usłyszał odpowiedzi. Gdy wreszcie zareagowałem i pochylałem się nad Wilhelmem Stephansenem, ten już nie żył.

Rozdział 62

Inny pokój, również biały, z czarnym fortepianem w kącie, jednak pełen drobnych eksplozji koloru – żółto-niebieski obraz na ścianie, szklana miska odbijająca się ciemnym fioletem, zielony wazon z pomarańczowymi kwiatami na stole. Na podłodze niebieski dywan, miękki i zachęcający jak górskie jezioro latem. Było tam też ciepło, skończył się chłód.

Mimo to się wzdrygnąłem.

– Marzniesz, Mikaelu?

– Nie, ale mam wrażenie, jakbym nie potrafił się rozgrzać.

Helena z roztargnieniem skinęła głową.

– Tak, wiem, jak to jest. Jakby chłód tkwił w szpiku.

Siedziała przy fortepianie, prawą dłonią rozrzucając po pokoju urwane dźwięki, które wisiały i drżały w spokojnym powietrzu. Czasem zagrała melancholijną skalę, drobne trele zamierające w pół drogi, ginące w nicości. Lewą rękę miała opartą na temblaku.

– Wydajesz się nieobecna – powiedziałem. – Boli cię?

– Trochę.

– Ale wyzdrowiejesz, prawda? Co mówią lekarze o twoim barku?

Uśmiechnęła się do mnie.

– Wyzdrowieję. I przepraszam, jeśli jestem nieobecna. To wszystko było po prostu takie dziwne...

Wiedziałem, co ma na myśli. To było dziwne. Po śmierci

Wilhelma Stephansena myślałem tylko o tym, by uratować Helenę. Nie martwiłem się Freddym, mało przejmowałem się sobą, skupiłem się tylko na niej. To dla niej ostatkiem sił, w świetle lodowatego księżyca, poszedłem po śladach Wilhelma Stephansena, wróciłem do cywilizacji i sprowadziłem pomoc. Pomimo odmrożeń i całkowitego wycieńczenia nalegałem, aby być przy lądowaniu helikoptera. Widziałem, jak leży na noszach, jak zabierają ją do środka. Miała zamknięte oczy i białą skórę. Wtedy się załamalem, myślałem, że ją straciłem; musieli mnie przytrzymać i dać mi zastrzyk. Później, gdy się zbudziłem, ktoś siedział przy moim łóżku i powiedział, że Helenie nic nie grozi. Znowu zasnąłem, zapadłem w głęboki, naturalny, leczniczy sen. Kiedy wreszcie obudziłem się po przespaniu całej doby, jej już nie było, zabrano ją do szpitala w mieście, ja zaś, z moimi banalnymi urazami, musiałem zostać na miejscu. Nie widziałem jej aż do teraz.

– Mogłem odwiedzić cię w szpitalu – powiedziałem – ale Herman był tam cały czas, więc nie chciałem się narzucać.

– Tak – odparła. – Rozumiem.

Wreszcie spojrzała mi w oczy, a ja poczułem ulgę, jakby mnie dotknęła. Zrobiłem parę kroków w jej stronę, lecz pokręciła głową. W tej samej chwili za mną otworzyły się drzwi.

To była June.

Przywitała się ze mną grzecznie, ale bez zainteresowania, bo nie byłem dla niej ważny. Ostrożnie, pytająco popatrzyłem na Helenę, która się uśmiechnęła.

– June zostanie w domu do jutra – wyjaśniła. – Czuje się znacznie lepiej.

– Głupio, że nie możesz grać, mamó – odezwała się June. – Tak ładnie grasz.

Helena pokręciła głową.

– A może ty byś coś dla nas zagrała, kochanie?

Po chwili namów June usiadła przy fortepianie. Helena i ja siedzieliśmy zasłuchani na białej kanapie. Patrzyła na swoją córkę. Ja na nią. Widziałem linię jej zuchwy, łuk od szyi do obojczyka, linię, po której wielokrotnie przesuwalem kciukiem. Widziałem jej usta, wargi, które całowałem, kark pokryty krótkimi włosami, wszystko tak bardzo teraz odległe, na drugim końcu kanapy.

Później, gdy June nas zostawiła, Helena znowu zasiadła przy fortepianie, jakby tam czuła się najpewniej, i zaczęła rozsypywać tony jak lekkie płatki śniegu.

– Pójdę już – stwierdziłem. – Zanim przyjdzie Herman.

– Tak, wraca teraz wcześniej, gdy June jest w domu.

Zawahałem się. Nie wiedziałem, co powinienem powiedzieć lub zrobić, ale nie mogłem znieść tego dystansu, więc stanąłem za nią. Położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Heleno... Ja...

– Kocham cię, Mikaelu. – Podniosła wzrok i chwyciła mnie za rękę, którą przycisnęła do swojego policzka.

– Mam nadzieję, że to wystarczy.

– Przyjdę do ciebie. Daj mi tylko trochę czasu. Nie bój się.

– Czekam – szepnąłem. – Będę na ciebie czekał.

W drodze do wyjścia zajrzałem przypadkiem do jednego z salonów, gdzie zobaczyłem June siedzącą samotnie w półmroku. Zawahałem się chwilę, po czym przestąpiłem próg.

– Cześć, June – odezwałem się, a ona podniosła wzrok, nieco zaskoczona. – Jak się masz? Wygląda, że dużo lepiej.

– Jest lepiej.

– Pięknie grałaś.

Uśmiechnęła się ostrożnie.

– Dziękuję.

Wiedziałem, że powinienem zostawić ją w spokoju, że jest zdrowa, że nie powinienem wracać do minionych wydarzeń, ale nie mogłem się powstrzymać. Musiałem dopasować ostatnie fragmenty układanki.

– Zastanawiałem się nad jedną rzeczą. Tamten pożar... Wiesz, że podpaliłaś dom, June?

Jej uśmiech znikł.

– Tak. Wiem.

– Zastanawiam się, dlaczego wybrałaś akurat tamten dom?

– Jak to?

– Nie rozumiem, dlaczego podpaliłaś właśnie ten, a nie inny dom.

– Czemu pan pyta?

Nabrała pewnej czujności. Uśmiechnąłem się rozbrajająco i rozłożyłem ręce.

– Tak tylko się zastanawiam. Nie musisz się martwić, jestem po twojej stronie. Wiesz, że wam pomogłem, prawda?

Przez kilka sekund patrzyła na mnie badawczo, po czym jej uśmiech wrócił.

– Tak, tata mi mówił, że bardzo nam pan pomógł.

– Właśnie. Więc możesz ze mną rozmawiać bez przeszkód. A więc dlaczego właśnie ten dom? – powtórzyłem pytanie.

– Bo on tam mieszkał.

– Didrik Stephansen? Skąd to wiedziałaś?

– Znalazłam jego adres w książce telefonicznej.

– No tak. Ale dlaczego chciałaś, żeby spłonął?

Teraz, kiedy już zdecydowała, że może mi ufać, wyrzuciła z siebie wszystko naraz.

– Podpaliłam go, bo on był zły. Zabił dziadka.

– Skąd to wiedziałaś?

– Dziadek mówił mi o Stephansenie. Mnóstwo o nim opowiadał, o tym, jaki był zły, co kiedyś, podczas wojny, zrobił dziadkowi i wielu innym. Ale mieliśmy plan, chcieliśmy go dopaść – trzeba zdemaskować szczura, jak mówił dziadek. Więc kiedy dziadek zmarł, zrozumiałam, kto to zrobił, to było oczywiste, prawda? Wiedziałam też, że nigdy już nie będę bezpieczna. Zabił dziadka i mnie też mógł zabić. Dlatego musiał zginąć.

Nie zdziwiłem się. Przypuszczałem, że tak właśnie było, a jednak opowieść brzmiała przerażająco w jej ustach. Myślałem o tym, jak słowa Torleifa Bergego wpłynęły na June, jak wrogowie starego człowieka, jego nienawiść i gorycz zamieszkały w jej paranoicznym świecie. Jak naturalnie musiało jej przychodzić słuchanie dziadka, z jaką łatwością nadała własnym lękom nazwisko i oblicze Didrika Stephansena, jak rozwinął się jej obłęd, uczucie, że jest prześladowana. Bez trudu pojmowałem, że zabójstwo dziadka musiało potwierdzić wszystkie urojenia June. Nie była to szczęśliwa kombinacja. Chora dziewczyna i zgorzkniały starzec, tak bardzo pochłonięty swoją historią i planami zemsty, że nie zauważył, jaki ma wpływ na wnuczkę.

– Rozumiem, że tak myślałaś, June. Ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło. W pożarze nikt nie zginął.

Na chwilę spuściła wzrok.

– Nie – rzekła cicho. – Wiem, że nie zginął, bo nadal go słyszę.

– Jak to?

– Słyszę go wieczorem, gdy leżę już w łóżku. Szura i drapie pazurkami w ścianach i w podłodze. Szczury myślą, że są sprytne i bezgłośnie, ale ja je słyszę.

Zapinałem płaszcz w przedpokoju, rozkojarzony i niespokojny po rozmowie z June. Koło garderoby wisiały stare rodzinne fotografie. Większość przedstawiała obcych mi, surowych ludzi w ciemnych ramach. Przypuszczałem, że to rodzina Hermana. Na trzech zdjęciach pojawiły się jednak znajome motywy. Były to dwa owalne portrety, jeden Torleifa Bergego, a drugi jego żony Vigdis, oba wykonane zapewne u fotografa, o tych samych łagodnych kontrastach i tym samym zamglonym tle. Torleif patrzył przed siebie z zaciętą miną. Po raz pierwszy w jego twarzy dojrzałem rysy Heleny, szerokie czoło, coś identycznego w ustach i oczach. Vigdis miała w sobie coś nieokreślonego, co nasuwało skojarzenia ze ściganą sarną, swego rodzaju rozedrganą czujność tuż pod powierzchnią. W ogóle nie widziałem w niej Heleny, jednak rozpoznałem jej smutny uśmiech – uśmiech June.

Pod portretami wisiała większa fotografia, na której z ukłuciem strachu zidentyfikowałem gospodarstwo w górach, gdzie cudem wymknęliśmy się Wilhelmowi Stephansenowi. W tle za domem dostrzegłem ludzi, jedną postać opartą o kosę lub grabie, inną o kamień. Ludzie żyli tam, pracowali i ginęli, a Torleif Berge tam dorastał. Teraz z gospodarstwa zostały jedynie czarne zgliszcza pod śniegiem i lodem.

Rozmowa z June wzbudziła we mnie niepokój. Słowa dziewczyny utkwiły mi w myślach jak muchy w pajęczej sieci. Zlany potem zbudziłem się nagle w środku nocy; sen przerwało drapanie pazurów. W ciemności, nadal czując lęk pełznący po moich nerwach jak niewidzialny gad, ze stuprocentową pewnością zrozumiałem, dlaczego Helena i Freddy nie znaleźli listu Ottona Schweigera.

Rozdział 63

Przez chwilę stał w cieniu wpatrzony w wielki dom, ciemny, przysadzisty i ponury w porównaniu z innymi budynkami w okolicy. W kilku oknach paliły się światła, a reflektor żółtym blaskiem omiatał schody przed wejściem, aż migotał biały żwir ogrodowej alejki. Mimo to dom wyglądał na pusty, niezamieszkały. Wiedział, że to iluzja, że ktoś tam jednak jest.

Tuż przed jedenastą mały samochód osobowy skręcił przed bramą ogrodową, po czym kobieta w średnim wieku przeszła alejką, stawiając zmęczone, ciężkie kroki. Wydobyła wielki pęk kluczy, chwilę szukała właściwego i otworzyła drzwi.

Dwadzieścia minut później wyszła z budynku. Teraz szła lżejszym krokiem, a on pomyślał, że nie ma już tego wieczoru więcej pracy, że starszy pan był ostatni na liście pracownicy opieki społecznej. Kiedy zniknęły mu z oczu czerwone światła stopu, przeszedł alejką i zadzwonił do drzwi.

Zamek wydał niemal niezauważalny dźwięk. Położył dłoń na klamce i poczuł, że drzwi są otwarte. Ostrożnie wszedł do środka, do wielkiego holu. Po prawej schody z ciemnego drewna wiły się w górę, niknąc gdzieś w cieniu. Pod ścianą zamontowano podnośnik dla wózka inwalidzkiego. Spojrzał na niedużą platformę u podnóża schodów.

Jedne drzwi były uchylone. Wszedł przez nie do pustego salonu,

oświetlonego pojedynczą lampą. W kolejnym pokoju panowała całkowita ciemność. W progu nagle zdał sobie sprawę, że jest wyraźnie widoczny, chociaż sam nic nie widzi w spowitym mrokiem wnętrzu. Prędko wszedł do środka i zrobił krok w bok, po omacku odszukał na ścianie za sobą włącznik, a po chwili stał już skąpany w ostrym świetle, mrugając. Mężczyźnie przed nim nawet nie drgnęła powieka.

Siedział na wózku inwalidzkim z kolanami przykrytymi kocem. Na stole obok niego stała szklanka mleka i dwie nietknięte kanapki z żółtym serem – kolacja przygotowana przez kobietę z opieki społecznej.

– Więc to ty jesteś Freddy Krogh – odezwał się Didrik Stephansen. – Przypominasz swojego ojca.

Freddy spojrzał na tego człowieka. Wysokie czoło usiane brązowymi plamami wątrobowymi, nos ostry jak u drapieżnego ptaka, zapadnięte policzki, żylaste, kościste dłonie. Bardzo stary człowiek, niemal zniedołężniały, lecz o oczach, które wydawały się młodsze.

– Nie wiem – powiedział Freddy. – Nie pamiętam go.

– Czego chcesz? Przyszedłeś, żeby mnie zabić? – Zaniósł się ochrypłym, suchym śmiechem. – Proszę bardzo! Mam prawie sto lat.

– Nie chcę cię zabić.

– Nie? To dlaczego tu jesteś?

Czuł, że zapyta na próżno, lecz mimo wszystko spróbował.

– Zastanawiam się... czy żałujesz, Stephansen? Czy żałujesz tego, co wtedy zrobiłeś, czy myślisz o ludziach, których kazałeś zabić i torturować, o zniszczonych przez siebie życiach, wszystkich, którzy zostali z niczym? I o tym, co zrobiłeś mojemu ojcu?

– Czy żałuję? – Stary człowiek wyglądał na szczerze zdumionego, jakby to pytanie nigdy nie przyszło mu do głowy. – A ty, Freddy? Jesteś mordercą, i to podwójnym. Może zresztą zabiłeś więcej ludzi, skąd mam wiedzieć? Żałujesz?

– Tak. Żałuję.

– Naprawdę? – W oczach starca Freddy dostrzegł jedynie pogardę. – Bo ja nie żałuję niczego. Zrobiłem to, co musiałem, kiedy znalazłem się pod presją. To, co było konieczne dla ojczyzny i walki o wolność. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz, ale tak już działa ten świat, że jeden człowiek jest generałem, a inny szeregowcem. I czasami szeregowiec musi zginąć, aby generał mógł przeżyć i wygrać bitwę.

– A więc ta historia stała się dla ciebie prawdą? To dzięki niej możesz żyć?

– To jest prawda!

Pokręcił głową.

– Nie. Prawda jest taka, że byłeś podłym zdrajcą i donosicielem. I tę prawdę pozna świat.

Znów ten sam suchy, skrzekliwy śmiech.

– Myślisz, że ktoś ci uwierzy, gdy opowiesz tę fantastyczną historyjkę? Tobie, skazanemu za podwójne morderstwo?

– Nie. Ale uwierzą Ottonowi Schweigerowi.

– Otto Schweiger nie żyje. Zmarł parę tygodni temu. Nie wiedziałeś? – W oczach starca zajaśniał triumf.

– Napisał list.

– Którego nikt nie może znaleźć. Ten list przepadł już miesiąc temu. Gdybyś go miał, przyszedłbyś tu już dawno. Co się stało, spłonął razem z gospodarstwem?

Freddy uśmiechnął się lekko, dotknął wewnętrznej kieszeni, po

czym wysupłał kopertę.

– Nie najgorzej zgadujesz, Stephansen. Tak myśleliśmy. Torleif Berge powiedział mi, że schował list w bezpiecznym miejscu. Za zdjęciem w gospodarstwie.

Didrik Stephansen się nie odzywał. Skupił wzrok na kopercie.

– Ale w gospodarstwie nie znaleźliśmy listu, po prostu go tam nie było. Wszystko zrozumiał Mikael Brenne. Zobaczył zdjęcie u Heleny Berge, fotografię gospodarstwa z przeszłości, ze szczęśliwych czasów. Listu nie schowano za zdjęciem w gospodarstwie, ale za zdjęciem gospodarstwa. – Freddy wzruszył ramionami. – Ja też się starzeję. To dziwne. Gdybym miał lepszy słuch, nic by się nie stało, a w każdym razie nie w ten sposób. Może Wilhelm by jeszcze żył.

Didrik Stephansen drgnął na dźwięk imienia wnuka. Nie uśmiechał się już, a jedynie błądził wzrokiem.

– Chcesz przeczytać, Stephansen?

– Czy chcę przeczytać dawne kłamstwa, spisane przez starego nazistę? Nie, daję słowo, że nie chcę.

– To ja przeczytam.

Freddy rozłożył kartki, wyjął z kieszeni okulary, które włożył na nos.

– Hamburg, dziewiątego grudnia dwa tysiące szóstego roku – zaczął cichym, lecz wyraźnym głosem.

Rozdział 64

„Szanowny Panie Berge, dziękuję za spotkanie. Chcę, aby Pan wiedział, że dużo myślałem o tym, o czym rozmawialiśmy podczas Pańskiej wizyty w Hamburgu, a im więcej myślałem, tym większej nabierałem pewności, co należy zrobić.

W roku 1940, kiedy epidemia wojny rozprzestrzeniła się na północ, nie było dla mnie zaskoczeniem, że wysłano mnie do Pańskiego kraju, ani też to, że stacjonowałem w Pańskim mieście. Już przed wojną bywałem w Norwegii i miałem dobre kontakty z przedsiębiorcami z Pańskiego miasta. Tam mianowano mnie zastępcą dowódcy Referatu IV 1b Gestapo, oddziału do spraw kontrwywiadu.

Chociaż Norwegia pozostawała miejscem niemal idyllicznym w porównaniu z wieloma innymi bazami, to jednak mimo wszystko trwała wojna, a wszelkie próby oporu ostro tłumiono. Szczerze mówiąc, nie było to zbyt trudne, w każdym razie na początku. Norwegowie byli amatorami, niewyszkolonymi, wierzącymi w ideały dzieciakami, niemającymi pojęcia o pracy wywiadu. Aresztowaliśmy ich wielu, zamykaliśmy w więzieniach, gdzie stykali się z rzeczywistością, której się nie spodziewali. Tak rozbijaliśmy siatkę za siatką.

Z czasem walki na wszystkich frontach się zaostrzyły, a nasza praca stała się trudniejsza. Również Norwegowie się uczyli – na

własnych błędach oraz od agentów z Anglii, od MI6. Mimo to mój oddział nadal demaskował tajne siatki i komórki ruchu oporu. Działo się tak może dlatego, że byłem oficerem prowadzącym bodaj najlepszego norweskiego podwójnego agenta w służbie niemieckiej.

Wszystko stało się przez przypadek. Pod koniec 1941 roku aresztowano członka ruchu oporu. Po godzinach surowego przesłuchania podał nazwiska współników. Jednego z nich znałem. Był to człowiek, którego poznałem przed wojną, syn norweskiego partnera handlowego mojego ojca. Skontaktowałem się z nim, odwiedziłem go w domu. Wziąłem butelkę dobrego wina i rozmawialiśmy o całkiem neutralnych sprawach – literaturze, muzyce, trochę o dawnych czasach. Znakomicie znał niemiecki. Po jakimś czasie powiedziałem, że wiem o jego działalności w ruchu oporu. Wyjaśniłem, że jego nazwisko podał aresztant, sprecyzowałem też, co ma do wyboru.

Chyba z dwóch powodów tak bardzo sprawdził się w roli podwójnego agenta. Po pierwsze ze względu na optymalne bezpieczeństwo. Nikt poza mną nie znał jego prawdziwego nazwiska. Dla wszystkich był Kolibrem. Nigdy nie spotykał się z nikim poza mną, a nasze spotkania odbywały się zawsze poza miastem, z zachowaniem najostrzejszych środków bezpieczeństwa. Zawsze działałem sam, a jego nigdy nie zdekonspirowano, nawet po wojnie.

Po drugie uwielbiał swoją rolę. Podejrzewam, że nigdy nie był patriotą, nie kierował się szlachetnymi, altruistycznymi pobudkami. Dla Kolibra liczyła się pozycja, to, że coś znaczył w oczach ludzi. To dlatego dołączył do ruchu oporu.

Ale chyba szybko odkrył, że jeszcze więcej satysfakcji niż bycie szanowanym przez innych sprawia mu posiadanie władzy. Jedno

jego słowo, tajny znak uruchamiały cały – wysoce efektywny – niemiecki aparat policyjny. Z czasem zaczął wypytywać o to, co działo się z osobami, na które doniósł. Na początku zasłaniał się troską i wyrzutami sumienia, lecz później przestał udawać, coraz bardziej interesowały go szczegóły losów ofiar.

Chyba delektował się swoją rolą, swoją tajną, acz nieograniczoną władzą nad innymi.

Jednak chociaż nikt o nim nie wiedział, nie oznaczało to, że ruch oporu nie był świadomy jego istnienia. Po jakimś czasie stało się to dla nich oczywiste. Tak jak astronomowie mogą stwierdzić obecność ciała niebieskiego, którego nie widzą za pomocą instrumentów ani gołym okiem, jedynie na podstawie jego wpływu na inne planety, tak dowództwo Frontu Krajowego pojęło, że działa wśród nich podwójny agent. Wiedzieli też mniej więcej, jaką zajmuje pozycję, zarówno geograficzną, jak i w strukturach organizacji. Domyślili się tego na podstawie aresztowań dokonanych przez gestapo.

Jego zdemaskowanie pozostawało jedynie kwestią czasu. Istniało prawdopodobieństwo, że Milorg już rozpoczął operacje mające na celu dekonspirację agenta, na przykład poprzez podawanie wszystkim podejrzanym fałszywych, lecz nieco różniących się od siebie informacji, aby później na podstawie reakcji Niemców określić, kto był zdrajcą. W takiej sytuacji Koliber przestawał być dla mnie użyteczny.

Dlatego ułożyliśmy plan.

Stworzyliśmy fikcyjną, całkowicie odwrotną od rzeczywistej sytuację. Przyjęliśmy, że to ja jestem podwójnym agentem, Niemcem cierpiącym z powodu wyrzutów sumienia, a Koliber – moim oficerem prowadzącym w Milorgu. Przez pewien okres

podawałem mu względnie nieistotne, lecz prawdziwe informacje o działalności gestapo. Parę razy dałem mu cynk o planowanym nalocie, kiedy indziej poświęciliśmy kilku mniej ważnych norweskich donosicieli. Chodziło jedynie o zapewnienie mi absolutnej wiarygodności.

A gdy nadszedł czas, zdradziliśmy Milorgowi, kto jest podwójnym agentem. Nadaliśmy mu nawet ten sam pseudonim, Koliber, na wypadek gdyby mogli go sprawdzić u innych niemieckich źródeł. Nie ujawniliśmy jedynie jego prawdziwego nazwiska. Tak naprawdę nie istniało wielu kandydatów do tej roli. Najwyżej trzy czy cztery osoby mogły być tym podwójnym agentem. Jedną z nich wybraliśmy niemalże na chybił trafił, a może Koliber wybrał osobę, do której żywił urazę – tego nie wiem. W każdym razie nasz kozioł ofiarny, człowiek wskazany jako podwójny agent na usługach Niemców, nazywał się Hans Krogh. Tak jak się spodziewaliśmy, został zlikwidowany przez Milorg na rozkaz Kolibra.

Pańskie przypuszczenia były całkowicie słuszne, Panie Berge. Hans Krogh był niewinny. Nie był zdrajcą, a jedynie ofiarą jednej z tajnych operacji gestapo.

Czytając to, co napisałem, widzę, że opowiadam o tych straszliwych zdarzeniach trzeźwym, dość chłodnym tonem. Między wierszami można też wyczuć pozostałości profesjonalnej wyniosłości, cień dumy z powodu mojej efektywności jako policjanta.

Muszę również wyznać, że po wojnie unikałem oskarżenia. Odszedłem z policji, zacząłem pracę w firmie ojca i przez całe dorosłe życie odnosiłem sukcesy jako handlowiec. Nie przypominam sobie żadnej bezsennej nocy. To, co zrobiłem, widziałem i za co ponosiłem współodpowiedzialność, w żaden

sposób mnie nie dręczyło, nie zastanawiałem się nad tym. Aż do nadejścia starości. Dopiero teraz dopadła mnie przeszłość. Zawiodły starannie budowane mechanizmy obronne, a całe cierpienie, ból zadany bliźnim oraz ich smutek stały się też moim udziałem. Nie spodziewam się, że Pan, Panie Berge, czy wszyscy inni ludzie, których życie zniszczyłem, mi przebaczą. Z braku osób, do których mógłbym się zwrócić, wybrałem Boga, ale nie wiem, czy szansę na zbawienie mają tacy jak ja, współwinni bodaj największego zła w historii świata. Mogę jedynie modlić się i mieć nadzieję.

Nauczyłem się za to jednego – że ukrywanie i wypieranie prawdy nie popłaca. Myślałem, że mi się udało, że pogrzebałem przeszłość na tyle głęboko, iż nigdy już nie wydobędzie się na powierzchnię. Jednak zła nie da się pogrzebać.

Długo zastanawiałem się, czy powinienem zdradzić, kim był Koliber, czy zachować jego tożsamość w tajemnicy. Część mnie nadal poczuwa się do pewnej absurdalnej lojalności, mimo to uznałem, że nie mogę milczeć. Skoro już mówię, jak było, muszę też podać nazwisko. To niezbędne, by inni mi uwierzyli, by niewinni zostali oczyszczeni z zarzutów, a winni osądzeni, chociażby przez potomnych.

Jego nazwisko brzmi Didrik Stephansen”.

Freddy złożył list i schował go do kieszeni.

– Podpisano: Otto Schweiger.

Starzec nie patrzył na niego, siedział jedynie, gapiąc się przed siebie, a jego twarz wreszcie przybrała neutralny wyraz. Był człowiekiem, który zawsze krył przed światem własne oblicze, lecz teraz zdawało się, jakby wszystkie lata tajenia prawdy i oszukiwania samego siebie od środka wyżarły jego maskę, aż

stała się cienka i krucha niczym papier, a wolny głos Freddy'ego i bezlitosne słowa Ottona Schweigera w końcu zerwały jej ostatnią, cieniutką warstwę. Zza maski wyłonił się prawdziwy Didrik Stephansen, żalony i samotny, cierpiący człowiek, pełen nienawiści i pogardy, zarówno wobec siebie, jak i wszystkich innych.

Freddy wstał i wyszedł. Na dworze zaczął padać śnieg. Duże płatki kładły się na asfalcie przed jego butami, zmieniały czerń w biel. Szukał w głębi siebie punktu, w którym zawsze panował spokój, wszystko trwało w równowadze.

Dawno tam nie sięgał. Tyle się wydarzyło, a on nie miał czasu dla siebie. Na wolności wszystko było tak bardzo niespokojne, jednak idąc, szukał dalej, ostrożnie, jakby przerzucał kolejne strony drogocennej księgi. Był pewien, że odnajdzie to miejsce w sobie, punkt zerowy. Wystarczy dobrze poszukać.

Bębny na dobre zamilkły.

Rozdział 65

– Bardzo dziękuję – powiedział Herman Voltersvik, wciskając mi w dłoń kopertę. – Naprawdę bardzo dziękuję.

– To pieniądze?

– Tak.

Otworzyłem kopertę, z której wyjąłem czek na swoje nazwisko. Opiewał na śmiesznie wysoką kwotę.

– To więcej, niż uzgodniliśmy. Dużo więcej.

– Wiem, ale jestem zadowolony i wdzięczny.

– Dobrze, ale to...

– June została oczyszczona z wszelkich podejrzeń i może dalej iść przez życie.

– No tak, ale co z pożarem?

Machnął ręką.

– Tak, tak, wiem. Oczyszczono ją z zarzutu zabójstwa dziadka, a to najważniejsze. Z tamtą drugą sprawą musi jakoś żyć, poza tym rozmawiałem z komendantem policji, który powiedział, że sprawa karna zostanie umorzona. Była niepoczytalna, nie wiedziała, co robi.

– Tak, oczywiście – zgodziłem się, choć pamiętałem, co mi powiedziała. Nie podpaliła przypadkowego domu, tak jak wszyscy myśleli. To był akt zemsty. Podpaliła dom człowieka odpowiedzialnego za śmierć jej dziadka, a więc ocena jej

poczytalności pozostawała otwartą kwestią. Otworzyłem usta, by się odezwać, ale spojrzawszy na twarz Hermana Voltersvika, zmieniłem zdanie. Na pewno wolałby nie usłyszeć tego, co miałem do powiedzenia, a poza tym to już się przecież nie liczyło.

Zamiast tego zapytałem o samopoczucie June.

Rozpromienił się.

– Dziękuję, jest dużo lepiej. Za parę tygodni wraca do domu, a tym razem jestem naprawdę dobrej myśli. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio była w tak dobrej formie. Uśmiecha się i śmieje, przepełniają ją wiara w przyszłość i optymizm. Wspaniale będzie mieć ją znowu w domu. Wszyscy troje bardzo się cieszymy.

– Naprawdę miło to słyszeć.

Wstał, tak samo niespokojny jak zawsze i tak samo pełen energii.

– W każdym razie, Brenne, wykonałeś kawał dobrej roboty. I zrobiłeś dużo więcej, niż mógłbym wymagać. Nie spodziewałem się, że tak się to wszystko ułoży.

– Ja też nie.

– Helena mówi, że uratowałeś jej życie.

– Freddy Krogh uratował jej życie. Uratował nas wszystkich.

Skrzywił usta, jakby poczuł na języku nieprzyjemny smak.

– Tak, Freddy Krogh... Jak on się miewa?

Wzruszyłem ramionami.

– Całkiem dobrze, jak na swój stan. O ile wiem, nie doznał żadnych trwałych urazów. Miał szczęście. Wszyscy mieliśmy.

– Tak. A tamten napad... To nie on napadł Helenę pod moją nieobecność?

– Nie.

– Więc kto? Wilhelm Stephansen?

– Przypuszczalnie, ale kto to może wiedzieć? Albo był to on, albo

ktoś przypadkowy. Samotnej kobiecie na ciemnej ścieżce zawsze może coś takiego grozić.

– Tak. – Podrapał policzek. – Na pewno masz rację, w każdym razie teraz to już nic nie znaczy. Ale... nigdy nie udało mi się zrozumieć, dlaczego... co Helena robiła na tej ścieżce tak późnym wieczorem.

Dostrzegłem coś w jego spojrzeniu. Coś odległego, niemal ukrytego. Zerknąłem za fasadę, za którą chował się inny Herman Voltersvik – niepewny, przestraszony i zdezorientowany chłopczyk.

– Nie wiem – powiedziałem, lecz nie potrafiłem spojrzeć mu w oczy. – Jak sam mówisz, to nieważne. Już po wszystkim.

– Tak, masz rację, po wszystkim. – Podał mi dłoń. – Cóż, pójdę już. Jak zwykle mam masę pracy.

– Tak, oczywiście. – Chwyciłem wyciągniętą dłoń i ją uścisnąłem.

– Raz jeszcze dziękuję, Brenne. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy.

– Poza tym Helena prosiła, żebym cię pozdrowił. – W jego oczach nie mogłem już nic wyczytać.

– Dziękuję. Też ją pozdrów.

– Prosiła, aby ci przekazać, że powinna też przyjść, ale nie mogła. June niedługo wraca do domu, więc chce wszystko przygotować na jej przyjazd.

– Oczywiście.

– Powiedziała, że na pewno zrozumiesz.

Tak było.

Wszystko rozumiałem.

Po jego wyjściu stanąłem przy oknie. Stałem tak, spoglądając na szare, niskie chmury wiszące nad brudnym miastem. Pojedynczy płatek śniegu tańczył na niebie, po chwili zjawił się kolejny.

Niedługo później mocno już sypało. Potem nastąpiła noc. Wymazała miasto, budynki, brud i błoto, zniknęli wszyscy maleńcy, zabiegani ludzie. Została jedynie wirująca, biała, nieprzenikniona pustka, czarna noc.

Oparłem czoło o zimną szybę i zamknąłem oczy.

Łowca szczurów

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Zajrzyj na strony

W serii

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału norweskiego: *Rottejegeren*

Copyright © CAPPELEN DAMM AS, 2009

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2013

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia na okładce:

© Stephen Mulcahey/Arcangel Images

Wydano z pomocą finansową NORLA.

Redaktor prowadzący *Anna Garbał*

Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*

Korekta *Joanna Morawska, Joanna Habiera, Malwina Łozińska*

Redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

Przygotowanie pliku do konwersji *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12448-7

Plik wyprodukowany na podstawie *Łowca szczurów*, Warszawa 2013



www.wnk.com.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: wnk@wnk.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

CHRIS

ŁOWCA SZCZURÓW

TVEDT



CHRIS TVEDT TO NOWA GWIAZDA SKANDYNAWSKIEGO KRYMINAŁU